

Ignacio del Valle
Czas obcych
władców



NOIR SUR BLANC

IGNACIO DEL VALLE

CZAS OBCYCH
WŁADCÓW

Przełożyła
Dorota Walasek-Elbanowska

NOIR SUR BLANC

Mojemu Ojcu

Któregoś dnia ludzie popatrzą wstecz i powiedzą, że wraz ze mną narodził się wiek XX.

Kuba Rozpruwacz, 1888

1

Ofiara

— Skoro żywi nic tu nie znaczą, co dopiero mówić o martwych...

Te przygnębiające słowa, które kilka miesięcy temu wypowiedział do niego jakiś oficer, rozległy się w głowie sierżanta Espinosy niby we wnętrzu katedry. Przed paroma minutami na jego zdumiewający rozkaz oddział żołnierzy zerwał się na równe nogi, w pośpiechu porzucając sztuce i napoczęte konserwy, by chwycić za mauzery. Widziani z oddali na skutych lodem wodach rzeki Sławianki, opatuleni w grube zimowe mundury, przypominali stadko zdeorientowanych pingwinów. Wreszcie podążyli spojrzeniem za wytyczoną przez wzrok sierżanta wyimaginowaną linią, a kiedy spostrzegli przyczynę niespodziewanego alarmu, przetarli oczy jak ludzie zbudzeni zniecka, niezdolni jeszcze odróżnić jawę od snu. Niby w jakiejś dadaistycznej wizji blisko dwadzieścia końskich łbów sterczało nad zamarznąłą taflą niczym jednofigurowe szachy. Rozdęte chrapy, wygięte szyje, wytrzeszczone oczy wskazywały na to, że mróz pochwycił zwierzęta w pełnym biegu. Jednakże to nie ów fantastyczny obraz przykuwał uwagę żołnierzy, lecz wystający z lodu ludzki tors, przytulony do końskiego karku. Sierżant Espinosa wyprzedził ich i pierwszy dotarł do ciała, wymijając zygzakiem łby, które jeszcze przed chwilą służyły im za siedziska. Dopiero kiedy podniosła się mgła otaczająca ich od świtu niczym mur, zobaczył wśród padłych koni zwłoki człowieka. Przykucnął z trudem, by zerknąć na mundur i stężałe z zimna oblicze. Strząsnął szron z zeszywniałych rękawów: na lewym ramieniu dostrzegł niemieckiego orła, a na prawym czerwono-żółtą naszywkę i napis „España”. Zmarły należał do jego dywizji, ale twarz nie wydawała się znajoma. Cóż, nic dziwnego. Było ich ponad osiemnaście tysięcy, trudno wszystkie spamiętać. Kiedy zakończył oględziny, wstał i przez chwilę kontemplował Rosję — sklezione niebiosa cieniowane *en*

grisaille, ziemię bezkresną i białą, bez punktów zbiegu i dominant. Poczul lekki zawrót głowy i przesunawszy wzrokiem po szpalerach brzoź porastających brzegi, zatrzymał spojrzenie na połyskliwych kopułach molewskiego monasteru. Wedle legendy pewnego razu jeden z mnichów podczas nocnego obchodu ujrzał Boga siedzącego w mrocznym kącie. Natychmiast padł krzyżem na ziemię i zapytał, czemu Pan go nawiedził. I Pan mu odpowiedział, a głos Jego wcale nie był grzmiący, lecz cichy, zrezygnowany: „Jestem zmęczony, popie, bardzo zmęczony”. Sierżanta Espinosę dziwnie krzepiła owa bliska herezji wizja. Zawsze marzył mu się taki Bóg, jaki powinien być: ucłowieczony. Skruszony, odmówił szeptem krótką modlitwę, po czym odwrócił się i przywołał gestem jednego z żołnierzy, który zarzucił broń na ramię i ślizgając się co chwila, ruszył po śladach dowódcy.

— I co wy na to? — odezwał się sierżant beznamiętnym tonem, kiedy podwładny wyprężył się przed nim na baczność. Zabrzmiało to tak, jakby tego rodzaju znaleziska były rzeczą najnormalniejszą w świecie. — Znacie go?

Żołnierz pochylił się i spojrzał prosto w zlodowaciałą twarz nieboszczyka. Pośmiertna maska uformowana przez nierówną warstwę szronu przywodziła na myśl ciała mieszkańców Pompei zmineralizowane deszczem popiołów wyplutych z krateru Wezuwiusza. Powierzchowne oględziny doprowadziły go do tego samego wniosku, do jakiego przedtem doszedł sierżant.

— Chyba nasz, panie sierżancie.

— Patrzcie go, proch wymyślił — mruknął Espinosa zgryźliwie. — Za chwilę usłyszę, że chcecie mu zbadać puls.

Żołnierz milczał przezornie, z respektem traktując długotrwały sojusz dowódcy z wrzodami żołądka. Sierżant Espinosa, ochotnik, który w cywilu był asystentem na wydziale chemii madryckiego uniwersytetu, w każdej sytuacji zachowywał daleko posuniętą zawodową ostrożność. „Dziwna sprawa” — wymamrotał i w obliczu nadzwyczajnych okoliczności postąpił zgodnie z własnym wyobrażeniem o tym, jak powinno wyglądać śledztwo.

Błyskawicznie podjął decyzję.

— Po pierwsze, wy zostańcie tutaj.

Następnie popatrzył na resztę oddziału, świadomy fascynacji, jaką nawet u osób obeznanych ze śmiercią budzi przypadkowy zgon. Zanim zdążył się odezwać, żołnierz wyczytał wszystko z jego oczu.

— Po drugie, tamci mają się nie zbliżać.

— Rozkaz, panie sierżancie.

— Zawiadomię przez radio porucznika.

Żołnierz patrzył, jak sierżant podchodzi do oddziału — w którym, sądząc z ogólnego poruszenia, panowała większa niż zwykle nerwowość, spowodowana pobytem w strefie niezabezpieczonej oraz bliskością sowieckiej artylerii — i krótko tłumaczy podwładnym, co się stało. Sam także rozejrzał się niespokojnie; wszyscy mieli jeszcze w pamięci niedawną rosyjską ofensywę na jeziorze Ładoga, która niemal unicestwiła jeden z batalionów 269 pułku. Obliznął spękane wargi, oparł kolbę mauzera o lód, sięgnął do kieszeni munduru i miętosząc palcami przywiedłą pomarańczę, zaczął się przyglądać nieboszczykowi, zastygłemu w ciasnym śnieżnym mauzoleum. Jednocześnie myślał o tym, że choć zbliża się południe, kiedy to bywało najmniej zimno, słupek rtęci spadł już zapewne do trzydziestu stopni poniżej zera. Wyobraźnia podsuwała mu natrętny obraz: Dante, ostatni krąg piekła i straszliwy Lucyfer tkwiący do pasa w jeziorze lodu. Zastanawiał się, czy ów zmarły nieszczęśnik też tam trafi. Cóż, pozazdrościć... przynajmniej będzie mu ciepło. Wyjął na chwilę pomarańczę, która zaśniła jaskrawo niby miniaturowe słońce; schował ją z powrotem i dalej pieścił pomarszczoną skórę. Wyostrzony na froncie instynkt zwrócił jego uwagę na pewien drobny, lecz intrygujący szczegół: nieboszczyk się nie uśmiechał. W przypadku śmierci wskutek zamarznięcia — a niestety nie była to pierwsza ani ostatnia, na jaką patrzył — mięśnie twarzy tężały z zimna, układając się w makabryczny grymas. Myśli żołnierza, jakby wiedzione śladem jego własnych stóp pozostawionym w labiryncie końskich łbów, zataczały wyimaginowane meandry, rozpatrując sprawę pod każdym możliwym kątem. Odłożył karabin i wbrew rozkazom dowódcy zbliżył się do trupa. Obmacał mu szyję w poszukiwaniu nieśmiertelnika — blaszanej tabliczki tożsamości — strząsając przy tym warstwę szronu. Wówczas oczy żołnierza z obojętnych stały się czujne. W źrenicach pojawił się ostrzegawczy błysk. Serce waliło jak oszalałe. Podniósł wzrok, wypatrując sierżanta Espinosy. Na tafli lodowiska, w jakie zimą zmieniała się Sławianka, dostrzegł sylwetkę oddalającą się w kierunku zaparkowanych na brzegu ciężarówek. Krzyknął najgłośniej jak mógł. Wobec braku jakiegokolwiek reakcji prześlizgnął się przez koński labirynt i na oczach zdumionego oddziału ruszył w pościg za dowódcą. Kiedy go dogonił, surowe, kanciaste oblicze sierżanta wykrzywiło

się w grymasie niechęci, proporcjonalnej do elokwencji żołnierza, który z trudem łapiąc świszczący oddech, tłumaczył się z niesubordynacji. W pośpiechu wrócili do ciała. Espinosa, z chłodnym, niemal akademickim zainteresowaniem, ponownie zbadał zwłoki. W obolałym żołądkiem gwałtownie mu zabulgotało. Przeżegnał się wyjątkowo starannie. Pod brodą nieboszczyka ziała otwarta rana — szeroki, makabryczny uśmiech, nieobecny na jego wargach, a ukryty dotąd pod śniegiem wraz ze zdobiącym martwą pierś wykwinłym krawatem z kryształków zamarznętej krwi.

— To ruscy — orzekł.

Żołnierz, uznał, że to prawdopodobne; Sowieci często dokonywali takich egzekucji — narciarze w białych rubaszkach przemykali nocą niby duchy, zostawiając za sobą trupy, zgłiszczą spalonych chat, wysadzone w powietrze bunkry... Lecz po krótkim namyśle pokręcił głową.

— Raczej nie, panie sierżancie.

Sierżant Espinosa spojrzał nań kamiennym wzrokiem.

— Tak... pewnie się zaciął przy gołeniu, a potem poszedł na spacer po rzece, a potem stratowały go konie, a potem załamał się pod nim lód...

Żołnierz poruszył się nerwowo i owładnięty obsesją, by utrzymać ciało w temperaturze trzydziestu sześciu stopni, mocniej opatulił się zimowym mundurem.

— Źle mnie pan zrozumiał, panie sierżancie. Proszę się lepiej przyjrzeć.

— Co wy mi chcecie wmówić?

— Nic. Ale odkąd to ruscy dbają o nasze dusze? Niech pan zerknie tutaj.

Espinosa pochylił się nad zmarłym. Patrzył w skupieniu, a na jego twarzy malował się pełen wysiłku namysł. Ponownie spojrzał na żołnierza, tym razem z mieszaniną podziwu i zdumienia. Poniżej rany, na jednym z obojczyków, widniało coś, co przedtem uszło jego uwagi — małe litery wycięte końcem noża: PAMIĘTAJ, BÓG NA CIEBIE PATRZY. Zerwał się wiatr, unosząc ze sobą sekundy, jedna za drugą. Niewiarygodna myśl wymykała się sierżantowi niczym kostka mydła, ale w końcu ją uchwycił.

— Mówicie o morderstwie?

— Mówię, że to bardzo dziwne.

— Jesteście pewni?

— Jestem pewien jedynie własnych wątpliwości, panie sierżancie.

Kwaśne, jakby zamarynowane w occie oblicze Espinosy przybrało na chwilę wyraz daleki i nieobecny.

— Kto wie? Przy pechu, który nas prześladowuje w tym przeklętym miejscu... A wiadomo, że kiedy jest źle, to potem...

— Co potem, panie sierżancie?

— ...może być już tylko gorzej.

Podwładny z trudem ukrył gorzki uśmiech; wiedział, że dowódca jest niełatwym człowiekiem, ale potrafił docenić jego czarny humor. Cynizm ów wynikał z sytuacji, stawał się niemal koniecznością, bo pozwalał zachować przytomność umysłu. Pozwalał przeżyć.

— Trzeba zawiadomić porucznika — orzekł Espinosa. — I żandarmerię. I sanitariuszy. I... — zawiesił głos z wahaniem. — I niech nam tu przyślą fotografa — zakończył.

W chwili gdy podjął tę decyzję, zaczęło prószyć śniegiem. Wielkie, prawie przezroczyste płatki. Zamilkli obaj, kontemplując pejzaż stworzony dla hord olbrzymów, miejsce, w którym jednostka nie miała racji bytu.

— Imię? Nazwisko?

Wyrwany z zadumy żołnierz aż się wzdrygnął.

— Arturo, panie sierżancie. Arturo Andrade.

Głos sierżanta zabrzmiał głucho, jak z wnętrza grobu.

— Arturo... Jak myślicie, ilu skurwysynów właśnie się rodzi?

Zakłopotanie Artura podniosło się do kwadratu. Wbił wzrok w zielone smugi prześwitujące spod lodowej tafli.

— Nie wiem, panie sierżancie.

— Nie wiecie... Są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć. Prawda, wojaku?

Redukcja do nieskończoności

Wprawne cięcie rozplatało z góry na dół brzuch wiszącego na haku konia, odsłaniając klawiaturę żeber. Z trzewi wytrysnął wodospad krwi i wnętrzności, które z głuchym plaśnięciem uderzyły o ziemię. Rzeźnik zadumał się na chwilę, jakby zbierał siły, by podjąć wyzwanie. Dzieląc w myślach tusze wedle zapamiętanego schematu, naostrzył dwa wielkie noże. Zamachnął się jednym z nich, po czym bez dalszej zwłoki zaczął obdzierać zwierzę ze skóry. Wokół krzatali się żołnierze z kompanii rzeźniczej, wynoszący poćwiartowane, starannie oczyszczone kawały mięsa. Dwa dni temu z intendentury 250 Dywizji Piechoty Wehrmachtu¹ nadszedł meldunek o incydencie, jaki miał miejsce w jednej ze stajni. Spłoszone konie uciekły. Gdy odnaleziono je w zamarzniętym korycie Sławianki, odkomenderowano tam całą kompanię, żeby mięso się nie zmarnowało. Kilka miesięcy wcześniej, z powodu niskich temperatur uniemożliwiających należyte wysuszenie koniny, wstrzymano ubój i tymczasowo zaopatrywano się u Niemców, wysokokaloryczny łup był jednak zbyt łakomym kąskiem, by aż do wiosennych roztopów pozostawić padłe zwierzęta w ich lodowych sarkofagach. Mimo nadzwyczajnych środków, jakie podjęto, by zapobiec rozprzestrzenianiu się informacji, mrozące krew w żyłach znalezisko dokonane w tym samym miejscu było już w dywizji tajemnicą poliszynela, bo jak powiedział pewien chorąży: „Z pocztą pantoflową cenzura nie ma szans”.

Nadzorujący rzeźników weterynarz w randze porucznika miał właśnie zatwierdzić ubój następnego konia, kiedy do izby wszedł dziarskim krokiem starszy kapral, tak barczysty i muskularny, że wyglądał, jakby w każdej ręce dźwigał wiadro wody. Zasalutował, powiedział coś do oficera, po czym wręczył mu rozkaz na piśmie. Weterynarz kiwnął głową i zmarszczywszy

brwi, rozejrzał się wokół, szukając kogoś wzrokiem wśród zajętych pracą ludzi o twarzach ukrytych pod kapturami białych fartuchów, które chroniły mundury przed zabrudzeniem. Zniecierpliwiony, zastosował sposób najprostszy i najbardziej skuteczny:

— Arturo Andrade! — ryknął tubalnym głosem.

Kilku żołnierzy się obejrzało, ale nikt nie zareagował. Nie otrzymawszy odpowiedzi, oficer powtórzył nazwisko jeszcze parę razy. Wreszcie jedna z pochylonych nad końskim trupem postaci, szturchnięta w bok przez koleżkę, ściągnęła kaptur i spojrzała bezmyślnie na porucznika. Ów zmierzył groźnym wzrokiem wysokiego mężczyznę lat około trzydziestu pięciu, o dziobatej, popstrzonej przez ospę twarzy, intensywnie błękitnych oczach i wyglądzie rozbitka.

— Co z tobą? Oprzytomniej, nie słyszysz, jak cię wołam?

Arturo odruchowo stanął na baczność.

— Melduję się na rozkaz, panie poruczniku.

— Czekają na ciebie w kwaterze głównej. Pojedziesz z kapralem.

Roztargnienie Artura ustąpiło miejsca autentycznemu osłupieniu.

— W kwaterze głównej?

Oficer kiwnął głową, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Oddał dokument kapralowi i odwrócił się zirytowany do grupki podwładnych, którzy korzystając z okazji, zrobili sobie przerwę.

— Pospieszcie się, dzisiaj trzeba skończyć.

Arturo odmaszerował, żeby przebrać się w czysty mundur i wziąć broń, po czym ruszył za herkulesowym kapralem. Patrząc na przesłaniające horyzont barczyste plecy, zastanawiał się, po co go wezwali. W głowie, zagłuszając się nawzajem, kotłowały mu się setki domysłów, lecz dwa zaniepokoiły go szczególnie: pewien drobny incydent z przemytem papierosów i alkoholu oraz niewczesna ciekawość okazana podczas pamiętnego epizodu na rzece. Jedno i drugie nie wróżyło nic dobrego. Nigdy nie wiadomo, za co można trafić pod sąd. Na zewnątrz, pod zamulonym niebem, upstrzony kępami zagajników, powitał ich śnieżny pejzaż Miestielewa — siedziby intendentury, arsenału i służb sanitarnych Błękitnej Dywizji na froncie leningradzkim. Położony przy linii kolejowej plac, zabudowany barakami, warsztatami, magazynami i schronami, sprawiał wrażenie pandemonium żołnierzy, koni, armat, ciężarówek, traktorów, ambulansów, przyczep... Swoją nazwę Miestielewo wzięło od pobliskiej wioski — skupiska chat

przycupniętych wzdłuż drogi na niewielkim wybrzuszeniu terenu, w otoczeniu spichlerzy, pustych wiat, spiczastych stogów i żurawi studziennych. Za nimi, w pewnym oddaleniu, stał poczerniały drewniany wiatrak o wielkich, nagich skrzydłach. Osada, jak tyle innych w Rosji, była żywym świadectwem tego, że na owej ziemi niewiele się zmieniło od średniowiecza. Arturo zadygotał z zimna i wciągnął nosem powietrze dziwnie rześkie, pachnące ozonem — nie tyle z powodu śniegu, ile z samej swojej natury, jakby powstało z innych, tutejszych składników. Kapral podjechał odrapanym, poobijanym peugeotem, zarekwirowanym gdzieś w Belgii lub Francji i przemalowanym później na szarozielony kolor. Idąc do samochodu, Arturo usłyszał metaliczny dźwięk przypominający zgrzyt kotwicznego łańcucha. Nawet nie zdążył się obejrzeć. Poczł silne uderzenie i już leżał na ziemi, osłaniając twarz przed wyszczerzonymi wściekle kłami. Wszystko działo się tak szybko, że w jego mózgu zaszedł proces odwrotny: miał wrażenie, iż porusza się w zwolnionym tempie, jak nurek. Cudem ochronił szyję i siłą paniki przeturlał się po śniegu, umykając spod rozwartej paszczy ogromnego wilczura, który po nieudanym ataku wyładowywał złość na zdobycznym strzępie buta. Kapral zareagował natychmiast. Kilkoma potężnymi kopniakami odpędził bestię, a potem chwycił Artura pod pachy i pomógł mu wstać. Stanąwszy na lewej stopie, żołnierz poczuł ostry ból w kostce. Z czołem mokrym od potu, wciąż jeszcze roztrzęsiony, wrócił do baraku. Mozolnie rozplątując sznurówki, bał się, że zobaczy rozszarpaną łydkę lub co najmniej żywe mięso, ale po zdjęciu buta stwierdził z ulgą, iż rana nie jest głęboka, więc gangrena raczej mu nie grozi. Kilka siniaków i dużo strachu. Nic poważnego. Odczekał chwilę, żeby całkiem dojść do siebie.

— No i po bucie — westchnął kapral.

— Żadna strata, były już mocno znoszone.

— Ale do lazaretu i tak się musimy zgłosić.

— Nie warto, panie kapralu, tylko się najadłem strachu. Nie rozumiem, jak ktoś mógł spuścić z łańcucha taką bestię.

Arturo wstał, wciąż z lekka oszołomiony, i ostrożnie postawił stopę na podłodze. Kiedy upewnił się, że może chodzić, ruszyli z powrotem do samochodu. Poszukał hełmu zgubionego w trakcie szamotaniny, włożył go i podszedł do psa, który czekał spokojnie, powarkując cicho, lecz groźnie; uniesione wargi odsłaniały jedyne argumenty, jakie miały znaczenie w jego

świecie. W każdym świecie, pomyślał Arturo. Przez kilka chwil mierzyli się spojrzeniem. Dziwne, ale nie czuł nienawiści — ten pies nie był ani zły, ani dobry, był po prostu sobą. Kapral uznał optymistycznie, że flaszka jest do połowy pełna:

— Jeszcze jedno ogniwo i przymierzałbyś drewnianą jesionkę.

Arturo obejrzał łańcuch przymocowany do wbitego w śnieg kołka, upewniając się, że stoi w bezpiecznej odległości. W tym momencie zza węgła pobliskiego baraku wyszedł niemiecki żołnierz, jeden z tych, którzy poruszają się, jakby ktoś ich pociągał za sznurki. W ręku trzymał zawinięte w szary papier ochłapy mięsa i kości. Arturo ruszył ku niemu z zaciśniętymi pięściami i mnąc w ustach przekleństwa, warknął kilka słów w jego ojczystym języku. Doszło do ostrej wymiany zdań, podczas której Niemiec zachowywał się z chłodną arogancją. Kapral, który nie znał niemieckiego, wodził oczami od jednego do drugiego, kręcąc głową, podobnie jak siedzący już teraz spokojnie wilczur. Nie rozumiał słów, pojął jednak ich ogólny sens, a widząc, na co się zanoszą, postanowił interweniować. Wepchnął się pomiędzy nich i korzystając z tego, że był wyższy stopniem, zwrócił się do Niemca: mówił z uśmiechem, powoli, jakby wiedział, że pruski mózg nie zniósłby nadmiernego wysiłku.

— Ty sukinsynu, ty frajerze, ty cwelu jebany, ty idioto... Paniczyku pieprzony... Pierdol się, kurwa twoja mać...

Perorował tak dobrą chwilę, a spłoszony grenadier na każdą obelgę odpowiadał: *ja*. Potulniał w oczach. Dobrnąwszy do końca słownika, kapral przytknął niemal nos do twarzy Niemca, bacząc jednak, by nie przekroczyć granic jawnej prowokacji.

— Ku pamięci, mięci kupę?

Niemiec, sądząc widocznie, że tak się po hiszpańsku mówi „zrozumiano”, odparł skwapliwie:

— *Ja, ja, mein Obergefreiter*. Menczy kupę.

— Chuj ci w dupę.

Kapral triumfalnym gestem zdjął z głowy wyimaginowany kapelusz toreadora, skłonił się głęboko i odwrócił na pięcie. Arturo, idąc posłusznie za nim, z trudem zachowywał powagę. Niemiec zwęszył okazję do zaczepki, więc choć wiedział, że musi ustąpić, jeszcze się im odgrażał na pożegnanie. Arturo obejrzał się i cofnął o krok, lecz tamten odpowiedział na wyzwanie ironicznym uśmieszkiem i poklepał psa niczym wyścigowego konia, który

właśnie wygrał wielkie derby.

Kapral przywołał Artura i zaprowadził go do samochodu.

— Nie daj się podpuścić gnojkom! Zakute łby! — stwierdził. — Ależ ty, kurwa, szwargoczesz po ichniemu... Co ci powiedział?

— Że trzymają tu psa z powodu partyzantów, podobno jest tak wytresowany, że czuje ich z daleka.

— A przy okazji chcą zapolować na nas... Dla nich Hiszpan to trochę więcej niż Świnia, a trochę mniej niż małpa. Ale ja się nikomu nie dam poniewierać, jakem Aparicio Tárrega.

Arturo nie bez uciechy przypomniał sobie niemieckie skargi na iberyjski luz: rozpięte kurtki, ręce w kieszeniach, dymiące pety w ustach... „Można wygonić Hiszpana z Hiszpanii, ale Hiszpanii z Hiszpana nigdy” — pomyślał. Kapral zastygł z nogą na stopniu peugeota.

— Nie zapomniałeś o czymś?

— Tak, nie zdążyłem mu wpierdolić — odpowiedział Arturo z błyskiem nienawiści w oczach.

Kapral Aparicio uśmiechnął się szeroko.

— Nie o tym myślałem.

Arturo po kolei naciskał klawisze pamięci. Pokręcił głową i czekał na dalszy ciąg.

— A twój karabin stróż?

Arturo zamachał rękami, dziwiąc się własnej głupocie, i zaczął szukać zgubionego w ferworze walki mauzera, którego pięknie stylizowany kształt odcinał się od bieli śniegu. Podniósł broń i wrócił do samochodu.

— Zrób sobie miejsce — poradził kapral, wskazując na worki wypełniające niemal cały pojazd. — Mieliśmy ciężarówkę, ale się popsuła: Może kiedyś naprawią.

Arturo skulił się jak mógł wśród przesyłek, które kapral miał dostarczyć na pocztę przy kwaterze głównej. Po chwili Aparicio puścił soczystą wiąchę. W porównaniu z nią przekleństwa, jakimi obsobaczył Niemca, wydawały się pobożną litanią. Udręczone charczenie silnika w pełni uzasadniało ów wybuch.

— Co się dzieje? — zaniepokoił się Arturo.

— Co się dzieje? A co ma się dziać? Już po sprawie. Zostawiłem motor na gazie. Przez ten niemiecki pieprznik zgasł i nie chce zapalić. Najpierw ciężarówka, a teraz to...

Arturo nie potrzebował wyjaśnień. W tym zimnie nie tylko ludzie zamierzali na śmierć.

— Ostatnim razem ruszył po czterech godzinach — lamentował kapral. — Mamy dalej jechać na osłach?

— Niech pan spróbuje jeszcze raz.

— Można tak do rana.

Ustał jednak i pokładając całą nadzieję w opuszkach palców, usiłował wskrzesić silnik. W końcu, wyprowadzony z równowagi kolejnymi próbami przywrócenia go do życia, z całej siły walnął w kierownicę. Samochód aż zadętył od ciosu żelaznej pięści.

— To koniec. Ani piśnie.

— Panie kapralu, ostatni raz...

— Nie pali, kurwa, i kropka.

— Może się uda... — nalegał Arturo.

Kapral spojrzał spode łba. Arturo przypatrzył się uważniej jego twarzy. Czarne oczy ciskające zimne iskry, wydatny nos, masywny jak kil okrętu, i blizna przecinająca prawy policzek, co nadawało temu młodzieńczemu, chłopięcemu obliczu wygląd zarazem brutalny i dobroduszny. Aparicio zdjął rękawice, jakby chciał podkreślić własną determinację, a potem przekręcił kluczyk. Niespodziewanie silnik ożył; salwy synkopowych trzasków zabrzmiały w ich uszach niczym najpiękniejsza melodia. Kapral wrzucił luz, nacisnął pedał gazu i motor zagrał czyściej.

— Musisz mi powiedzieć, jak to się robi — powiedział uradowany.

— Nie ma się ochoty na jazdę saniami, panie kapralu. Aha, byłbym zapomniał... wielkie dzięki za uratowanie tyłka.

— Drobiazg. Aha, ja też byłbym zapomniał... O czym człowiek myśli, kiedy zwiduje mu się broda świętego Piotra?

Arturo uśmiechnął się nieswojo.

— Naprawdę chce pan wiedzieć, panie kapralu?

— Jeżeli to nie problem...

Arturo wyteżył pamięć i cofnął się do jednej z owych chwil, które uchylają furtkę wieczności. Aparicio wpatrywał się weń z ukosa.

— O zmianie — odparł z przymusem.

Na twarzy kaprala odbiła się dezorientacja.

— Zmianie? — powtórzył.

— Tak, tylko to miałem w głowie. Od tygodnia nie zmieniałem bielizny i

przez cały czas myślałem o tym, że w szpitalu zobaczą moje brudne gacie.

„Nawet przed śmiercią nie zapomnij się wysrać i wysikać”. Kapral, chichocząc w głos, zwolnił ręczny hamulec, po czym ruszył w stronę kwatery głównej. Arturo wytarł zaparowaną szybkę i wyjrzał na zewnątrz; na odjezdnym zdążył jeszcze zobaczyć nieposkromioną, szczerą radość wilczura, chwytającego rzucane mu przez pana jedzenie.

Droga do Pokrowskiej upłynęłaby bez dalszych przeszkód, gdyby nie jazda kaprała. Na oblodzonej szosie, zapchanej wojskowymi i cywilnymi pojazdami, prowadził jak samobójca, chociaż, trzeba było mu to przyznać, ani razu nie przeszarżował. W trakcie niespełna trzech kilometrów dzielących ich od kwatery głównej — na szczęście samochód miał ogrzewanie — Arturo, w obliczu posepnego majestatu zimy roztaczającego swą potęgę nad rozległymi lasami i bezkresnym pustkowiem zaśnieżonych pól, nie mógł się pozbyć myśli, że całe to hipnotyczne, jednostajne piękno jest pułapką; w rzeczywistości sama Rosja była jedną wielką pułapką. Po zwycięstwie Trzeciej Rzeszy nad Polską i Francją stało się jasne, że nie ma w Europie armii zdolnej powstrzymać Wehrmacht, wszystko zależało bowiem od przestrzeni, jaka pozostawała do ucieczki; Polacy skapitulowali w ciągu dwudziestu dni, Francuzi stanęli pod ścianą po miesiącu². Niemcy zatem nie wzięli pod uwagę niezmiernych obszarów, które mieli za plecami Rosjanie. Od chwili gdy niemal dwa lata temu, w czerwcu czterdziestego pierwszego, rozpoczęła się inwazja na Związek Radziecki, kraj ów wykładał karty z niespieszną, lecz nieubłaganą cierpliwością wytrawnego gracza, pozwalając Niemcom iść naprzód ze złudną łatwością, i czekał, aż zima otworzy oczy. A kiedy to nastąpiło, zawiodło wszystko: ludzie, maszyny, strategia, męstwo... Biały pejzaż, który z początku wydawał się puszysty i miękki, jakby nasiąknięty mlekiem, okazał się piekłem w niewłaściwym kolorze. Tam, pomiędzy rosyjskim młotem i kowadłem Historii, znaleźli się oni, 250 Dywizja Pieszono-Konna, Błękitna Dywizja. Żelazna pięść Hitlera miażdżyła państwo za państwem, tak jak rozgniata się winogrona, aż wreszcie zawisła nad głową generała Franco, żądając spłaty długu, jaki zaciągnął w czasie wojny domowej w zamian za pomoc udzieloną mu przez nazistów. Caudillo opóźniał hiszpańską interwencję, tłumacząc się oplakany stanem kraju — Arturo, dodawszy dwa do dwóch, doszedł do wniosku, że Franco, jak

zwykle, oczekiwał czegoś w zamian; w tym wypadku mogły to być tylko koncesje terytorialne we francuskim Maroku — wreszcie jednak, w obawie, że po bardziej niż prawdopodobnym zwycięstwie państw osi zostanie pominięty przy podziale łupów, zdecydował się na polityczno-militarny unik; czyli już w miesiąc po rozpoczęciu operacji „Barbarossa” zaczął wysyłać do Niemiec pociągi z posiłkami mającymi stanowić hiszpański wkład w rozstrzygnięcie wojny. Była to, przyznał Arturo, subtelna i sprytna zagrywka: Błękitna Dywizja, ochrzczona tak przez hiszpańskie gazety z powodu niebieskich koszul falangistów, którzy licznie zasilili jej szeregi, oficjalnie nosiła nazwę Dywizja Hiszpańskich Ochotników, dzięki czemu nie mogła być traktowana przez Rosję i Anglię jako regularny oddział sił zbrojnych i element działań wojennych, co z kolei umożliwiało Caudillowi dalszą jazdę na zderzakach niemieckiej lokomotywy przy zachowaniu pozorów neutralności. Przybycie do celu podróży przerwało Arturowi owe refleksje; zajechali przed kwaterę główną z takim impetem, jakby ścigał ich sam diabeł.

Kwatera główna Błękitnej Dywizji we wsi Pokrowskaja była za carskich czasów pawilonem myśliwskim, który później przerobiono na pałacyk. Z otoczonej okopami budowli, stojącej na rozległej polanie osłoniętej gęstym lasem brzoź, sosen i jodeł, kierowano działaniami zbrojnymi na odcinku bronionym z prawej strony przez 262 pułk, z punktem dowodzenia w Krasnym Borze, w centrum — przez 269 stacjonujący w Słucku, a od lewej — przez 263 z bazą w Puszkynie. Wokół roilo się od żołnierzy i pojazdów: oficerowie z papierami pod pachą zbiegali ze schodów i w pośpiechu wsiadali do sań; łącznicy zapalali silniki motocykli i ruszali z piskiem opon, wpadając w niebezpieczny poślizg przy bramie, lub w biegu wskakiwali na konie jak kowboje z westernów. Ów gorączkowy ruch zdradzał, iż sytuacja na tym odcinku frontu jest ciężka, o czym dobitnie świadczył nieustanny huk rosyjskich armat. Wyminąwszy podoficera, który usiłował zaprowadzić porządek, wrzeszcząc na ludzi, zwierzęta i maszyny, kapral Aparicio torował sobie drogę, prowadząc Artura w kierunku klasycznego portyku z kolumnami zdobiącymi wejście do budynku. Regulaminowo podstemplował przepustkę, po czym znaleźli się w przestronnym westybulu pod arkadami. Zmiana temperatury była aż nazbyt gwałtowna. Panujące wewnątrz nerwowe zamieszanie stanowiło pomniejszoną kopię tego, co działo się na placu: rzucane głośno rozkazy, służbiste odpowiedzi, trzaskanie obcasami, szybki

niczym karabinowe salwy stukot maszyn do pisania... Mimo to Arturo czuł się tu dziwnie spokojny; w porównaniu z nieograniczonym i przerażająco nielogicznym światem czyhającym na zewnątrz owa geometryczna, zhierarchizowana przestrzeń dawała mu złudzenie ładu. Wiemy swoim dawnym nawykom mnemotechnicznym, zwracał uwagę na każdy szczegół i wszystkiemu uważnie się przyglądał: szerokie schody główne opadające z pierwszego piętra niby marmurowy wodospad; płonący kominek, wielki jak brama piekła; wypchane głowy ptaków, poroża i kolekcja broni na ścianach... Więcej nie zdążył zapamiętać, ponieważ Aparicio sprawnie odszukał kapitana gryzipiórka, przekazał mu cennego świadka i pożegnał się uprzejmie. Arturo patrzył, jak potężna postać kaprała toruje sobie przejście przez westybul, i doszedłszy do wniosku, że obliczenie powierzchni jego pleców byłoby dla każdego zajęciem zbyt wyczerpującym intelektualnie, ograniczył się do oszacowania wieku: dwadzieścia lat, może więcej, trudno powiedzieć. Pomyślał, że w domu wołali go pewnie jakimś zdrobnieniem, jak często bywa z takimi dryblasami, i że tęskni za nim cała wieś... tak, chyba należał do facetów, za którymi się tęskni. Przez rozszerzone nozdrza Arturo głęboko wciągnął powietrze. Kapitan poprowadził go po schodach na pierwsze piętro, a potem długim, oflankowanym przez mitologiczne posągi z marmuru korytarzem, pełnym drzwi i żołnierzy. Minąwszy po drodze mesę oficerską, gabinet generała i pokoje zajmowane przez Sztab Główny, dotarli do pomieszczeń, w których mieścił się Wydział Czwarty. Kapitan polecił gościowi zostawić wierzchnie okrycie w przedpokoju. Zdenerwowany Arturo, gubiąc się w domysłach, pospiesznie zrzucił swoją zimową drugą skórę, zdjął hełm, odłożył karabin, wygładził kurtkę i nacisnął na głowę czapkę. Kiedy był już gotów, gryzipiórek z głupawym, konwencjonalnym uśmiechem osoby, która często przyjmuje interesantów, wyjaśnił zwięźle, kto go oczekuje. Z usłużną kurtuazją otworzył drzwi, jakby kształcił się w tym od małego, i wprowadził Artura do gabinetu, w którym wygoda najwyraźniej ustąpiła pierwszeństwa funkcjonalności. Za sosnowym stołem, prawie niewidocznym spod map i papierów, wiązanych na tasiemki teczek, cynowych kubków (sądząc po zapachu, z kawą) oraz królującej pośrodku okazałej Biblii, siedział podpułkownik Navajas del Río, szef Wydziału Czwartego w Sztabie Głównym. Krzesła po jego lewej i prawej ręce zajmowali trzej inni oficerowie. Arturo zasalutował, energicznie trzaskając obcasami, i natychmiast poczuł się jak na cenzurowanym. Czekał, aż się do

niego odezwą, rozglądał się kątem oka, żeby opanować nerwy. Dostrzegł okno, za którym rozciągał się pejzaż ze świątecznej kartki; portrety Caudilla i Führera na ścianie; wielki piec; szczyrbatą maszynę do pisania (brakowało litery „ñ”) stojącą na filigranowym biurczku; szafkę na dokumenty, a nad nią wiszący na gwoździu kalendarz z przysłowiami i mądrościami na każdy dzień. Pod datą 29 stycznia 1943 przeczytał: „Lisica zna wiele sztuczek, ale jeź ma ostrzejsze argumenty”. Wreszcie podpułkownik oderwał wzrok od trzymanej w ręku kartki i przeniósł spojrzenie na Artura. Miał mizerny wygląd i zmęczoną, niewyspaną twarz, okoloną gęstą, ciemną brodą — gdyby uważniej jej się przyjrzeć, można by niemal zobaczyć, jak rośnie. Patrzące zza binokli źrenice były niby dwa czarne punkty wsysające wszystko wokół. Arturo wytrzymał to z kamienną twarzą.

— Bacność! — warknął oficer.

— Szeregowy Arturo Andrade, Drugi Oddział Uboju, kompania rzeźnicza, służba kwatermistrzowska, melduje się na rozkaz, panie pułkowniku — wyrecytował służbiście.

Navajas del Río kiwnął głową, wyrażając zadowolenie z tak rygorystycznego przestrzegania dyscypliny.

— Spocznij. Większość z obecnych w tym pokoju — zatoczył wokół ręką — uważa, że jesteście tu potrzebni jak dziura w moście. Ja jestem przeciwnego zdania; sądzę, że możecie nam bardzo pomóc. A wy jak myślicie?

— Zależy w czym, panie pułkowniku.

— Nie wiecie, w jakim celu was wezwałem?

— Nie wiem, panie pułkowniku — skłamał Arturo, wymownie wzruszając ramionami.

— Nic wam nie świta?

— Nic, panie pułkowniku.

— Rozumiem — powiedział Navajas del Río z miną świadczącą o tym, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. — Siadajcie.

Kapitan gryzipiórek, który przez cały czas stał za plecami Artura, podsunął mu krzesło i wyszedł. Arturo zdjął czapkę, usiadł sztywno wyprostowany i zwięńczył złączone ciasno kolana nakryciem głowy. Kiedy spojrzał na cynowe kubki, przed jego oczami pojawił się obraz świeżo palonych ziaren kawy, obracających się powoli w szklanym bębnie jak kulki z numerkami loterii.

— Może kawy?

— Nie, panie pułkowniku, dziękuję — odparł z bólem w sercu.

Spojrzenie Navajasa del Río złagodniało. Bez dalszych wstępów przeszedł do rzeczy.

— No cóż... Sądzicie, że możecie pomóc nam dopaść tego bydlaka?

— Nie rozumiem...

— Podejrzewamy, że żołnierz, którego znaleźliście na rzece, został zamordowany.

— Czyli sprawa jest poważna. — Arturo odczuł nieopisaną ulgę, gdy usłyszał, że nie chodzi o przemyt.

— Bardzo poważna. Wiem również, że wy pierwsi na to wpadliście.

— Przypadek. Jak nie ja, to ktoś inny... — odparł Arturo bez fałszywej skromności.

— Tak, ale to byliście wy.

Arturo zamilkł. Pomyślał, że ma dług u sierżanta Espinosy, który sam z siebie wyrzekł się domniemanej chwały.

— Ale zanim przejdziemy dalej — ciągnął Navajas — musimy przekonać tych panów do waszych kwalifikacji. Wiem, kim jesteście, p o r u c z n i k u Arturo Andrade.

Na wzmiankę o swoim dawnym stopniu napiął mięśnie grzbietu niczym cięciwę tuku.

— Rozumiem, panie pułkowniku.

— Cóż, skoro tak, pozwólcie, że pokrótce przedstawię wasz życiorys pozostałym panom oficerom. Oczywiście, a jak miemam, mówię w imieniu wszystkich obecnych, cała sprawa pozostanie między nami.

— Tak jest, panie pułkowniku.

Domyślił się, że choć Navajas del Río stwarza pozory swobodnej dyskusji, w rzeczywistości jest to czysty teatr. Najprawdopodobniej podjął już decyzję, ale postanowił go przedtem wybadać. Arturo patrzył nań bez niepokoju, z chłodną uwagą.

— A zatem — podpułkownik usiłował sprawiać wrażenie, że szuka czegoś w papierach — pominię sprawy dawniejsze...

— Ależ to jest najciekawsze, zwłaszcza jeśli ma związek z policją — przerwał mu grzecznie jeden z oficerów, wysoki mężczyzna o świszczącym oddechu, pokaźnej tuszy i głowie jak afrykańskie trofeum.

Szelest kartek świadczył o chwilowej irytacji Navajasa del Río, który

jednak szybko się opanował.

— Pan coś mówił, majorze?

— Przepraszam, zamieniam się w słuch.

Arturo przełknął insynuacje i zrozumiał rozdrażnienie podpułkownika, któremu rozsypał się starannie przygotowany scenariusz. Wyczuł pomiędzy tymi dwoma słabą iskrę wzajemnej niechęci.

— A zatem — podjął Navajas del Río — były porucznik Arturo Andrade Malvido służył podczas wojny w Wydziale Szyfrów SIM³. Ta karta jego służby jest nieskazitelna, powiem więcej: błyskotliwa. Po wojnie powierzano mu rozmaite zadania w związku z czystkami wśród czerwonych. Zna angielski i niemiecki...

Popatrzył na Artura jak partner brydżowy czekający na odzywkę.

— Zgadza się, panie pułkowniku. Ostatnio nauczyłem się też rosyjskiego i liznałem trochę estoński...

— Cóż, wisienka na torcie... Poza tym na pewno pamiętają panowie sprawę renesansowego malowidła zrabowanego przez czerwonych podczas ewakuacji muzeum Prado. — Spojrzał na drugiego z oficerów, Niemca, jakby chciał rozgrzeszyć go z niewiedzy. — To było cztery lata temu. W prasie aż huczało.

— *Sztuka zabijania smoków.*

Tym razem wtrącił się trzeci z obecnych. Kapitan Gwardii Cywilnej, o smagłej twarzy, wyszarzałej jak stara kula bilardowa, i łysej czaszce, okolonej przystrzyżonymi pasmami na skroniach, na czubku zaś zwieńczonej sterczącym kosmykiem przerzedzonych włosów. Tylko on tu znał Artura — był dowódcą żandarmerii, więc po alarmie wszczętym przez sierżanta Espinosę jako jeden z pierwszych zjawił się na Sławiance, by podjąć czynności związane z identyfikacją i transportem ciała.

— Rzeczywiście — potwierdził podpułkownik — tak to się nazywało. Arturo Andrade, wówczas jeszcze porucznik, pomyślnie zakończył śledztwo i odzyskał skradzione dzieło sztuki. Tu zapewne spytacie, panowie, co człowiek, który lada moment miał dostać awans za wkład w naszą krucjatę, robi tak daleko od ojczyzny, zdegradowany do stopnia szeregowca?

Arturo wstrzymał oddech. Czuł, jak trzy pary oczu przebiegają po nim spojrzeniem od stóp do głów, niczym jaszczurki.

— Powiedzmy, że poszło o spódniczkę — ciągnął Navajas. — Problem w

tym, że nasz eksporucznik zdrowo przesadził. Doszło do zabójstwa. To dość, by spędzić trzy lata za kratkami. Ale Caudillo w swej dobroci dał mu szansę na zmazanie win. A gdzież lepiej pokutować niż tutaj, przelewając krew za ojczyznę i tępiąc bolszewików?

Jego słowa przeszły mózg Artura niczym bagnet. Zajrzał w głąb pamięci i koszmar powrócił. Imiona, twarze, fakty... Anna, Publio Medina... Román.

— Czy mogę, panie pułkowniku? — odważył się wtrącić major.

— Śmiało.

— Kiedy osadzono was w Porlier⁴, chorowaliście na gruźlicę — stwierdził obcesowo, wrywając Artura z zamyślenia; najwidoczniej miał własne źródła informacji.

— Pozwólcie, panowie, że was przedstawię — przerwał mu podpułkownik Navajas, chcąc nieco załagodzić sytuację. — Major Reyes Zarauza, szef Dwójki — wskazywał kolejno — kapitan Joaquín Isart z żandarmerii i kapitan Wolfram Kehren ze sztabu, nasz niemiecki łącznik.

— Kiedy was zamknęli, byliście gruźlikiem — powtórzył z naciskiem Zarauza; słowo „gruźlik” zabrzmiało w jego ustach jak obelga.

— To prawda.

— Podobno było z wami źle.

— Istotnie, kiepsko.

— A w dodatku skazano was na śmierć.

— Tak.

— To jak się tutaj znaleźliście?

Arturo omal nie odrzekł, że cudem.

— Właśnie dlatego, że zostałem skazany, łych z wyrokiem traktowali inaczej, mieliśmy więcej swobody. Mnie ocaliły dodatkowe racje żywności. Zanim mi złagodzili karę, czekałem na egzekucję dwa lata z hakiem; dość, żeby podreperować zdrowie.

— Nadal uważam, że ten wojak się nie nadaje — upierał się Zarauza, sapiąc głośno.

— Kiedy Napoleon wybierał sobie generałów, wiecie, panowie, o co ich pytał? — ożywił się nagle Niemiec, który do tej pory siedział w milczeniu, tępy i nadęty; wypowiedane po hiszpańsku słowa powlekał żelazny osad jego ojczystej mowy.

— O co? — zaciekawił się podpułkownik.

— Rozważywszy ich zdolności, przebieg dotychczasowej służby, postawę żołnierską, stawiał pytanie, które mogło przechylić szalę na ich korzyść: „Czy ma pan szczęście?” A ten człowiek ma szczęście i dlatego może się nam przydać.

— Wygląda na to, że mamy remis — orzekł podpułkownik Navajas. — Kapitanie, czekamy na pański głos — zwrócił się do Joaquina Isarta.

Przez kilka następnych sekund panowała cisza, przerywana niepokojącym pobrzękiwaniem szyb, które drżały pod wzajemnym ostrzałem sowieckich i hiszpańskich dział.

— Ja się dostosuję — odparł kapitan ostrożnie.

Arturo rozważył korzyści, jakie mogła mu przynieść nowa misja, i uznał, że nie wolno przepuścić takiej okazji. Musiał chwycić byka za rogi.

— Panie pułkowniku, jestem pewien, że mogę pomóc. Dowiodę tego.

— Jak?

— Mam... smykałkę do szczegółów. Wiele się nauczyłem przy sprawie Prado. Pan często czytuje Biblię, jak się domyślam? — Wycelował palcem w spoczywający na stole opasły tom.

— Dobrze się domyślacie.

— I na pewno ma pan swoje ulubione fragmenty. Wersety, do których pan wraca.

— Być może.

— Podkreśla je pan w tekście?

— Nie mam takiego zwyczaju.

— Tym lepiej. W takim razie z pewnością zna je pan na pamięć.

— Tak sędzę.

— Pozwoli pan, że je znajdę?

Podpułkownik Navajas zastanawiał się przez chwilę, czy nie ma w tym jakiegoś podstępu.

— Czemu nie? — odrzekł wreszcie.

— Mogę? — zapytał Arturo, ponownie wskazując Biblię.

— Proszę.

— To nie ma tu nic do rzeczy — wtrącił się major Zarauza z grymasem złości na twarzy.

Arturo zerknął na podpułkownika, jakby pytając o przyzwolenie, którego ten udzielił gestem ręki. Wstał, podniósł księgę i odwróciwszy się tyłem do siedzących za stołem oficerów, wykonał kilka czynności, których mogli się

domyślić jedynie z ruchu jego łokci. Po chwili znów stał naprzeciw nich, z zamkniętą Biblią w rękach.

— Jeżeli wszyscy tu obecni ufają słowu pana pułkownika... — Arturo patetycznym gestem wręczył mu księgę, wskazując jedną z jej stronic.

Navajas del Río zdjął okulary i podtrzymując z namaszczeniem opasły tom, otworzył w zaznaczonym miejscu. Przeczytał po cichu, przymrużając nieco oczy, i wydał z siebie pełen podziwu pomruk. Zamknął Biblię, po czym wyrecytował z pamięci:

— „Widziałem szatana, spadającego z nieba jak błyskawica. Oto dałem wam władzę stąpania po węzach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi”⁵. Łukasz, rozdział dziesiąty, wers osiemnasty i dziewiętnasty.

Arturo uczcił swój triumf niemym uśmiechem.

— Czysty fuks — zaoponował major.

Navajas del Río już miał zareplikować, kiedy przywalony stertą teczek i brulionów telefon zaterkotał serią stłumionych dzwonek. Podpułkownik przywarł uchem do słuchawki, rzucił w odpowiedzi kilka mantrycznych zdań i założywszy z powrotem okulary, jął zapisywać coś piórem Conklin, zakreślając niektóre słowa kółkami i rysując skierowane na zewnątrz strzałki. Arturo zyskał trochę czasu, by sklasyfikować zachodzące w tym miejscu reakcje i zorientować się, kto jest kim. Zaczął od jedynej znanej mu tutaj osoby — Joaquina Isarta, stwierdził jednak, że trudno go ocenić jednoznacznie: już wtedy, na rzece, zauważył hermetyczny, asekurancki wyraz jego twarzy, chociaż pewien był, że kapitan umiał się ustawić. Przeszedł zatem do Wolframa Kehrena: oschły, kanciasty profil konika szachowego; długie kości; czarne włosy, charakterystyczne dla Niemców z południa, i przejrzyste, stalowe oczy. Zachowywał największy z tej trójki dystans, nawet w sensie fizycznym, odsunawszy się z krzesłem na obrzeże stołu. Oczy, w których migotał nieznaczny cierpki grymas, wbił w niebieską nankinową koszulę wystającą spod munduru majora Reyesa Zarauzy. Arturo posunął się w swych rozważaniach dalej i zadumał nad powszechną irytacją, jaką w sztywnych Prusakach budziła anarchia, z którą Hiszpanie szli na wojnę, ów bałagan wywołany melanżem emblematów Falangi, SEU, Frontu Młodzieży⁶ i... niemieckiego munduru. Arturo kontynuował dedukcję, a przesłanek dostarczył mu sam obiekt zainteresowania niemieckiego oficera.

Przyjrzał się baczniej właścicielowi koszuli: major Reyes Zarauza był posiadaczem wąsików, sprzedawanych, jak się zdaje, razem z niebieskimi koszulami, włosów zaczesanych do tyłu i przylizanych brylantyną, twarzy w kolorze rozgotowanej cielęciny oraz brzucha, który sterczał pod żołnierską kurtką jak przytulona do matki małpka. Owa pozornie zwyczajna koszula mogła być przyczyną głęboko skrywanej antypatii majora i podpułkownika. W czterdziestym pierwszym, tuż po decyzji o wysłaniu ochotników na front wschodni, punkty werbunkowe wyrastały jak grzyby po deszczu, stając się kolejnym epizodem sekretnej wojny pomiędzy armią a Falangą. Franco, realizując swój plan stopniowego odsuwania „niebieskich koszul” od władzy, narzucił ostatecznie własne warunki rekrutacji i wojsko przejęło kontrolę nad całym kontyngentem. Walka jednak, choć coraz mniej zacięta, trwała na wszystkich frontach, a jej ostatnim rozdziałem była błyskawiczna zmiana warty na stanowisku dowódcy dywizji, gdzie miejsce generała Muñoza Grandesa⁷, należącego do grona tak zwanych starych koszul, zajął wierny pretorianin reżimu Esteban-Infantes. Arturo wyobrażał sobie wściekłość ludzi, którym marzyła się w Hiszpanii władza poetów i renesansowych kondotierów, a którzy stanęli wobec rządu cwaniaczków, prostaków i świętoszków. W istocie Błękitna Dywizja stanowiła namacalny dowód owej totalnej niezgody: podczas gdy dla jednych była jedynie praktycznym zastosowaniem wyrachowanego kuglarstwa politycznego, znakomitym sposobem na ułagodzenie groźnego niemieckiego przyjaciela, innym jawiła się jako ostatni wzniosły zryw, romantyczna przygoda estetów, którzy postanowili raz jeszcze stawić czoło marksistowskiemu materializmowi. Arturo, stworzywszy sobie pierwszą ogólną hipotezę, rozważał ją przez chwilę i doszedł do wniosku, że nie powinien jej odrzucać, chociaż nie wszystkie części układanki pasowały. To, że wezwał go dowódca Wydziału Czwartego, do którego kompetencji należało czuwanie nad porządkiem i dyscypliną, było najzupełniej zrozumiałe, podobnie jak fakt, iż w spotkaniu uczestniczył szef żandarmerii; zrozumiała była nawet obecność dowódcy wywiadu. Ale co tu robi niemiecki oficer łącznikowy? Stosunki z Niemcami nie układały się tak dobrze, jak przedstawiała oficjalna propaganda, a to z powodu nieustannych ingerencji w wewnętrzne sprawy dywizji. Własne brudy pierze się w domu. Trzask odkładanej słuchawki wyrwał go z owych rozmyślań. Podpułkownik Navajas del Río spojrzał tak, że Arturo

natychmiast poczuł się winny wszystkiemu, co złego zrobił, czego nie zrobił i co mógłby zrobić, ale co jeszcze nie przyszło mu na myśl. Wieczne pióro, którym podpułkownik robił notatki, przeturlało się kilka centymetrów, kapiąc atramentem na lśniącą powierzchnię stołu.

— Pospieszmy się — powiedział stanowczo. — Inne pilne sprawy czekają. Otworzył szufladę, wyjął z niej skórzaną teczkę i podał Arturowi.

— Zmarły to chorąży Luis del Águila, szósta kompania, drugi batalion, dwieście sześćdziesiąty drugi pułk. Tu macie wszystkie potrzebne informacje na temat jego osoby.

Arturo zajrzał do teczki i stwierdził, że oprócz kilku stron maszynopisu znajdują się tam również zdjęcia zrobione na Sławiance.

— Trzeba chwycić byka za rogi — dodał z naciskiem Navajas del Río. — Wymaga tego honor dywizji. Jego ekscelencja generał Esteban-Infantes życzy sobie być osobiście informowany o postępach w śledztwie. Ufa Bogu i naszym fachowym umiejętnościom, a my go nie zawiedziemy. Zaraz wydam wam szczegółowe instrukcje na piśmie. Dwójka i żandarmeria udzielą wam wszelkiego wsparcia. I proszę być ze mną w stałym kontakcie. Jakies pytania?

Arturo zawahał się krótko, ale doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia.

— Nie, ale chciałbym o coś prosić, panie pułkowniku.

— O co?

— Będę potrzebował pomocy.

— Jeszcze więcej? — zdziwił się kapitan Joaquín Isart.

I znów Arturo odniósł niemiłe wrażenie, że tłumaczy się z czynów, których nie popełnił; mimo to odczuwał irracjonalną potrzebę, by mieć przy sobie kogoś, komu będzie mógł zaufać.

— To praca w terenie. Jestem pewien, że zarówno Dwójka, jak i żandarmeria mają co robić.

Komentarz nie wywołał żadnej reakcji na twarzy kapitana Joaquina Isarta ani rozdrażnienia majora Zarauzy, który tylko chwycił się za brzuch.

— Kogo macie na myśli? — zainteresował się podpułkownik.

— Sierżanta Espinosę.

— Espinosa? To ten, który rozpoczął operację na rzece?

— Tak jest.

— Rozumiem. Dobrze, sami wiecie najlepiej. Podpiszę rozkaz i dla niego. Możecie mu oddać osobiście.

Podpułkownik wezwał kapitana, który pełnił funkcję jego osobistego sekretarza. Przekazał mu stosowne instrukcje i podyktował rozkazy, ten zaś błyskawicznie przepisał wszystko na maszynie i przedstawił zwierzchnikowi do podpisu. Navajas postawił na dokumentach zamaszty podpis i wręczył je Arturowi. Zdjął okulary. Bez nich jego spojrzenie było mniej chłodne.

— Proszę. To wszystko. A następnym razem musicie mi wyjaśnić tę sztuczkę — gestem podbródka wskazał Biblię.

Arturo uklonił się z uśmiechem; starannie złożył papiery, schował je do teczki i wstał. Potem nacisnął czapkę i głośno trzasnął obcasami. Twarze pozostałej trójki wyrażały kolejno: powściągliwość, asekuranctwo, obojętność. Zanim zrobił w tył zwrot, wymienił przelotne spojrzenie z kapitanem Kehrenem. Drzwi gabinetu otworzyły się natychmiast, jakby adiutant przez cały czas stał za nimi i podsłuchiwał.

Kiedy wyszedł z kwatery głównej, niebo nadal miało barwę chodnika. Poczul parzący chłód na powiekach, na łukach brwiowych, na czole, na kościach policzkowych, i ogarnął go nagły niepokój, jakby obce racjonalnemu światu nieprzewidywalne siły oplotły jego ciało niewidocznym powrozem. Wziął się w garść, mocno tupnął w śnieg, zarzucił mauzera na ramię i zacisnął palce na skórzanej aktówce. Pomyślał o niespodziance, jaką sprawił mu dowódca. Cieszył się, ale nie za bardzo, ponieważ wiedział, że każdy podarunek niesie ze sobą konieczność rewanżu. Stał tak, dopóki omal nie przejechała go ciężarówka z przyczepą pełną telepiących się pod plandeką żołnierzy. Śmiertelnie wystraszony, odskoczył w bok. Z chmury czarnych spalin, duszących, lecz przyjemnie ciepłych, wychynał raptem niczym duch kapral Aparicio i burknął:

— Podwieźć was?

Arturo, przywrócony pamięcią podpułkownika do rangi oficera, dostał nagłego ataku godności własnej. Już miał zakrzyknąć: „Baczność!”, ale zreflektował się w ostatniej chwili:

— Tak, panie kapralu. Bardzo dziękuję.

W tym momencie blade, wątle słońce przedarło się przez mroczne, marmurowe chmury. Kapral Aparicio i Arturo, zapatrzeni w niebo, zastygli z zadartymi głowami, niby nieświadoma karykatura monumentalnych, epickich postaci z sowieckich plakatów. Śnieg, dotychczas matowy, zaczął migotać, jakby ktoś rozsiał na nim diamentowy pył.

Peugeot, po kolejnym rajdzie wśród kuchni polowych, sań i kurierów na motocyklach, odwiózł go do kwatery w Miestielewie. Arturo pożegnał się z kapralem i poszedł poświadczyć w dowództwie intendenty swoje nowe kompetencje. Kiedy wszystko załatwił, spojrzął na zegarek: dochodziła czwarta. Dzień dotarł już do owej nieuchwytnej granicy, gdzie światło zaczyna ulegać ledwo widocznej przemianie, dostrzegalnej jedynie oczyma duszy, a wieszczącej jego postępującą degradację. W Rosji dni były krótkie, dlatego Arturo, żeby nie tracić czasu, postanowił przystąpić niezwłocznie do realizacji planu, który obmyślił w czasie jazdy. Przyspieszył kroku i ruszył w stronę rzeźni. Przystanął przed wejściem, naprzeciw uwięzowanego wilczura, który jakby wyczuwając jego powrót, czekał, zaparłszy łapy w kopnym śniegu; pod uniesioną górną wargą pojawiły się wrogie, ostre błyski. Arturo przykucnął i zaczął mu wymyślać. Pies jął kręcić się w kółko i ujadać, jakby obsiadł go rój rozwścieczonych os. Wreszcie rzucił się naprzód, by skoczyć wrogowi do gardła, a łańcuch rozwijał się za nim z przeraźliwym metalicznym hurgotem. Arturo stał twardo, ściskając teczkę, ale groźba ziejąca z rozwartej gardzieli, tym bardziej realna, im mniejszy był dystans, sprawiła, że na jego twarzy pojawiły się pierwsze symptomy strachu. Jak przewidywał, łańcuch w ostatniej chwili szarpnął zwierzęciem, które przeokołkowało w powietrzu i spadło na ziemię, dokładnie na krzywej wyznaczającej różnicę pomiędzy żywymi i martwymi. Starł z twarzy psia ślinę i przeszły go ciarki, bo zorientował się, że jego obliczenia były chyba aż nazbyt precyzyjne. Wilczur wycofał się pod ścianę baraku i chwilowo uspokojony zdawał się przetrwać niezrozumiałą klęskę. Arturo znów zaczął go drażnić. Sytuacja się powtórzyła, ale tym razem czuł, jak strach rozpuszcza mu się w ustach niby miętowa pastylka. Ogarnęła go jakaś perwersyjna przyjemność. Raz i drugi pies zareagował na prowokację z podobnie bolesnym skutkiem. Arturo wiedział, że to zwierzę go nienawidzi, wiedział także, iż dla każdej żywej istoty najgorszą karą, a zarazem najlepszym sposobem, by zniszczyć jej morale, jest odebranie wszelkiego sensu i celu jej działaniom. Kiedy zdecydował, że jak na jeden dzień wystarczy, wyczerpany, udręczony pies słał się na nogach i nawet nie miał siły szczekać. Dopiero wówczas Arturo odwrócił się i odszedł.

Zgodnie z następnym punktem planu ruszył na poszukiwania Espinosy. Odnalazł go w magazynach intendenty, przy saniach. Pod barakiem

ozdobionym spektakularnym grzebieniem zwisających z okapu sopli sierżant nadzorował rozładunek i załadunek prowiantu. Jego postać, odziana w gruby kożuch, futrzaną papachę i walonki, co dowodziło, iż zdążył już zrozumieć korzyści płynące z przyjęcia rosyjskich zwyczajów, prawie niczym się nie różniła od sylwetek jeńców w waciakach i baranich czapach, którzy dźwigali sery wielkie jak słońca. Widząc zbliżającego się żołnierza, spojrzął nań takim wzrokiem, jakby podwładny przyłapał go na zakazanych myślach. Arturo poczuł się trochę nieswojo, bo po raz pierwszy widział swego dowódcę z opuszczoną gardą, markotnego, bez maski ironii na smutnej twarzy. Espinosa spostrzegł to i nadrabiając miną, wydał krótką, suchą komendę. Arturo energicznie podniósł dłoń do hełmu, zasalutował, wręczył sierżantowi oba rozkazy z podpisem Navajasa del Río, po czym, wymachując teczką jak chorągwią, przystąpił do szczegółowych wyjaśnień. Aby uniknąć późniejszych nieporozumień i zbędnych pytań, przedstawił skróconą wersję swojej grzesznej przeszłości: opowiedział o śmierci rodziców i wyjeździe do Madrytu w czasie wojny, gdzie rozpoczął karierę pod skrzydłami nowej władzy, by wkrótce awansować do rangi porucznika tajnych służb; o pomyślnym zakończeniu śledztwa w sprawie *Sztuki zabijania smoków*, o namiętności do dziwki imieniem Anna, o kłótni z Romanem — kapitanem, z którym go zdradziła, i o krwawej łaźni, jaką im sprawił; o pobycie w więzieniu i o tym, jak się zaciągnął do Błękitnej Dywizji. Resztę wolał zachować dla siebie. Nie powiedział, że aż do tamtej chwili wierzył w uczciwość i honor — owe rycerskie cnoty, w których mężczyzna ćwiczy się przez całe życie — lecz wystarczyła jedna sekunda, by instykt samozachowawczy wszystko to przekreślił i cofnął go do poziomu zwierzęcia. Espinosa słuchał z kamienną twarzą, zwłaszcza gdy w opowieści pojawiały się przerwy i niedomówienia. Potem schował swój rozkaz i dziwnie wzruszył ramionami; prawym, jakby chciał powiedzieć: co ja ci na to poradzę; lewym zaś, jakby mówił: a czymże jest życie bez namiętności... i mróz dzisiaj zelżał, i wrzód mi nie dokucza, i jeszcze żyjemy.

— Więc ktoś nie dochował piątego przykazania? — podsumował.

— Najwyraźniej.

— I to nie byli ruscy.

— Nie, panie sierżancie.

Espinosa kiwnął głową, odwrócił się plecami do wiatru, który smagał bezlitośnie, i bez pośpiechu sięgnął po filipińskie papierosy, dar niebios

pochodzący z rezerw regularnie uzupełnianych przez dostawy z Hiszpanii, dzięki czemu nie musieli się zaciągać cuchnącą niemiecką machorką. Zapalił, osłaniając rozjarzony koniec zwiniętymi w trąbkę dłońmi, i wdychał dym z niezdrową, zaraźliwą rozkoszą, szczelnie otulony w wonny obłok. Arturo przyjrzał się uważniej jego wiecznie wykrzywionej zgryźliwym grymasem twarzy, której haczykowaty nos nadawał orli wygląd. Mógł mu tylko pozazdrościć tego krogulczego, gniewnego profilu. Namiętność sierżanta do tytoniu była tak wielka, że patrząc na niego, każdy chciałby zostać palaczem.

— Poczęstujcie się — powiedział, podając mu paczkę.

— Dziękuję, panie sierżancie. Nie palę.

— To może cukierka? — Espinosa włożył rękę do kieszeni płaszcza. — Podobno dojczce dodają do nich witaminy.

— Ja słyszałem, że dodają brom.

Sierżant uśmiechnął się, ale uśmiech ów bardziej przypominał niegojącą się nigdy ranę.

— W tym zimnie i tak nikomu nie stanie, nawet na widok Lili Marlen na czworakach. To jak? Chcecie czy nie?

— Tak, panie sierżancie. Poproszę.

Arturo rozwinął sreberko. Ssał cukierka z przyjemnością. Stali ramię w ramię, sumiennie kultywując narodowy sport: obserwowanie, jak trzują się inni. Arturo doszedł do wniosku, że jeńcy pracowali z właściwą Rosjanom obojętnością i rezygnacją, zgięci pod brzemieniem tradycji przodków, którzy przeżyli już wszystko, a może nawet więcej.

— Mój pradziadek i mój dziadek umarli przez to — rzucił Espinosa mimochodem, podnosząc do ust tłącego się papierosa, i wypuścił nosem dwie smużki dymu. — Mój ojciec też palił, ale postanowił zerwać z nałogiem. I w końcu podjął męską decyzję.

— Rzucił palenie.

— A skąd! Rzucił myślenie o rzucaniu. Nawet udało mu się wpaść w kolejny nałóg: zaczął pić. Tak, tak, jednego mu było mało, to sobie dołożył drugi. Biedaczysko... A potem, wiadomo, człowiek nie wytrzymuje. Od jednego można wyzionąć ducha, co dopiero od dwóch. Została z niego sama skóra i kości. Robaki się nie najadły.

— Dawno zmarł?

— Grób już omszał.

— Więc to kawał czasu.

Espinosa zabarykadował się za gorzkim uśmiechem i krzyknął: „Dawaj, dawaj!”, poganiając Rosjan do pracy. Arturo ssał resztki cukierka, błędząc wzrokiem po niebie barwy zaśniedziałego srebra. Sierżant przyglądał mu się z boku.

— Marnie to widzę. Nie zazdroszczę wam, p o r u c z n i k u — powiedział z naciskiem, odnosząc się do misji zleconej im przez sztab.

— Nic dodać, nic ująć.

— A można wiedzieć, po jaką cholere wpakowaliście w to mnie?

I raptem puściły mu nerwy, bo papieros zgasł. Klnąc, na czym świat stoi, sierżant próbował ponownie zapalić. Arturo obserwował jego wysiłki, zastanawiając się w duchu nad owym nagłym impulsem, za sprawą którego poprosił podpułkownika, żeby mu przydzielił Espinosę do pomocy: skoro już miał coś zrobić, powinien to zrobić dobrze — systematycznie, skrupulatnie, dokładnie; sam pozbawiony był tych cech, ale ktoś taki jak sierżant, który potrafił się obchodzić z chemikaliami i medykamentami, na pewno rozwinął je w wysokim stopniu. Arturo, stosując metodę indukcji, mógł dostrzec pod kamieniem karzełka, najpierw jednak musiał ów kamień znaleźć i tu otwierało się pole do popisu dla Espinosy i jego umiejętności dedukcji. Niemniej zdawał sobie sprawę, że istniał jeszcze jeden powód, głęboko utajony: Arturowi sierżant kojarzył się z solidnością i bezpieczeństwem, a więc z tym, co tworzy ową ukrytą więź łączącą zwykle sieroty z osobami, w których odnajdują cechy ojca. Streścił to jednym zdaniem:

— Bo panu ufam, panie sierżancie.

Espinosa spojrział na niego surowo. Nie widać było, by ów wyraz uznania szczególnie mu pochlebiał.

— Dlaczego wtedy, na Sławiance, nie zgarnął pan całej chwały dla siebie?

— Powiedzieć wam prawdę?

— Tak.

— Bo nie było się czym chwalić.

Zaciągnął się głęboko parę razy i żarzącym się petem przypalił następnego papierosa.

— Szybko się ściemnia — powiedział.

— Tak jest, panie sierżancie.

— A więc jesteście z Estremadury, wojaku?

— Z Badajoz, panie sierżancie.

— Ja pochodzę z Walencji. Świeci nam to samo słońce.

— To samo.

— I co o tym myślicie?

— O czym?

— O tym wszystkim.

— Że to sprawka jakiegoś wariata.

— Tych tu nie brakuje, chociaż najłatwiej powiedzieć: jestem wariatem i niech się ode mnie odpieprzą.

Arturo nie potrafił jednoznacznie zinterpretować owych słów, więc włożył teczkę pod pachę i przez chwilę zabijał ręce dla rozgrzewki.

— Jak przestudiuję raporty, powiem panu coś więcej.

Jeszcze przez jakiś czas przypatrywali się jeńcom. Wokół Rosjan zebrała się grupka rozleniwionych żołnierzy, którzy wierni rdzennie iberyjskiej, ojczyściej tradycji dyskutowali na temat stu różnych sposobów trzymania miotły, przy czym żadnemu nawet nie zaświtało w głowie, by wziąć się do sprzątnięcia. I dalibóg, nikt by się nie domyślił, jak zaciekle walczą o każdą piędź ziemi. Scenka ta najwidoczniej podsunęła Espinosie pewien pomysł.

— Wiem, jak złapać tego skurwiela i nie kiwnąć przy tym palcem.

— Zamieniam się w słuch, panie sierżancie.

— Musimy tylko wrócić na rzekę i czekać.

— Pogubiłem się...

— Przecież mówią, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

— Nie ma tak łatwo, panie sierżancie — uśmiechnął się Arturo.

— W takim razie módlmy się, bo bardzo nam tego potrzeba.

— Tak, i powinniśmy dziękować Bogu, bo możemy ograniczyć liczbę podejrzanych. Już nie musimy przesłuchiwać wszystkich Rosjan.

— Pewnie, trzeba tylko przesłuchać całą dywizję — odparł Espinosa kwaśno. — Chociaż... jeśli będziemy mieli szczęście, dostaniemy za to Krzyż Zasługi.

— Byle nie drewniany.

Sierżant uśmiechnął się szeroko, co było rzadkim widokiem, a wyglądało trochę tak, jakby kaleka zaczął tańczyć.

Tymczasem zapadła noc.

Tytaniczne chmury. Piętrzące się jedne na drugich.

Tam, wysoko.

Aż wreszcie w ich głębi coś zamigotało.

3

Duchy i ciała

Sen odpływał stopniowo, niby rozlewająca się powoli ciecz. To, co nieokreślone i mgliste, stawało się coraz wyraźniejsze, konkretne. Arturo ziewnął i kilka razy przetarł oczy. Po raz pierwszy, odkąd znalazł się w Rosji, ostre, natrętne echo wojskowej trąbki, które mogło wyprowadzić z równowagi nawet Hioba, nie zmusiło go do żadnej reakcji. Poleżał jeszcze trochę, rozkoszując się lenistwem aż do chwili, gdy noc zaczęła zwijać swoje czarne chusty. Wyposażona w osobną linię telefoniczną klitka, którą dowództwo przydzieliło mu w siedzibie sztabu i w której miał odtąd wieść życie niejako na uboczu swoich dotychczasowych obowiązków, okazała się nadspodziewanie przytulna. Nie była większa od bocianiego gniazda zawieszzonego na czubku masztu, musiał też rywalizować o przestrzeń z pryczą, taboret, komódką, umywalką i stolikiem, ale, jak na jego spartańskie potrzeby, miejsca miał aż nadto, chociaż tęsknił za wspólną izbą w żołnierskim baraku, za nocnym chrapaniem, poświstywaniem, kaszlem... Pokoik bowiem zdawał mu się niepokojąco osobisty: w ciszy najgorsze jest to, że pozwala słyszeć głosy odzywające się w naszym własnym wnętrzu. Na stoliku, obok czarnego bakelitowego telefonu, leżała pomarańcza, ta sama, której postanowił nie napocząć wtedy na Sławiance; przez chwilę zgłębiał jej piękno, zabarwione odległym słońcem, pęczniejące sokami pod delikatną skórka. Być może powstrzymał się i nie zjadł jej dlatego, że rozgrzewało go patrzenie na ten gorący kolor. Wreszcie wstał i nucąc pod nosem, podszedł do przycupniętego w kącie piecyka, żeby nastawić ekspres do kawy. Nawet się nie przebrał, bo w Rosji, bez względu na to, co się miało na sobie, i tak wyglądało się jak w łachmanach. Rozgarnął węgiel, odslaniając żar. „Dziabnij no pogrzebaczem” — mawiano w jego rodzinnym Badajoz w czasie ciężkich zim, łatwiejszych do przetrwania dzięki piecom, w których

ogień, troskliwie podtrzymywany, płonął przez cały dzień. Głęboka, lepka, nieznośna melancholia podsuwała oczom album pamięci, przenosząc Artura prosto do skwarnej Estremadury, dalekiej, oczyszczonej w rytuale wspomnień. Tej nocy bowiem śniło mu się niezmierzone słoneczne popołudnie z lat chłopięcych. Szedł nad rzekę, żeby się wykapać. Zapach bijący od nadbrzeżnego zagajnika, wąskie ścieżki wijące się wśród drzew. Przez cały ranek opalał się i bawił, a teraz stał zanurzony do pasa w wodzie jednocześnie gorącej i zimnej. Pływał. Nurkował. Śmiał się. Potem wyciągnął się na trawie, żeby się osuszyć w słońcu. Leżał, nic nie robił, był szczęśliwy. Bo tym właśnie było szczęście: nie robić nic, być. W oddali zagrały organy Stalina. Wrócił do Rosji. Odchrząknął i zerknął za okno, na poranny ruch. Musiała dochodzić siódma, sam środek jednego z owych długich rosyjskich świtów, które zdawały się rozciągać w wieczność. Popatrzył na Miestielewo. Zajmujący poczesne miejsce w widocznym za szybą pejzażu niebotyczny komin elektrowni, oszczędzanej zarówno przez Niemców, jak i przez Rosjan, ponieważ zaopatrywała w prąd jednych i drugich, pracował już pełną parą. Podobnie wszystkie służby dywizji: plutony maszerowały, pododdziały przeciwpancerne przetaczały działa, rosyjscy jeńcy w burych szynelach i waciakach szli do pracy w miejsca wyznaczone przez Todt, pług śnieżny podnosił na swej drodze białe fale... Arturo odsunął się od okna i zapalił kopcącą lampkę oliwną; światło wątłego, przygasającego płomyka wydobyło z przestrzeni delikatne odcienie i kontury. Popatrzył na pryczę; na kocu leżały dwie książki. Uśmiechnął się. Tej nocy spał ze stopami na Lermontowie, a głową na Agustynie de Foxá⁸. Tomy, oprawne w tłoczoną skórę, pochodziły z biblioteki dywizji. Uśmiechnął się znowu. Dzieła owe zgłębiały długą listę problemów egzystencjalnych, nieświadome, że tam, gdzie się znalazły, powinny zmierzyć się z kwestią najistotniejszą: jak przeżyć. Poczul głód. Zdjął z komody drewnianą skrzynkę ze złamaną ołowianą pieczęcią i usiadł na łóżku. Zaczął łapczywie przeszukiwać resztki świątecznej paczki; którą dostał na Boże Narodzenie: kawałek nugatu z Jijony, toledański marcepan, marmolada z pigwy, rodzyнки, migdały... Ilekroć przeglądał zawartość skrzynki, miał uczucie, że żeruje na kraju wyczerpanym przez niedostatek i kartki na żywność. Tragikomicznym kontrapunktem był kawałek gazety, którą wyłożono dno; w miarę jak ubywało łakoci, odsłaniał się tekst ogłoszenia zamieszczonego na pierwszej

stronie dziennika „ABC”:

CHCESZ SCHUDNAĆ?
ZAŻYWAJ SABELÍN
KOMPOZYCJA ZIÓŁ LECZNICZYCH
Likwiduje otyłość, pozwalając zachować jędrne ciało i skórę
bez zmarszczek
NIE SZKODZI ZDROWIU

W Kraju Głodomorów, gdzie ludzie co noc śnili o homarach thermidor i madryckim *cocido*⁹, brzmiało to jak makabryczny żart. Jadł w skupieniu, nie myśląc o niczym. Kiedy skończył, potarł dłonią podbródek. Pod dotykiem poczuł szorstki zarost. Na małej umywalce z miednicą rozłożył przyrządy do golenia: czyż istnieje czynność wymagająca więcej zimnej krwi i rozwagi niż wodzenie brzytwą po skórze? Mimo że starał się jak najdelikatniej zgarniać ostrzem mydło, zaciął się płytko, a w miejscu skaleczenia pojawiła się perełka krwi. Zdezynfekował ranę i zakrył skrawkiem papieru. Dokończył toaletę, przyczesując włosy grzebieniem umaczanym w mieszaninie wody i brylantyny. Zagotował kawę. Smakując jej aromat, usiadł znowu na łóżku i przysunął bliżej teczkę. Z uwagą przestudiował dokumenty, przygotowane przez Joaquina Isarta sumiennie, ale z dużą ilością błędów ortograficznych, które wytropił swoim wprawnym okiem. Podsumowując, Luis del Águila, bo tak się nazywał denat, był chorążym w 262 pułku, stacjonującym w Krasnym Borze. Miał dwadzieścia dwa lata, pochodził z Balearów, w czasie wojny domowej służył w Drugiej Chorągwi Falangi¹⁰, wojując od Estremadury po Toledo, a potem zgłosił się do punktu werbunkowego w Walencji i wstąpił do Błękitnej Dywizji. Przyjechał do Rosji razem z majową zmianą i dotąd, pominąwszy areszt za pijaństwo, zachowywał się bez zarzutu. W Miestielewie kurował się z rany odniesionej w ramię, oczekując na powrót do kompanii. Na rodzinnej Ibizie zostawił rodziców i siostrę. Zeznań świadków zbrodni nie było, ponieważ na środku rzeki raczej trudno kogoś spotkać. O hipotetycznych odciskach palców należało zapomnieć, bo w Rosji nawet sikało się w rękawiczkach. A wyczerpujące przeczesywanie pobliskiego terenu w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mieć związek z nieboszczykiem, nie przyniosło rezultatu, gdyż wszystkie ślady zostały zatarte przez żołnierzy wysłanych tam w celu odzyskania koni. Na temat incydentu w stajniach

Arturo odnalazł tylko krótką wzmiankę o otwartej furtce, przez którą zwierzęta uciekły. Żadnych szczegółów. Reszta raportu zawierała rutynowy opis położenia ciała oraz wykaz jego cech charakterystycznych, zwięzłe świadectwo Espinosy i samego Artura, godzinę znalezienia zwłok, a także wnioski własne.

Utrwalił sobie wszystkie szczegóły, zwłaszcza godzinę — kwadrans po jedenastej — a następnie uzupełnił obraz tym, co sam zapamiętał. Pierwszy wniosek, jaki mu się nasunął, to że Joaquín Isart nie umie pisać. Drugi, że zmarły był zwykłym człowiekiem uwikłanym w niezwykle okoliczności. Półtora metra ziemi, brzozy krzyż, a na nim żelazny hełm. Koniec historii. Przypuszczał, iż pogrążeni w bólu rodzice otrzymają wiadomość o bohaterskiej śmierci syna na polu bitwy. Gdyby w Hiszpanii się dowiedzieli, że w dywizji grasuje morderca, podniósłby się krzyk, a tam nie byli w nastroju do żartów. Obejrzał zdjęcia. Podłużna twarz, ciemne oczy pod uniesionymi brwiami i pewna łagodność w całej fizjonomii. Normalny facet. Jedyne, co przykuwało uwagę, to swoisty artyzm, jakim tchnęły fotografie. Zestawione w oryginalne sekwencje nadawały obrazom własny rytm. Koncentrując się na poszczególnych częściach ciała, rozpracowywały je, przeobrażały niemal. Przeszedł do raportu z sekcji zwłok. Przeczytał go aż trzy razy, bardzo uważnie. Potem odłożył papiery i wyciągnął się na łóżku, by dokładnie przemyśleć i zanalizować wszystko, czego się dowiedział. Jak, gdzie, kiedy, dlaczego, a najważniejsze: kto? „Jak” było oczywiste — cięcie od ucha do ucha, wykonane czysto, sprawnie, z premedytacją. „Gdzie” — pozornie na rzece, ale, zgodnie z wynikami autopsji, na ciele nie znaleziono ani jednej kropli krwi, a z tego, co pamiętał, ślady na mundurze były dość skąpe, tak więc zbrodni dokonano prawdopodobnie gdzie indziej, chociaż — co zresztą o niczym nie przesądzało — późniejsze przeszukanie w kwaterach i tak nie dawało żadnej pewności. „Kiedy” — zapewne o ósmej wieczorem dwudziestego siódmego stycznia, ponieważ w opinii lekarza Luis del Águila nie żył już od około piętnastu godzin. Co do „dlaczego” — cóż, poza pieniędzmi (w kieszeniach ofiary znaleziono część żołdu) mogło to być cokolwiek: nienawiść, zazdrość, zemsta... I na koniec gwóźdź programu: „kto”. Wnioskując z pozostawionego na ciele nieboszczyka przesłania, na pewno nie Rosjanie. Tak więc przy trochę naciąganym założeniu, że sprawca był tylko jeden, mordercy — osobnika o widocznych inklinacjach religijnych — należało szukać wśród osiemnastu tysięcy żołnierzy dywizji,

rozproszonych na linii frontu długości dwudziestu dziewięciu kilometrów. Arturo głośno zakasłał i gwałtownie nabrał powietrza w płuca. Zgarnął wszystkie raporty, po czym zaczął je studiować raz jeszcze, ale niczego nowego nie wyczytał.

Nadal wszystko było względne, poza nieboszczykiem. Zaczął ustalać kierunki śledztwa. Po pierwsze, zlecić Espinosie, żeby odebrał rzeczy osobiste zmarłego, które według raportu zdeponowano w siedzibie żandarmerii; trzeba w tej sprawie zadzwonić do kapitana Joaquina Isarta. Po drugie, sprawdzić dane wszystkich rekrutów, żeby zdobyć informacje o tych żołnierzach, którzy mają przeszłość kryminalną, a do tego konieczna jest pomoc Dwójki, czyli majora Reyesa Zarauzy. Po trzecie, złożyć wizytę lekarzowi, żeby zweryfikować protokół z sekcji zwłok. Po czwarte, poznać rozkład dnia i nawyki denata, żeby zawęzić krąg podejrzanych; w tym celu, mając na uwadze, iż sprawcy przeważnie wywodzą się z najbliższego otoczenia ofiary, należy przesłuchać wszystkich jego przyjaciół i znajomych oraz zbadać ich powiązania i kontakty. Arturo zastanawiał się przez chwilę nad kolejnym krokiem, ale postanowił nie działać po omacku, stwierdził bowiem, iż ośnieżone, zamrożone konie nadają sprawie surrealistyczny posmak, więc prędzej czy później i tak będzie musiał zdać się na intuicję i przemyśleć wszystko pod innym kątem. Chwilowo czekała go jedynie benedyktyńska praca i kwarantanna domysłów. W tej fazie dobrze by było zainteresować się stajennymi i tą przypadkowo otwartą furtką, wiedział bowiem z doświadczenia, że kiedy w grę wchodzi śmierć, przypadki nie istnieją. No i pamiętając o tych osobliwych zdjęciach, nie wolno zapomnieć o fotografii, który swoim doświadczonym okiem mógł zobaczyć coś, co jemu umknęło. Podsumowując; nadeszła pora, by opuścić miejsce na widowni.

Arturo zaczął telefonować. Skontaktował się z Dwójką i z żandarmerią. W Wydziale Informacji dodzwonił się bezpośrednio do majora Reyesa Zarauzy, który wbrew przypuszczeniom nie robił żadnych trudności; kapitana Joaquina Isarta Arturo nie zastał i musiał przekazać swoją prośbę jednemu z jego zastępców. Kiedy upewnił się, że wszystko zostało załatwione jak trzeba, schował dokumenty, odłożywszy na bok jedno ze zdjęć. Zapiął palto, posmarował twarz kremem Nivea, by uniknąć odmrożeń, po raz ostatni ogrzał oczy widokiem pomarańczy i wsunął do kabury zdobyczną tetetkę, zachowaną kiedyś na pamiątkę i o wiele poręczniejszą niż mauzer. Potem wyszedł prosto we wszechogarniający ogrom Rosji.

Kredowy pejzaż oślepił go na moment. Arturo odetchnął przez nos, żeby lodowate powietrze nie wdarło się od razu do płuc. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, kontemplował przez jakiś czas cebulaste kopuły molewskiego monasteru widoczne ponad linią rzeki i ciemnymi akordami drzew wyłaniających się miejscami spod śniegu. Miał świadomość, że nie był tak szczęśliwy od czasów niemal legendarnych; jego wrodzony upór, przez który tyle wycierpiał, a który trzymany był chwilowo w ryzach przez wojskowe rygory, znalazł teraz nowe ujście, pozwalając mu poświęcić się pracy z ofiarnością męczennika. Zgodnie z ułożonym wcześniej planem Arturo wezwał do siebie Espinosę, któremu przedstawił wszystkie fakty, kładąc nacisk na kluczowe aspekty sprawy. Szczególnie zależało mu na wybadaniu reakcji, jakie owa śmierć wywołała w kompanii Luisa del Águila. Później mieli zająć się zbieraniem zeznań. Raz jeszcze powtórzyli instrukcje, po czym się pożegnali. Arturo ruszył w stronę szpitala polowego, gdzie znajdowały się zwłoki denata. Szedł, kopiąc w śnieg czubkami butów. Po drodze przypomniał sobie z zadowoleniem, że autopsję zlecono kapitanowi Alfredowi Lariosowi, chirurgowi z madryckiego Instytutu Medycyny Sądowej, mieli zatem szczęście. *Feldlazarett Blau*, jak mawiali Niemcy, mieścił się w sporym dwupiętrowym domu z drewnianym gankiem i tuzinem kominów sterczących nad czterospadowym dachem. Przy wejściu powitał go złowieszczy, wrogi zapach środków dezynfekujących. W środku było aż za gorąco. Zapytał jednego z sanitariuszy, gdzie znajdzie kapitana, ten zaś poprowadził go wielkim jak kościelna nawa holem do sali pełnej łóżek i noszy. Wskazał stojącą w odległym kącie pryczę i pochyloną nad nią postać w białym fartuchu. Arturo podziękował za pomoc, po czym ruszył, lawirując wśród chorych, rannych i kalek. Salwy kaszlu, westchnienia, jęki... W tej ponurej umieralni stężenie bólu było tak wielkie, że aż rodziło obojętność. Wreszcie stanął tuż za plecami kapitana. Zdjął hełm i czekał; nie chciał przeszkadzać. Upłynęło kilka chwil, zanim lekarz zauważył jego obecność. Odezwał się, nie podnosząc wzroku, jakby przez cały czas wiedział, że Arturo tam jest.

— Słucham?

— Melduje się szeregowy Arturo Andrade, panie kapitanie. Przyszedłem obejrzeć ciało chorążego Luisa del Águila.

— Uprzedzono mnie. Poczekajcie chwilkę.

Robił zastrzyk. Kiedy skończył, położył dłoń na czole rannego. Potem

odwrócił się do Artura, który wreszcie mógł mu się lepiej przyjrzeć. Medyk miał poważną twarz, wzrost średni, duże oczy i gęste, szorstkie włosy, przyprószone — mimo jego względnie młodego wieku — siwizną. Zdawał się należeć do ludzi, którzy nie zrobią kroku, jeśli przedtem dokładnie go nie przemyślą, pozbawionych spontaniczności. Dlatego gdy zaczął wymachiwać ręką koło ucha, jakby oganiał się od much, Arturo z trudem ukrył zdziwienie. Skonsternowany, nie mając pojęcia, o co chodzi, czekał spokojnie, lekarz zaś, zaprzestawszy na chwilę owej dziwacznej pantomimy, popatrzył nań pytająco, po czym znów zaczął się gwałtownie wachlować.

— Macie mydło na uchu — powiedział w końcu.

Arturo zaczerwienił się jak uczeń i kilka razy skubnął się palcami, żeby zetrzeć resztki piany. Kapitan, uznawszy najwidoczniej, że spełnił tą interwencją wymogi kurtuazji, powrócił do bezosobowego, abstrakcyjnego tonu.

— Chodźcie ze mną, mamy niewiele czasu i dużo pracy.

Bez dalszych wstępów poprowadził go przez szpitalną salę i przyległym do niej korytarzem. Zatrzymał się przed drzwiami wahadłowymi, trzecimi po lewej, i otuliwszy się szczelnie fartuchem, pchnął je ramieniem, nie wyjmując rąk z kieszeni. Arturo wszedł za nim i natychmiast zrozumiał powód owego dziwnego z pozoru zachowania: temperatura powietrza gwałtownie spadła. Para, która nagle buchnęła im z ust, wyznaczała granicę z krainą Tanatosa. Właściwie nie była to kostnica, lecz pokój, w którym po prostu nie palono w piecu.

— Tutaj.

Lakoniczną wypowiedź Lariosa poprzedziło głośnie pstryknięcie. Światło lampy bezcieniowej zalało cały pokój i wydobyło z mroku podbródek lekarza, wskazujący ustawione pośrodku nosze. Nakryty prześcieradłem, które nadawało mu widmowy wygląd, spoczywał na nich trup Luisa del Águila. Na Arturze nie zrobiła wrażenia ani posępna izba, ani jej mieszkanie; doświadczył jedynie czegoś w rodzaju smutku — mieszaniny melancholii i poczucia nieuchronności losu — jaki ogarnął go na widok wystających spod białego płótna stóp, a zwłaszcza etykiety przywiązanej do wielkiego palca u lewej nogi. Medyk, pompując wodę pedałem, umył ręce nad umywalką i pochylił się nad blaszaną tacą, na której leżały skalpele, gaza, nożyce... Włożywszy rękawiczki, wybrał jeden ze lśniących lancetów. Podszedł do noszy, stanął przy ich dłuższym boku, dokładnie w połowie

między stopami i głową nieboszczyka, po czym ostrożnie uniósł brzeg prześcieradła, odkrywając, na razie tylko częściowo, swoje żałobne stanowisko archeologiczne. Po krótkim wahaniu odsłonił całe ciało, sondując z ledwo dostrzegalnym, podprogowym zainteresowaniem reakcję Artura. Ten stał jak mebel, nie zdradzając żadnych uczuć. Na ciele widniał długi szew w kształcie litery „Y”. Zapadła krępująca cisza; bywa, że rozmowa z początku się nie klei, zwłaszcza gdy dotyczy morderstwa.

— Co można o nim powiedzieć, panie kapitanie? — odważył się Arturo.

— Czytaliście raport?

— Kilka razy, ale chciałem usłyszeć to z pańskich ust. Czasami coś komuś umknie.

— Co chcecie wiedzieć?

— Proszę streścić wszystko, co nie budzi wątpliwości.

— A więc, zasadniczo, śmierć nastąpiła na skutek rany kłuto-ciętej...

Larios zamilkł, wpatrując się w skalpel. Arturo wyczuł, że chirurg często zwykł zawieszać głos.

— Czyli — podjął lekarz jakby w nagłym przyptywie energii — denat zmarł z powodu głębokiego, podłużnego nacięcia, wykonanego od prawej do lewej ostrym narzędziem, przypuszczalnie cienkim nożem. — Arturo zrozumiał, że Larios stara się mówić przystępnie. — W miejscu, w którym przyłożono czubek ostrza, cięcie było tak głębokie, że drasnęło kręgi szyjne. Nie sądzę, by zdążył krzyknąć, bo przecięto mu struny głosowe i tchawicę. A także obie tętnice szyjne i żyły. Stracił tyle krwi, że umarł natychmiast.

— To znaczy, że cudem nie ucięto mu głowy?

— Tak, pchnięcie było wyjątkowo głębokie. Uszkodziło mięśnie, naczynia... Nawet kręgi.

— To robota zawodowca?

— Zależy, co przez to rozumiecie. Zabito go fachowo, jednym płynnym ruchem. Nie ma skaleczeń na przedramionach, a to znaczy, że się nie bronił...

— Może pan bliżej wyjaśnić? — przerwał mu Arturo.

Larios przeciągnął skalpelem wzdłuż ramienia nieboszczyka.

— Widzicie? Żadnych zadrapań. Jeżeli ktoś was atakuje nożem, naturalny jest odruch obronny. Zasłaniacie się rękami.

— Dziękuję, panie kapitanie. Proszę kontynuować.

— Wszystko zatem wskazuje na to, że albo pozwolił się zarznąć, albo

morderca działał przez zaskoczenie.

— A pan jak uważa?

— Raczej to drugie. Denat był szczupły, ale bardzo silny, chyba nie poddałby się bez walki, a sądząc z kierunku cięcia, sprawca najprawdopodobniej zaatakował od tyłu.

— Jakiś degenerat?

— Niekoniecznie... Gdzie indziej pewnie tak, ale tutaj mógł to być ktokolwiek.

— Możliwe. Jest coś jeszcze, panie kapitanie?

Larios machnął skalpelem w górę i w dół.

— W zawartości żołądka nie znalazłem niczego niezwykłego. Resztki codziennego posiłku i normalny w tej sytuacji alkohol. Co prawda wątroba jest z lekka nadwerężona, ale jeszcze samowyleczalna.

— Samowyleczalna?

— Tak, istnieją dwa typy chorób: te, które się leczą same lub za pomocą antybiotyków, oraz te, których nawet Pan Bóg nie wyleczy.

— Rozumiem... Za młody na alkoholika, co?

— Gdybym wam opowiedział... — Pobłażliwy uśmiech pokrył jego twarz siateczką niezliczonych drobnych zmarszczek.

— Wyobrażam sobie. — Arturo machinalnie dopasował informacje o dypsomanii z tym, co usłyszał od Espinosy, i zanotował w pamięci. — A poza tym zauważył pan coś, co mogłoby nam pomóc? Siniaki? Otarcia? Jakieś inne ślady?

— Nic oprócz skaleczenia na ramieniu, spowodowanego upadkiem — zeszywniał lekko, a w jego głosie pojawił się spekulatywny ton. — Chociaż... To też jest pewna wskazówka.

— Co?

— To, że nic nie ma.

— I w czym to ma mi pomóc?

— Nie miał żadnych otarć. Nigdzie.

— Co z tego?

— Wiemy, jak go przenieśli.

Arturo zwietrzył trop.

— Czyli nie wlekli go po ziemi.

— Celny strzał.

— Tego w raporcie nie było, panie kapitanie — wycedził z ledwo

słyszalną nutką wyrzutu w głosie.

Larios nic nie odpowiedział, ale w dużych czarnych oczach pojawiła się surowa przygana, świadcząca o tym, jak zwodniczy był jego kunsztowny, moralizatorski stoicyzm. Arturo zrobił minę zbitego psa, znacznie wymowniejszą niż regulaminowe trzaśnięcie obcasami. Zyskał przy tym czas, w którym jego logiczny umysł powiązał sprawę koni z Luisem del Águila: do transportu ciała użyto być może zwierzęcia, a to by z kolei wskazywało, że sprawca działał sam. Była to przesłanka niezwykle istotna, choć nie decydująca. Morderca mógłby się na przykład obejść bez pomocy współników, gdyby był siłaczem lub miał niewielką odległość do przebycia. A i tak to jedna ze stu możliwości. „Zależy, wszystko zależy” — pomyślał Arturo. Zanotował w pamięci te nowe punkty orientacyjne śledztwa i powrócił do rozmowy z Lariosem, którego traktował jak medium do badania przeszłości.

— Wyczytałem w pańskim raporcie, że chorąży Luis del Águila zmarł około ósmej wieczorem.

— Mniej więcej.

— Dobrze, ustalimy to z pomocą świadków. Przeczytałem też, że w ciele nie było ani kropli krwi.

— Istotnie.

— Zechce pan to wyjaśnić obszerniej?

— Niewiele tu jest do wyjaśnienia. Przy tego rodzaju ranie osocze wypływa bardzo szybko. To rzeka krwi.

— W jakim czasie człowiek może się zupełnie wykrwawić?

— W kilka minut.

— Prawdziwy potop. To znaczy, że wokół ciała powinno powstać jezioro krwi.

Larios najeżył się i zamilkł. Arturo czekał, obracając w rękach hełm. Po dłuższej chwili medyk przyznał niechętnie:

— Bezsprzecznie.

Arturo spostrzegł, że jego rozmówca odbiegł myślami gdzieś daleko i stracił zainteresowanie tematem.

— Przykro mi, że pana zanudzam, panie kapitanie, ale... jeżeli wolno mi użyć tego porównania... jak chce się sprawdzić, czy szynka jest dobrze uwędzona, to trzeba ją cienko pokroić. Im cienie, tym lepiej. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

Larios, zamknięty w sobie, wciąż zdawał się nieobecny.

— Jak to możliwe, że krew tak po prostu zniknęła? — nie dawał za wygraną Arturo. — Albo to wyjaśnimy, albo szykujemy osinowe kołki.

Larios nagle jakby ocknął się z zadumy.

— Zdurnieliście, żołnierzu? Wierzycie, że w dywizji grasuje wampir?

— Już nie wiem, w co mam wierzyć.

— Skoro nie było krwi, to znaczy, że zarżnięto go gdzie indziej. Tylko tyle.

— Ale przeszukaliśmy cały teren i nic.

— W Rosji jest dość miejsca na świniobicie.

Arturo przypomniał sobie kryształki stężącej krwi na szyi Luisa del Águila i postanowił przyjąć metodę łagodnej perswazji.

— Nie bez powodu pytałem o tę krew, panie kapitanie. Na mundurze denata prawie nie było plam. Przychodzi mi do głowy pewien pomysł, ale muszę poznać pańskie zdanie. Czy gdyby przechylono ciało i uciśnięto ranę...

— Chodzi wam o to, że leżał na brzuchu? — upewnił się Larios, pochylając się do przodu i zasłaniając szyję ręką.

— Tak.

Lekarz wyprostował się; twarz miał bez wyrazu, lecz na jego czole Arturo dostrzegł pionową zmarszczkę. Nie pamiętał, czy zawsze tam była.

— Nie ma mowy.

— Zgoda, spróbujmy inaczej. A gdyby go ktoś ogłuszył, rozebrał i zabił, a potem ubrał z powrotem?

Larios odrzucił i tę teorię.

— Przypominam, że nie ma oznak walki; żadnych śladów na tułowiu ani otarć na nadgarstkach.

— A jeśli na niego napadnięto, kiedy był nagi?

— Znacie tu kogoś, kto od chwili przyjazdu zdjął mundur? — odparł Larios ironicznie.

— Mogli go zmusić, żeby się rozebrał. To prawdopodobne.

— I żeby potem dał się zarżnąć jak baran? Tak, prawdopodobne... Dopóki się nie dowiedzie, że było inaczej, możliwe jest wszystko. Nawet wampiry.

Wydawało się, że ta dyskusja go bawi, na jego wargach pojawił się prolog uśmiechu. Milczeli; nie było to milczenie przyjazne, ale stwarzało przynajmniej pozory profesjonalizmu. Arturo zastanawiał się nad kapitanem:

jego zawód — podobnie jak pełniona teraz funkcja — polegał na rozwiązywaniu problemów, by zrozumieć zachodzące w ludzkim ciele procesy, a w tej sprawie, zamiast po omacku szukać odpowiedzi, należało znajdować właściwe pytania. Postanowił wznowić przesłuchanie, zanim Larios znów zacznie błądzić myślami po księżycu.

— Kapitanie, musi mi pan pomóc. Kiedy Luisowi del Águila postawią krzyż, możliwości schwytania jego zabójcy znacznie się zmniejszą. Potrafi pan coś powiedzieć o napisie wyrytym na jego skórze?

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy” — zacytował lekarz z pamięci, jakby zastanawiał się nad wypisaniem recepty. — Nacięcia były bardzo subtelne, wykonane ostrym narzędziem... Cóż, niewiele więcej da się stwierdzić z całą pewnością.

Wzruszył ramionami i starannie zakrył zwłoki. Kontemplował je przez kilka sekund, dopóki nie dostroił myśli do rzeczywistości. Arturo odgadł, że dla kapitana całe to śledztwo było bizantyjską aberracją w okrutnym i bezdusznie praktycznym świecie. Jego pasywna obojętność wynikała nie tyle ze smutku czy przygnębienia, ile ze zmęczenia człowieka, który zbyt dużo i zbyt długo pracował. „Po co przejmować się jednym zmarłym, skoro miliony zabijają się nawzajem”.

— Gdyby przynajmniej był jakiś motyw... — westchnął Larios z nieoczekiwanym żalem.

Arturo chwycił byka za rogi.

— Co pan ma na myśli?

— Tak, przynajmniej mielibyśmy się czego uchwycić.

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie kapitanie?

Larios ściszył głos, jakby nagle opadł z sił.

— Motywy, powody... Widzicie, wojaku, granica pomiędzy szaleństwem i rozsądkiem jest bardzo cienka, cieniutka, a tu, na froncie, o wiele łatwiej ją przekroczyć. — Arturo popatrzył nań pytającym wzrokiem, jakby oczekiwał wyjaśnień. — Tak, tu nie ma miejsca na kompromis, same skrajności, prawo staje się ułomne, a człowiek bez prawa to czysty instynkt.

— Do czego pan zmierza, panie kapitanie?

— Chcę powiedzieć, że mam nadzieję, iż morderca jest przy zdrowych zmysłach i ma konkretny motyw. Bo jeśli nie, nigdy go nie złapiecie.

— Każdy ma jakiś motyw, panie kapitanie. Ilu ludzi, tyle motywów.

Larios cmoknął językiem, przesunął dłoń po siwiejących włosach i potarł

palcami powieki.

— Wiecie, dlaczego nie schwytano Kuby Rozpruwacza? — zapytał obcesowo.

Arturo pomyślał, że Lariosowi padło na mózg.

— Nie bardzo.

— Badałem tę sprawę. Takie zawodowe skrzywienie... I doszedłem do wniosku, że nie złapali go, ponieważ zabijał bez powodu; bezlitośnie, ale bez powodu. Zabijał, żeby zabijać, dlatego że to lubił. Szedł za własnym instynktem, niewiele się różniącym od instynktu każdego z nas. Kiedy po raz pierwszy użył noża...

„Zapoczątkował wiek XX i naznaczył go krwią” — zaimprovizował w duchu Arturo, spostrzegłszy, że lekarz zaplątał się w swoich wywodach.

— No właśnie. — Larios jakby chwycił w lot jego myśl. — I wszystko szlag trafił.

Ich oddechy splotły się w obłoku lodowatej pary, tworząc w powietrzu widmowe kształty.

— A jednak — sprostował Alfredo Larios po chwili zastanowienia — być może mamy szczęście. Mówiłem przedtem, iż cięcie było tak głębokie, że drasnęło kręgi szyjne, pamiętacie?

— Pamiętam.

— To może wskazywać na zbrodnię w afekcie. Namiętność bywa silnym motywem. Każda namiętność. Proszę tu poszukać przyczyn. Nawet jeśli sprawca zaplanował wszystko na zimno, mogło go ponieść w decydującej chwili. Nikt nie wyżywa się w ten sposób bez powodu.

Arturo zawahał się, ale musiał zadać następne pytanie.

— Przepraszam za to, co teraz powiem, panie kapitanie, ale taki mam obowiązek. Gdzie pan był, kiedy to się stało?

— A wy? — odparł lekarz, nieco urażony.

— Proszę mnie zrozumieć, panie kapitanie.

Nagle ich rozmowa została taktycznie przerwana przez daleki, lecz narastający grzmot. Parrala¹¹. Takie przezwisko nadali hiszpańscy wojacy szturmowikom. Arturo oczyma wyobraźni ujrzał sowieckie jednopłaty, które w klinowym szyku nadlatują niespodziewanie, bombardując i strzelając do wszystkiego, co się rusza. Bicie serca rozrywało mu pierś niczym seria eksplozji; właściwie nie był to strach, ale rodzaj oczekiwania. Larios,

przeciwnie, zachował flegmatyczny, lodowaty spokój, jak zamknięty w lodówce zegar. Tymczasem myśliwce-bombowce, w pozorowanym ataku, przecięły lotem koszącym niebo nad Miestielewem i zawróciły, oszczędzając tym razem ów przypadek zwany ludzkim istnieniem. Arturo spróbował zadać jeszcze kilka pytań, lecz Larios uznał już chyba, że temat go nie dotyczy, bo zbył je milczeniem. Podszedł do blaszanej tacy, odłożył skalpel i powoli, z namaszczeniem zdjął rękawiczki. Spojrzał mu prosto w oczy i odpowiedział bez wrogości:

— Możecie sprawdzić, w dniu zbrodni byłem tutaj. A gdzie niby miałem być?

— Dziękuję za wyjaśnienia, panie kapitanie.

Znów dał się słyszeć stłumiony, groźny pomruk; synkopowe dudnienie, jakby gdzieś daleko walił młotem w ziemię jakiś olbrzym. Arturo przyglądał się Alfredowi Lariosowi z taką samą uwagą, z jaką ów przyglądał się jemu. Coraz bliższy łoskot sprawił, że leżące na tacy instrumenty chirurgiczne zaczęły podskakiwać, pobrzękując jak monety. Niby złowieszczy kontrapunkt odezwało się ponownie buczenie Parrali. Blisko, blisko, coraz bliżej. Opuścili kostnicę bez pośpiechu, by nie siać niepotrzebnej paniki. Kapitan rzucał suche rozkazy, niby krótkie, pojedyncze szczeknięcia; pod skórą na szyi widać było napiętą z wysiłku krtani. Arturo wyszedł. Drzewa drżały za każdym grzmotnięciem rosyjskiej artylerii, otrząsając się z zalegającego na gałęziach śniegu. Szybko poszukał wzrokiem wejścia do schronu. Szturmowiki, dopełniając dzieła zniszczenia, jęły rozsiewać po ziemi kule, by następnie, zadarłszy nosy, wznieść się ostrym skrzętem w lewo i opaść ponownie, wypluwając grona bomb. Grzyby ognia i dymu, gejzery śniegu i błota; płomienie, wybuchy, rozbłyski. Z owej powodzi zdarzeń Arturo z wolna wyławiał pojedyncze epizody. Ogłuszająca eksplozja wyrzuciła w powietrze jakiegoś żołnierza, który spadł na plecy niby odcięta od sznurka marionetka. Inny jak opętany strzelał do samolotów. Sanitariusze, z narażeniem życia, lawirowali wśród trupów i wyrwanych w ziemi lejów. Arturo patrzył na to wszystko, a jednocześnie — chłodno, z dystansem — zgłębiał dialektykę wojny, wiekuiście kolistą, ów gwałtowny dialog, którego nieuchronnym wynikiem były baterie przeciwlotnicze, zrodzone z bombowców, i schron, bękart artylerii. W owe rozmyślenia wdarł się przeciągły gwizd; jeden z wielu poprzedzających wybuchy pocisków. Arturo wiedział jednak, że ten był inny. Świszczący dźwięk błyskawicznie

przybierał na sile. Arturo skulił się we wnętrzu ziemianki, zapiął mocniej hełm i otworzył usta, żeby od huku eksplozji nie popękały mu bębunki. To wszystko, co mógł zrobić. Absolutnie wszystko.

Cisza.

Głośniejsza niż krzyk.

A potem już tylko blask, ogień i swąd spalonych ciał.

Rosyjskie natarcie zaczęło słabnąć, ale został po nim zmasakrowany, wykrwawiony krajobraz. Miestielewo, niczym jeź, który czuje, że niebezpieczeństwo minęło, stopniowo składało kolce. Ambulansy Steyr jeździły jak szalone, zbierając żołnierzy z rozetkami krwi: na twarzach, na piersiach, na brzuchach... Arturo z trudem wy dostał się ze zniszczonego schronu; kaszłąc, dysząc, osmalony ogniem. Za nim, długim szeregiem, wyczołgawali się spod desek i darni wojacy, zdezorientowani, ogłuszeni tak samo jak on. Ostrożnie ruszył przez pobojowisko. Od płomieni biło pokrzepiające ciepło, tworząc wokół tropikalny mikroklimat. Wciąż nieco otumaniony, przysiadł na nadpalonej oponie. Upłynęło sporo czasu, zanim doszedł do siebie. Tyłu zabitych, a to była tylko chwila... Nie mógł tego zrozumieć, a jednak odczuwał jakąś chorobliwą fascynację. Na widok śniegu, który już nie był biały, ale czerwony od krwi i czarny od prochu, opadło go nieprzyjemne uczucie, że o czymś zapomniał. Zamrugał z wysiłkiem. Przesunął językiem po spierzchniętych od mrozu wargach. Zawęzał po trochu pole działania myśli, aż wreszcie skoncentrował je na zasłyszanych od Lariosa słowach: „Znacie tu kogoś, kto od chwili przyjazdu zdjął mundur?” W zetknięciu z widokiem brudnego śniegu nagle zaiskrzyło mu w głowie. Umysł podążył śladem pokrętej logiki mordercy i już kilka sekund później Arturo biegł w stronę lazaretu, w wezbranej rzece pokiereszowanych ciał płynącej ku bramie szpitala. Rozejrzał się od progu, szukając Alfreda Lariosa. W kącie sali dostrzegł przyprószone siwizną włosy: wyprostowany, z wysoko podniesioną głową, lekarz miał w sobie coś ze stojącego na mostku kapitańskiego oficera, który choć wie, że jego okręt tonie, wciąż bohaterko wydaje bezużyteczne rozkazy. Arturo podszedł prosto do niego, wiedząc, że postępuje wbrew regulaminowi. Larios najwidoczniej myślał tak samo, bo

spiorunował go wzrokiem, wobec czego Arturo sięgnął po jedyną broń, jaką w owej chwili dysponował: stanowczość.

— Panie kapitanie, było czyste czy brudne?

— Co? — Irytacja ustąpiła miejsca zaskoczeniu.

— Ciało Luisa del Águila, przed autopsją. Było czyste czy brudne?

W jego oczach zauważył wahanie. Medyk długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Arturo niecierpliwie ponaglał go spojrzeniem, jakby sam musiał obsłużyć całą tę umieralnię.

— Tak — odparł wreszcie Larios, zbaraniały.

— „Tak, czyste” czy „tak, brudne”?

— Czyste, czyste...

Mało słów, a tak wiele znaczyły. Arturo podziękował z pośpiechem i nie czekając na odpowiedź, wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł. Na zewnątrz, uderzony gorącym podmuchem ognia, odetchnął głęboko, wciągając do płuc ciepłe powietrze. „Co za skurwiel” — mruknął pod nosem. Miał już dowód na to, że zabójca zaplanował morderstwo na długo przedtem, zanim go dokonał. „Znacie tu kogoś, kto od chwili przyjazdu zdjął mundur?” Bo było tylko jedno miejsce spełniające trzy warunki tej zbrodni: żeby ofiara była naga, żeby się nie spodziewała ataku i żeby krew mogła zniknąć bez śladu. Łaźnia. Takie proste. Takie przewrotne. Wszystko wskazywało na premedytację, perfidię, skrytobójstwo... i co tam jeszcze potrafią wymyślić adwokaci z urzędu. Dotychczas skazany był na domysły, teraz, na szczęście, mógł przejść do konkretów i sprawdzalnych hipotez. Spróbował ustalić wstępny profil. Sprawca musiał znać zwyczaje denata albo przynajmniej śledzić go od dłuższego czasu, czatując na okazję do urzeczywistnienia swoich planów, z czego wynikałoby, że najprawdopodobniej stacjonował w Miestielewie. Poza tym, dziwnym zbiegiem okoliczności, we wszystkich stajniach furtki były zamknięte, a wyłamano tylko tę jedną, wychodzącą na teren łaźni. Do Sławianki stamtąd szmat drogi, więc przypuszczalnie przewiózł ciało na grzbiecie konia. Musiał być też bardzo silny. Jednocześnie fakt, iż potrafił rozważyć wiele różnych możliwości i wybrać sposób działania tak genialny w swej skuteczności i prostocie, a potem czekać spokojnie, aż Luis del Águila do końca się wykrwawi, wskazywał na osobę racjonalną, cierpliwą, metodyczną. Tylko jedno nie pasowało do owej teorii — fantastyczna sceneria skutej lodem rzeki i zdanie wyryte na piersi ofiary. I ta krew... Po co morderca ryzykował bez potrzeby, po co stracił tyle czasu?

Logika pozorów podpowiada, że była to zbrodnia głęboko symboliczna, zbrodnia z przesłaniem. Postanowił wszelako nie ograniczać perspektywy śledztwa i nie zamykać przedwcześnie innych wątków, ponieważ mogłoby to sprowadzić jego myśli na fałszywy trop lub zaburzyć tok rozumowania. Teraz musi poczekać, aż major Reyes Zarauza weźmie pod lupę przeszłość wszystkich żołnierzy dywizji. A na dzisiaj wystarczy. Tropiąc przestępców, Arturo lubił poruszać się jak pajak: wystawiał czułki i czyhał na ofiarę. Powrócił do rzeczywistości, mroźnej i nieustępliwej. Na skraju pobojuwiska, na tle drzew płonących niczym olbrzymie pochodnie, ujrzał ostatni widok, jakiego spodziewałby się w takim miejscu. Słowiańskie Betlejem, scenę jak ze świątecznej szopki: grupka odzianych w łachmany rosyjskich jeńców o wystających kościach policzkowych i skośnych oczach wpatrywała się ze skupieniem w karmiącą matkę. Artura nie przestawał zadziwiać ów biologiczny upór życia pleniącego się wszędzie w odwiecznym pragnieniu nieśmiertelności. Wychudzona kobieta o twarzy pokąsanej przez lód i ciele wycieńczonym licznymi porodami siedziała na śniegu w odwiecznej, pełnej czułości pozie, tuląc niemowlę do piersi. Scena wyglądałaby na idyllę, gdyby nie jeden z mężczyzn; po spazmatycznym drganiu jego ramion Arturo odgadł, że ów człowiek płacze. Coś było nie tak. Podeszedł trochę bliżej i przymrużył oczy. Nagle zrozumiał, skąd ów szloch: dziecko było martwe. W pewnej chwili któraś z kobiet pochyliła się nad nieszczęsną matką i szepcząc słowa pociechy, zabrała nieruchome ciało. Arturo widział, jak dwie krople mleka odrywają się od sutki, powoli staczają po gruszkowatej piersi i zamarzają, skryształizowane przez mróz. Ktoś zapiął jej guziki przy bluzce. „Śmierć nie zawsze dopada człowieka na końcu życia” — pomyślał Arturo. Uderzył go nie tylko ogrom tragedii, ale i to, jak ci ludzie znosili swój los. Nie było głośnych łkań ani histerycznie zawodzących kobiet, bo inne zaraz je uciszały; przede wszystkim jednak w oczach tamtej matki odbijały się nie tylko smutek i udręka, lecz także jakaś łagodna, melancholijna zgoda na to, co nieuniknione. Przyszło mu do głowy, że nie można wygrać wojny z narodem, który umie tak cierpieć. Nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za mundur, i obejrzał się w prawo. Nie dostrzegł nikogo. Po drugim szarpnięciu zorientował się, że ten ktoś nawet nie sięga mu do pasa. Zerknął w dół i zobaczył skrzata, który wpatrywał się w niego z uwagą; mały rosyjski obdartus, malczyk o wielkich, nieprzeniknionych oczach, czujnych, ale nie wrogich. Z otwartą buzią obserwował Artura, demonstrując sporą szczerbę

między przednimi zębami; prawdopodobnie zgubił się w czasie bombardowania. W wielkich butach, o trzy numery za dużych, wyglądał jak mały Charlie Włóczęga.

— *Nie mogu najti mamy.* Nie mogę znaleźć mamy — poinformował chłopiec z powagą.

— *I gdzie była twoja mama? A gdzie była twoja mama?*

Dzieciak wskazał zburzone chaty. Arturo opancerzył się przeciwko wszelkim odruchom współczucia. Pomyślał o okrutnym paradoksie, którego był świadkiem: matka właśnie straciła syna, syn właśnie stracił matkę.

— *Kak tiebia zowut?* Jak się nazywasz?

— *Aleksandr.*

— *Choroszo, Jandrito. Chociesz idti mamy iskat'?* Dobra, Jandrito, chcesz, żebyśmy poszukali mamy?

— *Da, no wo pierwych mnie nado pisat'.* Tak, ale najpierw muszę zrobić siusiu.

— *Pojdi so mnoj. No ty nie dostatoczno wielik, szto by odin pojti?* To chodź ze mną. Ale czy nie jesteś już na tyle duży, żeby pójść sam? — zapytał Arturo z uśmiechem.

— *Niet. Nie.*

I zaczął przestępować z nogi na nogę.

— *Nu, choroszo.* Niech ci będzie — poddał się Arturo.

Wziął chłopca za rękę i podprowadził do jednego z płonących wokół ognisk, żeby nie narazić go na odmrożenia.

— *Wot zdies'.* Tutaj.

Malec kiwnął głową i pogmerał w spodniach. Pogibał się w przód i w tył, ale nie uronił ani kropli.

— *Szto s toboj?* Co się stało? — zaniepokoił się Arturo.

Na twarzy Aleksandra pojawił się dziwny wyraz, jakby przez pomyłkę wziął do ust jakieś paskudztwo.

— *Nie mogu.* Nie mogę.

— *Ono i widno.* Widzę.

Patrzyli jeden na drugiego, nie bardzo się rozumiejąc. Chłopak najwyraźniej czekał, że Arturo sam się wszystkiego domyśli.

— *S papoj my wmiestie pisali.* Siusialiśmy razem z tatą — wyznał wreszcie ze skruchą.

— Hm.

Arturo zatopił wzrok w ogniu, z którego buchały jęzory żółtych, czerwonych i pomarańczowych płomieni. W dawnych czasach ludzie czcili ogień i nigdy nie gasili go pochopnie, bo był obrazem bóstwa.

Mrugnął porozumiewawczo i rozpiął rozporek.

— *Dumajesz, my jego potuszym?* Myślisz, że uda nam się to zgasić?

Wycelował w samo serce ogniska i siknął pięknym łukiem, z którego z sykiem ulatywały strzepy pary. Aleksandr nie chciał być gorszy. Z początku wydusił z pęcherza zaledwie kilka mililitrów płynu, lecz już po chwili wartki strumień poszybował ponad fontanną Artura. Malec uśmiechnął się szelmowsko, pokazując szczerbate zęby.

Architekt w ruinach

Szeregi metalowych gruszek sterczących ze szkieletu rur w symetrycznym, wojskowym szyku. Arturo przechodził przed nimi powoli, tam i z powrotem, jakby sprawdzał stan kompanii. Znajdował się w baraku łaźni, zbudowanym z drewnianych bali na rosyjską modłę, oświetlonym przez mizerne żarówki, które dyndały na nagich kablach jak wisielcy. Jego oczy przesuwają się od przedmiotu do przedmiotu, gromadząc dane. O tej porze nikt się nie kąpał; nigdy zresztą nie było tu tłoczno: w oddziałach panowało przekonanie, że woda jest dla żab, a wszy są jak rodzina. „Pod którym natryskiem?” — pomyślał. Czuł się niczym jeden z owych poddawanych rozmaitym próbom starożytnych bohaterów, którym kazano wybierać spośród wielu drzwi, a omyłka oznaczała co najmniej utratę życia.

— Na psa urok.

To nieoczekiwane stwierdzenie padło z ust Trinitaria Arandy Calceda, żołnierza, który — kiedy już Arturo znalazł przybraną matkę dla Aleksandra i załatwił parę pilnych spraw — przyznał się, że w dniu zdarzenia jako ostatni pełnił służbę przy sprzątanii łaźni. W błogiej niewiedzy ochoczo zaprowadził go do baraku, Arturo bowiem, w obawie, iż jego teorie mogą wpłynąć na zeznania świadka, nie wyjawiał mu celu inspekcji.

— Faktycznie, miał pecha.

— Ktoś się na niego wziął. Jak to się stało?

Arturo spiorunował go wzrokiem; Trinitario był chudy, mizerny, miał sino podkrążone oczy i obwisłe policzki, co upodabniało go do wielkiego bernardyna. Widać było, że pyta z ciekawości, bo naprawdę nic nie wie. Czyżby jako jedyny w całej dywizji nie znał szczegółów? Arturo znów poczuł w sobie ową hobbesowską bestię, która kiedyś, przebrana w szaty władzy, jaką dawała mu praca w szeregach tajnych służb, wypowiadała jego

ustami słowa tnące powietrze niczym miecz. W obawie, że posunie się za daleko, siłą woli powściągnął ogarniającą go furję. Postanowił jednak uczynić wszystko, żeby odzyskać stopień porucznika, choćby tymczasowo, bo jako oficer mógłby ó wiele skuteczniej posługiwać się kijem i marchewką.

— Poderżnęli mu gardło — odparł lakonicznie.

— Wredna sprawa — powiedział Trinitario wystraszony, podnosząc dłoń do szyi. — A po co tu przyszliśmy, jeśli można wiedzieć?

Arturo zignorował pytanie i znów zanurzył się w leniwej atmosferze łaźni, z aż przesadną uwagą kontemplując natryski.

— Barak jest zamykany? — odezwał się wreszcie.

— Tak, kiedy kończymy. Na kłódkę.

— I ty zabierasz klucz?

— Tak.

— Czyli potem już nikt nie może tu wejść?

— Głowy nie dam, ale myślę, że nie.

Arturo pomału ściągał żyłkę, stopniowo odrzucając rozmaite możliwości.

— O której mniej więcej godzinie zacząłeś sprzątać tamtego dnia i kiedy skończyłeś?

— Przyszedłem chyba parę minut po szóstej, a skończyłem koło ósmej.

— Ktoś tu wchodził w tym czasie?

— Tak, raz — potwierdził po chwili zastanowienia.

— Ilu?

— Jeden.

— Na pewno? Może jednak dwóch? — dopytywał się Arturo.

— Nie, tylko jeden. Zapamiętałem dobrze, bo się dupek awanturował i wepchnął na chama, chociaż mówiłem, że zamknięte.

Arturo wyjął jedno ze zdjęć zrobionych Luisowi del Águila na Sławiance.

— To ten?

Trinitario przyjrzał się uważnie ośnieżonej twarzy.

— O kurwa, faktycznie.

Arturo uśmiechnął się z niedowierzaniem; czas — około ósmej wieczorem — zgadzał się z sugerowaną przez Lariosa godziną zgonu. Fakty układały się w logiczną całość z zadziwiającą łatwością.

— I na pewno nikt więcej nie wchodził?

— No, nie...

Wyczuł w jego głosie nieznaczne wahanie.

— Ale byłeś tu przez cały czas?

— Tak, chociaż cały to może nie.

— Więc tak czy nie?

— Wyszedłem na chwilkę nakarmić króliki.

— Co zrobić?!

— Wysrać się. Pogoniło mnie... — Złapał się za brzuch, dając do zrozumienia, że w kiszki miał wtedy prawdziwą rewolucję.

Arturo znów poczuł, że gdzieś na dnie jego serca lęgnie się dawna furia. Nie rozumiał, skąd się w nim wzięło tyle niechęci do tego fajtlapy; być może wynikała z przeświadczenia, że nienawiść jest bronią słabeuszy, bo trudno nienawidzić kogoś, kogo można zgnieść jednym palcem, a sam był teraz nikim, już o wiele za długo. Przygryzł wargi tak mocno, że aż zbieleły.

— Lepiej ze mną nie pogrywaj... — Z trudem opanował gniew; starał się nadać głosowi urzędniczy, beznamiętny ton, jakby rozmawiali o pogodzie. — Słuchaj uważnie... Generał osobiście polecił rozwiązać tę sprawę jak najszybciej. Jutro muszę mu przedstawić wstępny raport. Jak przyjdę z niczym, da mi popalić. Ktoś musi beknąć, a ty jako ostatni widziałeś Luisa del Águila żywego. Będziesz pierwszy na liście, ja ci to mówię.

Trinitario miał minę zbitego psa. Spokorniał, lata służby odcisnęły swoje piętno. Ale próbował się bronić:

— Ja nic nie zrobiłem — uniósł się honorem.

— To trzeba udowodnić.

— Zaraz poszedłem do swojego baraku, żeby się przespać. Wszyscy mnie widzieli.

Intuicja podpowiadała Arturowi, że żołnierz nie miał nic wspólnego z morderstwem, a jego alibi zostanie potwierdzone; tamta zbrodnia wymagała mefistofelicznego sprytu, a to był zwykły prostaczek, Bogu ducha winien. Arturo musiał jednak pokazać, kto tu rządzi. I nie chciał szacunku. Chciał strachu.

— Miałeś dość czasu, żeby go zabić. Coś mi mówi, że zginął tutaj, pod natryskiem.

— Ale przecież wyszedł stąd cały i zdrowy.

Wszystkie logiczne konstrukcje Artura rozsypały się w drobny mak. Zrobił dwuznaczną minę, na wpół pobłażliwą, na wpół bezczelną.

— I ty widziałeś, jak wychodził?

— Tak jak tu stoję.

— No dobrze, w takim razie po kolei... Powiedz, co zapamiętałeś z tamtego wieczoru. Postaraj się być obiektywny.

— Obiek... co?

Artura omal szlag nie trafił.

— Nic. Opowiedz mi wszystko jeszcze raz.

Trinitario skrzywił się i westchnął ciężko. Arturo nieraz się przekonał, że ludziom mało inteligentnym konieczność skupienia na czymś myśli sprawia niemal fizyczny ból. Żołnierz ponownie zrelacjonował epizod w łaźni, usiłując wygrzebać z pamięci każdy szczegół, i nawet niewiele dodał od siebie.

— ...i potem ten cały Luis del Águila wyszedł, nie mówiąc do widzenia.

— Czyli po tej kłótni na początku nie zamieniłeś z nim już ani słowa?

— Właśnie tak.

— Jak długo cię nie było?

— Niedługo, niecałe dwadzieścia minut.

— A kiedy wróciłeś, Luis del Águila ciągle się kąpał?

— Tak, nie spieszyło mu się.

— Na pewno nikogo więcej nie było?

— Na pewno.

— Sprawdzaleś?

— Nie, ale na pewno.

Arturo poczuł, że za chwilę go udusi.

— Co jeszcze pamiętasz? — zapytał zrezygnowany.

— A co mam pamiętać?

— Nie wiem. Coś dziwnego, niezwykłego, cokolwiek...

Żołnierz, zdezorientowany, gapił się bezmyślnie. Arturo zwątpił w sens tego przesłuchania. A jednak, kiedy uznał, że ze świadka już nic nie wyciśnie, Trinitaria nagle oświeciło.

— O kurwa, to przecież ta noc, kiedy konie...

— Mów dalej.

— Ktoś zostawił otwartą furtkę w stajni, a może jakiś koń ją wyłamał, nie wiadomo; chodzi o to, że pouciekały. Zamurowało mnie, kiedy zobaczyłem, jak się tu wałęsają. A jeden to mnie przestraszył prawie na śmierć.

— Dlaczego?

— Była gęsta mgła, pojawiały się i znikały. Raz jakiś łeb nagle wychynał, raz zad albo noga... a potem znowu nic. Diabelska sprawa. Jeden to mi się

ukazał tak blisko — palcem wskazującym i kciukiem Trinitario zademonstrował odległość. — Omal mnie nie stratował. Większość znaleźli potem na rzece. Tam, gdzie tego umarlaka, co nie?

— Tak. A więc Luis del Águila wyszedł stąd na własnych nogach? — upewnił się Arturo.

— Tak było, jakem Trinitario.

— Pamiętasz, pod którym natryskiem się kąpał?

— Tyle ich...

— To prawda, możesz nie pamiętać.

Trinitario wykrzywił twarz w sprytnym uśmiešku.

— Pan Bóg narodził się w żłobie, więc wyteżaj oczy, bo gdzie najmniej się spodziewasz, tam zając wyskoczy — wyrecytował.

Arturo spojrzał na niego i przypomniał sobie rosyjskie porzekadło: „Nie wiadomo, głupi czy święty”.

— I co?

— A to, że sobie przypomniałem.

— Na pewno?

— Żeby tak pamiętać, to nie, ale w nocy jest straszny mróz i grzejnik nie daje rady. Woda dochodzi tylko do trzeciego natrysku, a potem zamarza w rurach. Więc musiał wejść pod jeden z tych na samym początku.

Arturo przeszedł na koniec baraku. Ostatnia w szeregu żarówka była przepalona i wskazane przez Trinitaria prysznice tonęły w półmroku, rozproszonym wąłym żółtawym światłem przedostatniej. Odkręcił kurki, wywołując lekkie drgania metalowych rurek, które rozszerzyły się pod wpływem wrzątku, i stwierdził, że woda leci tylko z dwóch pierwszych. Spróbował spojrzeć na sprawę obiektywnie: gdyby nie usłyszał od Trinitaria, że Luis del Águila wyszedł, patrzyłby teraz na te natryski w sposób symboliczny, z percepcją zaburzoną przez wewnętrzne przekonanie, czyli widziałby to, co chciał zobaczyć, a nie to, co powinien, wierząc własnym oczom. „Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł” — pomyślał. No dobrze, pospieszył się z wyciąganiem wniosków, a teraz musi przeformułować hipotezy. Gdzie morderca mógł zrealizować swoje makabryczne plany? Czy należy traktować serio możliwość, że w dywizji grasuje wampir? Poczul lekki niepokój i żarliwie polecił się własnej świętej opiece; rozum, choć nieco opieszale, pospieszył mu na ratunek, podsuwając rozliczne wyjaśnienia, których długa litania z wolna rozpraszała lęk. Zanim

wrócił do Trinitaria, zdążył sobie to wszystko uporządkować.

— Jeszcze pogadamy — powiedział. — Nie oddalaj się nigdzie.

Trinitario rozłożył ręce, wskazując mroźny pejzaż, jakby pytał, dokąd niby miałby pójść. Arturo ciasno zapiął mundur i wyszedł z baraku, pokrzepiając się wizją kawy, takiej jak Pan Bóg przykazał: gorącej niczym piekło, czystej jak anioł i słodkiej jak miłość.

Pogodzie popsuł się nastrój. Rozpostarta nad Miestielewem zaśniedziała srebrna kopuła nieba obsunęła się i zawisła nisko nad ziemią, spuszczając majestatyczne kotary śniegu. Zmierzający do swojej klitki Arturo też stracił humor, i to z tak błahego powodu jak rozmowa z nierozgarniętym żołnierzem. Do tej pory nie śmiał poruszać się wśród wspomnień, bo miał wrażenie, że stąpa po tłuczonym szkle, teraz jednak zaczął sobie uświadamiać, co się wydarzyło: *Sztuka zabijania smoków*, trupy, wyrok, więzienie, ostracyzm, zsyłka do Błękitnej Dywizji... wszystko to pogrzyżyło go w *mare magnum* nienawiści i strachu. To prawda: nienawidził, bo się bał. Nigdy nie był odważny, wiedział o tym, ale ostatnio instynkt samozachowawczy obnażył w nim cechy, o jakie Arturo nigdy by się nie podejrzewał. Stopniowo musiał wyrzekać się pielęgnowanego troskliwie własnego wizerunku, oddając z wolna teren, by w końcu okopać się za ostatnim szańcem: obroną dzieci. Pomyślał o małym Rosjaninie Aleksandrze i wymamrotał wyuczone na pamięć słowa: „Jesteście nosicielami dzieci. Pamiętajcie, że kiedy niesiecie dziecko, będziecie mogli kroczyć przez zło, chroniąc się pod płaszczem niewinności. Przejdziecie rzeki, przejdziecie burze, przejdziecie nawet przez ogień piekielny”¹². Tak, chciał w to wierzyć. Przynajmniej w to. A jednak strach nie ustępował, a wraz z nim nienawiść, prawdopodobnie ta sama, która kierowała mordercą. Jak powiedział Trinitariowi, ktoś za to musi beknąć. Na ten dzień Arturo już miał winowajcę.

Rytuały. Rytuały ułatwiają wszystko, pomagają przeżyć. W dawnych czasach objuczano wybranego kozła grzechami całego miasta i wypędzano za mury, uwalniając się od win. To był kozioł ofiarny. Pomimo chłodu niesionego przez płatki śniegu kozioł ofiarny Artura wybiegł mu na spotkanie, ślizgając się i dysząc żądzą krwi. Wilczur poznał go natychmiast i

przystąpiwszy do odprawiania własnego rytuału — bestialskiego obrzędu śmierci — jął zataczać kręgi od lewej do prawej i od prawej do lewej, biegając dokoła wraku kabiny zdezelowanego furgonu, w której urządzono mu budę. Z budynku rzeźni dobiegał rytmiczny, dźwięczny stukot toporów, niby plemienny akompaniament. Wreszcie pies rzucił się w stronę Artura, ten zaś poczuł w żyłach żelazny chłód, ale nawet nie drgnął. Gardziel zwierzęcia ziała nie tylko pragnieniem mordy, chciała delektować się mięsem ofiary, pożreć ją, spijać jej krew. „A jeśli łańcuch nie wytrzyma? — pomyślał. — A jeśli źle oceniłem dystans?” Niepewność trwała do chwili, gdy wilczur zarył łapami w śnieg o milimetry od twarzy Artura, niby przymarznięty do łańcucha. Rytuały. Ich wspólny rytuał właśnie się dopełnił: pies podwinął ogon i upokorzony wrócił do prowizorycznej budy. Skulony w ciemności, utwierdzony w swojej nienawiści, śledził czujnie plecy wroga, dopóki ów nie zniknął mu z oczu w śnieżycy.

Wizja prześladowająca go od chwili, gdy opuścił barak łaźni, ucieleśniła się w ekspresie do kawy, który właśnie zaczynał gwizdać. Ciemne krople spływały po metalowych ściankach, skapując z głośnym skwierczeniem na fajerki. Napełnił cynowy garnuszek. Krzepiący aromat przesycił całą kłitkę. Arturo dodał odrobinę koniaku, rozpiął panterkę, ułożył się wygodnie na pryczy i przylgnął ustami do kubka, jakby od tego zależało jego życie. Pociągnął łyk i przez chwilę trzymał w ustach zbawczy napój; ciepło kawy przemieszane z alkoholem utwierdziło go w przekonaniu, że przy małej czarnej nawet najgorsze zadupie wydaje się znośniejsze. Przy okazji kawa zabiła kwaskowaty smak kapuśniaku i zimnych serdelków, które udało mu się wyszabrować w kantynie. Było dopiero parę minut po drugiej, lecz mróz nadciągający znad odległej o tysiące kilometrów Syberii już namalował srebrne kwiaty na maleńkim okienku. Arturo ogrzał oczy ciepłą barwą pomarańczy leżącej obok czarnego telefonu. Patrzył na książki porozrzucane wśród rzeczy i rzeczy porozrzucane wśród książek. „Ile słów, a bałagan ten sam” — pomyślał. Wypił kolejny łyk i długo delektował się smakiem; znów zajrzał w głąb siebie, wspominając, odtwarzając przeszłość. Może tym, co sprawiło, iż tak sobie upodobał ów ciemny płyn, był zapach, jaki czuł, kiedy drepcząc za mułem obładowanym kosztami pełnymi wonnego ziarna, przemycał wraz z ojcem kawę przez portugalską granicę. Rodzice żyli jeszcze wtedy oboje, dopiero potem epidemia grypy zabrała mu i ojca, i

matkę; mieszkali w Badajoz, w wielkim domu z wielkim podwórzem, wielkim chlewem pełnym świń i wielką oborą, i bardzo się kochali, a przynajmniej tak to zapamiętał. Pociągnął jeszcze łyczek i uśmiechnął się na wspomnienie białej mulicy imieniem Cayetana, o spasionym owsem brzuchu, dużym, twardym łbie z koczkiem między uszami, białej bródce, długiej szyi i muskularnym karku. Jakże ją lubił! Uśmiechając się głupio, dopił kawę; czasami, tylko czasami, wspomnienia nie pogłębiały samotności. Przy ostatnim łyku ktoś zapukał do drzwi.

— Można? — zahuczał bas sierżanta Espinosy.

— Proszę.

Espinosa otrzepał ramiona ze śniegu, wszedł, postawił na podłodze plecak, zdjął kozuch oraz czapkę uszankę, ukazując swą krogulczą fizjonomię i ostrzyżoną głowę z pasmami rzadkich włosów; na koniec ściągnął watowane rękawice, odsłaniając wielkie, czerwone dłonie. Przywitali się ze zdawkową dyscypliną.

— A to niespodzianka. Proszę, niech pan siada. — Arturo wskazał stołek.

— Kawy, panie sierżancie?

— Chętnie, dziękuję. Ależ ziąb na dworze! A tutaj ciepłutko...

— Piec dobrze ciągnie.

— To się czuje.

— Zje pan coś?

— Miło z waszej strony, ale właśnie wracam z kantyny. Kawa wystarczy. Wiecie już, że Rosjanie zajęli Stalingrad? — powiedział takim tonem, jakby mówił, że woda jest mokra, a ogień gorący.

— Istny obłęd — mruknął Arturo, niepewny, jak powinien przyjąć tę wiadomość: ze zdumieniem, z podziwem czy z lekceważeniem.

— Z tego, co słyszałem, dziś rano o mały włos nas nie przyszpilili. Kiepsko to wygląda.

Twarz Artura była kwintesencją powściągliwości; wybrał odpowiedź tromtadracką, ściągniętą żywcem z „Hoja de Campaña”:

— Pozycja zajmowana na froncie nie jest sprawą najistotniejszą. Führer doskonale wie, co robi; to geniusz i dlatego jest nieprzewidywalny.

— Właśnie, wszystko jest kwestią czasu. Niemcom nikt nie da rady. To tylko fortel, żeby zwabić wroga w kocioł, otoczyć i definitywnie zakończyć tę wojnę. Pamiętacie Wołchow w zeszłym roku? Teraz będzie to samo. Już się coś szykuje, przerzucają ludzi i sprzęt.

— Z pewnością.

— Wiecie, co jest prawdziwym problemem?

— Nie.

— Zdrajcy. Zdrajcy, tchórze, bumelanci... — Arturo spostrzegł, że sierżant, zwykle zasklepiony w sobie, tym razem powiedział to, co naprawdę myśli; wewnętrzne wzburzenie przebiło twardą skorupę chłodnego racjonalizmu. — No bo wytłumaczcie mi, dlaczego tak nas łożą? Mówię wam, w Miestielewie jest szpicel.

— Znaczy szpieg?

— Coś w tym rodzaju.

— Kawa, panie sierżancie.

Arturo podał mu dymiącą filiżankę, lecz Espinosa, przypomniawszy sobie zrujnowany żołądek, skrzywił się i odsunął ją z niechęcią. Jeszcze przez kilka chwil rozprawiał o strategii oraz zadekowanych w dywizji szpiegach, ale widać było, że w duszy coś go gryzie, coś zatruwa mu krew; ów płomienny dyskurs odsłonił niespodziewanie jego słaby punkt, zwykle bowiem, mimo skrajnie patriotycznej postawy, sierżant zachowywał sporą dozę cynizmu. Przypomniało to Arturovi moment powrotu z kwatery głównej, gdy uchwycił pełne winy spojrzenie dowódcy i doszedł do wniosku, że Espinosa ma chyba jakieś własne tajemnice; tajemnice, a w związku z tym — słabości.

— Z tym szpiegiem to oficjalne? — wrócił do tematu.

— Tutaj oficjalne jest wszystko, od chorążego w górę. Ale wiecie, jak jest... poczta pantoflowa nie próżnuje. Rozpętało się istne piekło. Kapitan Isart postawił na nogi całą żandarmerię. Do domu wślizgnął się nam szczur i teraz muszą robić coś więcej, niż dyrygować ruchem i macać nas po jajach. Pilnują tak, że nikt nawet nie pierdnie bez ich wiedzy.

Postać Wolframa Kehrena — niepokojący dysonans na odprawie u podpułkownika Navajasa — nabrała teraz innej wymowy. Obecność niemieckiego oficera łącznikowego byłaby całkowicie usprawiedliwiona, gdyby w grę wchodziła afera szpiegowska mogąca naruszyć chwiejny układ sił na froncie; zrozumiały też był udział wywiadu w osobie majora Zarauzy. A to by oznaczało, iż swoją niespodziewaną misję Arturo zawdzięczał nie własnym zdolnościom, lecz brakom kadrowym w żandarmerii, zajętej polowaniem na intruza lub intruzów w szeregach dywizji. Poczł lekkie ukłucie urażonej ambicji.

— A co mamy w związku z Luisem del Águila? — zapytał ze źle

skrywaną niecierpliwością.

Espinosa poruszył się na stołku, schylił po plecak, wydobył pękatą teczkę i położył ją przed sobą na stole. Potem otworzył paczkę papierosów, wyjął jednego, zapalił i wypuścił kłąb dymu. Zaciągając się chciwie, w skupieniu, przeglądał kartki, jedna za drugą. Kiedy skończył, przybrał oficjalną minę.

— W zasadzie ograniczyłem się do sprawdzenia tego, co znalazłem w raportach — poruszył niedopałkiem, jakby papieros był częścią jego ciała. — Jak już wiecie, chorąży Luis del Águila brał udział w naszej krucjacie aż do końca, a potem zgłosił się do punktu werbunkowego w Walencji i zaciągnął do dywizji. W zeszłym roku wykazał się odwagą i poświęceniem w bitwie nad rzeką Wołchow. Później odesłany razem z dwięście sześćdziesiątym drugim do Krasnego Boru, gdzie został ranny w ramię, a następnie hospitalizowany w Miestielewie, i tak dalej, i tak dalej... — zamilkł, szukając czegoś w papierach. — Wygląda na to, że dużo pił... Po pięciu dniach uznano go za zdolnego do służby. Przygotowywał się do powrotu na front.

Artura zainteresował pojawiający się raz po raz wątek alkoholizmu Luisa del Águila; zastanawiający, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę młody wiek ofiary: zaledwie dwadzieścia dwa lata. Skupienie śledztwa na tym aspekcie nie miało większego sensu, podobnie jak w przypadku innych zebranych naprędce faktów, ale takie, na przykład, kiszki też się nie przejmują logiką — wystarczy, że coś nie pasuje, i już wyczyniają brewerie.

— A więc dużo pił... — stwierdził z naciskiem.

— Jak gąbka. — Espinosa oderwał wzrok od kartki. — Podobno kiedy go suszyło, stawiał w kantynie kolejkę za kolejką.

— No, no. — Arturo nadstawił uszu; przypomniał sobie uwagę kapitana Lariosa o zbrodni z namiętności, a przecież nic tak nie podnieca jak pieniądze. — To znaczy, że miał forszę, a żołdu nie starcza na takie rozrywki. Trzeba się temu bliżej przyjrzeć.

— To akurat łatwo wytłumaczyć. Jeżeli pozwolicie mi dokończyć... — Espinosa zrobił tajemniczą minę.

— Ależ proszę.

Sierżant zaciągnął się na zapas papierosem.

— Na Ibizie zostawił rodziców i siostrę. A, właśnie... — znowu schylił się po plecak, podniósł go z podłogi, jakby chwycił szczeniaka za skórę na karku, i położył na stole. — Mam tu jego rzeczy osobiste, odebrane z

magazynu żandarmerii. Potem to sobie obejrzymy.

— Rodzina nie wie, co się stało?

— Wziąwszy pod uwagę wyjątkowe okoliczności, powiadomiono ich, że zginął na polu walki.

— Tak myślałem. Chciałem się tylko upewnić. Już więcej nie będę panu przerywał.

— Niewiele tego zostało...

Arturo zwlekał jeszcze chwilę. Przekazane mu przez Espinosę wiadomości na temat Luisa del Águila potwierdzały trapiące go przeczucia: denat nawet nie był „nikim”, był „byle kim”. W dywizji mało kto go pamiętał. Przetrwał jedynie w mglistych wspomnieniach jako epizod codziennego życia. Kilka oderwanych obrazów, wiele luk i niejasności. Nikt go nie znał, chociaż wszyscy jadali z nim sardynki z puszkki, grali w karty, bili się, chodzili na dziwki... „Mówisz, że nazywał się Luis? Myślałem, że Alfonso”. Pewne i niepodlegające dyskusji było jedynie to, że cztery dni temu Luis del Águila wykapał się po raz ostatni w życiu.

— ...kiedy go wypisali z lazaretu, zjadł obiad w kantynie, a potem wrócił po swoje rzeczy. Niektórzy twierdzą, że pisał listy; wieczorem poszedł do łaźni. Przypuszczam, że na wszelki wypadek, bo nie wiedział, kiedy się trafi następna okazja. W sumie z moich indagacji wynika, że powodów, by zabić Luisa del Águila, było tyle samo co powodów, żeby go nie zabić. Chociaż muszę przyznać, że jeden z jego znajomych powiedział o nim coś, co wydaje się wystarczającym motywem, żeby odesłać go na tamten świat.

— Czyli?

— Lubił anchois.

Arturo nieznacznym uśmiechem skwitował powrót kostycznego humoru sierżanta.

— Wezmę to pod uwagę. Coś więcej?

Espinosa otoczył się chmurą dymu.

— Dla niego raczej mniej. Grał. Dlatego miał pieniądze.

— Hazard? Mógł mieć długi.

— Nie wydaje mi się. Zawsze wygrywał. Prawdę mówiąc, słychać z tego.

— *Monte?*

— Nie.

— *Tute?*

— Nie.

— *Mus?*

— Nie, nie chodzi o karty.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że grał w szachy?

— Nie.

— Przecież nie w tenisa, do kurwy nędzy.

Arturo zapomniał na chwilę, że nie awansowano go w ciągu ostatnich pięciu sekund, i zgromił sierżanta ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

— W wioletę — odparł Espinosa.

— Jezus Maria.

— To samo powiedziałem, kiedy mi o tym donieśli.

— Myślałem, że to tylko plotki.

— Tak, w duchy też ludzie nie wierzą, ale się boją.

— Pokątny hazard?

— Jaki pokątny! Ruble i marki płyną strumieniami, a ktoś przymyka na to oko. Zjeżdżają się tu z całego frontu, żeby grać. Nie tylko Hiszpanie.

— A kto przymyka oko?

— Dojść do tego nie będzie łatwo.

— Dlaczego?

— Dobrze wiedzą, że za taki proceder grozi kulka w łeb, więc się pilnują. Potrzeba solidnej rekomendacji, chyba że sam gotów jesteś wejść do gry.

— A kto im zaręczy, że potem się nie wygadam?

Pytanie to w dziwny sposób wpłynęło na panujący w pokoiku nastrój. Espinosa zaciągnął się głęboko, a następnie powoli wypuścił dym nosem. Trzaskanie szczap w piecyku wywoływało osobliwe uczucie dosytu i zadowolenia. Uśmiechnął się, przez co jego twarz stała się jeszcze bardziej drapieżna.

— Nikt — odrzekł. — Ale później utną ci łeb. Myślisz, że ktoś za tobą zatęskni? Pamiętaj, że tu na jednego żywego przypadają trzy trupy... Chociaż i tak mamy szczęście, bo na mrozie przynajmniej nie śmierdzą — dodał uczciwie.

— Brał pan kiedyś udział w tej grze?

Espinosa uniósł brwi.

— Nigdy, nawet jako widz — uciął krótko. — Nie jestem idiotą. Naprawdę myślicie, że tam chodzi o pieniądze?

Arturo nie patrzył mu w oczy. Z uwagą natomiast śledził jego wargi, bo wiedział, że Espinosa jest mistrzem w ukrywaniu emocji. Niczego jednak nie

udało mu się dostrzec. Nie sądził, żeby tę właśnie „tajemnicę” skrywał sierżant; nie należał do ludzi, którzy biorą rewolwer do ręki, ładują kule do bębena, jedna za drugą, zostawiając tylko jedną komorę pustą, a potem przystawiają lufę do podbródka. Ów brutalny wariant rosyjskiej ruletki nazywano w dywizji wioletą¹³.

— Poza tym — dorzucił Espinosa — nie możemy dowolnie rozporządzać naszym życiem, bo jest własnością Boga.

Arturo kiwnął głową bez zbytniego entuzjazmu, powstrzymując się od komentarza, ale za swoje myśli zarobił dodatkowe sto lat w czyścicu. Nie przykładał nadmiernej wagi do niebezpiecznych rozrywek Luisa del Águila, jednak owe informacje pozwoliły mu przesunąć się o kilka pól na szachownicy śladów. Dokonał wstępnej klasyfikacji tropów: gorące, ważne, marginalne, nieistotne i jałowe. Następnie streścił sierżantowi śledztwo przeprowadzone w szpitalu i w łaźniach, a na koniec stwierdził, iż prawdopodobnie mają do czynienia z krwawą egzekucją i mordem rytualnym o niejasnych motywach — skomplikowanym pasjansem, którego zasady znał tylko morderca.

— Czyli trzeba przygotować czosnek i krzyż — podsumował Espinosa zgryźliwie.

— Przezorność nie zawadzi.

— Cholera, faktycznie mogą nam się przydać. A ten napis „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy” nic wam nie mówi?

— Zupełnie nic.

— A może to jednak ten wojak z łaźni?

— Nie wygląda na mordercę.

— Tego nie ma się wypisanego na twarzy.

— To prawda, ale wie, że go podejrzewamy, więc jeśli to on zabił, zrobi się nerwowo i w końcu popełni jakiś błąd.

Espinosa chrząknął, jakby chciał rozwiązać wątpliwości, a może się w nich utwierdzić. Potem dopalił papierosa i wrzucił niedopałek do piecyka; płomienie osaczyły bibułkę niczym drapieżniki, które bawią się swoją ofiarą, zanim pożrą ją w całości. Wyjął z paczki następnego i postukał ustnikiem o blat stołu. Zapalił w pośpiechu, jakby nie mógł oddychać bez dymu.

— Poczekajmy, aż major Zarauza przekaże nam informacje o przeszłości żołnierzy. Jeżeli dopisze nam szczęście, rozwiążemy to cholerstwo sposobem

biurokratycznym.

— Obiecał, że zadzwoni. Ale popyta pan jeszcze o Luisa del Águila?

— Nie ma sprawy — wypuścił ustami bladą smużkę dymu.

— I niech pan jeszcze spróbuje dowiedzieć się czegoś o tej wiolecie. A ja po obiedzie zajrzę do stajni.

Arturo popatrzył na sflaczały plecak i przypomniał sobie o świadku, który zeznał, że Luis del Águila pisał listy.

— Ma pan tam jego pocztę?

— Jeden list. Od siostry.

— Czytał pan?

— Jeszcze nie.

Arturowi zabiło serce. Podniósł plecak ostrożnie jak fiołkę z nitrogliceryną, przechylił i potrząsnął nim delikatnie, wysypując na stół całą zawartość. Sprawdził, czy nic nie zostało w środku, i odstawił go na bok. Tubka kremu do golenia, pędzel, brzytwa Gottlieb Hammesfahr, ołówek, zeszyt, koperty, zapalniczka Haushaltware, paczka papierosów Juno, *Personalausweis*... Ślady istnienia, przedmioty, które trwały z uporem rzeczy błahych, codziennych. Przesuwał je z miejsca na miejsce niczym pionki na wymaginowanej szachownicy, pochłonięty bez reszty najprostszą i najbardziej złożoną ze wszystkich czynności: obserwacją. Próbował w owej pozornej monotonii wykryć jakikolwiek wyjątek. Nie było niczego, co mogłoby stanowić punkt zaczepienia dla jakiejś hipotezy, wybrał zatem list i fotografię i położył je przed sobą, jedno obok drugiego. Wziął do ręki zdjęcie; był to portret grupowy, niby uwieczniona przed meczem drużyna piłkarska, z tym że złożona z dwudziestu sześciu zawodników. Na odwrocie widniał podpis: „Grafenwöhr, lipiec 1941”. Ponownie odwrócił fotografię. Zrobiono ją w Bawarii, na terenie wielkiego obozu, w którym zakwaterowano i sformowano Błękitną Dywizję przed wymarszem do Rosji. Żołnierze w mundurach Wehrmachtu, spleceni ramionami w dwuszeregu, na stojąco i w kucki. Wojskowy ekwipunek zalegający na widocznym w tle ogromnym placu wskazywał, że był to dzień fasowania rynsztunku. Uśmiechnięci młodzi ludzie mieli wszyscy po dwadzieścia lat i nie wiedzieli, co z nim zrobić. Skrzywił się z pobłażliwym rozrzewnieniem, ową leciutką wzgardą, jaką wspomnienie minionej młodości budzi w nas na równi z pragnieniem, by przeżyć ją od nowa. Doskonale mógł ich sobie wyobrazić na Gran Vía dwa lata temu, tuż po tym, jak gruchnęła wieść o inwazji Niemiec

na Rosję. Okrzyki, hasła, manifestacje... burząca się w żyłach krew. Ulica Alcalá i filigranowa postać Serrana Suflera na owym słynnym balkonie, z którego pokierował wołą ludu, zwielokrotnioną, wzmocnioną wspólnotą krwi. Rwali się do walki z komunistyczną hydrą, błagali, żeby ich wysłać na front. Zapomnieli o tym, o czym pamiętał Arturo i przed czym już wieki temu przestrzegala święta Teresa — że więcej łez wylano przez modlitwy wysłuchane niż przez te, które pozostały bez odpowiedzi. A potem przed pożegnalnym tłumem stłoczonym na peronie Dworca Północnego przedefilował długi pociąg, ukazując w oknach ich roześmiane twarze i usta wznoszące buńczuczne okrzyki. Zostawił w tyle jednostajne krajobrazy i mosty, przemierzył dwa kraje w trzy dni, by wywieźć ich daleko od nieistotnych brzegów, które były im domem, tam, gdzie toczyła swe wody głęboka, powolna rzeka Historii. To musiało być dziwne uczucie: zasnąć u siebie i nagle obudzić się w zupełnie innym miejscu: w punkcie spotkania Historii z czyjąś osobistą historią, w owym skrzącym i mrocznym punkcie. I trzeba było widzieć ich miny, gdy posuwając się w głąb Rosji, zdecydowani ją zniszczyć, spoglądali na siebie nerwowo, zaniepokojeni widokiem śnieżnych połaci, gdzie nicość strzegła nicości. Arturo niezbyt im współczuł... Historia stara jak świat, jak powtarzana do znudzenia lekcja: wygięta w niemym pytaniu szyja białego łabędzia¹⁴. Przesunął paznokciem po uwiecznionych na zdjęciu podbródkach, dopóki nie natrafił na tę jedną konkretną twarz. Wszyscy uśmiechali się, wpatrzeni w obiektyw; wszyscy oprócz stojącego po lewej żołnierza, który się nie uśmiechał i zerkał w bok, jakby szukając okazji do ucieczki. „Jest — pomyślał Arturo — a raczej był?”. Luis del Águila. Nie zatrzymał na nim wzroku; szukał czego innego. W skupieniu badał zdjęcie, zastanawiając się, która z tych twarzy mogłaby być obliczem Śmierci. Bo Śmierć ma słabość do grupowych portretów; pojawia się dyskretnie, gdzieś w tle, przez nikogo nierozpoznana. Wypatrywał jej chciwie; może to ten z drugiego rzędu, czwarty od prawej, trochę zamazany, niewyraźny... Może. Odłożył fotografię i sięgnął po list. Na kopercie widniały nazwiska nadawcy i adresata, numer poczty polowej oraz tłuste, czarne stemple Feldpost i wojskowej cenzury. Bardzo ostrożnie zajrzał do środka i wyjął arkusik papieru zapisany po jednej stronie ołówkiem, starannie stawianymi, okrągłymi, niemal dziecinnymi literami. Przeczytał tekst z uwagą archeologa, precyzyjnie i delikatnie usuwającego pędzelkiem

starożytny kurz. Skończywszy, podał kartkę Espinosie. Kiedy sierżant, bezgłośnie poruszając ustami, zapoznawał się z jej treścią, Arturo poczuł nagły przypływ słabości niesionej przez głęboką rzekę melancholii, której przyczyną nie była towarzysząca mu stale samotność, lecz emocje, jakim zwykle nie ulegał. Ani broń, ani kamień — wystarczy słowo, by głęboko zranić czyjeś serce. A te słowa opowiedziały mu o domu, o „rodzinnym ognisku”, gdzie nigdy się nic nie dzieje, gdzie jest ciepło i gdzie nie mieszka śmierć. Za tym listem roztaczał się skromny świat, trochę naiwny, trochę pobożny, zawsze niezmienny, przewidywalny, bezpieczny. Miejsce kanap i foteli z kretonową tapicerką, stolików z piecykiem, hałaśliwych maszyn do szycia, świętych obrazków, kurantów wydzwanianych jeden za drugim, tanich perfum o słodkim zapachu, sukienek w kwiaty, delikatnej poświaty ukrytego w półmroku radia w gotyckiej obudowie ze sztancowaną w zielonkawym mosiądzu nazwą jakiegoś egzotycznego miasta... Raptem poczuł na sobie ciężki wzrok. Podniósł oczy i napotkał spojrzenie Espinosy, który przeczytał już list i teraz wpatrywał się w Artura z natężeniem. Zapomniał nawet o swoim sakramentalnym papierosie, który tlił się, przyklejony do warg, spopiелony niemal do wilgotnego od śliny ustnika. Trudno powiedzieć, jak długo to trwało, ale sierżant chyba nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu.

— Zaraz spadnie... — powiedział ostrzegawczo Arturo.

Espinosa zorientował się za późno. Klnąc na czym świat stoi, otrzepał zabrudzone popiołem spodnie. Arturo przezornie odczekał chwilę i odezwał się znużonym głosem:

— Przyjechał z majową zmianą. Niedługo miał wrócić do domu. Spędził tu dziewięć miesięcy.

— Akurat tyle, ile trwa ciąża — dodał Espinosa.

— To prawda — Arturo starannie i powoli dobierał teraz słowa. — Z czasem wszystko powinno być łatwiejsze.

Sierżant podrapał się palcem po długich, rzadkich kosmykach przyklejonych do czaszki. Przez sekundę Arturo ujrzał siebie jego oczyma; chyba wołał nie wiedzieć, co Espinosa o nim myśli.

— Są rzeczy, do których człowiek nigdy się nie przyzwyczai — stwierdził bez odrobiny patosu.

Oddał mu list i obserwując marmurowy pejzaż za oknem, zastygły w trzaskającym mrozie, dopalił kolejnego papierosa. Potem schował do plecaka

wszystko, co wyjął z niego Arturo. Ten zaś ponownie zanurzył się w lekturze listu, którego słowa znów rozbiegły się po jego mózgu niczym gromada maleńkich pajaków.

Ibiza, 7 stycznia 1943 roku

Najukochańszy Braciszku!

Cieszymy się, że już wyleczyłeś się z ran. U nas wszyscy zdrowi, tylko trochę nas chwycił katar, ale Bogu dzięki szybko minął.

Ojciec i matka wspominają Cię codziennie i nawet nie wiesz, jak się cieszą z każdego listu. Matka mówi, żebyś był grzeczny dla wszystkich i nikomu się nie naprzykrzał. Twój przyjaciele przesyłają Ci pozdrowienia i uściski, szczególnie Elpidio.

Doszły już pieniądze, które nam wysłałeś, ale to za dużo i nie wysyłaj więcej, bo Ci nie starczy na jedzenie. Tutaj trudno cokolwiek dostać, jak sam rozumiesz, a Ty musisz o siebie dbać.

U nas wszystko po staremu. Ja dalej służę u doñi Engracii, która nam bardzo pomaga i też kazała Ciebie pozdrowić.

Piszesz, że nie możesz spać i nie wiesz, jak sobie poradzić z tym cierpieniem, co Cię gryzie, a na które nie ma sposobu, to mogę tylko powiedzieć, żebyś się polecił Bogu, bo to on waży i mierzy. To dobrze, że rozmawiasz z tym Waszym księdzem, myślę, że może coś pomóc. Nie bądź taki uparty i hardy. Módl się, to jedyne lekarstwo.

Na razie więcej nie mam o czym pisać, więc już kończę. Kocham Cię i zawsze o Tobie pamiętam,

Twoja siostra

— Jak ktoś, kto ma taką siostrę i bliskich na utrzymaniu, może nie dbać o własne życie? — zapytał na głos, przeczytawszy ostatnią linijkę. — Rozumiem, że chleje, niech się zalewa nawet wodą spod kwiatków, zawsze znajdzie się powód do picia, ale ruska ruletka to czyste samobójstwo... Dlaczego to robił?

— Może właśnie dlatego. Żeby wysłać do domu pieniądze.

— Nie, to się nie trzyma kupy. Musi być coś jeszcze.

Popatrzył błagalnie na Espinosę, ale sierżant zamknął się w sobie i milczał. Ludyczne zamięłowania ofiary awansowały nagle o kilka miejsc w

hipotetycznej klasyfikacji tropów przyjętej wcześniej przez Artura.

— Zmiana planów — oznajmił. — Mówił pan, że widziano, jak Luis del Águila pisał listy?

— Mówiłem.

— To gdzie one są? Bo nie w pańskim plecaku.

Espinosa błysnął inteligencją ostrą jak maszynka do golenia.

— Trzeba sprawdzić na poczcie — podsunął.

— Właśnie. Mógł je przecież wysłać, zanim go zlikwidowali.

— Minęło sporo czasu, pewnie już zostały wyekspediowane do Hiszpanii.

— Zawsze są jakieś opóźnienia, może nam się poszczęści. Zawiadomię podpułkownika Navajasa, niech zatrzymają pocztę. Pojadę tam, a przy okazji pogadam z majorem Zarauzą; ktoś w Hiszpanii musi sprawdzić, czy Erundina del Águila ma jeszcze jakieś inne listy od brata. A pan niech dalej pyta i rozejrzy się w stajniach. No i dobrze by było powęszyć trochę wokół tej nielegalnej ruletki. — Rozwahał przez moment, czy nie zlecić sierżantowi wizyty u fotografa, ale po zastanowieniu stwierdził, że woli to zrobić sam. — Cóż — zakończył — mamy też kolejny punkt zaczepienia w postaci księdza. Zobaczymy, co nam powie o tym cierpieniu, które gryzło Luisa del Águila.

Na wzmiankę o kapelanie Espinosa zeszywniał, po czym odezwał się ponurym głosem:

— Macie rację. Potrzebna nam pomoc.

— Będziemy jej szukać wszędzie, gdzie się da — zapewnił Arturo.

— Tak... — Sierżant wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu. — Najlepiej nie na tym świecie.

Odsłony terażniejszości

— Słyszałeś już?

Kapral Aparicio Tárrega spoglądał nań z siodełka zdezelowanego, terkoczącego motocykla z przyczepką, ściągając gumkę lotniczych okularów, żeby dopasować je do żelaznego hełmu. Nie, Arturo jeszcze nie słyszał, zdążył za to jednym telefonem zastopować biurokratyczną maszynę, której na szczęście daleko było do niemieckiej sprawności, i wstrzymać korespondencję całej dywizji, przechowywaną w poczcie polowej przy Sztabie Głównym w Pokrowskiej. Musiał się tam jakoś dostać, a za najpraktyczniejszy środek lokomocji uznał pojazd kaprala Aparicio, który odpowiadał za transport worków z intendentury i z którym bez trudu zawarł układ, wyjaśniwszy uprzednio w czym rzecz.

— Nie, panie kapralu — odpowiedział. — Co się stało?

— Złapali szpiega.

— Niemożliwe. — Arturo perfekcyjnie odegrał zdumienie i zgrozę.

— Przy jednym z jeńców znaleźli mapy i sowieckie dokumenty.

— To świetnie, chociaż obawiam się, że to nie koniec.

— Racja, tu nawet komary są czerwone.

— Niech mi pan nie mówi o komarach. — Arturo przypomniał sobie poprzednie lato, nad Wołchowem, i chmary bzyczących owadów o ssawkach długich jak igła strzykawki, z łatwością przebijających siatkę z tarlatanu.

— To prawda, ale chyba lepiej, żeby to nie był ostatni. Im więcej ich złapiemy, tym lepiej.

Arturo przyglądał się kapralowi z uwagą: przecięta blizną twarz, czarne oczy, totemiczny nos... — oto kwintesencja rezolutnej młodości, siły zdolnej jednym ciosem odesłać wszelki sceptycyzm na tamten świat. Podziwiał go, zazdrościł mu.

— Jasne, że tak — powiedział wreszcie, po czym wskazał przyczepkę. — Jaja nam zamarzną. A gdzie samochód?

— Wsiadł silnik. To był straszny gruchot. Oddałem go do przeglądu.

— A ciężarówka? Przecież ją naprawiali?

— W rozsypce. Czekamy na części.

— A jak nawali nam motor?

— Pojedziemy saniami.

— A potem?

— A potem niech się inni martwią. Nie marudź, wsiadaj.

— Nie zmieszczę się tu — orzekł Arturo, patrząc krytycznie na wielki wór z pocztą zajmujący całą przyczepkę.

— Zmieścisz się, zmieścisz. Połóż sobie worek na kolanach, pomyśl, że to kobitka.

— Potrzeba dużej wyobraźni.

Skulił się jak mógł na ciasnym siedzeniu, trzymając w objęciach pękaty toból. Aparicio założył okulary i energicznie przekręcił manetkę. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy pasażer już się usadowił.

— Gotów?! — zawołał, przekrzykując warkot silnika.

— Co? — Arturo przytknął dłoń do ucha.

— Można jechać?

— Tak, tak...

— Aha, byłbym zapomniał... Miałeś jeszcze kłopoty z dojciami? — zapytał Aparicio, macając się po kostce.

— Nie, panie kapralu, dziękuję.

Dostrzegł zaciekawienie w jego twarzy i domyślił się, że chodzi o śledztwo, ale na szczęście kapral o nic więcej nie pytał, co oszczędziło Arturowi kłamstw.

— Posłuchaj dobrej rady! — odkrzyknął Aparicio. — Z Ottonami najlepiej gadać o matematyce. Lubią, żeby wszystko się zgadzało co do joty, to ich kręci. Dwa dodać trzy?

Arturo spojrzał na niego, zdezorientowany jak pies, który musi przebiec przez ruchliwą szosę.

— Pięć?

— W dupę wsadzić mam ci chęć. To też ich kręci. Jazda, w drogę!

Motor skoczył z impetem. Arturo, przygnieciony ciężarem worka, poczuł, że się dusi. Przez dłuższą chwilę mocował się z nieporęcznym tobołem, a

kiedy odzyskał dech, przekonał się na własne oczy, że kiedy kapral miał ochotę pożartować, potrafił śmiać się każdą częścią ciała. Każdą.

Po przyjeździe do Pokrowskiej Arturo stwierdził, że on też umie coś robić każdą częścią ciała: obijać się boleśnie. Przy czym najgorszy ze wszystkiego wcale nie był epistolarny ciężar zwierzeń setek ludzi ani nieustanne podskakiwanie motocykla, jakby umyślnie szukającego dziur i wybojów, ani nawet lodowaty wiatr, który przeszywał do kości i omal nie odmroził mu nosa; najgorsze, naprawdę dramatyczne, było kurczowe trzymanie się przyczepki, w obawie że jakiś gwałtowny manewr skończy się wywrotką. Kiedy wreszcie wysiadł — obolały, sztywny, siny z zimna — z trudem powstrzymał się od skalania powietrza cisnącymi się na usta słowami. Doszedłszy do siebie, pożegnał się na krótko z odjeżdżającym na parking kapralem. Nie od razu ruszył w stronę pałacyku. Przez chwilę spoglądał na łagodną kopułę nieba i słońce, które przebijało się ukośnymi promieniami przez monotonną szarzyznę aury. Znał już drogę, wmieszał się zatem śmiało w kłębiący się wokół kwatery rój i wymijając szereg objuczonych koni powiązanych ze sobą wodzami — łeb jednego do ogona drugiego — dzięki czemu do pilnowania kawalkady wystarczył jeden wojak, skierował się w stronę neoklasycznego frontonu. Przy wejściu wylegitymował się i przeszedłszy pomiędzy jońskimi kolumnami o wyszczerbionych kapitelach, wkroczył po raz drugi do kwatery głównej. Na widok krążących po westybulu ludzi, którzy tworzyli jakby jeden wspólny organizm złożony z miriadów ruchów i słów, poczuł znowu, że nie mają tu dostępu katastrofy, klęski i zarazy; podobnemu złudzeniu kontroli ulegamy, nastawiając godzinę na zegarku. Odnalazł pomieszczenia poczty polowej. Za drzwiami zdjął hełm, zameldował się i wręczył rozkaz podpułkownika Navajasa kierownikowi — żylastemu sierżantowi o długich baczkach i skórze ściemniałej jak wysłużony rzemień. Kiedy słuchał jego zmanierowanego głosu i obserwował, jak sprawdza pozwolenie, delektując się każdym słowem niczym francuski smakosz racjami żywnościowymi Heer, nabrał pewności, że don Picuś Glancuś, jak od razu ochrzcił go w myślach, raczej nie przypadnie mu do gustu, ale może się okazać użyteczny.

— W porządku — stwierdził kierownik, oddając Arturowi wymięty dokument. — Sierżant Cecilio Estrada, do usług.

— Muszę zadać panu kilka pytań, panie sierżancie.

— Uczynię co w mojej mocy.

— Zapewne jest pan zorientowany w wydarzeniach, które miały miejsce na Sławiance?

— Coś mi się obilo o uszy.

— Nie muszę przypominać, że wszystko, o czym tu mówimy, ma charakter ściśle poufny.

— Rozumiem, zadbam o to.

— Nie wątpię, panie sierzancie. W takim razie przejdę do sedna. Podejrzewamy, że doszło tam do zabójstwa, a sprawcy należy szukać w Miestielewie. Ofiarą był niejaki Luis del Águila i sądzimy, że w liście, który najprawdopodobniej wysłał przed śmiercią, znajdziemy być może wskazówki pozwalające schwytać mordercę. Jak dotąd wszystko jasne?

— Jak słońce — odparł sierżant z miną świadcząca, że docenia powagę sytuacji.

— Dobrze. Musimy się dowiedzieć, czy macie ten list, oczywiście jeżeli istnieje. Poza tym... — zawahał się, ale zaraz podjął stanowczym tonem: — Trzeba będzie przejrzeć całą dostępną korespondencję. Może uda się znaleźć coś jeszcze. Każdy trop jest cenny.

— To oczywiste, ale do tego potrzebny jest rozkaz majora Reyesa Zarauzy.

— Nie wystarczy to, co panu pokazałem?

— Poczta połowa jest w gestii wywiadu. Korespondencję udostępniamy tylko na wyraźne polecenie majora.

— A nie możemy tego załatwić między nami? Zgodę przyniosę później. Czas nagli.

— Nie.

Arturo nie nalegał, czując, że ustępstwo jest równie prawdopodobne jak to, że jego rozmówca zacznie srać diamentami.

— Ma pan słuszność, sierzancie — polubownie zmienił taktykę. — Należy przestrzegać przepisów. Mogę skorzystać z telefonu?

Don Picuś Glancuś sprawiał wrażenie, że nie słyszy, wpatrzony w coś za plecami Artura.

— Nie ma potrzeby — rozległ się czyjś głos.

Sierżant Cecilio Estrada zerwał się z miejsca i stanął na baczność. Arturo obejrzał się przez ramię. W drzwiach zobaczył wydatny brzuch, a za nim okazała postać majora Reyesa Zarauzy. Dziobata jak korek twarz zdradzała objawy bliskiej apopleksji. Szef Dwójki przełożył do lewej ręki przyniesioną

teczkę, a palcami prawej potarł cieniutki wąsik.

— Powiedziano mi, że przyjechaliście.

— Tak jest, panie majorze — zaszalutował Arturo; zdawało mu się, że ton głosu majora był bardziej przyjazny niż przy ich pierwszym spotkaniu. — Mam tu robotę.

— Jak wam idzie?

Arturo przedstawił pokrótce rozumowanie, które doprowadziło go do poczty polowej.

— Gratuluję, robicie postępy w śledztwie. Przyznaję, mam trudny charakter, ale wierzcie mi, jestem po waszej stronie.

Arturo przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć; nie potrafił odczytać intencji majora ani ocenić, w jakim stopniu podchwytliwe były jego słowa, zwłaszcza że jednocześnie musiał się pilnować, by jego własne ego nie wybijało zbyt mocno w słońcu pochwał.

— Nigdy w to nie wątpiłem, panie majorze. Ale chciałem zapytać...

— Posłuchajcie — przerwał Reyes Zarauza i chwyciwszy go za ramię, odciągnął na bok. — Nie powinienem wam tego mówić... — zamilkł i zerknął na Cecilia. — Sierzancie, proszę nas zostawić na chwilę samych i dopilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał, rozumiano?

— Rozkaz, panie majorze.

Reyes Zarauza odczekał, aż roztropny Cecilio wykona polecenie. Następnie, z wysiłkiem próbując opanować świszczący oddech, wbił wzrok w podłogę i odezwał się tonem przyjaznym, z lekką poufałym, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa nie ma charakteru wyłącznie służbowego.

— Niech pan posłucha, Arturo, nie chciałbym pana stawiać w kłopotliwej sytuacji. Ma pan konkretne zadanie i musi je wykonać najlepiej jak potrafi. Pańska przeszłość mnie nie obchodzi. Interesuje mnie tylko to, co jest teraz. Pan też tak myśli?

— Tak, panie majorze.

— No cóż... — szukał odpowiednich słów, dostatecznie ważkich i stanowczych. — Ale w życiu dobre intencje to nie wszystko, zwłaszcza gdy się okazuje, że nie tak łatwo przejść od zamierzeń do czynów. Piętrzą się rozmaite trudności, cudze interesy, duże pieniądze. Jasno się wyrażam?

— Staram się pana dobrze zrozumieć, majorze.

— Widzę, że jednak niezbyt jasno. A więc — przypominał teraz brzuchatego Buddę głoszącego nauki małuczkim — ludzie nie są równi,

nawet po śmierci. Luis del Águila był żołnierzem, ale był też falangistą, dobrym falangistą. Ja również, a przynajmniej próbuję takim być, i zapewne zgodzi się pan ze mną, że wywiad to kręgosłup całej naszej dywizji.

— Bez wątpienia, panie majorze.

— Widzę, że zaczynamy się rozumieć. Chcę powiedzieć, że gdyby to ode mnie zależało, śledztwo przeprowadziliby moi ludzie, co nie znaczy, iż uważam, że podpułkownik Navajas nie zrobi wszystkiego co w jego mocy, skądże, Boże uchwaj, ale bywają... — zająknął się i zamilkł. Arturo słyszał niemal, jak tyka jego mózg. — Ale bywają okoliczności, na które nie mamy żadnego wpływu, sprawy zmieniają obrót w najmniej oczekiwanym momencie, a wówczas rządzą prawa niepisane. Kiedy to nastąpi — spojrzał mu znacząco w oczy — może pan na mnie liczyć.

Tajemnice, ciągle jakieś tajemnice. Mętną deklarację majora Arturo zinterpretował jako ostrzeżenie, iż któregoś dnia faktycznie może mu nabruździć. Nie był zaskoczony. Pytanie brzmiało: dlaczego? Czyżby konflikt pomiędzy błękitnymi koszulami a wojskiem był aż tak poważny? Zatem wybrano go nie dlatego, że żandarmeria była zavalona pracą. Szukali pionka. Coraz bardziej mu się to nie podobało.

— Dziękuję za zaufanie, panie majorze. Będę pamiętał. Teraz najpilniejszą sprawą jest wstępna selekcja podejrzanych. Jak najszybciej muszę mieć listę nazwisk. I ktoś powinien sprawdzić w Hiszpanii, czy siostra nieboszczyka, Erundina del Águila, ma więcej listów od brata.

— Proszę się nie kłopotać, natychmiast wydam stosowne rozkazy. A co do listy nazwisk, właśnie w tej sprawie przyszedłem. Jak tylko się dowiedziałem, że jest pan tutaj, postanowiłem wręczyć ją osobiście.

Arturo dopiero teraz zwrócił uwagę na teczkę. Major oparł ją sobie o pierś, rozwiązał tasiemki i wyjął kilka kartek.

— Patrzyliśmy przez lupę. Wie pan, że mamy tu pełen przekrój: ideowców, zapaleńców, księży, awanturników, wyrzutków... Odwaliliśmy kawał roboty, sprawdziliśmy wszystkich i zostało nam osiemdziesięciu siedmiu podejrzanych, z których połowę wykluczaliśmy, a nad resztą jeszcze pracujemy. Na szczególną uwagę zasługuje trzech typów spod ciemnej gwiazdy. Oszczędziliśmy panu pracy i zweryfikowaliśmy ich alibi: jeden wyciągnął kopyta w zeszłym tygodniu, drugi miał wartę. Ale ten trzeci to inna sprawa; gość, od którego lepiej się trzymać z daleka, najbezpieczniej na kilometr.

— Jakieś szczegóły, panie majorze? — zapytał Arturo, przerzucając kartki.

— Istna perełka, zaprzaniec, wyrzutek o mrocznej przeszłości i jeszcze mroczniejszym jutrze. Ricardo Guerra Castells alias Guerrita, mason, czekista i pedał: obiecująca trójca. Rodzynek w cieście. Kierował komórką Czeka w Fomento, później należał do SIM, brał udział w tajnych operacjach. Reszta jest w raporcie. Ale ma na sumieniu gorsze rzeczy, cholerny zboczeniec...

— Jest coś jeszcze?

— To on był mózgiem planu „Talion”. Musiał pan słyszeć, w Dwójce wszyscy znali te sprawy.

Arturo aż gwizdnął. A więc to tak... Słynny plan „Talion”, nieudany zamach na życie Caudilla.

— Jak to się stało, że go jeszcze nie rozstrzelali?

— Dla niego zarezerwowano miejsce w pierwszym rzędzie: garotę. Ale o to najlepiej sami go zapytajcie. Caudillo osobiście ułaskawił Guerritę, a potem wysłał tutaj, z wyraźnym zakazem ujawniania tożsamości, żeby go ktoś nie załatwił.

— Dziwne.

— Nawet więcej niż dziwne. Znając Caudilla... To znaczy znając jego wytrwałość w tępieniu takich chwastów — dodał czym prędzej, uprzedzając jakąkolwiek nadinterpretację. — Ale jak chcesz go zobaczyć na arenie, musisz się pospieszyć. — Arturo rozpoznał słynny okrzyk znanego toreadora na widok ryzykownych, graniczących wręcz z brawurą manewrów Belmontego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że trzymają go w Puszkynie, gdzie razem z saperami czyści miny. W każdej chwili może wylecieć w powietrze.

Arturo kiwnął głową i przejrzawszy pobieżnie raporty, głośno wyraził swoją opinię:

— Brakuje tylko wzmianki, że pije ludzką krew.

— Wcale bym się nie zdziwił.

— To bardzo cenne informacje, panie majorze — stwierdził, wkładając pod pachę zwinięte w rulon dokumenty. — A przy okazji... niech mi wolno będzie pogratulować panu schwywania tego szpiega.

— Poczta pantoflowa nie próżnuje — westchnął major z lekką przyganą w głosie. — Czeka na egzekucję, a tymczasem próbujemy go trochę przycisnąć,

może jeszcze coś powie.

— A jeżeli nie powie nic? — zapytał Arturo, zanim zdążył się ugryźć w język.

Na wargi Reyesa Zarauzy wypłynął olimpijsko okrutny uśmiech.

— Są sposoby, żeby każdego zmusić do mówienia, to tylko kwestia wyobraźni, a są wśród nas tacy, którym jej nie brakuje.

Ta uwaga zakończyła rozmowę, pozostawiając Artura z uczuciem nieokreślonego wstydu. Major, wypełniwszy nieoficjalną część swoich obowiązków, przywrócił relacje służbowe i przywołał podwładnego do porządku krótkim: „Bacznosc!”. „Zawiadomię was, jeśli będę miał coś nowego” — dodał na pożegnanie. Arturo pozostał w postawie zasadniczej, dopóki w miejsce majora nie pojawił się sierżant. Wyrzucał sobie własną naiwność, tę dziecinną nadwrażliwość, której nie potrafił się pozbyć z upływem lat; doszedł do wniosku, że chyba się z tym urodził i ani doświadczenie, ani nabyta kultura, ani inteligencja tego nie zmienia. Kiedy spokojnie przeczytał dostarczone przez Reyesa Zarauzę dokumenty, to chociaż nie był podatny na katechizacyjną propagandę, poprzez którą reżim realizował w Hiszpanii swój projekt inżynierii społecznej, nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż wolnomularska przeszłość Guerrity ma jakiś związek z okolicznościami tej osobliwej zbrodni, przywodzącej na myśl mroczne rytuały masonerii. Przeczytał jednak wszystko, ze staromodną wiarą w istnienie „złotego wzorca”, wiarą człowieka, który nie ufa Historii, bo zbyt wiele już widział i zdążył się przekonać, że „doskonali podejrzani” istnieją tylko w powieściach, w przeciwieństwie do zbrodni doskonałej, która jest możliwa jedynie w rzeczywistości. Złożył kartki i schował do kieszeni. Szczupła, smągła postać Cecilia Estrady drgnęła ze zniecierpliwienia; mimo jawnej podejrzliwości sierżant okazywał całym sobą, jak bardzo go irytuje niepotrzebna strata czasu. Arturowi to pasowało.

— Cóż, panie sierżancie, chyba już mamy autoryzację? Możemy zacząć?

Don Picuś Glancuś przyglądał jeden ze swoich bokobrodów i ruszył przed Arturem w milczeniu. Nawykły do monotonii bankowych kolejek, poprowadził go przez ciasne kiszki pocztowych korytarzy do pokoju cenzorów. Idąc, usłyszeli pęczniejący z wolna głos, krzykliwy, spazmatyczny, który raz uderzał w tony uroczyste, podniosłe, raz smagał wściekle inwektywami, by po chwili przejść w desperackie staccato. Głos Hitlera. Wrażenie, że Führer we własnej osobie znajduje się tuż obok, być

może zaledwie o kilka metrów, sprawiło, iż Artura przeszły ciarki. Poczul niemiłe łaskotanie w żołądku. Uczucie niepewności trwało, dopóki nie dotarli do celu: w rogu pokoju, ze szczytu wielkiej szafy pełnej szufladek z dokumentami, nastawione na cały regulator radio wypluwało orację ucezarowanego przywódcy, nadawaną specjalnie dla Hiszpanów przez rozgłośnie w Pskowie. Cenzorzy, w nabożnym skupieniu śledzący ową tyradę, nawet nie zauważyli, że ktoś wszedł. Cecilio położył palec na ustach. Arturo nie potrafił odgadnąć, czy sierżant chce zaskoczyć podwładnych na niesubordynacji, czy może sam ma ochotę wysłuchać przemówienia. Oczyma wyobraźni ujrzał film wyświetlany zapewne w tej chwili gdzieś w Niemczech: propagandówki UFA w specyficzny sposób estetyzowały politykę, ukazując zawsze ten sam plac, salę lub stadion, pełne głośników, swastyk, afiszów; rozogniony, wyjący tłum; frenetyczne owacje; a w głębi sceny — On, Wielki Sofista, Werbel, Zbawca Germańskiej Ojczyzny, Adolf Hitler Pöztl, uwodzicielski potwór, wytaczający cały swój arsenał retoryki i megalomanii.

Nie trzeba było rozumieć, co mówi; wywierał nawet większe wrażenie, jeżeli się „nie rozumiało”. Arturo rozszyfrowywał owe frazy, wiedząc doskonale, że puste garnki robią najwięcej hałasu, a Führer po prostu opróżnia słowa ze znaczeń i napełnia je emocjami, powtarza kłamstwa — raz, drugi, trzeci, dopóki ów narkotyczny rytm nie przemieni ich w prawdę, przeobrażając puste hasła w symbole. Tak, Arturo był świadomy tego, iż nazizm posługuje się jedynie fantazjami, sloganami i resentymentem. A jednak on także dał się uwieść irracjonalnym karesom słów, które nie przemawiały do intelektu, lecz do serca, odwołując się do panicznego lęku przed wolnością, podświadomie odczuwanego przez każdego człowieka. Syreni śpiew ustał, gdy Cecilio Estrada podszedł do szafy i wyłączył radio. Nie udzielił nikomu nagany, czego się spodziewał Arturo; popatrzył tylko, zniecierpliwiony, jakby szukał kogoś wzrokiem. Krzesło, na którym bujał się jeden z cenzorów, głośno stuknęło o podłogę. Na widok przełożonego żołnierz tak gwałtownie pochylił się do przodu, że omal nie stracił równowagi. „Kompania Watermanna” — nazywana tak w dywizji przez skojarzenie z wiecznym piórem — owa zbieranina stróżów prawa, przydzielonych na odcinek gryzpiórków, stanęła na baczność jak jeden mąż. Widząc, że wszyscy wpatrują się weń z uwagą, sierżant Cecilio Estrada przedstawił im sytuację z bogactwem szczegółów porównywalnym z

drobiazgowym opisem wystroju hinduskiej świątyni. Na koniec zwrócił się do Artura:

— Pozwólcie... Oto Octavio Imaz. Wzorowy żołnierz. Zostawiam was w dobrych rękach.

Udzieliwszy tej rekomendacji, wyszedł bez słowa. Octavio był mężczyzną lat około trzydziestu, wysokim, smukłym, o wyblakłej twarzy ascety. Arturo zwrócił uwagę na zaczerwienione oczy, wskazujące na przepracowanie lub nadmierny pociąg do alkoholu, albo na jedno i drugie. Zasalutował słuźbiście, na co Octavio odpowiedział wyniosłym, arystokratycznym gestem, a następnie zaczął mu się przypatrywać w głębokim skupieniu. Arturo zniósł ów sprawdzian mężnie, choć nieco skrępowany w głębi ducha, nie mógł się bowiem oprzeć wrażeniu, iż ów wytworny żołnierz z dezaprobatą spogląda na jego twarz oszpeconą śladami po przebytej ospie. Wreszcie napełniły się rezerwuary pamięci.

— Arturo Andrade... Przypadkiem to nie pan zajmował się tamtą historią z Prado?

— Ja.

— *Sztuka zabijania smoków*... — powiedział Octavio w zamyśleniu, nie dając po sobie poznać, czy uważa, że to źle, czy wręcz przeciwnie, czy wie za dużo, czy też nie wie nic. — No cóż — podniósł głos, zwracając się do pozostałych inkwizytorów — słyszeliście, co mówił sierżant: szukamy listu do Erundiny del Águila, napisanego przez Luisa del Águila, oraz wszystkiego, co może mieć związek z tą zbrodnią. Zaczynamy od początku, a więc od korespondencji już sprawdzonej. Dalej, do roboty.

Rozległ się chóralny jęk w obliczu zalewającego ich potopu listów. Arturo rozejrzał się po wysoko sklepionej izbie, ozdobionej sfatygowanymi afiszami walk byków w Sewilli i Kordobie oraz stojącą pośrodku, obwieszoną bombkami jodłą, wokół której — niczym góra prezentów — piętrzyło się pandemonium kopert, druków, dokumentów, pocztówek, gazet, czasopism, paczek... Jego uwagę przyciągnęła widokówka przedstawiająca angielski lotniskowiec „Courageous” zatopiony przez okręt podwodny i wystająca spod niej kartka pocztowa, napisana prawdopodobnie po lotewsku jeszcze przed sowiecką okupacją. „Słowa — pomyślał — wyzwalające, niszczące, krzepiące... nieodwracalne”. Wszystkie myśli całej dywizji wojska, tysiące mężczyzn trujących się, kochających, cierpiących, potrzebujących pomocy, umierających... Doszedł do wniosku, że komuś, kto zasiada tutaj,

wszechwiedzący niczym jakiś bóg, nietrudno poczuć się naprawdę bogiem, który może czynić innym dobro, ale może także czynić zło. Kiedy znów natknął się na wzrok Octavia, obaj przeżyli jedną z tych niezręcznych chwil, które łatwo jest załagodzić, jeśli się zareaguje na czas, ale które ogromnieją, jeśli się tego nie zrobi. Wzajemny rozdźwięk się powiększył.

— Co jest, panowie? Bywało gorzej.

Tubalny głos Aparicia rozładował napięcie, a jego potężna postać wtargnęła z impetem do pokoju. Kapral z łoskotem cisnął na stół worek z pocztą. Powitała go wrzawa radosnych głosów.

— Ale tłok, myślałem, że nigdy nie zaparkuję.

— Powiedz, Aparicio, słyszałeś o ofensywie? — zagadnął z nadzieją w głosie jakiś żołnierz z ciekącym nosem. — Podobno coś się szykuje.

— Zwykła kaczka — zgasił go inny gniewnie. — Wciskają nam tę bajeczkę, odkąd tu jesteśmy. Tak, tak, koledzy, już wkrótce będziemy maszerować po Newskim Prospekcie... Ciągłe ta sama śpiewka i ciągle nie możemy stąd ruszyć tyłka. Do kurwy nędzy, nie przyjechałem tutaj, żeby całymi dniami czytać listy. Albo trumna, albo generalska szarfa.

— Myślisz, że tylko ty jeden przyjechałeś tu bić się o swoje? — ofuknął go trzeci, jeszcze prawie dziecko, z cieniem wąsika nad górną wargą.

Te dwie uwagi wystarczyły, by rozpętał się ostrzał żalów i skarg. Intuicja podpowiedziała Arturowi, że tak jest tu codziennie. Trumna albo szarfa. Albo zginę, albo będę generałem. Dewiza Juana Prima¹⁵ nabierała w tym miejscu szczególnej mocy. Kiedy narzekania przycichły, jeden z żołnierzy zaintonował falangistowską pieśń, pełną, jak inne jej podobne, kwiecistych rymów i bombastycznych treści. Reszta przyłączyła się ochoczo. Arturo poczuł się bezradny i odrzucony. Odkrył nagle, że już nie jest młody. Młodzi chcą zmieniać świat, a do tego potrzeba naiwności, zapału. On zaś już się wypalił, stał się letni. Tak, oni byli barbarzyńcami, jak powiedział Hitler w swoim radiowym przemówieniu, młodymi barbarzyńcami — bez brzemienia kultury, bez pojęcia o Historii — którzy spustoszą świat i położą kres pewnej cywilizacji. I Arturo poczuł się winny: winny temu, że jest stary, że sam jest częścią tej cywilizacji. Egzaltacja osiągnęła punkt krytyczny. Ktoś, w euforii, zaczął wznosić okrzyki na cześć José Antonia¹⁶, coraz bardziej radykalne, niebezpiecznie mało przychylne dla Caudilla. Falangistowski ferment bąbelkowa! gwałtownie, źle maskując niezgodę na Hiszpanię orężną i

kwietystyczną. Octavio, który do tej pory obserwował ów harmider ze stoickim uśmiechem, uciszył wrzawę jednym głośniejszym słowem. Arturo zauważył, że wszyscy bez sprzeciwu poddali się jego autorytetowi, nawet ci wyżsi stopniem, jak Aparicio.

— Co jest, panowie? Nie marudzić, cała wojna przed nami — wtrącił kapral, chcąc zatrzeć niesubordynację Octavia; zaklaskał w dłonie i dodał: — No, Leoncio, szabelki w dłoń!

Wzmiankowany Leoncio, ten od zakatarzonego nosa, wstał, podszedł do jednej z wypchanych dokumentami szaf, wspiął się na palce, otworzył nieporęczne, trudno dostępne drzwiczki i rzucając wyzwanie prawom Newtona, wydobył z głębi przepastnego wnętrza dwie butelki. Postawił je na stole: koniak Tres Cepas z zapasów dywizji oraz bimber domowej produkcji, owoc wymiany z tubylcami. Ktoś wyjął szklanki, polano szczerze z obu flaszek.

— Co wolisz? — zapytał Aparicio.

Arturo wolałby gorącą kawę, ale nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby odmówić.

— Wódkę.

Aparicio napełnił szklankę po brzegi i podsunął mu pod same usta.

— Chodź, napij się i zapomnij.

— Tutaj wszyscy żyjemy w zapomnieniu — mruknął Arturo, uważając, by nie uronić ani kropli.

— A teraz — zwrócił się do obecnych żołnierz z młodzieńczym wąsikiem — toast.

Stanęli w postawie uroczystej, pełnej powagi, z respektem wpatrując się w Octavia, którego czoło przecięła głęboka zmarszczka. Czekali na jego słowo.

— Za Hiszpanię — powiedział.

Zasieki wyciągniętych rąk otoczyły go w geście solennego poparcia. Wzniósł wyżej kieliszek.

— Zdrowie.

— *Prosit.*

— *Na zdrowie.*

Wypili do dna. Lodowaty, śliski haust, wykrzywiający dreszczem twarz. Tak, pomyślał Arturo, dobrze być młodym, dobrze być barbarzyńcą. Dobrze jest nie być samotnym. Nagle Aparicio, rosyjskim obyczajem, cisnął szklankę przez ramię. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Jeden po drugim

rzucali je za siebie, a Arturo ochoczo przyłączył się do zabawy. Radosny zgiełk narastał do chwili, gdy jedno z naczyń przekoziółkowało, wydając pusty, głuchy dźwięk, który rozbrzmiewał rytmicznie, dopóki szklanka nie znieruchomiła pod ścianą. Zapadła cisza, wszyscy zeszywnieli w obliczu złej wróżby. Nie rozglądali się, woleli nie wiedzieć, komu nie sprzyja los. Żeby jakoś rozładować atmosferę, kaprał przywołał ich do porządku. Arturo wymienił spojrzenie z Octaviem Imazem, na którego dystyngowanym obliczu malowała się wystudiowana obojętność, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest ponad to. Jego osoba jakoś nie pasowała do munduru, Arturo czuł, że to nie takie proste. Odwrócił wzrok, szukając pretekstu, żeby stąd wyjść. Z pomocą przyszedł mu Aparicio, który z szerokim uśmiechem zaproponował, że kiedy skończy, odwiezie go do Miestielewa.

— Jak długo to potrwa, panie kapralu?

— Trudno powiedzieć. Zależy.

— Zgoda. Dajcie znać, jak coś znajdziecie. O każdej porze.

— Nie martwcie się, zawiadomimy was na pewno.

Kolejnym przystankiem był gabinet podpułkownika Navajasa del Río. Arturo pożegnał się i wyszedł, zostawiając ich wszystkich za progiem przeszłości; przeszłości, która, był tego pewien, prędzej czy później się o niego upomni.

— Przyjmie go pan, panie pułkowniku?

— Niech wejdzie.

Arturo miał wrażenie przerwanej ciągłości, jakby nagle został przeniesiony z jednego miejsca w drugie. Zerknął na ceremonialnego kapitana, który niczym odźwierny pytał o pozwolenie, zgięty wpół w uchylonych drzwiach; uzyskawszy zaproszenie, Arturo obciągnął kurtkę i ostrożnie zajrzał do gabinetu.

— Panie pułkowniku, melduje się szeregowy Arturo Andrade.

— Wejdźcie.

Wszedł. Najpierw dostrzegł wielkie okno z widokiem na lodowaty Hades rozciągający się aż po horyzont. Wyblakłe niebo znowu zasnuły ciężkie, popielate chmury. Szyby podzwaniały cicho od huku pobliskich dział. Rozejrzał się po pokoju; w zasadzie nic się nie zmieniło od ostatniego razu. Przypomniawszy sobie zasłany papierami stół i do listy zapamiętanych przedmiotów dodał pokaźnych rozmiarów lupę na ozdobnym mosiężnym

statywie oraz kałamarz w kolorze oleistego błękitu. Spojrzeniem powędrował ku opasłej Biblii, za pomocą której udało mu się przekonać zebranych, że wybrali właściwego człowieka; potem popatrzył na kalendarz ścienny prezentujący filozoficzną perełkę na ów dzień, 31 stycznia 1943: „Przyprowadźcie mi najszybszego rumaka — zażądał posłaniec — bo właśnie powiedziałem królowi prawdę”. Arturo zasalutował regulaminowo i spróbował dostroić się do reakcji przełożonego. Navajas del Río siedział odwrócony bokiem, ukazując kanciasty, twardy profil wyniosłej Nefretete, i pisał coś na maszynie — niepewnie, z wahaniem, jakby usiłował wystukać ze słuchu jakąś melodię. Kiedy skończył, odwrócił się do Artura i poprawił zsunięte na czubek nosa okulary. Małe ciemne oczy sprawiały wrażenie pokrytych wieloletnią warstwą sadzy. Nadal wyglądał, jak ktoś, kto spędził całą noc na grze w karty.

— Jak znaleźliście tę stronę w Biblii? — zapytał tym swoim zwięzłym, pamiętliwym tonem.

— Mogę?

— Proszę.

Arturo przyjrzał się w zamyśleniu świętej księdze; wciąż wypełniała swe odwieczne zadanie: strzegła milczenia dwóch tysięcy lat. Zwinął furazerkę, wsunął ją pod pagon, podniósł Pismo i podtrzymując je ostrożnie jedną ręką, palcami drugiej spiął okładki niczym kłamrą. Delikatnie rozluźnił i zacisnął dłoń, raz, drugi, trzeci, pozwalając, by kartki same się rozdzieliły.

— Przeważnie otwiera się na stronach najczęściej czytanych, panie pułkowniku — wyjaśnił, odkładając Biblię na miejsce.

— Widzę. Sprawy bywają zwykle prostsze, niż nam się wydaje.

— Tylko czasami.

— W rzeczywistości zawsze — uciął dyskusję Navajas del Río.

Przez jego twarz przemknął chytry uśmieszek. Podpułkownik bębnił chwilę palcami w rozrzucone niedbale raporty.

— Tak... — odezwał się wreszcie. — Mamy coś nowego?

Arturo przedstawił w ogólnych zarysach śledztwo, nadmieniając o masońskich powiązaniach głównego podejrzanego, ale przemilczał zawoalowane sugestie majora Reyesa Zarauzy. Navajas słuchał z uwagą, tylko od czasu do czasu wtrącał jakieś pytanie. Następnie wydobył spod sterty papierów ozdobny sztylet, jeden z tych, którymi armia niemiecka obdarowywała dowódców, i obracając go w palcach, oddał się spekulacjom.

— Podsumowując... Ktoś gdzieś poderzwał gardło Luisowi del Águila, a krew się jakimś cudem ulotniła. To niewiele.

— Być może wystarczy, panie pułkowniku, nie wolno się zrażać. Zgoda, nie znamy miejsca zbrodni, chociaż ja nie ufałbym bez zastrzeżeń zeznaniom świadka, a co za tym idzie, nie odrzucałbym hipotezy z łaźnią. Nie wiemy też dokładnie, co mają wspólnego z tą sprawą konie, ale z pewnością odegrały swoją rolę, czy to jako środek transportu, czy też część przygotowanego zawczasu planu. Wiemy, kiedy został zamordowany Luis del Águila, a jeśli znajdziemy list, dowiemy się również dlaczego. Zresztą jest jeszcze kapelan, on również może nam podsunąć jakiś trop. Kolejność elementów nie ma tu znaczenia, bo ich suma zawsze odpowie na pytanie: kto?

— Nie martwią mnie wasze „elementy”, ale wasze... jak by tu powiedzieć...

— Trzeba działać ostrożnie. Nic nie jest tym, czym się wydaje.

— Nie, wojaku, spróbujmy od początku... Wszystko wydaje się tym, czym chcemy, żeby się wydawało.

Navajas zamilkł i parsknął niczym profesor zniecierpliwiony tępotą ucznia, któremu usiłuje wytłumaczyć jakąś prostą myśl; odłożył sztylet, zdjął okulary, obejrzał je dokładnie i założył z powrotem.

— Później wam coś wyjaśnię — podjął. — Najpierw skończmy z pierwszą sprawą. Sądzę, że do jednego worka wrzucono ziarna i plewy, a w tej sytuacji łatwo o błąd. Ktoś tu może niezłe namieszać. Rozmawialiście z majorem Zarauzą?

— Tak, podał mi kilka nazwisk, żebym mógł od czegoś zacząć.

— Doskonale. Mówił coś jeszcze?

Arturo poczuł się, jakby pod nogami zamiast podłogi miał sprężyste materac; bał się ruszyć, żeby nie upaść. Co robić: powiedzieć prawdę czy skłamać? Nie mógł mieć pewności, że Navajas czegoś nie wiedział. Gdyby zaprzeczył, przyznałby się do winy, a mówiąc „tak”, dałby się złapać w pułapkę i ukręcił sznur na własną szyję. Wybrał politykę najlepszą, a w zasadzie jedyną: unik.

— Zaofiarował mi wszelką pomoc. Podobnie jak pan, panie pułkowniku.

— W jakim znaczeniu?

— W każdym.

Navajas del Río uśmiechnął się i rozparł wygodnie w fotelu. Wskazał Arturovi krzesło.

— Usiądźcie.

Arturo posłusznie wykonał polecenie.

— Major Zarauza to człowiek bardzo uczynny, skory do pomocy... Dobry żołnierz — zagał podpułkownik. — Chociaż ostatnio trochę za bardzo urósł, jak myślicie?

— Powiedzmy, że jest potężnej postury, panie pułkowniku.

— Nie strugajcie wariata. Major jest jak wańka-wstańka...

Arturo z trudem zachował powagę.

— Cóż, zawsze może przejść na dietę. Faktycznie odniosłem wrażenie, że nieco się zaokrąglił, ale ostry reżim...

— Jedyne reżim, jakiemu posłuszny jest major, to reżim frankistowski... i też nie zawsze — uciał podpułkownik. — Co to ja chciałem... — Odwrócił się, prezentując swój numizmatyczny profil, i przez chwilę szukał czegoś w stosie map, segregatorów, rejestrów, grafików. — A, tutaj jest. — Wyciągnął jakiś schemat i bez pośpiechu rozłożył go na stole. — Proszę. Spójrzcie na to.

Ponownie wziął do ręki sztylet i jął wodzić nim po mapie. Czubek noża drżał niczym igła kompasu, wędrując po okupowanej Europie, aż wreszcie znieruchomiał na froncie wschodnim.

— To nasze pozycje, panie pułkowniku — stwierdził Arturo.

— Istotnie, ale popatrzcie tutaj — stalowym ostrzem dziobał raz za razem w linię frontu — i tutaj, i tutaj...

Jął kreślić sztyletem koncentryczne kręgi aż po wybrzeża Afryki Północnej — dokąd wycofał się osaczony przez aliantów Rommel — i Stalingrad, miejsce ostatniej, monumentalnej klęski Niemców. Arturo sądził z początku, że Navajas del Río chciał uwidocznic mu taktycznie sytuację, do jakiej doprowadził Wehrmacht w swoistej parodii rzymskiego imperium: Rzym upadł z powodu nadmiaru granic, Reichowi zaś grozi zguba przez nadmiar frontów. Ale kręgi rozszerzały się, przekraczając równoleżniki i południki, aż w całości objęły swym zasięgiem rosyjskiego mamuta, i Arturo pojmował z wolna, iż elipsa owa jest znacznie mniej oczywista, prowadzi bowiem do nieuniknionego porównania maleńkiego czerwonego kółka, którym zaznaczono ich własne pozycje, z ogromem radzieckiego koloseum. Widok ów wystarczył, by utemperować wszelkie konkwistadorskie zapędy. Na koniec ostrze ponownie wbiło się w Leningrad.

— Stoją tam trzy rosyjskie dywizje, a Bóg wie, ile ich będzie, kiedy się zacznie zabawa. Stalin ściągnie tu wszystkich, do ostatniego człowieka,

przygna ich z najdalszych zakątków Syberii. Cały ten ruch, który widzicie tam na zewnątrz, to nie jest przygotowanie do ataku, ale do obrony, rozumiecie?

Nie odpowiedział, kiwnął tylko głową. Był zaskoczony, że podpułkownik tak otwarcie wygłasza w jego obecności owe niebezpiecznie defetystyczne słowa i nawet nie próbuje ich okraszyć bogoojczyźnianą retoryką.

— Jak widzę, zrozumiał pan, że lepiej tego nie tykać... poruczniku Arturo Andrade.

Oho, kadzi mi, pomyślał Arturo, awansował mnie na oficera.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Wojny wygrywa się najpierw tutaj — wskazał końcem sztyletu własną głowę. — Odnoszę jednak wrażenie, że nikt tego nie chce przyjąć do wiadomości. Tylko niech mnie pan źle nie zrozumie, Arturo. Nie twierdzę, że należy zaprzestać śledztwa w sprawie tak ważnej jak zabójstwo chorążego Luisa del Águila; nie chcę, nie mogę, a nawet nie wolno mi wydać takiego rozkazu, ale po co niepotrzebnie jątrzyć? Tylko nam tu jeszcze męczenników brakuje. Dlatego musimy wybrać mniejsze zło. Nie dopuścimy do tego, żeby przez jakiegoś pomyleńca nasza dywizja przestała być tym, czym jest: kuźnią woli, tygłem zapалу i poświęceń... Jasno się wyraziłem?

W miarę jak generał wikłał się w słowne meandry i dygresje, w Arturze narastało uczucie swego rodzaju *déjà vu* rozmowy z Reyesem Zarauzą. Spróbował odwrócić role.

— Do czego pan zmierza, panie pułkowniku?

— Do czego? To właśnie usiłowałem panu przez cały czas wytłumaczyć. Nie da się ukryć, że jesteśmy bardzo daleko od domu i bardzo blisko czerwonych, a marksizm jest jak choroba zakaźna. Traci się dystans, wszystko się płacze, ludziom roją się w głowach mrzonki, rewolucja... A nam dzisiaj nie potrzeba rewolucji.

Arturo z uwagą słuchał tych tłumaczeń, lecz zamiary Navajasa wciąż były dlań równie nieprzewidywalne jak plamy na Słońcu.

— Domyślam się pańskich intencji, panie pułkowniku, ale gdyby zechciał się pan wyrażać nieco precyzyjniej... Co właściwie mam zrobić?

— I tak powiedziałem więcej, niż powinienem — odparł rozdrażniony. — Proszę mnie już nie ciągnąć za język... to może się źle skończyć dla nas obu. Sam pan będzie wiedział, co robić, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Navajas del Río spojrział z miną kogoś, kto patrzy na morze, przechylony

przez burtę statku, lub stojąc na balkonie, obserwuje gwiazdy. Arturo zamilkł i na znak aprobaty zacisnął usta.

— A jednak — podjął po chwili — muszę zadać kilka pytań, panie pułkowniku. I błagam o jednoznaczne odpowiedzi.

— Śmiało.

— Postawię sprawę jasno. Proszę tylko potwierdzić lub zaprzeczyć: pan wie, kto to zrobił?

Navajas del Río odchrząknął, teatralnym ruchem podniósł się z krzesła, podszedł do stojącego w kącie piecyka i pogrzebaczem poprawił ogień. Potem usiadł z powrotem i zaczął przecierać okulary, co zdenerwowało Artura, który obawiał się, że teraz podpułkownik będzie go lepiej widział.

— Nie.

— Dobrze. A ma pan jakieś informacje, którymi się pan ze mną nie podzielił?

— Żadnych — odparł Navajas twardo, ucinając tym samym wszelką dyskusję.

Arturo postanowił rzucić na stół ostatnią kartę, próbował znaleźć jakiś słaby punkt podpułkownika, szczelinę, przez którą mógłby dostrzec oblicze zadufanego idioty, ukrytego przecież w każdym z nas.

— Wie pan, co mi powiedział major Zarauza? — zapytał.

— Nie.

— Że w dywizji są dwa rodzaje ludzi: falangiści oraz ci, którzy nie są falangistami.

Twarz Navajasa nie zmieniła wyrazu, może tylko odrobinę zeszywniała.

— Major jedynie w połowie ma rację — odparł. — Mówi, że w dywizji są dwa typy ludzi, czy tak?

— Właśnie.

— I w tym akurat się nie myli. Rzeczywiście dwa: żywi i martwi.

Nadał kluczył słowami niby wijący się zygzakiem, niewidoczny wśród suchych liści wąż. Arturo pojął, iż już nie dojdzie tam, dokąd sam by chciał, tylko tam, dokąd mu pozwolą, i stwierdził, że nie warto drążyć głębiej.

— Rozumiem, panie pułkowniku. Mam jeszcze do pana parę innych spraw. — Przypomniał sobie zasadę kija i marchewki. — Aby skutecznie wykonać zadanie, powinienem zostać przywrócony do swojej poprzedniej rangi.

— Wiem, o co chodzi, ale to niemożliwe i pan jest tego świadomy. Mogę

jedynie nadać panu pewne tymczasowe uprawnienia; powiedzmy takie, jakie ma żandarmeria. — Obaj wiedzieli, że w wyjątkowej sytuacji dawało to władzę nawet nad wyższymi oficerami. — Sądzę, że to wystarczy.

— Dziękuję, panie pułkowniku. Poza tym...

— Ależ proszę, śmiało.

— Luis del Águila grywał w wioletę. Coś pan o tym wie?

— Wiem, że to zabronione.

— W dywizji aż się trzęsie od plotek.

— Mogą sobie mówić, co chcą. Powtarzam: to zabronione.

Zapadła niezręczna cisza. Arturo zyskał — albo chciał zyskać — potwierdzenie, iż podpułkownik wciąż hołduje pewnym zasadom. Miał jeszcze jedną sprawę, dość delikatnej natury, odczekał więc chwilę, usiłując doszukać się w spojrzeniu swego rozmówcy owej szczególnej mieszanki irytacji i pośpiechu, wskazującej, że w klepsydrze cierpliwości przesypują się ostatnie ziarenka piasku, ale niczego takiego nie dostrzegł. Postanowił rzucić kości.

— Kiedy to się skończy, chciałbym dostać awans.

— Uważam, że się panu należy — odrzekł Navajas z tym samym wyrazem twarzy. — Zobaczą, co się da zrobić.

Ta ostatnia prośba nie wzbudziła w podpułkowniku najmniejszych emocji. Mimo to popatrzył na Artura ze złośliwym zaciekawieniem. Wyraźnie czekał na jeszcze jedno, ostatnie żądanie; zawsze jakieś się znalazło, kiedy ktoś dostawał to, czego chciał, ponieważ ludzie pragną narzucić innym własną wolę, nawet jeśli przez to skomplikują sobie życie, ryzykując, że stracą wszystko. Zawiódł się jednak, gdyż Arturo, pojawiwszy w lot jego intencje, poddał się bez walki.

— W takim razie wszystko jasne.

Na twarz Navajasa del Río wypłynął szeroki uśmiech, rysując siateczkę drobnych zmarszczek wokół okularów i za ich szklami. Podpułkownik trwał jeszcze przez chwilę w eliptycznym milczeniu.

— Wie pan, dlaczego pana wybrałem? — odezwał się nagle.

Arturo spojrział pytającym wzrokiem.

— Nie, panie pułkowniku.

— Zanim podjąłem decyzję, zasięgnąłem szczegółowych informacji. Mnie niełatwo oszukać: wiem, kim pan jest. Człowiekiem pozbawionym złudzeń, realistą; zapewne dlatego, że przedtem oczekiwał pan zbyt wiele, ale to już

nie moja rzecz. Życie robi rozmaite wolty. Tak czy inaczej nadaje się pan do tej sprawy idealnie, bo jesteśmy do siebie podobni: obaj nie mamy przyjaciół.

Arturo drgnął, jakby siedział na krześle elektrycznym, ale Navajas nie rozwinął wątku. Zadał za to kolejne pytanie: wahanie, z jakim to zrobił, dowodziło, iż nie oczekiwał jednoznacznej odpowiedzi.

— Uważa pan, że jestem okrutny?

— Nie, skądże, dlaczego pan pyta? — odrzekł Arturo, z lekka zaskoczony.

— A czy dowódca nie może wiedzieć, co myślą jego żołnierze?

— Nie... Tak, oczywiście, że tak.

— I zapewne myśli pan, że się o was nie troszczę?

— Nie, wcale tak nie myślę, panie pułkowniku.

Navajas znów postawił wielokropek i dotknął ręką gwiazdki oberstleutnanta na ramieniu, jakby go zabolęła.

— Wie pan co? Nie jestem tutaj po to, żeby moi ludzie mnie kochali. Mogłoby tak oczywiście być, wystarczyłoby okazać odrobinę litości. Ale ja tego nie zrobię. Moim obowiązkiem jest hartować ich, a nie tulić do ojcowskiej piersi. Jak przestaję karać i pozwalam im czuć się zbyt pewnie, zaczynają się jakieś wypadki, giną żołnierze, tracimy pozycje, przegrywamy bitwy, wojny, przegrywamy ojczyznę... Muszę być twardy, po prostu muszę.

— Tak jest, panie pułkowniku.

Arturo domyślił się, że Navajas del Río uparcie powraca do jakiegoś dawnego epizodu, niczym człowiek, który co chwila dotyka językiem szczyrby po wyrwanym zębie. Obserwował, jak na jego twarz wypełzają cienie przeszłości, jak dusi w sobie wspomnienia. Nagle podpułkownik spojrzał na niego surowo i przybrał swój zwykły, oficjalny ton. Znów był sobą.

— Możecie odejść.

Arturo nie zamierzał dyskutować z tą sugestią.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

Wstał, trzasnął obcasami i odwrócił się energicznie. On również uważał, że przeszłości, podobnie jak prawdzie, nie należy zadawać zbyt wielu pytań.

Cerber w randze kapitana zostawił go w przedpokoju niczym opróżnioną ze śniadania tacę, którą powinna uprzątnąć służba hotelowa. Arturo poczuł się trochę urażony, więc wzorem swego legendarnego imiennika postanowił następnym razem obłaskawić go ciasteczkami. Nacisnął czapkę na głowę. W

pierwszym momencie chciał ruszyć prosto do wyjścia, uznał jednak, że chociaż na trochę musi się oderwać od rutyny wojskowego życia. Już dawno pogodził się ze swoim losem, z tym, że nigdzie nie pasuje. Trudno, taki się urodził. Korytarz ciągnął się w przeciwną stronę tak daleko, że Arturo miał wrażenie, iż opuszcza mury pałacyku. Przystanął przed jednym z helleńskich posągów; lubił oglądać rzeźby, ponieważ w przeciwieństwie do ludzi tchnęły pięknem i harmonią. Po pewnym czasie dotarł do samotnych schodów opadających w dół ciasną spiralą. Powoli zstępował po stopniach, na których słychać było jeszcze echo kroków służby, bacznej na każde skinienie dawnego właściciela, księcia Kiryła; za każdym zakrętem natykał się na panoplie z wyblakłymi śladami na zetlałej jedwabnej morze, pozostałymi po wiszącej tu niegdyś, a później rozkradzonej broni. W połowie zejścia, na wysokości głęboko osadzonego w murze okienka, oparł się o kamienną ścianę, zimną i szorstką, i zaczął podziwiać widok za szybą. Pod szarym niebem, rozjaśnionym poświatą w kolorze koniaku, przycupnęła garstka chat, spichlerze i drewniane szopy, a w głębi zamykały horyzont gęste lasy. Wszystko tonęło w objęciach śniegu; imperium, które było swoim własnym odbiciem, hipnotyczne, nieważkie, absurdalne. Patrząc na widmowy spokój, w jakim zastygły tabory na tyłach kwatery głównej, trudno było uwierzyć, że wokół tysiące ludzi zabijają się nawzajem. Nie docierał tu nawet przerywany huk artylerii, której nieuchwytny, śmiertelny cień dniem i nocą kładł się na okopach. Przez kilka niepojętych chwil Arturo czuł się wolny od ciężaru grawitacji, zawieszony w próżni pomiędzy przeszłością a przyszłością. Niczego się nie bał. Nie trwało to długo, bo myśli nieuchronnie znów jęły krążyć wokół zbrodni. Starannie uporządkował fakty, analizując wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Podejrzenie, iż został wplątany w rozgrywki na szczeblach władzy, wywoływało w nim odczucie, że cokolwiek zrobi, będzie to jak próba oświetlenia słońca latarką. Jeżeli tak, to da sobie z tym spokój i powróci do sprawdzonej polityki: raz kijem białego osła, raz czarnego. „Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych”¹⁷. Problemem były ukryte pokłady cennej prawdy, które kolekcjonował, gromadząc słowa, spojrzenia, gesty... wszystkie uświadamiały mu nieustannie, jak bardzo kłopotliwa i niewygodna dla obu stron była ta zbrodnia. Niewątpliwie miał do czynienia z wzajemną grą podstępów: jedni i drudzy, Tyryjczycy i Trojanie, zapewne udawali, ale... Przynurzył się bliżej do okna. Widok śniegu przynosił ulgę,

chłodził rozpalony umysł. Instynkt podsunął mu obraz Lariosa rozprawiającego o zbrodni w afekcie, o namiętności, pasji, którą wyczytał z uszkodzeń kręgów szyjnych ofiary, ale jedyną namiętnością, jaka przychodziła Arturovi na myśl o tej dokonanej z premedytacją, perwersyjnie okrutnej zbrodni, była nienawiść; nienawiść i jej mleczna siostra — zemsta. Jak to się miało do cierpienia, o którym pisała w swoim liście Erundina del Águila? Czym można sobie zasłużyć na czyściec alkoholizmu i ruskiej ruletki? Co może boleć tak bardzo, żeby człowiek musiał niszczyć samego siebie? Miał wrażenie, że zapada się w śnieg za oknem, pogrąża w nim coraz głębiej i głębiej, docierając do miejsca, gdzie myśl nie jest już słowem i obrazem, ale czymś, co trudno wyrazić. Skąd u niego ta obsesja na punkcie łaźni? Wiry szkarłatnej krwi tryskającej z otwartych żył. Bo jeśli nie, to gdzie ta krew? Jeśli nawet w dywizji grasował wampir, to na pewno nie jakiś gotycki stwór, ale zwyczajny człowiek, ktoś upokorzony, skrzywdzony, kto tak łatwo nie zapomina, kto latami przeżuwa urazy, rozpamiętując każdy szczegół, skupiając całą swoją egzystencję w jednej drogocennej sekundzie zemsty: umarły za życia. Tak, mieli trupa. Luis del Águila był trupem, ponieważ go zabito, ale prawdziwy trup przechadzał się wśród nich. I nie unikał luster. Arturo widział to coraz jaśniej i jaśniej; nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że z wolna zapada się w głąb samego siebie. Poczul strach. I chłód. Zdawało się, że za chwilę wpadnie w panikę, gdy nagle zwiewna smuga muzyki przeniknęła w ową psychiczną zawieruchę, wskazując północ, niby chybotliwa igła kompasu w szalejącej burzy. Gwałtownie odskoczył od okna i ruszył za nią, brnąc przez zasypane konceptualnego śniegu, w którym ugrzęzły jego myśli. Czyste, jasne dźwięki pianina przyzywały go z pierwszego piętra. Nastrojowa muzyka, niewłaściwa w tym miejscu, tajemnicza, magiczna. Zszedł z powrotem po schodach i zatrzymał się przed ozdobnymi drzwiami, pierwszymi w szeregu po prawej stronie korytarza. Najpierw upewnił się, że żaden z mijających go oficerów nie uważa owego pokoju za część systemu nerwowego sztabu i że nikogo poza nim nie dziwi płynąca stamtąd melodia. Stał na widoku, czekając, aż ktoś go zagadnie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Zaintrygowany, nacisnął klamkę, uchylił drzwi i zajrzał dyskretnie. Wnętrze wyglądało na oficerską jadalnię: wielki salon o ścianach obitych czerwoną tkaniną, kolumny wspierające sklepiony sufit, z którego zwisał ogromny złoty żyrandol. Owального czereśniowego stołu, z królującym pośrodku wazonem otoczonym porcelanowymi

figurkami, które wyobrażały cztery strony świata, strzegły stojące w żołnierskim ordynku fotele i krzesła, a przy ścianie rozpychał się okazały kominek pełen trzaskających iskrami szczap. Za wysokimi oknami widać było balustradę balkonu; ogromne lustro weneckie powieliło całą wypełnioną muzyką przestrzeń. Przy fortepianie z podniesionym wiekiem siedziała jakaś kobieta i grała. Sztywno wyprostowana, nieco odchyłona do tyłu, jakby musiała mocno trzymać wodze rozhukanych żywiołów. Ze swojego miejsca Arturo wyraźnie widział jej dłonie, których palce w skupieniu szukały właściwego dotknięcia, by jak najwierniej i jak najdoskonalej oddać charakter kompozycji. Miała około trzydziestu lat, szerokie plecy, słowiańskie rysy o kościach policzkowych jakby rzeźbionych w marmurze i rude włosy zebrane w koński ogon. W skromnej bluzce i nienagannie skrojonej czarnej spódnicy emanowała nie tyle urodą, ile dystynkcją, a jednak roztaczała wokół siebie zapach zbytkownej kobiecości. Arturo poczuł na powiekach ciężar pożądania. Tłumione latami namiętności z ociąganiem wypełzały z najgłębszych zakamarków jego duszy, a odpryski pamięci, niczym w kalejdoskopie, układały się z wolna w bolesne obrazy: Anna, Román... Łagodnie płynąca melodia urwała się raptownie. Dłonie kobiety znieruchomiały zawieszony nad klawiaturą, a twarz jakby stężała: skupiona, nieobecna. Po chwili jej rysy zaczęły się rozluźniać. Nieznajoma opuściła ręce i przemówiła.

— Lubi pan Chopina?

Arturo drgnął, ale musiało minąć kilka sekund, zanim z panującej wokół ciszy wywnioskował, że pytanie było skierowane do niego. Nie wiedział, co zaskoczyło go bardziej: słowa wypowiedziane w niewprawnej hiszpańszczyźnie czy to, że kobieta wyczuła jego obecność, chociaż nie mogła go widzieć. Zdziwienie nieco się zatarło, kiedy dostrzegł jej odbicie w lustrze; wpatrywała się w niego z takim samym skupieniem jak przedtem w klawisze fortepianu.

— Połknął pan język?

Uśmiechnęła się, Artur zaś, ku swej rozpacz, spłonął rumieńcem jak dziewczica, której piersi dotknęła po raz pierwszy czyjaś dłoń, i czmychnął w popłochu, zamykając za sobą drzwi. Pożałował tego natychmiast, lecz jeszcze szybciej przestał żałować. W tym wypadku szczeniackie zachowanie było odruchem obronnym; już na tyle zdążył siebie poznać — zwłaszcza własne słabości — a ta kobieta sprawiła, że poczuł się słaby i bezbronny, co zawsze

okazywało się przedśmionkiem katastrofy. Skulił się niby święty Antoni nawiedzony przez diabły i wycofał, pokonany, ale nie zwyciężony.

W westybulu spróbował wziąć się w garść i powrócić do rzeczywistości. Zaczął sporządzać w głowie listę czekających go zadań. Ku jego zdumieniu na pierwszym miejscu nie znalazło się nic, co miało związek z Luisem del Águila, lecz pusty brzuch, który natarczywie przypominał, że od rana funkcjonuje na jednej kawie i wspomnieniu zjedzonej poprzedniego dnia kapusty z kielbasą. Z mocnym postanowieniem, by to naprawić, Arturo poszedł na pocztę poszukać Aparicia. Zastał go na rozmowie z don Picusiem Glancusiem, który zapewnił, że cały personel bez wytchnienia szuka listu. Pożegnawszy się z sierżantem, zwalisty kapral jął przepychać się w tłoku do wyjścia. Po drodze Arturo nie omieszkał poskarżyć się na skurczony z głodu żołądek.

— Ludzka rzecz — pokiwał głową Aparicio. — Jadamy tu od przypadku do przypadku... resztki z pańskiego stołu. Co tu gadać, dojczy nas nie rozpieszczą. Dziwne, żeśmy jeszcze kopyt nie wyciągnęli na ich wikcie. — Konspiracyjny uśmiech sprawił, że jego twarz stała się jeszcze bardziej niewinna i chłopięca. — A gdybyśmy teraz byli w domu, to co byś wrzucił na ruszt?

Arturo nawet się nie zawahał.

— Jajka sadzone z ziemniaczkami i kilka plastrów *serrano*.

— Widzę, że się dogadamy. Ja bym zjadł porządne *cocido* z *chorizo*, boczkiem, kiszka, bekonem... A potem *tupf*¹⁸ i cygarko *caliqueño*, i czułbym się jak panisko.

Te świeżutko upieczone fantazje sprawiły, że obu pociekła ślinka, a kapral aż zatarł ręce. Kilka metrów od drzwi zatrzymał się i obejrzał, jakby w obawie, że zostawił za sobą ślady.

— Słuchaj — odezwał się konspiracyjnym szeptem — o tym, co ci teraz powiem, nikomu ani słowa. Dziś w nocy mamy we wsi jubel. Jeden muzyk daje nam lokal, a kumpel z intendentury skombinuje wyżerkę. Ale najlepsze, że zaprosiliśmy parę panienek, sam wiesz... tutejsze kobiety, jeśli z nimi grzecznie, chętnie zadzierają spódnice. Impreza jest składkowa, więc jak chcesz, to się dorzuć i przyjdź. Tylko pamiętaj, cicho sza! Co ty na to?

Nawet największy twardziel miewa słabe punkty. Czasem wystarczy słowo lub gest. Arturo wiedział, że odrzuci zaproszenie, ale czuł się z tego powodu

paskudnie. Jedzenie stanowiło potężną pokusę, jednak wzmianka o płatnej miłości budziła czujność. Pożądanie było niczym rozjątrzona rana, Arturo zaś nie wylizał się jeszcze z tych, które odniósł w poprzedniej bitwie. I w dodatku tamta tajemnicza nieznajoma, przy której czuł się jak pęk suchej słomy obok ognia... Mimo wszystko próbował zachować twarz.

— Niech to szlag — jęknął, robiąc smętną minę.

— Co? Co się stało?

— A to, że jestem bez grosza, bo całą forszę właśnie wysłałem do Madrytu — skłamał.

— Nie ma sprawy, założę za ciebie.

— Nie, na to się nie mogę zgodzić, panie kapralu. Dobry obyczaj, nie pożyczaj. Bardzo dziękuję za zaproszenie. Chętnie przyjdę, ale następnym razem, jeśli będzie okazja.

— A może masz tu jakąś kobitkę? — Aparicio wyciągnął szyję jak wielbłąd.

— Nie, panie kapralu, tylko że przez cały czas zwalczamy Marksa, a okazuje się, że skurwiel może mieć rację.

Uśmiech zniknął z twarzy Aparicia.

— Co to ma niby znaczyć?

— Byt określa świadomość.

Arturo uśmiechnął się i zerknął nań z ukosa, jednak ku swemu wielkiemu rozczarowaniu nie dostrzegł ani krzty zrozumienia. Sympatyczny kapral miał złote serce, ale nie był zbyt lotny.

— To żart — tłumaczył się Arturo, udając zakłopotanie.

— Takie żarty niejednego zaprowadziły na cmentarz, bo...

I rozpoczął niekończącą się perorę, upstrzoną jednościami losów w perspektywie uniwersalnej, niezłomnymi wiernościami ideom Ruchu, bojami o wolność i niezliczonymi Caudillami¹⁹; wszystko to wyliczał płynnie, bez zająknięcia, jak dziecko recytujące katechizm lub tabliczkę mnożenia, Arturo zaś podejrzewał, iż podobnie jak dzieci kapral również nie rozumiał sensu owej deklamacji. Otuchy dodawała jedynie myśl, że każda nagana jest prostackim wyrazem sympatii. Zakończywszy kazanie, Aparicio chwycił się pod boki i przeciągnął z lubością. Potem włożył rękawice, zapiął pod szyją płaszcz i poprawił rzemień przy hełmie. „Nic tu po nas. Opatul się i w drogę, wio!” — zarządził. Arturo, idąc za jego przykładem, starannie zapiął mundur,

nacisnął na głowę hełm i ruszył za nim. Mimo tych środków zapobiegawczych chwyciły go na mrozie dreszcze, jakby nie miał na sobie nic prócz gołej skóry. Wokół koszar zrobiło się trochę luźniej, więc nie musieli już kluczyć wśród samochodów i rytmicznie maszerujących plutonów. Aparicio zaparkował motocykl w kępie brzoź, obok kilku innych pojazdów grzejących silniki wokół ogniska. Kiedy szli po skrzypiącym pod nogami śniegu, minęła ich grupka żołnierzy w białych mundurach maskujących; z nartami na ramionach i kijkami w rękach wyglądali jak urlopowicze spędzający beztroski weekend w górach. Wieczór rozpraszał się w krwawych smugach. Smutne piękno zmierzchu z trudem przebijało się przez srebrzystą blachę pochmurnego nieba. Dotarłszy do zagajnika, odruchowo przyjęli postawę obronną, nieufnie spoglądając na gęstwinę wysmukłych drzew, mroczną i przejrzystą zarazem. Cętkowane srebrem pnie łuszczył trąd czerwonej kory, a ponad bezlistnymi koronami majaczył szkielet wysokiej drewnianej wieży, będącej częścią zabezpieczeń przeciwpożarowych. Jeśli nie liczyć kilku obłąkanych wiewiórek przemykających po szklistych gałęziach, których szelest budził czujność wartowników, wokół panował zupełny bezruch. Arturo wiedział jednak, że nie wolno dać się ogłupić pozornej pustce; zarówno partyzanckie otriady, jak i jednostki specjalne Armii Czerwonej grasowały po okolicy w poszukiwaniu skalpów Ispanców. Wpatrzony w ścianę lasu, czuł uspokajający ciężar tetetki. Aparicio tymczasem usunął gałęzie, pod którymi ukrył motocykl, usiadł za kierownicą i spróbował zapuścić silnik. Bezskutecznie naciskał pedał i wreszcie stało się jasne, że szybko stamtąd nie odjadą. Arturo skorzystał z okazji, żeby się trochę ogrzać. Kapral, zniechęcony, podprowadził motor bliżej ogniska; następnie wyjął rosyjskiego papierosa o długim ustniku, zapalił i usiadł w przyczepce. „Jak zwykle... — mruknął. — Może od żaru...” Nie zwracając uwagi na jego gderanie, Arturo rozmyślał o tajemniczym toaście Octavia Imaza. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale nie mógł się powstrzymać. Zagaił dyplomatycznie, udając, że pyta od niechcenia, jak w miłej pogawędce przy karcianym stoliku.

— Kiedyś to robili wódkę... Czysty dynamit.

— Siekiera, co? Bierzemy ją od tego samego muzyka, który daje nam lokal.

— Chłopaki z Watermanna wyglądają na fajnych gości.

— Czasami zapominają, na jakim świecie żyją, ale jeśli ktoś tu porządnie

pracuje, to właśnie oni. Spokojna głowa, Sztywniak jest jak szwajcarski zegarek. Znajdą ten list.

— Sztywniak?

— Sierżant Cecilio.

Don Picuś Glancuś — pomyślał Arturo z uśmiechem.

— Wygląda na poważnego człowieka — przytaknął. — I ten Octavio też.

— Mnie to mówisz!

— Czym się zajmuje?

— No przecież pracuje na poczcie.

— Nie o to chodzi. Pytam, kim jest.

— To figura. Hrabiowski syn, bojówkarz Falangi już od pierwszego dnia na uniwersytecie. Kiedy zaczęła się wojna, zszedł do podziemia, przemalował na żółto ojcowskiego chryslera i tym samochodem widmem jeździł po Madrycie, polując na milicjantów. Rozumiesz, pif-paf... było, nie ma. W końcu zidentyfikowali samochód i namierzili całą rodzinę, ale papcio był fiszą w telefonii, więc rząd przymknął oko, a Octavio poprosił o azyl w ambasadzie Panamy.

Arturo nie był zaskoczony; bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak Octavio Imaz — z kwiatem tuberozy w butonierce, w śnieżnobiałej koszuli z emaliowanymi marynarskimi spinkami, w kapeluszu na bakier — świeżo po przylocie z Barajas zamawia melona z szynką na śniadanie.

— Co robi na poczcie, skoro tak lubi strzelać?

— Ojcowska ręka sięga daleko, postanowił nie dopuścić, żeby mu zabito jedynaka. Kiedy chłopak zgłosił się bez jego wiedzy i zgody do punktu werbunkowego, papcio poruszył niebo i ziemię, żeby synuś trafił jak najdalej od linii frontu.

— Stąd ma dosyć blisko. Jak się hrabia dowie...

— Najpierw wysłali go do Rygi, do redakcji „Hoja de Campaña”, ale ten dzieciak to półdiabłą wcielone i załatwił sobie przeniesienie.

— Do Rygi? — zapytał Arturo, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał. — Po co? Żeby zamiatał drukarnię?

— Nie. Żeby robił gazetę.

Arturo z trudem ukrył niedowierzanie.

— Bojówkarz?

— Bo widzisz, okazuje się, że facet jest bardzo odcytany. Istna znakomitość. Uważaj, bo wywiniesz orła.

Ostrzeżenie przyszło w samą porę. Arturo poślizgnął się na zamrożonym śniegu i gwałtownie zamachał rękami, z trudem łapiąc równowagę.

— Zabić się można — jęknął.

— Co drugi tu uprawia łyżwiarstwo figurowe.

— Mówiłeś, że ten Octavio to bystry gość — przypomniał Arturo.

— Tak, pracował w Wydziale Prasy i Propagandy. Podobno tuż przed wyjazdem z kraju nawet dostał nagrodę.

— Jaką?

— Literacką.

— Literacką?

— Pisze. No, obija się, nie pracuje.

— Coś takiego! — zbył Arturo tę głupią uwagę. — A co pisze?

— Książki.

— To wiem, ale jakie?

— Dziwne.

— Co to znaczy dziwne?

— Gęsto zapisane. Próbowałem kiedyś przeczytać jedną, ale nic nie zrozumiałem; gadka szmatka, banialuki. Gdyby przynajmniej pisał romanse... Lubię książki o miłości. Albo takie, które się czyta jedną ręką. — Uśmiechnął się jak satyr. — Kapujesz?

— Kapuję, kapuję — odpowiedział Arturo z dwuznacznym grymasem.

— Mówię ci, godzinami ślęczy nad maszyną do pisania. Kompletny wariat.

Mimo wyraźnego lekceważenia ostatnie zdanie wypowiedział z ową mieszaniną podziwu i szacunku, jaką intelektualiści budzą w tych, którzy chadzają prostszymi drogami.

— Pamiętasz, co to była za nagroda?

— Jakaś ważna... — bąknął. — Od samego Caudilla — dodał z naciskiem.

Tym razem Arturo nie mógł już ukryć zdumienia.

— Państwowa Nagroda Literacka Francisca Franco — wyrecytował powoli.

— O to to — przytaknął uradowany Aparicio.

Arturo zamilkł. Natychmiast skojarzył osobę Octavia Imaza z Octaviem Imazem Cadenasem, autorem *Racji Hiszpanii*, błyskotliwego dzieła — czegoś pomiędzy płomienną wykładnią idei mocarstwowych a epickim

dramatem — które mimo skrajnego upolitycznienia zręcznie wymijało rafy literackiej biurokracji dzięki niezaprzeczanemu talentowi autora. Domyślał się już teraz, skąd Octavio wiedział o jego związku ze sprawą Prado. W świetle owych faktów spróbował zrewidować swoją dotychczasową opinię o tym człowieku, skonstatował jednak, iż nadal trudno mu go ocenić. Potwierdziło się tylko pierwsze wrażenie: ktoś zajmujący tak wysoką pozycję, wyposażony w broń idealną, by poczuć się bogiem — w słowo — i niewzdragający się przy tym nacisnąć na spust może sprawić wiele dobra, ale może też stać się źródłem niewyobrażalnego zła. Gdy Arturo snuł owe refleksje, Aparicio, pogrążony w niewiadomych myślach, wpatrywał się w ogień. Podczas rozmowy Arturo przysłuchiwał się kapralowi usytuowany niejako jednostronnie, to znaczy lewy bok sobie parzył, a prawy odmrażał. Teraz ustawił się frontem do ognia, żeby grzać się bardziej równomiernie. Podobnie jak kapral, wbił wzrok w pełgające płomienie; przypomniał sobie, jak bawił się w strażaków z małym Aleksandrem. Było to miłe, krzepiące wspomnienie, w które przeniknął obraz pianistki w brutalnej, niepokojącej gamie czerwieni. Zatraceni w swych ułudach, tkwili w blasku ogniska, a tymczasem wielkie chusty zmroku rozpościerały się z wolna nad nimi, tłumiąc donośniejsze dźwięki, a potęgując każdy szmer.

— Sprawdzę, czy zapali — oznajmił Aparicio.

Wygramolił się z przyczepki i podszedł do motocykla. Nacisnął pedał. Nic. Za dziesiątym razem skrzywił się i popatrzył na Artura. Już miał coś powiedzieć, lecz dostrzegł jego ostrzegawcze spojrzenie. Arturo musiał usłyszeć jakiś podejrzaný szmer, bo położył dłoń na kolbie tetetki i wbił wzrok w czarną ścianę lasu. Dźwięk się powtórzył i tym razem dotarł także do uszu Aparicia, który nagle znieruchomiał. Odgłos tłumionych przez zaspę kroków, trzask łamanych gałązek. W wyobraźni ujrzeli skradających się partyzantów, przemykających w białych mundurach po białym śniegu, i ich długie, obosieczne kordy. Kapral chwycił za mauzera. Wyciągnął szyję jak pies, który zwęszył trop, i bezszelestnie stanął obok Artura.

— To nasi? — szepnął, a odbezpieczona broń szczęknęła sucho.

— Skąd mam wiedzieć? — odparł Arturo. — Na wszelki wypadek zostaniemy tutaj.

Daleki terkot karabinów podziurawił ciszę. Mimo trzydziestostopniowego mrozu po zmarszczonym czole Artura stoczyła się kropla potu i niemal natychmiast zamarzała. Hałas rozległ się ponownie, tym razem dłużej,

upewniając ich, że w pobliżu są jacyś ludzie. Chwila napięcia, suchość w gardle.

— Trzeba uprzedzić naszych — zaproponował Arturo.

— Nie, najpierw musimy sprawdzić, czy to ruscy. Stań za mną.

Arturo bez sprzeciwu wykonał rozkaz i przyczał się za plecami Aparicia. Ich długie, rozchybotane w blasku ognia cienie wpełzały na pobliskie drzewa. Kapral wypatrzył przecinkę, która zagłębiała się w las, i czujnie się rozglądając, ruszył jej skrajem. Szli ostrożnie, świadomi, że jeśli to zasadzka, mogą zginąć, zanim zdążą otworzyć usta do krzyku. Od śniegu bił agonalny, szary blask, w którym cienie ożywały, widmowe, tajemnicze, niepokojące. W miarę jak oddalali się od ogniska, ów nieuchwytny ruch stawał się niemal namacalny, a towarzyszył mu szmer głosów, które to ściszały się, to podnosiły w gniewnych kontrapunktach, na tyle jednak niewyraźne, iż nie pozwalały rozpoznać języka. Wyostrzyli zmysły, wzmoгли czujność. Niepewność rozpraszała się stopniowo, gdy zbliżali się do prześwitu zwiastującego niewielką polaną. Nieczytelne głosy dzieliły się z wolna na słowa, które ku ogromnej uldze ich obu brzmiały po hiszpańsku. Zatrzymali się na brzegu polany i Aparicio pokazał na migi, żeby przykucnęli za grubym pniem. Pośrodku śnieżnej kotliny stała wieża strażnicza, ta sama, którą przedtem widzieli z daleka; głosy wcieliły się w ustawionych półkolem wojaków, strzegących skrawka ziemi iluminowanego blaskiem latarek niby osobliwe uniwersum światła i cieni. Arturo przyglądał się owej zdumiewającej scenie i nie mógł się w niej doszukać większego sensu. Po chwili żołnierze stanęli na baczność, prezentując broń. Z głębi lasu wynurzył się dowódca żandarmem, kapitan Joaquín Isart, a za nim niemiecki oficer łącznikowy Wolfram Kehren i trzech mężczyzn w hełmach, na których można było dostrzec mistyczne runy Waffen-SS. Na końcu tego dziwnego orszaku kroczył ksiądz, poprzedzający trójkę żandarmów, którzy eskortowali dwóch jeńców: jeden miał związane ręce, a drugi obandażowane ramię na temblaku. Arturo pojął, że patrzy na egzekucję. Przyjrzał się skazańcom, stojącym jeden obok drugiego, przed plutonem gotowym do salwy. Domyślił się, że ten z prawej, o topornej słowiańskiej twarzy skatowanej podczas przesłuchania, to schwytyany niedawno szpieg, ale tamten drugi, niski, krępy, z wyglądu bardziej chłopiec niż dorosły mężczyzna, na pewno był Hiszpanem, żołnierzem dywizji. Kiedy podtrzymując ranną rękę, stanął przy Rosjaninie, nogi się pod nim ugięły, natychmiast jednak wyprostował się w

odruchu godności i siły. Straszne, a zarazem łagodne oblicze Rosjanina, przepojone metafizyczną pustką będącą nieodłączną częścią słowiańskiej duszy, tchnęło spokojem, w przeciwieństwie do wykrzywionej, rozedrganej twarzy hiszpańskiego wojaka, który wyraźnie toczył jakąś wewnętrzną walkę. Aparicio wyczuł zaskoczenie Artura, więc wyjaśnił mu szeptem, że kilka dni temu osądzono w trybie doraźnym żołnierza, który sfingował wypadek, żeby odesłano go do Hiszpanii, i że to chyba właśnie ów nieszczęśnik. Tymczasem scena na polanie rozgrywała się dalej. Do skazańców podszedł ksiądz, mamrocząc coś o życiu wiecznotrwałym, królestwach niebieskich, przebaczeniu za grzechy. Kiedy skończył, skazańcy ucałowali podany im krucyfiks i obaj się przeżegnali; tuziemiec na prawosławną modłę, od prawej do lewej. Arturo zastanawiał się, czy to u tego księdza spowiadał się Luis del Águila. Następnie Joaquín Isart bez dalszych ceregieli kazał sformować pluton. Rosjanin zamknął oczy, jakby pogodzony z tym, że już nie jest częścią tego świata; Hiszpan za to pobladł jeszcze bardziej, a słysząc wydawane przez dowódcę komendy, ukląkł na śniegu i zaczął szlochać. Scena, oświetlona chybotliwym blaskiem latarek, przypominała rycinę z *Okropności wojny* Francisca Goi. Wrzaski Isarta, który kazał mu powstać, nie odniosły najmniejszego skutku. W obliczu owego aktu tchórzostwa jakiś schutzstaffel wyciągnął z kabury broń, widomy znak jego czarnych zamiarów, i ruszył w stronę skamlącego Hiszpana, lecz drogę zagroził mu jeden z żołnierzy, którzy eskortowali więźniów. Nastąpiła chwila napięcia, próba sił. Musiała znaleźć rozwiązanie na szczeblu dowódców. Obaj, Wolfram Kehren i Joaquín Isart, mieli stopień kapitana, ale Niemiec, wiedząc, że hiszpański skazaniec nie podlega jego władzy, ustąpił, choć uczynił to z ociąganiem i ostentacyjną nonszalancją. Tymczasem niesubordynowany strażnik przyklęknął obok skazańca. Widok ich twarzy w jasnym kręgu światła wprowadził Artura w nieskrywane osłupienie. Byli identyczni. „Bliźniaki” — stwierdził odkrywczco Aparicio. „No” — przytaknął Arturo, a za tą monosylabą nadeszła chłodna refleksja natury antropologicznej: w jaki sposób życie, przyroda, broni się, duplikując szanse przetrwania swoich stworzeń. Więzień w skupieniu słuchał szeptanych na ucho słów, po czym jego rysy stwardniały i nagle, z jakąś mechaniczną precyzją, narodził się nowy żołnierz, który w niczym nie przypominał zrozpaczonego człowieka, jakim był jeszcze chwilę temu: przestał płakać i powstał z kolan, już gotów na śmierć. Jego brat odszedł, zamknięty w sobie,

nieobecny. Komenda Isarta rozdarła ciszę niczym błysk noża. Huknęła salwa, krótka, głośna. Cierpki, metaliczny zapach krwi wzniósł się w niebo, by ułagodzić bogów wojny. W źrenicach utkwily drobinki światła, jakby ktoś cisnął płonąca żagiew, za którą ciągnęła się w przestworzach smuga rozżarzonych iskier. Arturo zastanawiał się nad treścią tych kilku słów, które sączone, kropla po kropli, w czyjaś świadomość wywołały tak spektakularny efekt. Po wielu latach drugi bliźniak, zbliżając się do kresu żywota, wspomni swego brata pogrzebanego w obcej ziemi. Obsesyjnie będzie sobie przypominał jego oczy wpatrzone w śnieg z bezbrzeżnym zdumieniem, tym samym, które ogarnęło go, gdy umilkły karabiny, a on poczuł w piersi żar wrzących kamieni; tym samym, z jakim nań spojrział, zanim upadł, wciąż łudząc się kłamstwami, w których rozplynał się jego strach, i wierząc do końca, że egzekucja jest inscenizacją, lekcją pokazową dla dowódców, bo przecież nikt nie rozstrzelałby żołnierza za to, że zamiast obstawać przy wersji wypadku, z własnej woli wyznał przed sądem, iż zranił się sam. Z twarzą ściągniętą bólem, powstrzymując płacz, z głową wypełnioną hukiem strzału łaski, który odebrał życie jego bratu, zaczął razem z innymi kopać grób pośród nicości. Łopaty zgrzytały na twardym jak kamień śniegu, spod kilofów za każdym uderzeniem tryskały iskry. Wszyscy, nawet esesmani, zastygli w niemej kontemplacji; wszyscy, oprócz Wolframa Kehrena. Kiedy Arturo obserwował jego pedantyczny, kartezyjański profil i oczy utkwione w otchłani lasu, pogrążające się w niej, jakby szukał tam najmroczniejszej, najgłębiej ukrytej, pradawnej cząstki swojej germańskiej duszy, jakieś nieokreślone przecucie, podejrzenie, które załęgło się w nim jeszcze w gabinecie Navajasa del Río, podpowiedziało, czym się naprawdę trudnił ów niemiecki kapitan i po co przyjechał do Rosji, i teraz był już pewien, że nie miało to nic wspólnego z funkcją łącznika w Sztabie Głównym.

— Barbarzyńcy — mruknął Arturo.

— Co tam szemrzesz? — zapytał Aparicio, odwracając się ostrożnie.

— Nic, panie kapralu.

— Marnie wyglądasz. Wszystko w porządku?

Arturo twardo popatrzył mu w oczy.

— Nie, panie kapralu, nic nie jest w porządku. — Zawahał się na moment, wiedział jednak, że każde wyjaśnienie będzie jak deszcz, jak pusty dźwięk bębniących o szybę kropli. — A, właśnie... tamto zaproszenie jest aktualne?

— Jasne, że tak. — Aparicio poklepał go przyjaźnie po ramieniu. —

Spokojnie, stary — pocieszał, domyślając się przyczyny jego zniechęcenia.
— Jutro wstanie nowy dzień.
— Tak, jutro... Ale dzisiaj mamy przejebane.

6

Zawsze w cieniu

— Płyną rybki, płyną witać się z Dzieciną, wino płynie w rzece, rybki piją winooo...

Pijacka aria szeregowca Alonsa Cogollosa alias „Klarka Gable’a”, jak go przezywano z powodu wielkich, odstających, niemal przezroczystych uszu oraz stanowiska operatora filmowego w miejscowym Soldatenkino, wznieciła wrzawę, w której okrzyki i śmiechy turlały się po izbie jak puste butelki.

— Już dawno po Trzech Królach, Alonso — powiedział żołnierz o pyzatej twarzy, skośnych oczach, bujnej czuprynie i aragońskim akcencie.

— Co ty wiesz, w nogach śpisz — wtrącił się piegowaty osobnik z nadmiernie rozbudowanym czołem, mozolnie obracając w ustach śliskie od wódki słowa. — Tutaj nie ma Bożego Narodzenia, to ateści.

— Jak to nie ma? Co do Trzech Króli, to nie wiem, ale Świętego Mikołaja mają — zaperzył się Alonso.

— Dziadka Mroza — uściślił chudzielec o wydatnej szczęce i aparycji gruźlika. — Czerwoni mówią na niego Dziadek Mróz.

— Może być nawet Pepito, na jedno wychodzi, bo i tak go rozstrzelali w zeszłym tygodniu — zauważył piegus z za dużą głową.

— Nie gadaj bzdur, Faustino — zgromił go Aragończyk o twarzy jakby wymalowanej na balonie.

— No bo sam, kurwa, powiedz... W środku nocy pojawia się jakiś typek na rozpędzonych saniach i pokrzykuje. Wartownicy myśleli, że to ruski zwiad...

— No i ten czerwony strój — dodał z naciskiem Alonso.

— A hak mu w smak, i tak wiozł dla nas same trumny — pogodził ich Aparicio.

Do ogólnej wrzawy i śmiechu chciał również dołożyć swoją część żołnierz o szlachetnej, subtelnej twarzy i wyrazistych rysach, który dotąd trzymał się w cieniu. Przysunąwszy się do Artura, rozbawionego, choć niemego świadka całej sceny, zagadał do niego w jakimś dziwnym języku, pełnym rozwlekłych samogłosek i gulgoczących dźwięków, po czym dostał napadu czkawki. Po sutaszu na czapce Arturo poznał, że to artylerzysta, a po naszywkach na rękawie — że jest z dywizji. Rozejrzał się za Apariciem.

— Nie rozumiem ani w ząb, panie kapralu. To Bask?

— Jaki Bask? Nawalił się jak messerschmitt i tyle. Nie martw się, jeszcze trzy kolejki i wszyscyutko zrozumiemy.

Katalizator owego zamieszania, Alonso „Klark Gable” Cogollos, dalej robił podkład muzyczny i przedrzeźniając Lolę Flores w *La Zarzamora*, ruszył wężykiem przez izbę, wlokąc za sobą korowód podpitych żołnierzy. Arturo wysłał sobie sygnał SOS i wychylił następny treściwy łyk przezroczystego trunku, który palił w język. Po kolejnej szalonej jeździe do Miestielewa, podczas której Aparicio wyciskał ostatnie poty z każdego konia mechanicznego w swoim motocyklu, rozgościli się w tej chacie uciech i swawoli, tonącej w morzu wódki. Przed pijatyką spałaszowali pieczonego barana, nasyconego aromatem ziół, a do tego ziemniaki polane smakowitym sosem, którym Arturo nakarmił nie tylko żołądek, ale i wspomnienia. Wszystko zmiotli z talerzy do czysta. Deser również nie zawiódł oczekiwań: holenderska czekolada i niemiecki budyń. Chata, stojąca w typowej wiosce rosyjskich dusz, była jednym z wielu rozsianych wzdłuż drogi, chylących się ku ziemi, nędznych, krytych strzechą domostw z nieociosanych bali. W porównaniu z innymi prezentowała się całkiem okazale. Ale w obszernej izbie, skąpo oświetlonej przez kilka świec, niewiele było sprzętów: zasłana podartymi szmatami prycza z siennikiem ze słomy, dwie ławy, stół, narzędzia rolnicze, szafa, w której poniewierały się jakieś graty... Mocno już podpici, rozsiedli się przy rozpalonym glinianym piecu, rozrzucając na polepie wiązki siana i stare worki pełne pcheł, które natychmiast dały odczuć swoją uprzykrzoną obecność. Wokół walały się podbite baranicą kurtki, watowane rękawice, kominiarki, sznurowane buciory, plecaki, karabiny, magazynki, bagnety... Wszyscy oczekiwali na przybycie króla ze Wschodu, który miał ich obdzielić szczodrymi, uległymi „panienkami”, żeby mogli się zabawić jeszcze lepiej. Powietrze było parne, duszne, przesycone dymem tytoniowym, zmieszany z zapachem potu i lepiszcza spajającego drewniane

bale. Arturo pociągnął kolejny łyk, zakrztusił się wódką i zaczął kasłać. Znękany, spróbował uciec, przenieść się myślami za okno, tam, gdzie nad czarną ścianą lasu świecił ogromny księżyc. Niestety, jego kumpel „messerschmitt” robił wszystko, by ta ucieczka nie trwała długo, i za pomocą pierwotnych dźwięków dawał mu do zrozumienia, iż pragnie zacieśniać ową niekomunikatywną znajomość. Arturo, niezbyt cierpliwy z natury, złapał flaszkę i pozostawiając go w pół słowa, wstał, zatoczył się, przeskoczył nad głowami bachantów, którzy właśnie zaczęli własną wersję *Mi jaca*, i zaszył się w najdalszym kącie izby. Drewniane ściany zdobił w zastępstwie tapety osobliwy kolaż ze stron wyrwanych z krajowych i zagranicznych gazet: „ABC”, „Signalu”, „Ya”, „Hoja de Campaña”, „La Codorniz”, „Fotos”, „Arriba”, „Prawdy”, „Izwestii”... Arturo powoli sunął oczyma po labiryncie liter, niczym archeolog, który bada wapienne ściany jaskini, odsłaniając skarby prehistorycznych malowideł. Znudził się szybko i znowu zaczął pić, na stojąco, do wtóru pijackich śpiewów. Stopniowo wchodził w ową fazę upojenia alkoholowego, w której wszystko wydaje się odmienną wersją rzeczywistości, inną formą jasności umysłu, swoistym otrzeźwieniem. Wykorzystał ów stan, by przypatrzeć się bliżej żołnierzom zgromadzonym w dusznej, parnej izbie. Wódka ich zrównała. Jak śnieg, jak śmierć. I nagle zrozumiał, że nie może przepuścić takiej okazji. Wszyscy są zalani w sztok, to najlepszy moment, by zarzucić sieci. Ciekawe, co złowi. Musi z tym zdążyć, zanim przybędzie ich osobliwy rosyjski majordomus. Bez wahania ruszył ku imponującej baterii butelek z bimbrem i zrobił rundkę po izbie, dostarczając amunicji do szklanek. Wrócił do namolnego „messerschmitta”, zaproponował toast, by wreszcie uciszyć rozśpiewane towarzystwo, a następnie, niczym chytra lisica, powiódł wokół wzrokiem, wypatrując co tłustszych kurczaków. Z zachowania Alonsa Cogolloso, który miał taką minę, jakby już palił swoje okręty przed ludźmi i Historią, wywnioskował, że skłonność do ekshibicjonizmu przeważa w nim nad rozsądkiem. Wziął go na pierwszy ogień.

— A co dają w kinie w tym tygodniu? — zapytał niewinnie.

— Ano to samo co zawsze: *A mí la Legión!*

— Już to widziałem. Co się tam u was dzieje? Dlaczego nie zmieniacie filmów?

— Ktoś się poskarżył w intendenturze, że zawsze dają to samo, a ktoś inny zaraz wyskoczył z mordą, że jak nie smakuje, to idź po dokładkę —

odpowiedział, ziewając z obojętnością, jaką daje władza.

— Słuchaj, a jak się kończy ten, który puszczałeś, kiedy poszło światło? — wtrącił się Faustino. — Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy.

— Nie pamiętam...

— Zginie ten zły — podsunął Arturo złośliwie, ale zaraz dodał pojednawczo: — Tylko tak mówię... Czy to prawda, że Führer najbardziej lubi kreskówki Disneya? — zapytał dla odwrócenia uwagi.

— Tak mówią — potwierdził Alonso. — Podobno ten skurwiel Stalin też.

— A lubicie horrory? Tak sobie myślę o tym wojaku, którego zarżnęli na rzece... — podsunął Arturo. — To by dopiero był film!

— I to niezły.

— Jak mu było...? Onofre... — udawał, że nie pamięta.

— Luis — podpowiedział kudłaty Aragończyk. — Nazywał się Luis del Águila.

— Znałeś go?

— Nie osobiście. — Nalał sobie kolejną szklankę wódki. — Ale z tego, co mi mówiono, nie miał wielu przyjaciół.

— A wrogów?

— Wrogów mamy wszyscy — odparł, zasapany z gorąca, i rozpiął pod szyją kurtkę, odsłaniając włochatą pierś.

Arturo z ostentacyjnym zainteresowaniem wpatrywał się w swoją szklankę, kątem oka zerkając na Aparicia, który przejrzał jego grę, lecz zachowywał kamienne milczenie, za co należało podziękować mu w myślach.

— Cóż, niech Bóg przyjmie go do swojej chwały — wzniósł górnolotny toast.

— To pewna. Miał smykałkę do szkaplerza.

Poczuł, że pajęczyna zaczyna wibrować. Było to powiedziane ot tak sobie, zgodnie z przyjętą wcześniej mało konkretną strategią, bez żadnej intencji, ale w tej samej chwili zabrzmiały mu w głowie słowa Erundiny del Águila o cierpieniu brata. Zarzucił przynętę.

— Lubił księży? Ty się nazywasz... przepraszam, zawsze mi się myła imiona.

— Servando. — Aragoński akcent zabrzmiał wyjątkowo silnie. — A ty?

— Arturo.

— Oj, lubił. Bardziej niż niejedna dewotka. Wiesz, Arturo, ja pracuję w

szpitalu jako sanitariusz. Kiedy u nas był, ciągle się prowadzał z ojcem Ramonem. Jak para narzeczonych.

— A ten ojciec jaki jest?

Servando zaklął. Był tak pijany, że wszystko mu leciało z rąk i omal nie rozlał wódki.

— Ojciec Ramón? — powtórzył. — Lubi słuchać własnego głosu, ale to dobry człowiek.

— Świętoszek, plotkarz i krętacz! — wrzasnął Alonso.

— Powiedział, co wiedział, paniczek pieprzony, we łbie mu się przewróciło — odburknął Faustino.

— No tak, terror kapeluszników... — Alonso zatoczył rękami krąg wokół własnej głowy.

— Uważaj, palancie, bo jak cię dźgnę... — postraszył go bagnetem.

— A dźgaj sobie, dźgaj. Obiecanki cacanki.

Arturo zorientował się, że była to protokolarna sprzeczka przyjaciół. Uznał ją za coś w rodzaju małżeńskiej kłótni i postanowił się nie wtrącać. Kontynuował przesłuchanie.

— Z tego, co słyszałem — zwrócił się do Servanda — ten cały Luis zdrowo dawał sobie w szyję. A jeśli jeszcze spowiadał się tak często, jak mówisz, to znaczy, że pewnie miał sporo na sumieniu — dodał złośliwie.

— Faktycznie, coś w tym jest. Za kołnierz nie wylewał. Nie był taki święty, na jakiego wyglądał. Mnie się zdaje — pochylił się do Artura jak stara plotkara — że chyba miał nierówno pod sufitem.

— Dlaczego tak myślisz?

— Od tego strzelania poprzestawiały mu się klepki. Widziałem czasem, jak gadał sam do siebie.

— Wszystkim tu trochę odbija. Znasz kogoś, kto ani razu do siebie nie gadał?

— Tak, wiem. — Servando umościł się wygodniej na swoim snopku. — Ale on to robił tak, jakby się z kimś wyklócał, jakby kogoś widział. Coś go strasznie męczyło, ja ci to mówię.

W głowie Artura ponownie zabrzmiały słowa Erundiny.

— Dopadła go przeszłość — mruknął.

— Że co? Przez tych dwóch nic nie słyszę.

— Przeszłość — powtórzył Arturo.

— Nie rozumiem.

— Rozmawiał z własną przeszłością.

Servando wybałuszył oczy i bąknął pod nosem: „Trzeba to było słyszeć...”

— A tobie też przypadkiem nie odbija? Bo czego jak czego, ale świrów nam nie brakuje. Po ruskich został dom wariatów, pełniutki, że szpilki nie wetkniesz — powiedział głośno.

— Ciekawe gdzie? Może się zgłoszę.

— No nie, kurwa... Na jakim ty świecie żyjesz? Nie wiesz, gdzie jest Molewo?

— Za rzeką?

— No właśnie.

— Ale to przecież klasztor.

— Dawniej. Potem Rosjanie zrobili tam szpital dla obłąkanych, a kiedy się wycofali, zostawili ich na łaskę Pana Boga. Nawet pasuje. Jeden gość z przeciwpancernej dał mi zerknąć przez peryskop: włączą się po okolicy, jedni spacerkiem, inni biegają jak, nomen omen, opętani, inni wrzeszczą ze strachu przed moździerzami, a wszyscy razem umierają z głodu. Aż żal patrzeć.

Arturo przypomniał sobie cebulaste, złocistoszkarłatne kopuły Molewa wznoszące się nad lasem, tam, gdzie Sławianka niknęła z oczu za wielkim zakolem. Przypomniał też sobie, że prowadzi śledztwo.

— Tak czy inaczej należało go tam zamknąć — podjął wątek konspiracyjnym tonem — bo chodzą słuchy, że Luis del Águila grywał w wioletę.

Są słowa, które odbierają mowę. Servando zeszywniał w postawie obronnej.

— Coś za bardzo cię interesuje ten truposz.

— Truposz? Ni chuja. — Arturo wzruszył ramionami. — Ale intryguje mnie ta jatka.

Aragończyk spojrzał na niego bacznie. Wyglądał, jakby nabrał wody w usta.

— Chcesz, żeby kazali się nam schylić po mydło? — powiedział wreszcie.

— A broń mnie Panie Boże, nie szukam kłopotów.

— No to trzymaj gębę na kłódkę, bo jeszcze ktoś usłyszy i nas wystawi.

— Ale dlaczego?

— Dlatego. — Zakończył dyskusję, wychylając duszkiem szklankę wódki, po czym otarł usta wierzchem dłoni i beknął.

„Dlatego, dlatego... umówili się, czy co?” — pomyślał Arturo; chciał mieć nadzieję, że sierżant Espinosa nie natrafi na podobny opór. Łyknął trochę wódki i zerknął na urodziwego „messerschmitta”, który był już tak pijany, że nie wiedział, jak się nazywa, odechciało mu się nawet przynudzać; patrzył tylko na niego błyszczącymi, błędnymi oczyma. Klepnięty w plecy uśmiechnął się i Arturo poczuł, że zaczyna go lubić. Miał zapytać, jak mu się wiedzie, ale tamten odchylił głowę do tyłu i z otwartymi ustami, z których pociekła strużka śliny, zaczął głośno, jednostajnie chrapać.

— Pablitowi urwał się film.

Idąc za dźwiękiem tych słów, Arturo usytuował żołnierza o wydatnej szczęce, tego, który wyjaśnił rodowód Dziadka Mroza. Sylwetka kryła się nieco w cieniu, więc trzeba było mocno wyteńczyć wzrok, by dostrzec chuderławą postać, wyglądającą jak szkielet z namalowaną na nim skórą. Na kieszeni jego feldbluzy widniała naszywka z Najświętszym Sercem Jezusa, słynne karlistowskie „Detente”²⁰.

— Urznął się na amen — odparł Arturo.

— Ci legioniści wszyscy tacy. Jak chleją, to na umór. Ale na niego baby lecą, nic mu nie będzie, jak sobie odpuści jedno dymanko.

— Taki z niego donżuan?

W oczach wojaka zamigotał uśmiech.

— Sam się domyśl, bo mówią o nim jak o José Antoniu: „Nieobecny”.

— Dlaczego?

— Dlatego, że kiedy idzie na przepustkę, nie można go potem znaleźć. Chyba mu się wydaje, że wyjechał z kraju na wycieczkę po Europie. Ostatnim razem, kiedy nie wrócił na noc do jednostki, postawił na nogi całą żandarmerię. Ale w końcu go znaleźli.

— Gdzie?

— W jakiejś knajpie, w ramionach właścicielki, wdowy. Kiedy go aresztowali, przysięgał, że zabłądził. — Zachichotał radośnie. — Wyłgał się, cwaniak, nie dostał kulki w łeb, ale w nagrodę wysłali go na zwiad pod same wąsy Stalina. Ma szczęście, że trafił na naszego generała, bo gdyby tu był Muñoz Grandes...

Arturo z sympatią przyjrzał się niemowlęcej buźce śpiącego królewicza, któremu ślina wciąż ściekała z rozchylonych ust, mocząc wojskową kurtkę, i trudno mu było sobie wyobrazić jego kawalerskie eskapady. Zastanawiał się

też, jak pociągnąć za język chudzielca karlistę, ale uprzedził go Aparicio.

— A wiecie, że w kwaterze głównej będzie potańcówka?

Pytanie kaprała, którego całe zgromadzenie wysłuchało w głuchej ciszy, nie wzbudziło zrazu zainteresowania Artura; za to Servando aż płonął z ciekawości.

— No, mów...

— Powiedział mi to wczoraj Paramio.

— Ten fotograf?

— Tak, Paramio Pont.

Wzmianka o fotografii podziałała na Artura jak ukąszenie w mózg; ślady w tej sprawie pojawiały się i znikaly niczym nurt Gwadiany.

— I co ci powiedział? — ponaglał go Servando.

— No więc przedwczoraj pojechałem po odbitki, które miał dla mnie zrobić, ale okazało się, że jeszcze nie wywołał kliszy. Był zarzucony robotą w związku z wizytą generała pułkownika Lindemanna. Ci z propagandy kazali mu wszystko kręcić. — Podniósł prawą rękę do skroni i puścił w ruch wyimaginowaną kamerę, udając, że ich filmuje.

— No, no... to dopiero nowina! Mówisz, że ściągają tutaj grube ryby?

— Podobno mają zrobić przegląd frontu, żeby wzmocnić morale żołnierzy.

— A ten Paramio Pont jest godzien polecenia? — włączył się do rozmowy Arturo. — Mam kilka rolek do wywołania — skłamał gładko.

— Godzien, nie godzien, to bez znaczenia. Nie ma innego.

— Ale czy można mu zaufać?

— Spokojnie, bez problemu.

— Radzę się pospieszyć — wtrącił Servando i pociągnął łyk.

— Jak to?

— Dotąd mu się udawało, ale rusczy snajperzy już ciągną losy. Parę razy o mało co nie oberwał.

— Chcą go zagonić do zagrody?

Servando docenił dowcip.

— Prawie. Pałęta się z tą swoją leicą na pierwszej linii.

— Pewnie czegoś szuka. — Arturo machnięciem ręki rozciął unoszący się na wysokości oczu obłoczek dymu, którego strzępki, wirując lekko, rozplynęły się w przeciwne strony.

— Szuka — przytaknął Servando.

Sekrety. Mętne poszepty pod spokojną, gładką powierzchnią. Intrygujące

zachowanie fotografa ponownie obudziło w Arturze chęć rozmowy z tym człowiekiem. Jednocześnie natychmiast skojarzył osobę egzotycznej pianistki z organizacją oficjalnej fety. Dzielący ich dystans wypełnił pożądaniem i przywołał jej wyprostowaną, dumną sylwetkę; rude włosy, ciasno zebrane w koński ogon; bladą, tajemniczą twarz, omotaną jedwabiem subtelnych nut, namiętnych, rozlewnych, zaraźliwych. „Lubi pan Chopina?” Przez kilka chwil nie istniało na świecie nic doskonalszego, nic bardziej niezbędnego. Znów poczuł niepokój, zamęt, udrękę... przerażenie.

— No i co? Jak tak dalej pójdzie, będziemy się musieli sami wyruchać.

Alonso Cogollos, któremu już się plątał język, bez żenady dawał świadectwo własnej męskości.

— Niedługo tu będą — powiedział Aparicio, zerkając na zegarek. — Ale to nie są takie wsiowe kurwiszony, z jakimi ty się zadajesz, więc nie pozwalaj sobie za dużo. Trzymajmy fason, panowie.

— A jeśli nie przyjadą? Kuśka mi sterczy jak Cyganowi grdyka — jęknął Alonso, opróżniając jednym haustem szklankę i lubieżnie wylizując ją językiem, żeby pokazać, co zamierzał im zrobić.

— Myślisz, że nam będą ssać? — zapytał Faustino, rechocząc jak satyr.

— Bez dwóch zdań, po francusku. Tutaj się z tym rodzą. Ale najpierw będą musiały znaleźć twojego wacka. Z takim tycim Autkiem to ty wiele nie zwojujesz...

— Twoja siostra nie narzekała.

— Słuchaj no, młody, nie będę się wyrażał o twoim ojcu, bo możliwe, że to ja.

— Nie wkurwiał mnie, kochasiu.

— Z facetami się nie zadaję, debilu.

Faustino po raz drugi tego wieczoru złapał za bagnet i zaczęli się szamotać. Rozdzielił ich Aparicio: „Spokój, panowie, spokój”. Arturo przypatrywał się tej parce z niesmakiem; ich zażyłość najwidoczniej była z tych, co to „ani z tobą, ani bez ciebie”. „Każdy głupek znajdzie w końcu kogoś jeszcze głupszego” — pomyślał. Podniecony krążącym w żyłach alkoholem, szukał zaczepki. Przez kilka chwil bił się z myślami: „tak, nie, tak, nie”, odrywał płatki wyimaginowanej stokrotki. Aż wreszcie przywiedle resztki rycerskiego honoru nakazującego bronić dam wybuchły w jego duszy, opromieniając ją metalicznym, krwawym blaskiem.

— Mam nadzieję, że chociaż upralicie gacie — rzucił im lodowato w

twarz.

Alonso spojrział na niego ze złością i już miał coś odpowiedzieć, gdy usłyszeli stłumione kroki i świst sunących po śniegu nart. Alkohol momentalnie wywietrzył im z głów i dotarło do nich, że urządzili sobie libację na krawędzi czarnych snów o stu pięćdziesięciu milionach Rosjan. Pierwszy oprzytomniał Aparicio. Ze zręcznością, jakiej trudno by się spodziewać po mężczyźnie tak potężnej postury, bezszelestnie obszedł całą izbę, gasząc świece. Wnętrze chaty okryły pierwotne ciemności. Zwątpienie, strach, niepewność. Arturo domyślał się, że każdy z tych wojaków był teraz kłębkim nerwów, wyobrażał sobie ich twarze, stęzałe, nieruchome jak gliniane maski, gdy w porozpinanych mundurach po omacku szukali karabinów. Aparicio, doczołgawszy się do okna, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Znów usłyszeli miarowe skrzypienie śniegu i szelest nart, ściskający trwogą serce, podsuwający obraz wachlarza białych postaci, który skrycie rozkłada się wokół chaty w podstępym oczekiwaniu na swoją noc świętego Bartłomieja. W gęstwinie ciszy żołnierze odbezpieczyli karabiny; kule ze złowrogim metalicznym szczękiem wpadały do magazynków. Wszyscy w napięciu patrzyli na Aparicia, który był z nich najstarszy stopniem, on zaś położył dłoń na ramieniu Servanda.

— Na zewnątrz pełno ruskich — powiedział z powagą. — Jeśli zostaniemy tutaj, wytluką nas do nogi. Trzeba natychmiast uciekać. Nie wszyscy naraz. Wychodzimy po kolei, jeden za drugim, musimy się rozproszyć. Nie strzelać bez rozkazu. A ty...

Zacisnął palce na ramieniu Servanda, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle zwrócił się do piegusa.

— ...ty, Faustino, pójdiesz pierwszy.

— Ja? — wzdrygnął się wojak nerwowo. — Dlaczego ja?

— Ktoś musi.

— Ale to ja, kurwa, muszę. Na pewno za to, że nie pomogłem wtedy panu nosić worków — stawiał się Faustino.

— Za niewinność. Wyłaż, do cholery.

— Uwziął się pan na mnie...

Zaklął i skulony, z karabinem gotowym do strzału, z granatem w zębach, przywarł do drzwi. Pomodlił się chwilę i zawarłszy pakt z Bogiem, czekał na znak.

— Uważaj na głowę — zatroszczył się Alonso.

Faustino jeszcze zdążył pokazać mu wała. W tym samym momencie rozkaz Aparicia zderzył się z łomotem otwieranych drzwi i wojak wyskoczył w ciemność. Żołnierze skupili się wokół kaprała, czekając na swoją kolej, lecz ten powstrzymał ich gestem ręki. Powinien się teraz rozlec terkot kałaszy i przeraźliwy wrzask „uraaa!”, nie usłyszeli jednak ani jednego strzału, ani jednego krzyku.

— Rozpłatali mu brzuch — jęknął Alonso.

Wzmianka o nożu ścięła lodem krew w żyłach żołnierzy. Z broni palnej można zastrzelić jednego człowieka, nożem zabijasz jednego, ale przerażasz tysiące.

— Idziemy, panie kapralu? — zapytał Servando.

— Jeszcze nie — odparł Aparicio z nosem przyklejonym do szyby. — Cicho bądź.

Wiatr wpadał przez otwarte drzwi, smagając ich mroźnym podmuchem, a jasny prostokąt śniegu za progiem skrzył się w blasku księżyca. Jasna poświata przenikała przez szyby, zalewając izbę szarym światłem, które zwiększało uczucie chłodu.

— Już? — niecierpliwiał się dalej Servando.

W odpowiedzi usłyszał niezrozumiały, gardłowy dźwięk, który, jak się wkrótce okazało, był niezbyt udaną próbą stłumienia chichotu. Wojacy kłękali po cichu, a Arturo zdał sobie sprawę, że połknęli nie tylko haczyk, ale również całą wędkę z wędkarzem na dodatek. Żywy dowód tej hucpy, Faustino, ukazał się nagle w drzwiach, napędzając im tęgiego stracha. „Ty skur...” — rzucił w stronę Aparicia, który rechotał już na całe gardło. „Ale cię pogoniło” — zdołał wykrztusić przed kolejnym napadem śmiechu. Kiedy zorientowali się, jak wrednie z nich sobie zakpił, rzucili się nań hurmem i spuścili dowcipnemu kapralowi manto, jakiego świat nie widział. Wówczas Arturo przypomniał sobie o Pablicie i uparł się, że go poszuka, żeby sprawdzić, jak zniósł cały ten cyrk, lecz rozejrzawszy się pobieżnie, stwierdził ze zdziwieniem, że nigdzie go nie ma. Policzył w myślach i stwierdził, że szukał wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Śliczny chłopiec spał nadal snem sprawiedliwego, zapomniany przez wszystkich, z na wpeł otwartymi ustami, oddychając rytmicznie z cichym poświstem, całkowicie obojętny na panujący wokół tumult. „Jakiś anioł stróż odrabia nadgodziny” — pomyślał Arturo. Nie zastanawiając się długo, narzucił płaszcz i wyminawszy oblegających Aparicia wojaków, wyszedł z chaty, żeby się

przekonać o słuszności swoich domysłów. Śnieg lśnił metalicznie jak sproszkowane aluminium, rażąc przywykłe do półmroku oczy. Tak jak przypuszczał, sprawcą niepokojących odgłosów okazało się towarzystwo czekające kilka metrów od chaty, wciąż jeszcze nieco speszone nagłym popisem Faustina. Dwie zaprzężone do sań włochate szkapy o potarganych grzywach i zapadniętych bokach poklepywał opatulony szczelnie muzyk o srogiej, kościstej twarzy, w której brwi, rzęsy i długie, obwisłe wąsy mróz obrysował białą kreską. W rękę trzymał brzozowy bat, a do butów miał przymocowane rakiety śnieżne domowego wyrobu. Na saniach, olśniewające w mlecznej poświacie księżyca, kulily się upragnione „panienki” w podbitych grubym futrem żołnierskich kurtkach, okutane chustami i szalami z szorstkiej wełny. Nie wiedzieć czemu Arturo wyobrażał je sobie jako krzepkie wieśniaczki o rumianych policzkach i pszenicznych warkoczach umajonych polnym kwieciem, dziewczyny z pocztówek, jadące na drabiniastym wozie wyładowanym snopkami zboża; rzeczywiście było tam kilka takich, ale ujrzał też archetypiczne rosyjskie piękności o ciemnych włosach i spojrzeniach pełnych osobliwej słodyczy, raczej dziecięcych niż zalotnych. Odruchowo przyglądził czuprynę, wypiął pierś, uśmiechnął się i nieśmiało uniósł dłoń w powitalnym geście. W odpowiedzi pomachały do niego zalotnie.

— *Dobro pożałowat’!* Witajcie! — odezwał się po rosyjsku.

Muzyk podszedł i przywitał się z nim wylewnie, serdecznie, wykazując przy tym nadzwyczajne zdolności mimiczne; mówił bardzo szybko, niespieszony w najmniejszym stopniu całkowitą nieznaną języczna najeźdźców. Arturo, zachwycony i ogłuszony zarazem, niewiele z tego zrozumiał, ale po kilku chwilach rozmowy na migi z wymownym Rosjaninem przekonał się, iż porozumienie wymaga więcej dobrej woli niż słów. Wojacy, zakończywszy porachunki z Aparición, jeden za drugim wychodzili z chaty, aby udowodnić, że przebywszy tysiące kilometrów z Hiszpanii, podrywając po drodze i obsypując komplementami wszystko, co się rusza, nadal nie wyszli z wprawy.

— Jakie fajne!

— Fajne? Jak młode klaczki, można je zajeździć na śmierć!

— Spójrzcie, co za ciała. Całkiem niepedagogiczne.

— Do dzieła, panowie, kto ostatni, ten ciota. Wiwat Hiszpania!

Aparicio, zaczerwieniony z emocji, usiłował zaprowadzić ład w szeregach.

— Tylko się nie pobijcie. Kto się doczeka szczęścia, załatwia sprawę raz-dwa i do szatni.

Dziewczęta, które widząc podziw Hiszpanów, chichotały i szeptały coś między sobą, schodziły z sań, każda wsparta na ramieniu swego casanovy, oni zaś rozpychali się łokciami, walcząc o pierwszeństwo w okazywaniu rycerskich względów damom. Dokonawszy krótkiego przeglądu towaru, Alonso, niecierpliwy i władczy, upatrzył sobie hożą dziewczę, po czym ruszył ku niej, brutalnie roztrącając konkurentów. Kiedy jego wybranka stanęła na śniegu, zaczął gapić się na nią w ekstazie, jakby ujrzał Awę Lavinie Gardner we własnej osobie. „Kochanego ciała nigdy za wiele” — mruknął z sarkazmem Faustino. „Panienki” nie kazały się prosić. Po kolei odchodziły z żołnierzami, aż wreszcie przyszła kolej na Artura, który choć zjawił się tam pierwszy, nie był pewien, czy się jakiejś spodoba, więc na wszelki wypadek wołał się nie pchać. Kiedy już odgadł, która mu przypadnie, wyprostował się po wojskowemu, ponownie przyglądał czuprynę i z udawaną swobodą podszedł do sań. Dziewczyna miała twarz zarumienioną od mrozu, włosy, sądząc z wymykających się spod chusty kosmyków, kasztanowe, i ogromne, roziskrzane piwne oczy; nie była piękna, ale gładka skóra i figlarne spojrzenie tuszowały wszelkie niedoskonałości. Arturo poczuł słaby impuls pożądania; zсадził ją z sań i poprowadził do chaty, próbując nawiązać lekką, konwencjonalną rozmowę. Miała na imię Zira, pachniała słodkim winem. Łagodnym, dziwnie spokojnym głosem odpowiadała na pytania, zaskoczona i uradowana zarazem, że ów obcy żołnierz przemawia do niej w jej ojczystym języku. W izbie ktoś znów pozapalał świeczki i dołożył dREW do pieca. Płomienie rzucały ciepły blask. Rozgrzewały w żyłach krew i uwalniały dziewczęta od ciężaru grubych paltotów, odsłaniając krągłe skarby, które kusily pod haftowanymi bluzkami i fałdami spódnic. Wojacy tymczasem, wśród śmiechów i żartów, rozpierzchli się po izbie w poszukiwaniu wolnego miejsca, prześcigając się w galanterii wobec swoich wybranek; jeszcze zachowywali dystans, choć już błakali się we mgle dwuznacznych spojrzeń, podniecenia i obaw. Arturo zaprowadził Zirę do swojego kąta, żałując, że nie może zaofiarować jej więcej wygód niż legowisko na stercie uwalanych ziemią zgrzebnych worków. Tuż obok Pablito nadal tkwił w siódmym niebie, mamrocząc słowa bez związku. Muzyk, który wcześniej gdzieś zniknął, pojawił się z bałajką i butelką szampana Veuve Clicquot. Na butelce, przez nieuwagę pozostawionej na

mrozie, odcisnęły się szlifowane palce zimy, których chłodny dotyk uwięził bąbelki w zamrażniętym trunku. Gadatliwy Rosjanin w try miga rozruszał towarzystwo. Podał instrument jednej z „panienek”, a gdy zabrzmiała pierwsza nuta, ruszył do kozaka. Kilku wojaków poszło w jego ślady, ale wkrótce się poddali, sapiąc z wysiłku. Arturo nie zwracał uwagi na tancerzy, upojony obecnością Ziry, która z dziecinną uciechą patrzyła na wygibasy Hiszpanów. Czuł się trochę sztywno, pełen niepokoju, że nie przypadnie dziewczynie do gustu, a przecież tak bardzo chciał się jej spodobać. W pewnym momencie na twarz Ziry padł mocny blask księżyca, nadając jej bladej skórze widmową strukturę.

— *Poczemu ty na mienia smotrisz?* Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Jej głos wyrwał go z otchłani powikłanych emocji. Spoglądała nań z uśmiechem, obejmując kolana rękami, trochę skonsternowana, a trochę zaciekawiona.

— *Ja dumał.* Zamyśliłem się — odparł wymijająco.

— *O czom ty dumał?* O czym myślałeś?

— *O tom, szto ty takaja choroszeńkaja.* O tym, jaka jesteś ładna.

W odpowiedzi znowu posłała mu uśmiech, kruchy i przejrzysty jak kryształ, choć przymglony niedowierzaniem.

— *U tiebia niewiasta?* Masz narzeczoną? — zapytała.

— *Niet, niewiasty u mienia niet.* Nie, nie mam.

— *Ty wierojatno wriosz. U was wsiech jest' niewiasty.* Kłamiesz. Na pewno wszyscy macie narzeczone.

Jej słowa nie brzmiały jak zarzut, były zalotnym przekomarzaniem się, kokieterią.

— *Czestnoje słowo, u mienia jejo niet. I nikogda nie było.* Nie mam. I nigdy nie miałem, słowo honoru.

Arturo uznał, że owa dociekliwość upoważnia go do odwrócenia pytania.

— *Au tiebia żenich jest'?* A ty masz narzeczonego?

— *Niet, u mienia toże niet.* Nie, ja też nie mam.

Arturo sądził, że Zira zapewne mówi prawdę; młodzi mężczyźni z okolicy albo bili się na wojnie, albo uciekli, albo już zginęli. Dlatego tak łatwo było nawiązać intymną znajomość z tutejszymi dziewczętami.

— *Skazy mnie szto nibud' o twojej żyzni.* Opowiedz mi coś o swoim życiu — zaproponowała. — *Kakaja Ispania?* Jaka jest Hiszpania?

— *Ja i Ispania...* Ja i Hiszpania... — Łyknął trochę wódki. — *Eto dołgo*

rasskazywat'. Długo by mówić.

Zaczął opowiadać, a nawet się rozgadał, rzecz u niego niezwykła. Przedstawił jej różową wizję swego życia i dość idylliczny obraz Hiszpanii. Kłamstwa nie miały znaczenia, ważne, że mówił. W trakcie owych zwierzeń poczuł nagle, iż trzymające go od miesięcy napięcie rozpływa się, opada. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na luksus namiętności, ale mógł na krótko się zapomnieć, widzieć ją jak przez naręcze świeżych róż, uległą, zmysłową, kuszącą. Tak, chociaż tej nocy. Bo tej nocy pożądał życia, młodości, bez poczucia winy, bez bólu. Tej nocy na to zasługiwał. Przycichała wokół muzyka, tanecznicy tracili wigor i podczas gdy jedni zajęli się wódką oraz próbami porozumienia za pomocą najemnych słów i wyszukanej gestykulacji (*Twoi głaza kak niebo gołuboje*. Twoje oczy są błękitne jak niebo — popisывał się rozochocony Aparicio), inni przeszli do trącań i muśnięć, które wcale nie były niewinne, ponieważ dotykane ciało nigdy niewinne nie jest, zawsze sonduje, przemawia, pyta.

— *I siejczas ty pro siebia gowori*. A teraz powiedz mi coś o sobie — zakończył swoją opowieść Arturo.

Jego prośba nie miała nic wspólnego z ciekawością. Chciał tylko zyskać na czasie. Żeby patrzeć, żeby się zachwycać. Delektował się w milczeniu i trwałyby tak przez całą noc, gdyby nie dręczące pytanie, od jak dawna nie był z kobietą. Zaskoczyło go odkrycie, że od pierwszego (i ostatniego) razu, gdy przespał się z Anną, upłynęły aż cztery lata. Kiedy siedział w więzieniu, dochodziło czasem do zbliżeń z innymi więźniami; zwierzęcy seks, ukradkowy, brutalny. Ale kobiety nawet nie powąchał. I w trakcie owych refleksji poczuł wzwód. Podczas gdy Zira snuła opowieść o swoim wiejskim świecie, erekcja narastała w sposób tak przemożny, że jeszcze tylko jedno go powstrzymywało: namiętność. Walczyły w nim tłumione ambiwalentne uczucia. I już, pełen nieokreślonych obaw, chciał wstać i odejść, wrócić do swojej klitki, kiedy w oczach dziewczyny odkrył coś, co kazało mu zostać. Dobrze znał to spojrzenie. Za każdym razem niezmiennie wzruszało go i roztkliwiało. Albowiem Zira dostrzegła w nim zagubionego, bezradnego człowieka i zapragnęła go ocalić; głęboko zakorzeniony instynkt kazał jej, podobnie jak innym kobietom, wydobyć na światło dzienne najbardziej chwiejną i przerażającą część męskiej duszy. Arturo odetchnął; w istocie to bardzo proste: zakochać mógł się w pianistce, nigdy w Zirze. Bo Zira chciała go ratować, a on potrafił kochać tylko te kobiety, które go mogły zniszczyć.

— Pragnę cię, Ziro.

Sam się zdziwił, że powiedział to po hiszpańsku, wiedząc, że go nie zrozumie. Ona jednak kiwnęła głową, objęła go za szyję i pocałowała. Gest ów, niczym uniwersalny klucz, uwolnił jego odwagę. Arturo przejął inicjatywę. Najpierw nieśmiałe zetknięcie warg, potem spojrzenia, więcej pocałunków. Zanim ich pieścizoty stały się bardziej intymne, przerwała na chwilę i zanurzywszy palce w jego włosach, zaciągnęła go w najciemniejszy kąt izby. Tam znowu się całowali i skapitulowała ostatecznie, oddając się w ręce Artura, lecz przedtem wcisnęła mu w dłoń prezerwatywę. Nie rozgniewał się, rozumiał. Wojny jeszcze nie wygrali, a gdyby bolszewicy wrócili i znaleźli u niej dziecko wroga, zabiliby ich oboje. Centymetr za centymetrem dotykał jej nagiej skóry, hamując brutalny popęd, by osiąść ją natychmiast. I tak, dzięki owej mnemotechnice namiętności, każdy szczegół ciała Ziry miał pozostać wyryty w jego pamięci aż do śmierci. Wchodził w nią powoli, starając się, by każdy ruch trwał całą wieczność; głęboko, coraz głębiej, niemal do samego serca. Czas płynął niepostrzeżenie, opieszale; w pewnej chwili zacisnęli powieki, ich twarze wykrzywił bolesny grymas i oboje przeszły dreszcz cudzego orgazmu. Na kilka krótkich chwil, w czterech ścianach obcego domu, Arturo zapomniał o wszystkim, co nie pozwalało mu zaznać szczęścia. Później leżeli długo, objęci, przytuleni do siebie, aż wreszcie zmorzył ich sen.

A potem zdarzyło się coś jeszcze: płatek śniegu, wielki jak pieczęć, lekki, zwiastun milionów śnieżynek, które miały spaść za kilka godzin, wślizgnął się przez jakąś szparę do izby i niesiony nikłym podmuchem przeleciał pod sufitem, by opaść delikatnie na policzek Artura, gdzie roztopił się momentalnie i spłynął po twarzy niby łza. Była dokładnie pierwsza czterdzieści siedem.

Przebudzenie było gwałtowne, trwożne. Chwila szamotaniny z powietrzem wśród rozproszonych fragmentów świadomości, dopóki przestrzeń nie zyskała namacalnych kształtów. Zrazu nie przypominał sobie koszmaru, który przedarł się z podświadomości na jawę, myśli jednak uładzały się z wolna, a odłamki snu przesuwały mózg niczym smagnięcia kul. Nie było to doznanie linearne, raczej pojedyncze plamy na płótnie pamięci: apokaliptyczne słowa Alfreda Lariosa, miękkość brzucha Ziry, głupawa

twarz Trinitaria, bliźniak osuwający się na śnieg, gęsta para unosząca się ze strumieni wody pod prysznicem, harmonia nut pod palcami tajemniczej, zmysłowej pianistki... Przytłoczony, udręczony tymi obrazami, próbował się odprężyć, nie zmuszać pamięci do nadmiernego wysiłku. Świece dawno się stopiły. Izbę oświetlał jedynie księżyc, okrąg czystego światła, którego lodowaty blask wydobywał z mroku cienie i pogrążone we śnie kształty, leżące pokotem na podłodze. W brzuchu pieca żarzyły się dogasające szczapy. Za oknami dniało, las stopniowo wyłaniał się z mroku, otoczone nikłą poświatą rozłożyste korony drzew gięły się w nierytmicznych podmuchach wiatru. Gdzieś dalej toczyła się wojna, dając o sobie znać rozproszonym hukami wybuchów i metodycznym terkotem karabinów. Arturo starał się o tym zapomnieć, wpatrując się w przytuloną do jego boku Zire, półnagą, z kasztanowymi kosmykami włosów oblepiającymi policzki niczym wodorosty ciało topielca. Jej skóra promieniowała ciepłem. Uśmiechnął się. Zakasłał lekko. Przesunął dłoń po twarzy. Była szorstka. Obejrzał swoje ręce i spostrzegł czarną obwódkę brudu za paznokciami. Uświadomił sobie, że od dawna się nie mył. Nie miał czasu. Fizyczna potrzeba kąpieli oderwała jego uwagę od Ziry, a przed oczami stanął mu Luis del Águila, jak żywy, pod prysznicem... strugi wody ściekające po jego nagim ciele z wolna zabarwiały się szkarłatem. Jakieś mgliste, natrętnie podejrzenie jęło nurtować Artura. Dlaczego, wbrew racjonalnym przesłankom, wciąż dręczy go przeczucie, iż miejscem zbrodni były łaźnie? Zeznania Trinitaria, który zarzekał się, że Luis del Águila wyszedł stamtąd żywy, nie zdołały stłumić owego niepokoju. Czas, gdy nierozgarnięty wojak wyszedł sobie ulżyć, pozostawiając denata samego, jawił się jako mroczna, lecz porażająca w swej jasności logika, która niczym jakaś pradawna głębinowa istota mąciła każdym swym poruszeniem gładką taflę pozornych pewników. Ponownie dokonał przeglądu zgromadzonych w pamięci słów i zdarzeń, szukając intelektualnego uzasadnienia owych przeczuć. Już gotów był zrezygnować, gdy nagle zeszywniał: „Formy, jakie przyjmuje życie, przyroda, by się bronić, duplikując szanse przetrwania swoich stworzeń...” — przypomniał sobie. I wystarczyło kilka sekund, by w serii wybuchających jedno po drugim skojarzeń — sugestie kapitana medyka Lariosa, zeznania Trinitaria i rozstrzelanie bliźniaka — ukazało mu się boleśnie proste rozwiązanie wszystkich niewiadomych. „Rozumieć to przyrównywać” — pomyślał i jął z wolna stapiać się, zlewać w jedno z naturą mordercy,

metodycznie, cierpliwie, odtwarzając jego kroki, gdy podążał owego wieczoru za Luisem del Águila. Musiał się wtedy liczyć z obecnością Trinitaria, ale i tak nic by go nie powstrzymało. To była „jego” chwila. Odczekał, aż droga będzie wolna, po czym wszedł do baraku, węsząc woń, która zdradziła przyszłą ofiarę. Oto i on, Luis del Águila. Odwrócony plecami, nagi, z zadartą do góry głową, oślepiiony strugami wody lejącej się na twarz, aż się prosił, by złożyć go na ołtarzu zagłady. Przeznaczenie już czekało. I nie musiało czekać długo. Zabójca wyciągnął nóż i ruchem niemal bezwiednym, naturalnym jak uśmiech lub padający śnieg, poderznął gardło. Krew trysnęła strumieniem z rozciętej tętnicy, a on stał i patrzył, jak ścieka, zmieszana z wodą. Nie tracąc czasu, świadomy nieuchronnego powrotu Trinitaria, zakręcił kurki, ukrył trupa i ubranie w mrocznym, oddalonym od wejścia kącie, do którego, jak zapamiętał Arturo, z powodu przepalanej żarówki nie docierało światło, a następnie, zasłoniwszy twarz kapturem munduru, wyszedł stamtąd jako Luis del Águila, mijając bez słowa Trinitaria. Stał się kopią ofiary, jej sobowtórem, przewrotnym bliźniakiem. Później, mając przed sobą całą noc, wrócił zapewne do baraku, by dokończyć dzieła. Arturo przypomniał sobie, że łaźnie zamykano na kłódkę i że Trinitario nic nie wspominał o włamaniu, ale przecież wystarczyłby zwykły wytrych. Uznał, iż nie ma znaczenia, czy morderca zaplanował zbrodnię, czy działał pod wpływem impulsu. Niewykluczone, że jedno i drugie, albowiem najwięcej przygotowań wymaga udana improwizacja; w każdym razie w obu tych przypadkach potrzebna jest zimna krew. Rozumieć to przyrównywać, dlatego Arturo sam teraz poczuł jego nienawiść. „Niech pan szuka przyczyn w namiętności — powiedział Alfredo Larios. — Namiętność bywa potężnym motywem”. A czyż istnieje namiętność silniejsza od nienawiści? Piąty krąg Dantego. Gwałtownik. Ktoś zamknięty w samowystarczalnej przeszłości, skazany na wieczne powtarzanie owego obsesyjnego cyklu, ktoś, kto ożywa wówczas, gdy z klepsydry jego ciała wycieknie cała krew. Ani umarły, ani żywy. Wampir. Arturo zadrżał i przytulił się do Ziry, jakby chciał przeniknąć przez jej skórę, przekroczyć dzielące ich fizyczne granice, wytyczyć wyraźną linię w niejasnej percepcji umysłu zabójcy. Popatrzył na leżącą przy nim kobietę. Z zachwytem. Z jej obecności płynęła nadzieja. Poczul się różnie. I jak przed ikoną Najświętszej Dziewicy błagał, by sprawiła, żeby odpowiedź była właśnie taka, żeby istniał jakiś motyw, nienawiść, zemsta, cokolwiek, bo jeśli nie, to pozostaje tylko Kuba Rozpruwacz, bezpostaciowy, nieuchwytny,

niepojęty. I bezkarność. Nicość. Absurd. Ale przede wszystkim groza.

Mocniej objął Zirę. Westchnęła przez sen, odwróciła się na bok i ułożyła głowę na jego ramieniu, on zaś w sekwencji tych naturalnych, podświadomych czynności odnalazł spokój i ład. Miał jeszcze kilka godzin dla siebie. Poddał się ogarniającej go senności, oblepiającej twarz jak pajęczyna. Przymknąwszy powieki, odpływał z wolna, już na granicy rzeczywistości, gdy czyjś stentorowy głos brutalnie wyrwał go z drzemki.

— To co, zaczynamy?

Pablito, ocknąwszy się nagle ze słodkich snów, kiwał się pod ścianą, z uśmiechem na swojej twarzy cherubinka, wpatrując się w Artura, jakby zobaczył ducha. A gdy tak przyglądali się sobie nawzajem, skonsternowani, drugi płatek śniegu, rodzony brat tamtego, który przed kilkoma godzinami roztopił się na policzku Artura, wpadł do izby i lekki niby dalekie wspomnienie zakołysał się chwiejnie w podmuchu wiatru, po czym osiadł na rozżarzonej kaflu pieca, zaskrzył się i wyparował z cichym sykiem.

Była dokładnie czwarta minut trzydzieści pięć.

Wtedy zaczął padać śnieg.

Padał przez całą noc.

Śnieg.

Czystość

Niebo w kolorze ultramaryny, błękitne jak spód płomienia, wbijało się klinem w twarde, oślepiająco biały śnieg, który przykrył Miestielewo. Wczorajsza zamieć przemieniła świat w latyfundium zimy. Arturo wyszedł przewietrzyć kaca na rosyjskim mrozie i natychmiast zmrużył oczy, żeby uniknąć porażenia. Uderzenia pulsu wybuchały niczym pociski w rozpalonej czaszce, a lodowaty chłód zdawał się rozsadzać kości. Zaledwie przed chwilą obudził się w chacie, z której wszyscy zniknęli jakby za sprawą czarów. Został sam, chciało mu się pić, w głowie huczało. Pozbawiony uzdrawiającej energii, której źródłem była obecność Ziry, szybko stracił humor. Ruszył w stronę baraków. Drogę przeciął mu oddział żołnierzy eskortujących kolumnę jeńców, którzy powoli człapali w walonkach przez zaspy, jakby wlekli za sobą ogrom własnej klęski. Jeden z nich przystanął i spojrzał na Artura; barczysty Mongoł o prostych, tłustych włosach wymykających się spod spiczastej uszatej czapki. Typowy okaz sowieckiego żołnierza, jeden z wielu zobojętniałych na cierpienia, zrezygnowanych, posłusznych raczej ze strachu przed komisarzami ludowymi niż z miłości do Rodiny. Trwało to kilka chwil, dopóki ten, który szedł za nim, nie popchnął go, a wówczas jeniec odwrócił oczy i podjął marsz. Ów krótki czas wystarczył jednak, by w Arturze zawrzała krew w nagłym przypiływie energii, gwałtownym, natrętnym. Była to mieszanina słabości, niesmaku, zniecierpliwienia, rozdrażnienia, złości... Znowu ogarnęły go wściekłość i gniew, czuł je w gardle. „Rzeczą normalną jest zabijać”. A nieszczęsny jeniec nigdy się nie dowiedział, jak niewiele brakowało, by podczas owej wymiany spojrzeń skosiła go seria z tetetki.

Rytuały. Rytuały znieczulają, łagodzą twarde warunki bytu, niepokój, poczucie zagrożenia. Zamiast iść prosto do siebie, Arturo zboczył w stronę

rzeźni. Chłodnym wzrokiem zoologa obserwował, jak wilczur wściekle toczy ślinę, warczy i bezsilnie kąsa powietrze. Pies nadal tkwił uwiązany na swym tantalowym łańcuchu, zakotwiczonym do wraku ciężarówki. Zrobił już cztery okrążenia i każde inne zwierzę, tylekroć — z pawłowowską regularnością — nadwerężywszy kark, dawno by położyło uszy po sobie i z podkulonym ogonem skryło się w prowizorycznej budzie. Ale nie ów butny okaz. Nie on. Rzucił się do biegu, ciągnąc wijący się jak grzechotnik łańcuch, Arturo zaś w żadnym momencie tego ponurego spektaklu nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego tak go dręczy. Po prostu musiał się wyładować, a pies był pod ręką. Wystarczy. Nawet kiedy zwierzę po raz piąty uderzyło w niewidzialną ścianę i padło na śnieg, nie poczuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Skrucha oznacza nadzieję na przebaczenie, on zaś wiedział, że to, co robi, jest niewybaczalne. Więzy krwi zostały odnowione. Bez zbędnych gestów, marszowym krokiem ruszył do swojej klitki.

Wróciwszy, od razu napalił w piecu; odczekał, aż płomień rozpełzną się wśród smolnych szczap. Zdjął wierzchnie odzienie i żelazny hełm, napił się wody na kaca, a potem zjadł resztki świątecznej paczki: migdały w cukrze, słoik marmolady i puszkę sardynek. Zostawił trochę oliwy z konserwy, bo świetnie chroniła wargi przed odmrożeniami. Już sięgał po leżącą wciąż obok telefonu pomarańczę — wyobrażał sobie, jak zatapia paznokcie w kwaskowatym mięszu, jak jedna po drugiej wrywa soczyste cząstki — ale rozmyślił się w ostatniej chwili: wolał nacieszyć się jej cytrusowym światłem. Nie zwlekając, rozpoczął ceremonię parzenia kawy; postawił maszynkę na blasze kuchenki i poczekał, aż zacznie bulgotać, przesycając cały pokój głęboką, ciemną wonią. Potem, z cynowym kubkiem pełnym po brzegi, wyciągnął się na pryczy, grzejąc ręce i dmuchając na gorący płyn. Pociągnął kilka łyków, poddał się ich rozgrzewającej mocy. Z westchnieniem wysączył ostatnie krople. Wszystko się może zmienić, pocieszał się, ale kawa zawsze będzie taka sama. Odstawił kubek i zapatrzył się w taniec płomieni. Czar nie trwał długo. Śledztwo czekało. Jeśli przyjąć, że Luisa del Águila zamordowano w łaźni, na trzy podstawowe pytania — gdzie, jak i kiedy — Arturo znał już odpowiedź. Dopasowaniem do owego schematu innych faktów — ucieczki koni, lodowego pochówku i wrytych na ciele nieboszczyka słów — postanowił zająć się później. Narastało w nim przekonanie, że zabójca śledził swą ofiarę, a zatem mógł się swobodnie

poruszać po Miestielewie, nikogo też nie dziwiła jego obecność w pobliżu łaźni. Popęlenie tej zbrodni wymagało siły, musiał więc być mężczyzną rosłej postury, podobnym z sylwetki do Luisa del Águila, tym bardziej że później się pod niego podszył. Niestety, odpowiedź na czwarte pytanie — dlaczego — nadal tkwiła w zawieszeniu. Z jednej strony jako oczywisty motyw jawiły się porachunki wynikające z wzajemnej niechęci wojskowych i falangistów, z drugiej — tlił się czarny płomień zemsty. Problemy zostały wypunktowane, teraz należało ustalić kolejność działań. Po pierwsze, ponownie przeanalizować zeznania Trinitaria w poszukiwaniu owego szczegółu, który wciąż czekał na odkrycie, co Arturo czuł za każdym razem, gdy przeglądał notatki. Następną pilną sprawą była rozmowa z kapelanem, a potem z Ricardem Guerrą Castellsem i fotografem Paramiem Pontem. Reszta zależała od ustaleń Espinosy i telefonu z poczty. Na tym chwilowo poprzestał, niepotrzebne przeciążanie umysłu przyniosłoby odwrotny skutek. Nagle zadźwięczał natarczywy dzwonek. Arturo wzdrygnął się i sięgając po słuchawkę, omal nie spadł z pryczy. Pewien był, że to don Picuś Glancuś, który chce mu zakomunikować, iż kompania Watermanna odnalazła list do Erundiny del Águila, tymczasem po drugiej stronie rozległ się zagłuszony przez szумы i trzaski tubalny głos sierżanta Espinosy.

— Rychło w czas — powiedział ostro, zgryźliwie. — Dzwoniłem już pięć razy. Słyszycie mnie?

— Kiepsko, panie sierżancie.

— Ja fatalnie. Można wiedzieć, gdzieście się podziewali?

Arturo miał wrażenie, że rozwścieczony sierżant nie mówi, tylko pluje. Wyczuł, że dowódca miał zły dzień, więc postanowił go nie drażnić.

— Nie zmrużyłem oka przez całą noc. Musiałem się zdrzemnąć — wyjaśnił potulnie.

— Akurat... Kiedy kota nie ma, myszy tańczą — warknął sierżant.

— Przepraszam.

Ustępliwość Artura najwyraźniej przekonała Espinosę, że musi sobie znaleźć innego wroga. Zmienił ton.

— Do rzeczy — podjął spokojniej. — Wiecie, że dzisiaj jest pogrzeb Luisa del Águila?

— Nie wiedziałem — odparł Arturo, zastanawiając się, do czego zmierza ta rozmowa.

— Że jak?

— Nie! — wrzasnął do słuchawki. — Nikt mi nic nie mówił.

— Wytyście słuch. Wypada złożyć kondolencje.

— Są pilniejsze sprawy. — Arturo pomyślał o Trinitariu.

— Zapewne, ale mszę odprawi niejaki ojciec Ramón. Może być ciekawie.

Arturo zamyślił się na chwilę. Istotnie, wzięwszy pod uwagę wczorajsze zeznania Servanda, mogło być ciekawie.

— Jesteście tam? — zapytał Espinosa.

— Tak.

— Bałem się, że nam przerwali. Co robimy?

— Trzeba koniecznie przesłuchać tego kapelana.

Tym razem ucichło po drugiej stronie linii.

— Panie sierzancie? — odezwał się Arturo, rozdrażniony.

W słuchawce coś zatrzeszczało.

— Sierzancie Espinosa, słyszy mnie pan?

— ...st...cie ...go pew...? — Słowa pojawiały się i znikaly jak głowa tonącego rozbitka na wzburzonych falach.

— Proszę powtórzyć, nic nie słyszę.

— Jest... ego p...ni...

— Nadal nie słyszę.

— Pytałem, czy jesteście tego pewni. — Połączenie wróciło, a głos mimo zakłóceń był znacznie wyraźniejszy.

— Tak, teraz lepiej pana słyhać. Najzupełniej, panie sierzancie. Odrobiłem lekcje. A pan?

Natychmiast pożałował owej uzasadnionej ciekawości. Przestraszył się, że pytanie zabrzmiało zbyt obcesowo, ale jeśli nawet Espinosa poczuł się urażony, nie dał tego po sobie poznać.

— Spokojnie, ja też się postarałem.

— Coś nowego?

— Nigdy nie ma nic nowego, wszystko jest stare, stare jak świat.

Arturo wyczuł, że jakiś cień przesłonił słuchawkę, i stwierdził, że lepiej nie nalegać.

— Dobrze, potem mi pan powie. Kiedy pogrzeb?

— Za parę godzin, o dwunastej.

— Świetnie. Spotkajmy się na cmentarzu o jedenastej trzydzieści. Muszę jeszcze załatwić kilka spraw.

— Zgoda.

Rozłączył się, zanim Arturo zdążył powiedzieć do widzenia. Nasłuchiwał jeszcze przez kilka minut; zdawało mu się, że na linii wciąż toczy się jakaś daleka rozmowa. Nie rozumiał słów, więc odłożył słuchawkę. Aż podskoczył, bo w tej samej chwili telefon zabrzączał znowu. Arturo przeczekał dwa kolejne dzwonki, niemal pewien, że tym razem się nie zawiedzie i usłyszy służbisty, pedantyczny falset don Picusia Glancusia.

— Słucham?

— Widzę, że nie lubi pan wcześniej wstawać.

Głos Navajasa del Río brzmiał czysto i wyraźnie. Arturo zaklął w duchu i poczuł, że coś dławi go w gardle.

— Melduję się na rozkaz, panie pułkowniku.

— Spocznij. I proszę wziąć głęboki oddech, nie będę powtarzał sto razy.

Pozwolił Arturowi ochłonąć z wrażenia i obaj przez chwilę wyczekiwali w milczeniu, jakby próbowali wyczytać coś sobie z oczu na odległość.

— Jeżeli pan dzwoni w sprawie śledztwa...

Navajas del Río uciął w zarodku jego filipikę.

— Sądzę, że jeszcze za wcześnie o to pytać, chociaż ręczę, że nie traci pan czasu. Dzwonię, ponieważ zaszły nieprzewidziane okoliczności i być może mógłby mi pan pomóc.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy.

— Zapewniam, że to nie zajmie panu wiele czasu. Najwyżej kilka godzin.

— Słucham, panie pułkowniku.

— Nie wiem, czy pan słyszał o tym, że pojutrze odbędzie się uroczysty obiad w kwaterze głównej, z udziałem generała pułkownika Lindemanna i innych osobistości — przerwał, jakby chciał coś zanotować dla pamięci. — Będzie też kilku rosyjskich oficerów, własowców... I tu właśnie byłby mi pan potrzebny. Nasz tłumacz dostał zapalenia płuc, a na tym spotkaniu będzie zapewne mowa o poufnych sprawach. Chwilowo nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto by znał język i bardziej niż pan zasługiwał na zaufanie. Bo pan mówi po rosyjsku, prawda?

Arturo przypomniał sobie, jak ślęczał godzinami nad podręcznikiem.

— Tak, panie pułkowniku.

— Tak też zrozumiałem. Wobec tego mogę...

Na linii jakby nagle zaroilo się od świerszczy, a z oddali, wśród głośnych trzasków, znów dobiegły strzępy czyjejs rozmowy.

— Czy pan mnie słyszy, panie pułkowniku?

Jedyną odpowiedzią było echo tajemniczego dialogu, zabłąkanego w cylindrycznych, kilometrowych ciemnościach.

— Arturo, słyszy mnie pan? — zadudnił głos Navajasa przekrzykującego widmową konwersację.

— Tak, teraz słyszę bardzo dobrze, panie pułkowniku.

— No, nareszcie. Z tymi cholernymi telefonami tylko same kłopoty. Inżynierowie twierdzą, że jesteśmy za blisko Arktyki, co powoduje zakłócenia magnetyczne. Pan wierzy w te bajki?

— Trudno mi się wypowiadać na ten temat, panie pułkowniku — okazał zakłopotanie Arturo.

— Bo ja myślę, że zły tanecznicy przeszkadza rąbek u spódnicy. Nic nie umieją, więc szukają jakiejś wymówki. Na jedno wychodzi — stwierdził. — Więc zrobi pan to dla mnie?

— Oczywiście, panie pułkowniku.

— Znakomicie, znakomicie... — przyozdobił swoje zadowolenie wielokropkiem. — Wyślę kogoś do pana. A właściwie, to chętnie bym usłyszał coś o postępach w śledztwie...

Arturo przełożył słuchawkę do drugiej ręki i spróbował przedstawić swoje wnioski tak, by nie rozbudzać nadmiernych oczekiwań, a zarazem ukryć łatwe do podważenia przesłanki rozumowania.

— Jestem z pana zadowolony, Arturze — podsumował Navajas. — Nie można było zrobić więcej w tak krótkim czasie. — Jego głos oblepiał telefon, jakby poddając go wnikliwemu badaniu. — A przy okazji, czy nasz znajomy falangista dalej się panu naprzykrza?

— Nie, panie pułkowniku.

— To dobrze, to dobrze... A kiedy się pan spotka z tym... no, jak mu tam...?

— Ricardo Guerra Castells. Jeszcze dzisiaj.

— Proszę pamiętać, że ateistyczna żydomasoneria o mały włos nie doprowadziła naszej ojczyzny do zguby i że chwasty trzeba wyrwać z korzeniami, a złe nasienie tępić bez litości — wyrecytował podpułkownik jednym tchem, jak tabliczkę mnożenia, przypominając Arturowi, że w tej grze nie wszystko musi być uczciwe. — Ale zwłaszcza proszę pamiętać o swoim awansie.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

— Proszę mnie zawiadomić, kiedy kot już będzie w worku.

— Tak jest, panie pułkowniku. Wiwat Hiszpania. Wiwat Franco.

— Wiwat.

Arturo odłożył słuchawkę z lekka zaniepokojony, z poczuciem, że teraz, gdy musi związać własne życie z tym śledztwem, połączyć je jak punkty owych figur zamieszczanych w dziale rozrywki niedzielnych gazet, nie wolno mu popełnić błędu, bo może stracić i jedno, i drugie. Trzeba napić się kawy, stwierdził; to znaczy pomyśleć. Podszedł do kuchenki i napełnił kubek; na stojąco wysączył jego zawartość, smakując każdą kroplę, potem, krążąc myślami wokół samego siebie, monotonicznie, mechanicznie, niczym tancerka wirująca na pozytywce, wypił jeszcze jeden. „Jeżeli już trzeba coś zrobić, lepiej to robić z głową” — mruknął. Z nową energią dopił trzecią kawę i chwycił za telefon. Zadzwoił do intendencji i odbył owocną rozmowę, wskutek której oficer dyżurny poruszył niebo i ziemię, by odnaleźć Trinitaria. Choć inteligencja wojskowa nie zapewne łupiny żołędzia, pozwoliła mu jednakże przypomnieć sobie, iż faktycznie nie widział twarzy Luisa del Águila, bo była zakryta kapturem, ale sylwetka z wyglądu ogólnie się zgadzała. Mimo satysfakcji, że hipoteza się potwierdziła, dręczony kaczem Arturo obtańcował nierozgarniętego żołnierza jak święty Michał diabła. Ów gniew sprawiał mu przyjemność, więc starał się go przedłużać jak mógł. Odłożywszy słuchawkę, sprawdził godzinę. Miał czas, żeby się trochę ogarnąć. Woda, mydło, brzytwa. Udało mu się nie skaleczyć przy goleniu. Zmył resztki piany. Przebrał się, nacisnął na głowę hełm, sprawdził tetetkę i uznał, że jest odpowiednio przygotowany na pogrzeb. Przed wyjściem rzucił ostatnie spojrzenie na pomarańczę. Jej blask zaokrąglony przez lewantyńskie słońce przypominał mu pianistkę: jego drugą połowę pomarańczy. Proste, wysmukłe plecy, dziwne piękno nieregularnych rysów, wystudiowane ruchy rąk, spod których z taką lekkością wypływał strumień muzyki. „Lubi pan Chopina?” Postanowił umieścić to wspomnienie wśród rzeczy, co do których nigdy nie jest się pewnym, czy warto je było ujrzeć, bo mogą sprawić ból. Druga połowa? Dla zachowania psychicznej i fizycznej równowagi lepiej, żeby każde z nas było całą pomarańczą.

Cmentarz w Miestielewie był sporym spłachciem zamarzniętej ziemi pomiędzy torami kolejowymi i Sławianką, z szeregami brzoźowych krzyży: jedne były zupełnie nagie, inne ozdobione żelaznym hełmem lub wydrapanymi na poprzecznym ramieniu literami R.I.P. Pod oszronionym

zagajnikiem, tuż nad brzegiem rzeki, Arturo dostrzegł duży krzyż otoczony grupką mniejszych, pod którymi leżały ciała żołnierzy drugiego batalionu 269 pułku, zdziesiątkowanych w styczniu pod Posiołkiem. Tylko dwudziestu ośmiu ludzi przeżyło ów piekielny bój, by pogrzebać setki tych, którzy pozostawili swoje dusze w tamtejszych śniegach. Pośrodku cmentarza wystrzelony z niewidzialnej broni sowiecki pocisk zniszczył kilka grobów i ekshumował szczątki jakiegoś nieszczęsnego wojaka. Arturo pogрузzył się w ponurą medytację: śmierć, tyle tu śmierci, wszędzie tylko śmierć i śmierć. Szybciej, niżby kiedykolwiek przypuszczali, nikt nie będzie o nich pamiętał, nikt nie będzie wiedział, dlaczego i jak umarli, a pocieszyć ich w owym zapomnieniu może jedynie to, że zginęli z nadzieją i wiarą, iż ów akt poświęcenia nie pójdzie na marne. Arturo pragnął tego samego: nie chciał dla siebie wieczności, chciał tylko pewności, że jego uczynki z upływem czasu nie tracą sensu.

— Kości — pogrzebowym tonem oznajmił zza jego ramienia Espinosa.

Arturo aż się wzdrygnął, chociaż spodziewał się go od kilku dobrych minut.

— Witam, panie sierżancie — powiedział, trzaskając obcasami.

Espinosa postawił kołnierz obszernego kozucha i krótko skinął głową. Jego jastrzębia twarz, nieco kanciasta pod metalowym hełmem zastępującym codzienną futrzaną czapę, tchnęła hieratycznym spokojem drapieżnego ptaka, który z racji uprzywilejowanej pozycji na szczycie przyrodniczej piramidy nie musi okazywać nadmiernej srogości. Arturo dostrzegł jednak, iż czy to z powodu nagłego ataku wrzodów, czy też jakiejś innej zadry, sierżant nadal jest w fatalnym humorze, i przygotował się na odparcie hipotetycznej zaczepki.

— A wy co myślicie? — zagadnął Espinosa.

— O czym?

— O wieczności.

Takiego pytania Arturo się nie spodziewał.

— Ja nie myślę za wiele, panie sierżancie, ja tylko słucham rozkazów — odparł wymijająco.

— Nie myślicie, zgoda, ale chyba coś czujecie. Boicie się śmierci?

W obliczu konieczności wykroczenia poza ściśle służbowe relacje Arturo poczuł się trochę niezręcznie. Po krótkim namyśle postanowił powiedzieć prawdę.

— Szczerze?

— Tak.

— Nie więcej niż życia.

Oblicze Espinosy zastygło w pełnym satysfakcji grymasie i jeszcze przez chwilę stali obaj w ciszy, ramię przy ramieniu, dwie nieruchome, ciemne sylwetki utrwalone na światłoczułej kliszy unoszącego się nad cmentarzem snu. Zimne powietrze kłuło w płucach.

— Podskoczyło do minus trzydziestu — oznajmił nagle Arturo. — Istny skwar.

Sierżant nie docenił dowcipu powtarzanego do znudzenia przez całą dywizję. Odwrócił się i spojrzał na niego bacznie.

— A diabła? — wznowił ostrzał. — Wierzycie w piekło?

— W piekło? — Arturo, spłoszony, obracał pytanie w myślach. — Panie sierżancie, sądzę, że ksiądz lepiej to panu wyjaśni.

— Chcę usłyszeć wasze zdanie, opinię księdza już znam — odparł powoli, kładąc nacisk na każdą sylabę.

Arturo dostrzegł prawdziwą przepaść kryjącą się za tym pytaniem; było jak sejsmiczny wstrząs wzbudzony w epicentrum bólu, którego istnienia domyślał się już wcześniej. Sekrety. Przedmioty są strażnikami sekretów. I przyszło mu do głowy, że w ten sposób sierżant próbuje mu powiedzieć, co go dręczy.

— Czy ja wierzę w piekło...

Powtórzył to kilkakrotnie, ale nie zdecydował się na odpowiedź. Wzruszył ramionami i zatupał, żeby się trochę rozgrzać. Espinosa popatrzył na niego z mieszaniną wzdąry i gorzkiej rezygnacji. Arturo zastanawiał się, skąd w sierżancie ten upór, by wzorem niewiernego Tomasza dotykać ran. Tym bardziej że trudno byłoby go posądzić o brak żarliwości i wiary w słusność własnych przekonań. Zaczęły w nim narastać nedorzeczne podejrzenia, które skupiały się wokół jednej myśli niczym sztabki metalu wokół magnesu: a jeżeli to on jest zabójcą? Espinosa był podoficerem, mógł swobodnie poruszać się po całym obozie, a co istotne, z upodobaniem nurzał się w mulistym osadzie pamięci, dotykając żywymi palcami martwego czasu, który namnażał się w jego duszy jak złośliwe komórki nowotworu. A jeżeli to on?

— Sklečili to byle jak — orzekł nagle sierżant, podchodząc do czegoś, co bardziej przypominało wiatrak niż krzyż, i zaczął poprawiać brzożowe paliki.

— Tak, jakiś wojak kompletnie spartaczył robotę — przyznał Arturo,

wysławszy swoje podejrzenia na kwarantannę.

— Jakby tak zbudował most, siedziałby teraz w więzieniu — skwitował Espinosa.

Arturo się uśmiechnął. Oto powrócił dawny Espinosa, dosadny jak zwykle. I za to go lubił.

— Bierzemy się do pracy?

— Tak, już pora.

W ciągu następnych pięciu minut Arturo zrelacjonował postępy w śledztwie, kładąc nacisk na osobę Ricarda Guerry Castellsa, choć nie wspomniał ani słowem o milczących naciskach ze strony podpułkownika Navajasa del Río.

— Czyli jeszcze nie dzwonili do was z poczty — uściślił Espinosa.

— Wciąż szukają listu.

— A więc to kwestia czasu — zmrużył oczy, oślepienie bielą śniegu. — Hipoteza, że typek, którego szukamy, załatwił Luisa del Águila w łaźni, pasowałaby do tego, czego się dowiedziałem w stajniach. Rozmawiałem z dwoma wojakami z nocnej warty. Powiedzieli, że tamtego dnia jeden z koni się znarowił i wyłamał wrota, ale obejrzałem wszystko dokładnie i nie zauważyłem żadnych uszkodzeń. Poza tym ich zeznania zgadzały się co do joty, co zwykle oznacza, iż jeden myśli za dwóch, czyli że kłamią.

— Sprytnie.

Espinosa pokręcił głową.

— Najprawdopodobniej po prostu zasnęli — ciągnął. — Albo któryś zwagarował, zresztą kto ich tam wie. To zrozumiałe, że udają głupków; przez przypadek wpakowali się w kabałę, więc wolą wyjść na idiotów niż mieć dyscyplinarkę za opuszczenie posterunku.

— Logiczne.

— A, jeszcze jedno. Koń, na którym siedział Luis del Águila, to znaczy ten, na którym go przewieziono na Sławiankę, to klacz.

— Aha... — Arturo nie potrafił ukryć konsternacji. — I?

— Podaję fakty. Mówiliście, że wszystko jest ważne.

— Tak, oczywiście.

— Poza tym z tą klaczą to ciekawe.

— Dlaczego?

— Dlatego, że reszta zbiegłych koni to ogiery.

Był to szczegół, ale intrygujący; jak czarna perła. I utwierdził Artura w

przekonaniu, iż nie pomylił się, gdy zaufał spostrzegawczości sierżanta. Zanotował w myślach ową wiadomość.

— Dobra robota. Reasumując, nasz tajemniczy morderca dokładnie wiedział, jak i kiedy działać. Wybrał mglistą noc, wypuścił konie, żeby odwrócić od siebie uwagę, zabił Luisa del Águila, objuczył zwłokami schwytaną wcześniej klacz i ruszył ku rzece. A tam dokonał reszty. — Arturo zaryzykował i wyłożył karty na stół, stawiając całą pulę na Ricarda Guerre Castellsa. — Odprawił te swoje bezbożne masonskie rytuały, i po wszystkim. Marksistowska kanalia...

Espinosa milczał.

— I co pan na to, sierżancie?

— Słowa mogą pochodzić stąd, stąd albo stąd — wskazywał kolejno na swoją głowę, usta i pierś. — Co wolicie?

Arturo uśmiechnął się niepewnie jak skarcone dziecko.

— Z głowy — odparł, dotykając rękawicą hełmu.

— Jeśli zbyt wiele nici prowadzi do kłębka, mogą się komuś zaplątać wokół szyi, a w tej sprawie, wojaku, jest ich tyle, że wystarczy, by powiesić nas obu.

— Nie zawsze wszystko da się rozplątać i porządnie powiązać — bronił się Arturo.

Espinosa popatrzył na niego sceptycznie, ze znużeniem.

— I nie zawsze trzeba.

Arturo zrozumiał, że sierżant przejrzał go na wylot. Poczul się nieswojo, jak dziecko pod pełnym nagany spojrzeniem ojca, i przyznał w duchu, iż podziela jego przekonanie o daremności walki z władzą, biurokracją, rutyną lub jakąkolwiek inną postacią głupoty i fałszu, przy czym doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Espinosa sam nie jest od nich wolny.

— No cóż, myślę, że nie warto tracić na to więcej czasu — stwierdził, żeby się nie wdawać w dalszą dyskusję. — Jest, jak jest. Dowiedział się pan czegoś o wiolecie? Krążą jakieś plotki?

— Ta sama śpiewka: nikt nic nie widział, nic nie słyszał, niczego się nie domyśla.

— Rozumiem.

Arturo zapatrzył się na topole i brzozy zagajnika; sztywne, szkliste gałęzie, jakby odlane w lodowych, lśniących formach. Sprawa ruletki nie dawała mu spokoju. Jeżeli Luis del Águila rzeczywiście musiał wysłać do domu

pieniądze, istniały inne sposoby, by je zdobyć, może nie tak owocne, ale na pewno mniej ryzykowne, pomijając już fakt, iż podwójny — hiszpański i niemiecki — żołd stanowił sumę nie do pogardzenia. Dlaczego więc uczestniczył w grze, której stawką było jego życie? Kochał swoich bliskich, miał powód, by wrócić. Po co się narażał? Co takiego skrywała jego przeszłość, że zatruwał wątrobę alkoholem, by znaleźć ukojenie w bólu, o którym pisała w liście siostra? Arturo postanowił pozostawić na razie te pytania bez odpowiedzi, a całą uwagę skupić na postaci swojego oficjalnego podejrzanego, Ricarda Guerry Castellsa. Od jałowych rozważań oderwał go widok schodzącego po nadbrzeżnej skarpie konduktu.

— Chwilowo zostawmy tę sprawę w rękach Rzymu — wskazał żałobny orszak z kapelanem na czele.

Przyglądali się wojakom dźwigającym toporną skrzynię, wspartą jak feretron na nieheblowanych deskach.

— Co o nim wiadomo? — indagował Arturo.

— To dominikanin — wyjaśnił Espinosa. — Z Teruelu. Przed wyjazdem z Hiszpanii organizował oddziały krzyżowców, z którymi zamierzał tu przyjechać, żeby oczyścić Rosję. Kiedy w armii się o tym dowiedzieli, rozpędzili ich na cztery wiatry.

Zamilkł, uznawszy, że wyczerpał temat. Żałobnicy szli powoli, stąpając ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć. Wreszcie dotarli do zawczasu wykopanych dołów. Postawili trumnę przy pierwszym z brzegu, a kapłan w połowym ornacie przystąpił do skromnej ceremonii, którą rozpoczął krótkim responsorium. Kiedy ucichły chóralne modły, ksiądz schylił się i — z braku piasku — podniósł garść śniegu, ucałował go i rzucił na wieko. Zanim złożono nieboszczyka do grobu — „skrawek Hiszpanii na rosyjskiej ziemi”, powiedział kapelan — jeden z żołnierzy rozwinął zgrzebny czerwono-żółty sztandar Falangi i nakrył nim trumnę. Opuszczali ją powoli na linach, dopóki nie stuknęła głucho o dno. Espinosa i Arturo asystowali temu w milczeniu, a gdy na szczątki Luisa del Águila sypnięto ostatnią łopatę śniegu, Arturo szturchnął sierżanta w łokieć. Widząc, że wszyscy zaczynają się rozchodzić, ruszyli w stronę stojących kręgiem postaci. Musieli wspiąć się po niewielkiej pochyłości; Arturo wysforował się kilka metrów naprzód. Już prawie na miejscu poślizgnął się na twardym śniegu i omal nie runął jak długi.

— Ostrożnie, synu, nie trzeba nam kolejnego nieszczęścia — napomniał kapelan, łapiąc go w powietrzu.

Po pierwsze, Arturo zwrócił uwagę na jego ochryply, opanowany głos, jakby przyklejony do słów. W niczym niepodobny do piskliwego dyszkanciku, opisywanego przez Alonsa „Klarka Gable’a” Cogollosa. Po drugie, na siłę, z jaką kapłan podtrzymał go z precyzją turnikietu. Wróciwszy do pionu, Arturo poprawił mundur i podziękował za pomoc.

— Wielkie dzięki, ojcze.

— Bogu podziękuj, synu, nie mnie.

Zamiast odpowiedzieć, Arturo nie bez trudu wydobył spod kilku warstw ubrania zaświadczenie od Navajasa del Río, mocno już zmięte i przybrudzone. Miał zamiar zatrzeć pierwsze, nie najlepsze wrażenie, okazując stanowczość i energię, lecz w ostatniej chwili uległ głosowi rozsądku i chłodnej kalkulacji, dostrzegł bowiem korzyści, jakie mógł czerpać kosztem własnej śmieszności: niedocenianemu łatwiej osiągnąć sukces. Przywdział zatem maskę nierozgarniętego fajtlapy, bardzo stosowną w tej sytuacji, i wręczył sfatygowany świstek kapelanowi, który przeczytał go z flegmatycznym spokojem.

— Przychodzisz w sprawie tego nieboszczyka.

— Tak, ojcze. — Zauważył, że żałobnicy obserwują ich w napięciu, nie kwapiąc się do odejścia. — Ale chyba powinniśmy porozmawiać o tym gdzie indziej.

Ksiądz najwidoczniej przychylił się do tej propozycji, bo podszedł do żołnierzy i rozdając im święte obrazki i połowę brewiarze, wezwał, by odmawiali co dzień „choć krótką modlitwę, bo tu nikt nie jest pewien swego życia”. Pobłogosławiwszy na odchodnym nieco już rozpierchniętą trzódkę nieokreślonym, jakby niedbałym gestem, zwrócił się ponownie do Artura.

— Jestem do twojej dyspozycji. Możemy pogadać w kościele.

Arturo zgodził się chętnie; doświadczenie nauczyło go, że lepiej prowadzić przesłuchanie na terenie rozmówcy, gdyż przekonanie, że na swoim mamy przewagę, zwykle bywa błędne. Chcąc się pozbyć Espinosy, który tkwił przy nim jak cień, poprosił, żeby dołączył do żołnierzy i przepytał ich po drodze, jednak sierżant, z wojowniczą miną, niespodziewanie odmówił wykonania rozkazu. Arturo już miał mu przypomnieć, że w wojsku decyzji nie podejmuje się przez głosowanie, ale wyczytał w jego twarzy głęboki zawód. Z bliżej nieznanym powodów Espinosa pragnął być obecny przy rozmowie z kapłanem. Arturo powrócił myślami do dziwacznej dyskusji przed pogrzebem i doszedł do wniosku, że w niektórych okolicznościach można

przymknąć oko na dyscyplinę, bo czasem warto wyżej stawiać prawa, które są w nas. Postanowił ustąpić. Kogoś takiego jak sierżant nie da się zbyć byle czym. A poza tym nie byłoby dobrze spieprzyć początek rodzącej się między nimi przyjaźni.

— Albo nie — skorygował — proszę spisać ich dane, a później ich pan przesłucha, na spokojnie.

Espinosa się rozchmurzył. Arturo jednak nie omieszkał mu uświadomić, że nie zawsze może liczyć na jego uprzejmość.

— Już pan zużył jedno życzenie, panie sierżancie. Zostały jeszcze tylko dwa.

Espinosa uśmiechnął się półgębkiem, ale widać było, że w głębi ducha jest zadowolony, jakby go kto na sto koni wsadził.

Nazwanie kościołem garnizonowym przydrożnej cerkiewki stojącej opodal Miestielewa trąciło zbytnim optymizmem. Dawniej była tu siedziba miejscowego sovietu, a na ścianach kaplicy zawisły propagandowe plakaty, portrety Marksa i Lenina, podobizny lokalnych komisarzy oraz wykresy przedstawiające wydajność z hektara. Zaproszeni przez księdza, wkroczyli do ciasnej, ogrzanej potowym piecykiem nawy, która łaskawie udzieliła im iluzorycznego schronienia przed zimnem. Smukłe pozłacane kolumny, resztki ocalałych stiuków, których nie osmalił ogień wybuchających pocisków, i odpadające tynki, poznaczone zalepionymi niechlujnie bliznami, świadczyły o minionym bizantyjskim przepychu fresków i reliefów przedstawiających sceny z historii Rosji oraz tłumy wyblakłych, zżeranych przez liszaj aniołów. Swego czasu święty gniew ojca Ramona zapłonął ogniem autodafe, by oczyścić zbezczeszczoną przez bezbożników świątynię, przywracając jej dawny, słaby zapach kadzidła i jeszcze dawniejszy strach przed hebrajskim Bogiem. *Kyrie, kyrie eleison*, pomyślał Arturo. Rozglądał się wokół, rejestrując każdy szczegół wnętrza zroszonego światłem, które przesączało się przez różnobarwną rozetę. Ksiądz zdjął palto, odsłaniając suche, żyłaste ciało opięte mundurem Wehrmachtu z fioletową naszywką kapelańską na lewej kieszonce. Przez drugą dziurkę od góry przewleczona była wstążka, którą Niemcy określają długim, wielokrotnie złożonym mianem *Kriegsverdienstkreuz II Klasse*, co po ludzku oznacza odznaczenie Krzyżem Żelaznym drugiej klasy. Na końcu ściągnął kominiarkę. Arturo, przekonany dotąd, iż ma do czynienia z przedwcześnie postarzałym

trzydziestolatkiem, ujrzał mężczyznę około pięćdziesiątki o zaskakująco młodzieńczym wyglądem. Kapelan miał w sobie coś z Metysa lub Mulata i lekki tik nerwowy górnej wargi, co łagodziło ewangeliczną surowość twarzy, ale szczególną uwagę Artura zwróciły jego włosy, a raczej ich brak, był bowiem łysy jak kolano. Przeżegnał się przed składanym ołtarzykiem. Espinosa powtórzył ów gest, więc Arturo uczynił to samo, bardziej dlatego, że tak wypadało, niż z wewnętrznej potrzeby. Ksiądz otworzył komodę, poszperał w niej chwilę i spod ornatów, stuł i skrzyneczek ze świętymi olejami wydobyl... butelkę doskonałego wytrawnego sherry La Ina, dwie szklaneczki, serwetki oraz tekturowe pudełko, po czym starannie rozłożył owe skarby, oglądając przy tym szklanki pod światło, by sprawdzić, czy są czyste. Najwidoczniej nie spełniły jego oczekiwań, bo dokładnie przetarł je ściereczką.

— Lubicie dobre wino? — zagaił, chwytając się owego filaru kurtuazji, jakim jest pragnienie. — Trzymam to dla specjalnych gości. Nic wielkiego, ale zawsze coś.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, podał serwetki, napełnił szklanki i otworzył pudełko, częstując ich marcepanami, ciastem i herbatnikami. Zdjęli hełmy i odłożyli je na szafkę, obok butelki. Espinosa, po długich namowach, wziął jedno ciastko. Arturo nie był taki wstrzemięzliwy.

— Żeby nie robić księdzu przykrości... — powiedział z prostą uprzejmością, starając się nie wypaść z roli.

Kapelan podsunął mu pudełko z łakociami, ale nie poprosił, żeby usiedli, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie spodziewa się długiej rozmowy. Uśmiechnął się; kiedy to robił, tik zniknął.

— A zatem słucham.

— Nie zajmujemy księdzu wiele czasu — zapewnił go Arturo. — Cóż, ponieważ przypuszczam, że słyszał ksiądz o naszym śledztwie w sprawie zabójstwa Luisa del Águila, przejdę od razu do rzeczy. Wiemy z wiarygodnego źródła, że łączyła was zażyła więź. Duchowa, oczywiście.

— Tak, Luis był dobrym katolikiem, skrupulatnie przestrzegającym nauki Kościoła — potwierdził kapelan z jakąś zmysłową rozkoszą.

— Czyli że ksiądz go dobrze znał.

— Tak jak pasterz swoje owce.

— Spowiadał się u księdza?

— Tak.

— Często?

— To, co skrywane, łatwo mętnieje i zaczyna trawić duszę jak żrący kwas, a z czasem przemienia się w występny nałóg, nawet obłąd. Słusznie jest dzielić z kimś swoje brzemie. Tak, Luis był dobrym katolikiem — powtórzył z naciskiem. — A ty, synu? Czy się spowiadasz?

— Nie tak często, jak powinienem, ojciec — odparł Arturo, udając zakłopotanie. — Brakuje czasu...

— Nie czasu, ale chęci — zganiał go surowo kapelan w poczuciu swojej duchowej władzy. — Bacz, by cię grzech nie opanował, bo lepiej oczyścić się w kościele niż w ogniu piekielnym.

— Święte słowa, ojciec, postaram się częściej przystępować do sakramentów, obiecuję... Ale teraz chciałbym jeszcze zapytać... Luis del Águila... — W porę sobie przypomniał, że musi udawać chłopka-roztropka, bo inaczej kapelan mógłby się domyślić, że jego rozmówca nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. — Luis del Águila miał dużo grzechów?

— Któż ich nie ma, synu? Wszyscy, wszyscy bez wyjątku powinniśmy błagać Boga, żeby zmiłował się nad nami w swym nieskończonym miłosierdziu.

— To prawda, ojciec... — wymamrotał, szukając w myślach czegoś, czego mógłby się uchwycić. — Zachował się list, w którym siostra zmarłego pisze o jakimś wielkim cierpieniu i prosi go, by zwierzył się księdzu. Chętnie byśmy się dowiedzieli więcej...

— Przykro mi, ale wszystko, co od niego usłyszałem, stanowi tajemnicę spowiedzi. Nie wolno mi jej pogwałcić, synu. Powinieneś to wiedzieć.

— A poza konfesjonałem? Mówił coś, co pozwoliłoby nam ukierunkować śledztwo? Sądzimy, że morderca mógł być w ten czy inny sposób blisko związany z ofiarą.

Ojciec Ramón pogładził się po łysinie, zapatrzony w sufit, jakby ujrzał na nim freski z Kaplicy Sykstyńskiej. Oszacowawszy wagę swoich wspomnień, zreferował Espinosie i Arturowi znaną im już biografię Luisa del Águila, obudowując ją mnóstwem nieistotnych szczegółów.

— Na pewno nie opowiadał księdzu nic o swojej przeszłości? — nie dawał za wygraną Arturo. — W czasie wojny tyle się wydarzyło...

— Był wiecznie przygnębiony. I skryty — odrzekł wymijająco kapelan. — Koledzy niezbyt go lubili. W wojsku zawsze znajdzie się taki nieśmiały chłopak, który nie potrafi się z nikim zaprzyjaźnić. Tak, mówił mi o różnych

sprawach, nie sędzę jednak, by miały cokolwiek wspólnego z tematem tej rozmowy. Luis wiele wycierpiał w czasie wojny, ale to był wrażliwy chłopak i dobry katolik.

— A może jednak...

— Nie nalegaj, synu.

Arturo zatem nie nalegał. Opróżnił szklanekę jednym haustem i ostrożnie odstawił na serwetkę. Dokonawszy przeglądu pytań, które sobie przygotował, doszedł do wniosku, że niczego więcej się nie dowie. Wszelako już na podstawie tego krótkiego spotkania wyrobił sobie opinię na temat więzi łączącej kapelana z Luisem.

— Dobry katolik... — powtórzył jak echo Espinosa. — Z pewnością, ale mamy także informacje, że podobno grywał w wioletę. A to przecież grzech śmiertelny. Czy może się mylę?

Oczy księdza zaćmił pośpny, wrogi cień, lecz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Górna warga zadrgała gwałtownie.

— To jak to jest z tą wioletą? — nie dawał za wygraną Espinosa. — Ojciec z pewnością wie lepiej ode mnie, że Luis del Águila pomagał swoim bliskim. Po co się tak narażał, jeśli wiedział, że od niego zależy ich byt? To chyba też jest grzech?

Arturo odgadł, że sierżant dokonał własnych obrachunków i w przeciwieństwie do niego nie zamierzał się patyczkować.

— Powtarzam raz jeszcze: ja wybaczam w imieniu Boga.

— Ile razy? Ile razy można wybaczyć ten sam grzech? Zwłaszcza gdy nie ma postanowienia poprawy? Ile razy, by samemu się nie unurzać?

— Grzech? — Spojrzenie kapelana zasępiło się nieco. — Skąd masz prawo mnie pouczać? Co ty w ogóle wiesz o grzechu?

Milczenie rozpływało się powoli niby kropla wrzącego metalu. Kapłan nie krył wzburzenia, wywołanego raczej przez dręczące jego duszę demony niż przesłuchanie. Arturo zerknął nań kątem oka i już miał powstrzymać sierżanta, nie uczynił tego jednak, powodowany najgorszym uczuciem, jakiemu ulec mógł w tej sytuacji: ciekawością.

— To samo co ksiądz, proszę ojca — odparł Espinosa. — Walczę z nim codziennie.

— Nic nie wiesz. Nic! — Głos duchownego przybrał histeryczny ton, nerwowy tik wargi jeszcze się nasilił. — Luis del Águila wiedział, że ojczyzna została sprostytuowana przez liberalizm, zbrukana marksizmem, i

dlatego przybył tutaj, niosąc tchnienie Bożej zemsty na ostrzu bagnetu.

— Ale zabijamy, ojczyźnie, wciąż zabijamy, tu czy gdzie indziej. Grzeszymy.

— Oni zaczęli pierwsi. Setki... co ja mówię... tysiące zgładzonych kapłanów, spalone kościoły, seminaria, zakony... Oni zaczęli pierwsi — powtórzył.

— A teraz my oddajemy im z nawiązką — upierał się Espinosa. — I to nie jest grzech?

— Grzech? Nie grzechem jest, lecz rzeczą chwalebną tępić bezbożników i szerzyć na ziemi karzącą sprawiedliwość Najwyższego... Nie pomnę nawet, ile ta ręka — tu wznosił prawą dłoń, potrząsając nią groźnie — zamknęła oczu... w Posadzie, nad Ilmieniem, na przyczółku El Dedo²¹... i będzie je nadal zamykać w całym kainowym królestwie, aż po jego krańce, dopokąd nasza słuszna, święta wojna nie przywróci nam duchowego władztwa nad tą ziemią, okupionego krwią przelaną przez hiszpańskich męczenników. Kto sądzi inaczej, ten jest bezbożnym libertynem, bluźniercą... — Głos mu się załamał, przechodząc w przenikliwy pisk. — Luis poświęcił się dla zbrojnej sprawy, a ty? Czy ty się poświęcisz?

Espinosa przyjął posagową pozę: drapieżny, orli profil, wzrok wbity w osaczaną ofiarę.

— Co innego słuszność, a co innego człowieczeństwo — rzucił wyzywająco.

Arturo miał wrażenie, że kapelan cofnie się i zacznie grzebać ziemię jak rozjuszony buhaj.

— A ty co wybierasz, synu?

— Człowieczeństwo.

— Człowieczeństwo... — Drgająca warga znieruchomiała nieoczekiwanie; ksiądz kiwnął głową jakby w uznaniu roztropności owego wyboru. — Człowieczeństwo. Właśnie tak, synu, właśnie tak, bo naprzeciw nas są szczury, pająki, węże... aby je wytępić, trzeba wykurzyć je z gniazd, żywym ogniem wypalić czerwonego raka, który toczy ten świat. Błogosławione niech będą armaty, jeżeli w zrytej przez pociski ziemi wszędzie ziarno Ewangelii. A ty, synu, jesteś rycerzem wielkiej sprawy wolności, krucjaty, w której Hiszpania i Kościół, miecz i krzyż, maszerują razem, wiedzione imperialną dumą, by zrekatolizować świat. Łakniemy bowiem Państwa Bożego, czasu paruzji, gdy znikną wszelkie waśnie, a wilk i jagnię, orzeł i

gołąb będą żyć obok siebie w pokoju, na wieki wieków...

W trakcie owego kazania kapelan wpił palce w ramię Espinosy, wspierając się na nim, jakby chciał go obarczyć ciężarem swoich słów. Arturo zaś nie mógł uniknąć porównania ich z mową Führera, której wysłuchał przez radio, kiedy był w kompanii Watermanna. Podziwiał nadzwyczajną intuicję pozwalającą uderzyć w słaby punkt słuchacza, odwołać się do ludzkiego strachu przed odpowiedzialnością, która jest pochodną wolności. Państwo Boże. Powrót do niewinności rajy. Błogostan trzódki.

— Rozumiesz to, synu?

Nowy akapit katechizacyjnego zapału ojca Ramona przerwał Arturowi ową wewnętrzną dysputę. Słowa kapłana nie brzmiały może zbyt przekonująco, chociaż trudno było mu odmówić zdolności krasomówczych. Zdawało się, iż Espinosa, natchniony ekstazą wiary, odrzewił swoje skorodowane przekonania, lecz dla kogoś, kto go znał, wcale nie było to takie pewne. Kiedy kapelan wygładził nieistniejącą zmarszczkę na mundurze, jakby strzepując z niego grzechy, na obliczu sierżanta walczyły ze sobą sprzeczne uczucia: uciecha, obojętność, złość.

— Zechce ojciec wybaczyć... — wtrącił się Arturo — ale muszę zadać jeszcze kilka pytań.

— Oczywiście, synu, oczywiście.

— Ustaliliśmy zatem, że Luis opowiadał księdzu o swojej przeszłości w Hiszpanii. Nadal uważam, że jego zwierzenia mogą być dla nas bardzo przydatne. Nie mógłby ksiądz poprosić o zwolnienie z tajemnicy spowiedzi? Okoliczności usprawiedliwiają...

— Zdajesz sobie sprawę z tego, o co mnie prosisz? Tylko papież może mi udzielić takiej dyspensy.

— Nie ma żadnych wyjątków?

— Grzechy śmiertelne nie podlegają wyjątkom — uciął gniewnie kapelan tonem urażonej godności.

Arturo postanowił nie przeciągać struny w obawie, iż rozpęta jakąś kolejną plagę, dopełniającą te, które zesłał Bóg, zanim stał się miłością.

— No cóż, w takim razie myślę, że na dzisiaj to wszystko. Jeszcze tylko jedno pytanie: co ksiądz robił dwudziestego siódmego stycznia około ósmej wieczorem?

— Modliłem się — odparł bez namysłu ojciec Ramón.

— Gdzie?

— Tutaj.

— Ktoś może to potwierdzić?

— Bóg, synu. Uważasz, że to nie wystarczy?

Arturo pospiesznie kiwnął głową i powrócił do roli półgłówka.

— Bardzo księdzu dziękujemy. Mogę jeszcze jedno? — Uśmiechnął się przymilnie, wskazując na pudełko z łakociami.

— Bierz, bierz. Pychota, co? Pieką je siostrzyczki w Burgos i przysyłają specjalnie dla mnie.

— Palce lizać, proszę ojca.

— A ty, synu? Czemu się nie częstujesz? — Podsunął pudełko Espinosie.

— Nie, nie, dziękuję — odparł sierżant, wciąż nieco przytłoczony brzemieniem niesłusznych przekonań.

— Istne święte — westchnął z rozmarzeniem Arturo, pochłaniając ciastko w całości. — No dobrze, sierżancie, idziemy. I tak zajęliśmy księdzu zbyt dużo czasu.

— Jedną chwilę — zatrzymał go Espinosa, po czym zwrócił się do kapelana: — Czy mogę ojca prosić przedtem o przysługę?

— Słucham, synu.

— Chcę się wyspowiadać. I jeszcze... — Z dziecięcym pośpiechem rozpiął kurtkę i wydobyl zawieszony na szyi złoty krzyżyk, ściskając go w dwóch palcach niby maleńkie lśniące ziarnko pszenicy. — Mógłby go ksiądz pobłogosławić?

Ojciec Ramón zamroził w uśmiechu tik górnej wargi, położył ręce na medaliku, przyknuł oczy i odmówił modlitwę. Arturo skorzystał z przyływu pobożności sierżanta, żeby dokładnie obejrzeć kościół. Przeszedł od drzwi do absydy i stanął przed przenośnym ołtarzem. Na murze można było podziwiać resztki mozaikowej ikony, blado połyskującej złotem w świetle padającym z witrażowej rozety. Chrystusa Pantokratora, którego lewa dłoń podtrzymywała Ewangelię, a prawa wznosiła się w geście błogosławieństwa, oraz stojącą z boku Dziewicę otaczała półkolem kohorta aniołów i brodatych świętych o ascetycznych biblijnych obliczach; postaci stykały się dłońmi ściskającymi zwoje z brzoźowej kory lub rozłożonymi na kształt gołębic skrzydeł. Kilka chwil kontemplacji wystarczyło, by natchnąć Artura małą nabożną myślą: „Cholera!” Właśnie sobie o czymś przypomniał. Odczekał, aż Espinosa skończy się spowiadać.

— Jeszcze jedno, ojciec.

Kapelan zerknął na zegarek.

— Mam obowiązki.

— Tylko sekundę... „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy”. To zdanie coś księdzu mówi?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, kapłan zdążył sprzątnąć szklanki, butelkę i pudełko z łakociami oraz starannie złożyć serwetki.

— Nie, nic — odparł po dłuższej chwili. — Bo co?

— Szczegółiki, ojcze. — Arturo machnął ręką w powietrzu, jakby zrywał niewidzialną pajęczynę. — No cóż, chyba damy już księdzu spokój. Dziękujemy za wszystko.

Usłużnie podał hełm sierżantowi. Zanim włożył swój, popatrzył w zamyśleniu na wygrawerowanego na nim orła trzymającego w szponach swastykę. Zasalutował na pożegnanie i ruszył do drzwi. Już z ręką na klamce usłyszał za plecami przenikliwy, pedantyczny głos.

— Chociaż... tak, teraz sobie przypominam. — Kapelan odruchowo potarł łysą czaszkę. — Ależ głupiec ze mnie...

Arturo odwrócił się na pięcie.

— Tak, ojcze?

— Właściwie nie wiem, czy to ważne...

— Wszystko może być ważne.

— To takie oczywiste, że nie sądziłem... Naprawdę nie wiecie? — zapytał z roztargnieniem, jakby pochłonięty własnymi myślami.

Espinosa i Arturo zaprzeczyli jednogłośnie, wpatrując się weń z napięciem.

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy, pamiętaj, On patrzy na ciebie, pamiętaj, że kiedyś umrzesz, a kiedy umrzesz, nie wiesz” — wyrecytował. — To słowa dziecięcego paciorka.

— Nie przypominam sobie — odrzekł Arturo i wiedziony nagłym przeczuciem dodał: — A czy ksiądz wie, dlaczego o to pytamy?

— Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy”... Te słowa ktoś wyciął nożem na piersi ofiary.

W ułamku sekundy Arturo zdążył dostrzec mroczny cień, który zasępił metyskie rysy ojca Ramona. Krótkotrwały jak błyskawica, jak pospieszne „amen”.

— Nie wiedziałem... Myślicie, że to się wam do czegoś przyda?

— Może. Diabłu świętego wspomnieć, zaraz dęba stanie.

— W takim razie weźcie to...

Pogrzebał w kieszeni i wręczył im obrazki z przebraniem za krzyżowca Generalissimusem w otoczeniu kwitujących falangistów, karlistów i legionistów, z których każdy w jednej dłoni dzierżył płonący miecz, a drugą wznosił w faszystowskim pozdrowieniu.

— Dzięki, ojcie — powiedział sierżant i ze czcią ucałował podarunek. — Niech ksiądz zapali za nas świeczkę.

— Będę pamiętał, synu, idź w pokoju. We wszystkim najlepiej zawierzyć Bogu.

— No to dwie, ojcie — wtrącił Arturo. — Na wszelki wypadek.

„I diabłu ogarek” — dodał w duchu.

Świat znów pokryła biała, twarda skorupa, falująca łagodnie aż po horyzont, smagana wiatrem, który śmigał po śnieżnej tafli niby łódź popychana siłą niezliczonych niewidzialnych wiosł. Espinosa stanął w rozkroku pośród czterech stron świata: na północy cierpliwość lasu uginającego się pod ciężarem śniegu, na południu żołnierskie mrowisko Miestielewa, na zachodzie szklista wstęga Sławianki, na wschodzie — Arturo. Zaparł się w śnieg walonkami, wyjął zza pazuchy papierosa i marszcząc brwi, obejrzał go starannie, po czym z namaszczeniem wsunął w usta; przygarbiony, kryjąc twarz w rękawicach, skrzesał zapalkę. W powietrzu rozniósł się zapach tytoniowego dymu. W oddali artyleria waliła ogniem, jakby chciała spalić niebo.

— Nawet nie wiecie, jak bardzo tęsknię za Walencją — powiedział, zaciągając się z lubością, i przez kilka następnych chwil błąkał się po podmokłych ryżowych łąkach, malwowych plażach i kawiarnianych ogródkach pełnych ludzi pijących orszadę. — Tam prochu używamy tylko do petard i fajerwerków z okazji Las Fallas — dodał. — Jakież wnioski z przesłuchania?

Arturo spoważniał.

— Tak. Że nie należy wtykać palca między drzwi — odparł, robiąc aluzję do starcia sierżanta z kapelanem.

W odpowiedzi Espinosa zaciągnął się głęboko i ze spokojem palił dalej, mieszając ciepły dym z zamarzającym na mrozie oddechem.

— Widzicie — odezwał się wreszcie ze skruchą — ja też mieszam swoje złe dni.

— Każdy z nas je ma. To żadne tłumaczenie.

— Czasami trudno jest... — zawahał się na moment — stać z boku, rozumiecie mnie?

Arturo po części rozumiał, ale skoro sierżant ukrywał przed nim, co go w duszy gryzie, nie miał zamiaru doszukiwać się w jego słowach drugiego dna. Zastanawiał się, czy Espinosa naprawdę wszystko wyznał księdzu na spowiedzi, i doszedł do wniosku, że raczej nie. Sierżant może i był pobożny, lecz nie należał do ludzi, którzy otwierają przed innymi serce.

— Z boku stoją tylko umarli — stwierdził. — Pytał pan o wnioski z przesłuchania? — Poprawił przekrzywiony pas. — Po pierwsze, kapelan jest łysy jak kula bilardowa.

— Tak. — Espinosa, z kamienną twarzą, obserwował rozwiewający się w powietrzu kłęb dymu. — Nie da się go wziąć pod włos.

„Za to łatwiej obciąć uszy...” — pomyślał Arturo, któremu mignął przed oczami obraz Espinosy jako matadora, zwycięskim gestem demonstrującego owo trofeum.

— Po drugie, nie jest zamieszany w zabójstwo, chociaż wie więcej, niż mówi. Możliwe, że nie kłamie, ale nie powiedział nam całej prawdy.

— Dlaczego tak sądzicie?

— Bo nie zaprzeczył, jak usłyszał, że Luis del Águila grywał w wioletę. I nawet się nie zdziwił. Jestem pewien, że coś wie.

— A skąd wniosek, że nie jest zamieszany w zabójstwo?

— Zauważył pan, że kiedy go zapytałem o słowa wycięte na piersi ofiary, przyjął to dość obojętnie? Szczegóły zbrodni zna tylko kilka osób w całej dywizji, a on z pewnością nie jest jedną z nich. Gdyby maczał w tym palce, niczego by nam nie wyjaśniał.

— Tak czy inaczej to tylko domysły.

— Na razie nie mamy nic innego. Jedna rzecz wciąż nie daje mi spokoju — podjął wątek Arturo. — Dlaczego denat narażał życie, grając w rosyjską ruletkę, chociaż miał rodzinę na utrzymaniu...

Właściwie nie było to pytanie, raczej wyraz zdumienia, konsternacji, nawet współczucia.

— Odpowiedź jest jasna.

Z osłupieniem spojrzął na sierżanta.

— Jasna? Dla mnie raczej zaciemniona.

— Pokuta. Skrucza, spowiedź i pokuta. Umartwiał się, żeby odkupić

grzechy.

— Daj pan spokój, to czyste fantazje. Jak ksiądz może zadać taką pokutę?

— Sam ją sobie zadał, złożył swoje życie w ręce Pana Boga. Czasami wina jest tak wielka, że nie ma za nią przebaczenia.

— Ale to się przecież kupy nie trzyma.

Espinosa wzruszył ramionami i cisnął niedopałek w śnieg, w którym żarzący się koniuszek wytopił maleńką dziurkę. Arturo westchnął. W tej sprawie niczego nie można być pewnym.

— Jakkolwiek by było — podsumował — trzeba kontynuować dochodzenie. Pan niech dokończy przesłuchanie zaczęte na cmentarzu. Może któryś z niosących trumnę wojaków znał nieboszczyka bliżej, ale wołał się do tego nie przyznawać. A potem proszę dalej zarzucać sieci. Nieważne, co wpadnie, bo już my się postaramy, żeby coś z tego wysmażyć. Niech pan zadzwoni jutro. — Przez chwilę zastanawiał się nad dalszym kierunkiem śledztwa. — A ja pogadam z kapitanem Joaquinem Isartem, żeby kazał dyskretnie śledzić kapelana. I jeszcze dzisiaj wezmę na spytki tego Ricarda Guerrę Castellsa, o ile nie wlaźł już na jakąś minę. Później...

Urwał, ugodzony w pierś twardym pociskiem. Przykucnęli odruchowo i odbezpieczyli broń, wypatrując wroga — sierżant czujny, Arturo zdumiony tym, że jeszcze żyje. Kolejny gwałtowny atak pozwolił namierzyć przeciwnika. Nie krył się wcale. Stał przed drzwiami kaplicy, gotów uderzyć znowu. Wyprostowali się bez pośpiechu, klnąc na czym świat stoi, przy czym Espinosa dorzucił kilka ciepłych słów pod adresem Heroda, Arturo zaś, trafiony kolejną śnieżką, spokojnie otrzepał mundur. Roześmiał się, ulepił twardą pigułę i rzucił nią w Aleksandra, co malec powitał radosnym piskiem, szczerząc do nich szczerbate zęby, nieświadomy, że za chwilę oberwie mocniej. Jedna z idących do kościoła kobiet zawróciła i dała mu kilka mocnych klapsów w pupę. Widok ów ucieszył Artura, a nawet wzbudził w nim lekką zazdrość: czasami przemoc bywa najgłębszym wyrazem miłości. A więc Aleksandr wreszcie odnalazł matkę, rodzoną lub przybraną.

— Znacie tego smarkacza? — zaciekawiał się sierżant.

— Tak — potwierdził Arturo. — Razem sikaliśmy.

— Że co?

— Sikaliśmy. Jak to u nas mówią...? Hiszpan tym się chlubi, że sam sikać nie lubi.

Espinosa z dziwną miną przesunął językiem po wargach, jakby stropiony

pedofilskim wydźwiękiem tych słów.

— Kawał urwisa — orzekł, przypatrując się laniu. — Taki nigdy nie usiedzi na miejscu.

— Prawda? Rozczulający widok.

Sierżant aż się wzdrygnął i spojrzał na niego zgorzony: na domiar złego sadomasochista? Lawinę klapsów zakończył potok łez oraz przymusowe wejście do kościoła. Mimo usilnych starań Arturowi nie udało się dostrzec twarzy rozgniewanej matuszki. Uznawszy, iż dalszego ciągu przedstawienia nie będzie, ustalili ostateczny podział pracy i pożegnali się, niedbałym gestem podnosząc dłoń do skroni. Arturo, z rękami w kieszeniach i wzrokiem błędzącym w chmurach, poszwendał się jeszcze chwilę wokół kościoła. Wreszcie doszedł do wniosku, że jeśli ani Reyes Zarauza, ani Joaquín Isart nie dostarczą żadnych nowych tropów, a don Picuś Glancuś nie znajdzie listu z imieniem i nazwiskiem mordercy, jedynym faworytem na placu boju pozostanie — chciał, nie chciał — Ricardo Guerra Castells. Dowody? Nie ma sprawy, wystarczą te, na podstawie których oskarżono połowę Hiszpanów tylko dlatego, że nie podzielała poglądów drugiej połowy. Niepokój Artura budziły jedynie zakulisowe intrygi falangistów: lepiej unikać kłopotów i nie leźć zbytnio w oczy, przynajmniej dopóki się da. Ów mętlik w głowie powiększało dobiegające z pobliskiego zagajnika wycie wiatru, podobne do ryku przedpotopowych bestii. Spojrzał w tamtą stronę: ostatki słońca skrzyły się na ośnieżonych gałęziach drzew, spowitych poświatą przywodzącą na myśl utracone sny, a dalej, za statyczną wstęgą rzeki, wśród szklistych od lodu topoli i brzoź, dostrzegł przysadziste kopuły molewskiego monasteru, tu i ówdzie powleczone już zieloną śniedzią. Wygodny przytułek dla szaleństwa pośród szaleństwa. Wyobraził sobie pomyleńców, o których mu opowiadano, spisanych na straty w nieskazitelnym rachunkach Stwórcy, ów rząd wspaniałych zer po lewej stronie bożych ksiąg, jak błakają się po okolicy wraz ze swoimi obsesjami, zanurzeni w świecie zredukowanym do jednowymiarowej, przyswajalnej postaci, przystępnym, ale izolowanym, nieprzenikalnym, paranoicznym. Smagany wiatrem, miał wrażenie, iż szynel zmienił się w nędzny łachman. Ogarnęła go dziwna drętwota, zaczął tracić czucie w palcach. Nie miał zamiaru przez resztę życia trzymać kubka z kawą za pomocą dwóch kikutów, więc ruszył w stronę baraków.

Stare nowe szaty władcy

Ciężarówka marki Renault telepała się po szosie w kierunku Puszkina, wioząc w rozkołysanej przyczepie dwudziestu żołnierzy. Cztery koła z trudem pokonywały potężne wyrwy i wyboje, raz nawet trzeba było wysiąść i pchać pojazd, który mimo łańcuchów utknął w śnieżnej zaspie. Od pewnego czasu sowieccy artylerzyści, jakby w przypiływie jasnowidzenia, walili w drogę ze swoich dwudziestek i trzydziestek z niepokojącą regularnością i precyzją. Żołnierze jechali w pełnym napięcia milczeniu, tłumiąc strach, co przychodziło im z łatwością, bo już zdążyli się z nim oswoić, a najgorszy jest lęk przed nieznanym. Wtem, z przerażającym gwizdem, przeleciał nad ciężarówką wystrzelony z moździerza pocisk i w oddali usłyszeli głośny huk. Wstrzymali oddech. Wkrótce dwa kolejne gwizdy i dwa wybuchy rozległy się znacznie bliżej. Skuleni, czekali na następną serię, wiedząc, że nie mogą się rozproszyć, uciec, nawet poruszyć. Kierowca gnał jak opętany, by wyrwać się z kotła, ścigany milknącym z wolna echem eksplozji. Nikt się nie odzywał; wszyscy wiedzieli, że gdyby coś takiego w nich gruchnęło, z wojaków zostałaby krwawa miazga. Ktoś zaczął nucić cicho, fałszując: „Jaka gwiazda mi świeciła, kiedy matka mnie rodziła, że bez przerwy, dniem i nocą, z artylerii do mnie grzmocą?” Dwa lub trzy głosy zawtórowały nieśmiało, a po chwili dołączyła do nich cała reszta. „Kiedy Hiszpan śpiewa, to albo jest wkurwiony, albo niewiele mu trzeba”. Wyczarowana z niczego manierka z kawą zaprawioną koniakiem krążyła z rąk do rąk, grzechocząc kryształkami lodu, równie zimnego jak ten, który strachem zmroził ich serca. Niektórzy, zamiast pić, ssali z lubością grudki mrożonego koktajlu. Po odprawieniu owych egzorcyzmów jedni, korzystając z chwili spokoju, jedli w pośpiechu, inni schronili się w iluzorycznym cieple papierosowego żaru, kilku śpiewało o dziewczynie, co „odeszła w siną dal”.

Zmierzchało.

Manierka, prawie już pusta, dotarła w końcu do rąk Artura, który siedział na podłodze, oparty o czyjeś kolana. Pociągnął łyk, podał flaszkę dalej i opatuliwszy się szczelniej baranicą, zapadł z powrotem w głąb własnego ja. Pół godziny temu wziął plecak i karabin, spakował prowiant na parę dni, po czym zabrał się razem ze zluzowanymi żołnierzami trzeciego batalionu 263 pułku do Puszkina, żeby zastawić sidła na Guerritę. Po drodze usiłował obmyślić jakiś chytry plan, jeśli nie logiczny, to przynajmniej prawdopodobny, ale był tak wyczerpany i wciąż jeszcze przestraszony niedawnym ostrzałem, że postanowił z tym poczekać, aż mu się trochę rozjaśni w głowie. Stopniowo jego umysł, ścisły, a przez to często kłopotliwy, znów stawał się ciepłym, przytulnym schronieniem. Obwarowany regulaminami, rozkazami i propagandą, stanowił składową swoistej wojskowej geometrii, broniącej przed bałaganem, obłędem i niemocą. Zza plandeki dobiegał warkot silników, który to się zbliżał, to cichł w oddali. Za ciężarówką rozciągał się surowy biały pejzaż, popstrzony plamami lasów. Kiedy zwolnili, telepiąc się na muldach, Arturo zobaczył grupkę idących muzyków. Mężczyźni, kobiety i dzieci ciągnący akie, jakże groteskowi w daremnej hojności zbyt obszernych łachmanów i tych swoich walonek o dwa numery za dużych. Znosili odwieczną nędzę z pokorą, z jakimś pierwotnym nawykiem, wprzęgnięci w bezsensowny, niezrozumiały cykl znoju i prokreacji, a jedyną ulgę w owej niedoli przynosiła im religia i obietnica przyszłego raj. Jakie marzenia snuły ich nihilistyczne dusze? Z pewnością skromne: o domu, który nie płonie, o stepie nierozjeżdżanym przez czołgi, o cichym wieczorze... Arturo pomyślał, że dla nich Niemcy, Hiszpanie, a nawet bolszewicy nie byli niczym więcej niż zjawiskiem meteorologicznym, zakłócającym przejściowo niezmiennosc dni. Jakiś żołnierz powiedział, że już dojeżdżają.

Puszkina. Pałace, laboratoria naukowe, ogrody botaniczne pełne egzotycznych roślin, sztuczne stawy, licea, gmachy urzędów, domy i oranżerie... W jednostajnej, przysypanej śniegiem Rosji jawił się jako wyrazisty symbol samego siebie, czyli Carskiego Siola, letniej rezydencji władców, ich dworu i rosyjskiej arystokracji. Stara osada, przemianowana w roku trzydziestym siódmym dla upamiętnienia stulecia urodzin wielkiego poety, była teraz w likwidacji, padłszy ofiarą dwóch sprzecznych idei, z

których zderzenia wykluwał się nowy ład. Dzień za dniem, godzina za godziną Puszkini niszczała; pociski odmieniły jego topografię; ryto i zasypywano okopy; budynki rozpadały się i waliły w gruzy. W dywizji szeptano, że 263 pułk zbierał tu krwawe żniwo dwudziestu zabitych dziennie. W takiej oto scenerii Arturo, odmeldowawszy się w sztabie, podążał za kapralem o wyglądzie meksykańskiego rewolucjonisty, małym i twardym jak kulka łożyska. Nisko pochyleni, niemal szorując nosami w śniegu, szli wzdłuż pierwszej linii parapetów, rowów i zasieków, odprowadzani nieustannym terkotem sowieckich diegtiariorów.

— Niezły kocioł, co? — powiedział kapral. — Uważaj, bo ci odstrzelą łeb.

— Mają snajperów?

— Więcej niż wszy.

Arturo rozejrzał się czujnie, już widząc swoją głowę na muszce sztucera. Skulił się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej i ruszył po śladach swego osobistego Wergiliusza aż do wylotu okopu, który zapewnił im częściową osłonę. Nad ich głowami gwizdały zabłąkane kule, przelatywały artyleryjskie pociski. Na końcu rowu znajdował się wykopany w ziemi schron, wzmocniony ścianami z okrągłaków. Wejścia pilnował przytupujący z zimna wartownik z karabinem. Machnął na powitanie rękawicą i odsunął się, żeby ich przepuścić. Razem z nimi wtargnął do środka lodowaty podmuch, od którego zakołysał się płomyk lampy oliwnej pod sufitem. Knot zakopcił, rozsnuwając spletaną smużkę czarnego dymu.

— Zamknij drzwi, bo kot ucieknie — odezwał się czyjś zmęczony głos.

We wnętrzu ziemianki, w półmroku i mdlącym zapachu rasy ludzkiej, siedziało lub leżało na pryczach siedmiu mężczyzn opatulonych zielonymi kurtkami: sześciu żołnierzy — saperów, sądząc po czarnych naszywkach — i jeden oficer. Rozczochrani, brudni, spieczeni odbitym od śniegu słońcem, drzemali, palili, zimowali przy polowym piecyku. Ich twarze nie płonęły entuzjazmem, ale nie wyglądali na załamanych; rysy zastygły w opryskliwym grymasie weteranów, który maskował niewyspanie, głód, strach. Na widok wchodzących jedynie oficer uniósł się na pryczy i spojrzał na nich zaczerwienionymi oczami. Arturo i jego przewodnik zaszalutowali regulaminowo. Kapral podszedł do dowódcy i wdał się z nim w krótką, poufną rozmowę. Z okrągłaków coraz to sypały się drzazgi, odłupywane serią z karabinu lub przelatującym pociskiem. Dyskretna narada zakończyła się kolejnym salutem, opuszczeniem schronu i pozostawieniem jego

mieszkańców w przekonaniu, że właśnie nawiedziły ich duchy. Arturo i kapral, których zemdlilo od zaduchu, wyszli na mróz z cichym, acz jednomyślnym postanowieniem, iż lepiej jest narazić się na nagłą śmierć niż tkwić w tamtym morowym powietrzu. Z oczami zamglonymi przez opary adrenaliny, ponownie zagłębili się w labirynt okopów i ziemianek, a Arturo modlił się w duchu, żeby Rosjanie nie wpadli na pomysł, by akurat tego dnia złożyć im wizytę. Po drodze Wergiliusz streścił mu wyniki pertraktacji z oficerem.

— Guerrita jest niedaleko. Na końcu Inez.

Imieniem Inez ochrzczono ów odcinek okopów; Arturo o nic nie pytał, zajęty uważnym patrzeniem na plecy swego cicerone. Kolejne kilkaset metrów akrobacji wyprowadziło ich za zasieki i powiodło przez zdewastowane ogrody w pobliżu na wpół zburzonego klasycystycznego pałacyku nad zamarzniętym stawem. Kapral przystanął na frontowych schodach i przez chwilę kontemplował dwie wieżyczki, jedną zwaloną, drugą poobijaną przez pociski.

— Pałac Aleksandrowski — wyjaśnił tonem przewodnika wycieczki. — Słyszałem, że to stąd wyprowadzono na egzekucję cara i jego rodzinę.

Arturo wzdrygnął się na wspomnienie tragicznego losu Romanowów: cara Mikołaja, jego małżonki Aleksandry oraz pięciorga dzieci — Aleksego, Olgi, Tatiany, Marii i Anastazji, których krwią naoliwiono nieruchawe koła rosyjskiej historii.

Następnie wojak wskazał na inny pałac, niedaleko pierwszego, o barokowej biało-niebieskiej fasadzie, zwieńczony pięcioma złotymi kopułami i otoczony walającymi się w śniegu antycznymi posągami nagich postaci.

— W tamtym mieszkała jakaś Katarzyna, podobno herod-baba. Podejrzewam, że była podobna do mojej teściowej.

Arturo domyślił się rozbawiony, że tą megierą była zapewne Katarzyna II Wielka, caryca Świętej Rusi. Ramię kaprała znów zatoczyło koło, wskazując niewielkie wybrzuszenie terenu pomiędzy rezydencją imperatorowej a ściętą brzozą.

— A tam jest pałac Guerrity.

Arturo dostrzegł niewyraźną postać, niemal zupełnie zlewającą się z otoczeniem, pochyloną nad czymś, co z daleka wyglądało jak kosa.

— To dlaczego tu stoimy?

— Szanowny pan może iść dalej.

Wojak oparł się na karabinie, dając do zrozumienia, że nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca.

— Pan zostaje? — zapytał zaskoczony Arturo.

— Tak wolę.

— Jakiś problem?

— Tak jakby.

— To znaczy?

— Wszystko zaminowane.

„Miny”. Słowo, od którego zasychało w ustach i ścinała się w żyłach krew. Pod Arturem ugięły się nogi. Odchrząknął.

— Rozumiem — mruknął. — A można wiedzieć, jak ja się tam dostanę?

— Zawołaj go, ale wątpię, czy usłyszysz na tym wietrze. Albo przejdź po śladach.

— Po czym?

Kapral lufą mauzera wskazał ślady podkutych butów tworzące na śniegu dziwaczne arabeski. Wiodły do pałacu Katarzyny.

— Świetnie. Dzięki za towarzystwo.

— Zawsze do usług. Aha, jak usłyszysz dzwoneczki, to zwiewaj.

Na widok osłupiałej miny Artura łaskawie zniżył się do wyjaśnień.

— Zabraliśmy dzwoneczki od sań znalezionych w tej chałupie — machnął ręką w kierunku Pałacu Aleksandrowskiego — i na wypadek gdyby ruscy chcieli nam złożyć wizytę, przywiązaliśmy je do zasieków. Życzę szczęścia.

Przeżegnał się, poprawił przekrzywiony, trochę za duży hełm, zasalutował i patrząc na Artura z mieszaniną litości i podziwu, ruszył tam, skąd przyszedł.

Arturo uważniej przyjrzał się Guerricie, który stał teraz wyprostowany; wysoki, postawny, trzymał coś, co przypominało długi kij, i posuwając się drobnymi kroczkami z czujnością wielkiego kota, wykonywał koncentryczne ruchy, jakby zamiatał lub kosił. Ricardo Guerra Castells alias Guerrita, mason, czekista i pedał, jak nazwał go jego ewangelista, major Reyes Zarauza, a według raportów — socjalista, który „nawrócił się” na komunizm i zrobił karierę najpierw jako dowódca najokrutniejszej brygady Obwodowego Komitetu Kontroli Publicznej — powołanego przez przywódców Frontu Ludowego na początku wojny domowej, później przekształconego w osławioną, budzącą powszechną grozę Czeka z Fomento, nazwaną tak od ulicy, przy której mieściła się jej madrycka siedziba — a następnie w SIM, gdzie współpracował z różnymi wydziałami sowieckiego

NKWD działającymi na terenie Hiszpanii. Jakby tego było mało, na mocy prawa o zwalczaniu masonerii oskarżony został o przynależność do tajemnej loży Kybele, obwinianej o wszelkie popełnione w Hiszpanii zbrodnie, począwszy od śmierci Abla z rąk Kaina. Ktoś mógłby pomyśleć, że wystarczy już tych występków, a przecież dodać do nich należało także udział w planie „Talion”. W roku 1939, wkrótce po tym jak Caudillo wprowadził się do El Pardo²², odkryto podziemny korytarz wiodący z pobliskiej posesji w stronę pałacu. Wystarczyło wykopać jeszcze kawałek, żeby podpalić lont pod komnatami Jego Ekscelencji. Tunel ów, w przewidywaniu bliskiej kapitulacji, wykonali dynamitardzi z Armii Ludowej pod osobistym nadzorem Guerrity. Arturo, który wtedy siedział już w więzieniu, nie znał szczegółów spisku, nie miał też pojęcia, jak zdołano wcielić go w życie, sam jednak fakt, że Castells był zdolny powziąć ów krwawy plan, świadczył o tym, że miał twarde jaja. I komuś z taką kartoteką sam Franco darował karę śmierci? Coś tu nie pasowało. Arturo ponownie przyjrzał się oddalonej sylwetce, pochłoniętej bez reszty swoim zagadkowym zajęciem. Ocenił siłę mroźnych podmuchów oraz odległość, jaką musiałby pokonać jego głos, po czym, nieusatisfakcjonowany spodziewanym rezultatem, zdecydował się postawić pierwszy krok. Ściągnął mocniej rzemień karabinu i ruszył przed siebie, starając się za każdym stąpieniem bezbłędnie trafiać w odcisnięty w białym puchu ślad. Szedł z wysiłkiem, strach podwajał ciężar jego ciała. Zdradził go skrzypiący pod butami śnieg. Guerrita zamarł, a jego dziwaczny przyrząd znieruchomiał tuż przed nosem intruza.

— Witam. Ricardo Guerra Castells?

Zapytany wbił w śnieg narzędzie pracy, z bliska przypominające antenę, i znużonym gestem zdjął hełm, zamaskowany — w braku białego pokrowca — pastą do zębów, która już zdążyła stężeć na mrozie. Arturo ujrzał przed sobą krótko ostrzyżoną czuprynę, z której sterczały w nieładzie skręcone kosmyki; wytrzeszczone ze zdumienia oczy, obserwujące go zza szkieł w okrągłych drucianych oprawkach; ostry podbródek wystający z charciej twarzy, trochę zsiniałej z zimna, i przyczajony w kącikach warg uśmiezek, który nieomylnie zdradzał przeświadczenie stojącego przed Arturem mężczyzny o własnej inteligencji.

— Tak. To ja — odpowiedział powoli z wyraźnym galisyjskim akcentem.

Arturo kiwnął głową i wręczając mu mocno już sfatygowany rozkaz Navajasa del Río, odczekał, aż podpis, pieczęć i nazwisko wywołają pożądany efekt. Pomyślał, że gdyby Guerrita był mordercą, domyśliłby się od razu w czym rzecz, ale on, nie okazując najmniejszego zdenerwowania, niedbałym gestem oddał papier.

— Nie spieszyło się im — oznajmił krótko.

— Z czym?

— Z egzekucją.

— Pomyślał pan, że po to przychodzę? Zabrać pana na rozwałkę?

— To po co?

— Nie widzę powodu, żeby stawiać przed plutonem egzekucyjnym kogoś, kto tak się poświęca dla ojczyzny — wskazał na zagadkowy przyrząd. — A tak przez ciekawość... Co to, do cholery, jest?

Guerrita spojrział na artefakt, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— Wykrywacz min... Rodzimej produkcji — odparł nie bez dumy. — Wyjęliśmy tłok z pompki do roweru, proszę spojrzeć... o, tu i tu — palcem w rękawicy pokazywał poszczególne części — a na końcu przymocowaliśmy ten żelazny szpikulec. Jest bardziej czuły niż ten szmelc od dojców.

Eppur si muove — pomyślał Arturo z podziwem.

— Przyszedłem tu, bo muszę zadać kilka pytań — powiedział.

— Dwójkarze już to zrobili.

— Nie szkodzi, teraz ja będę pana pytał. Chodzi o śmierć wojaka Luisa del Águila.

Uśmiezek stał się wyraźniejszy.

— I twierdzi pan, że nie przyszedł mnie wyprowadzić?

— Nie widzę powodu.

— A ja twierdzę, że nie przyszedł pan tutaj dla moich pięknych oczu. Nikt mi nie wmówi, że moja kartoteka nie ma nic wspólnego z pańską wizytą.

Arturo zdjął karabin i na niemiecka modłę powiesił go sobie na szyi, opierając na nim łokcie jak na parapecie.

— Nie wystarczy, że pozwolono panu zachować incognito?

— To dlatego, że ktoś tam, na dole, bardzo mnie lubi — odpowiedział hardo Guerrita, wskazując palcem śnieg pod stopami. — Hiszpania to jeden wielki magiel. Sam się dziwię, że do tej pory nikt mnie nie sprzątnął.

— A nie zasłużył pan?

Ricardo wytrzymał jego spojrzenie. Widać było, że z trudem nad sobą

panuje.

— Podejrzywałem, że będą mnie chcieli zrobić — odrzekł z galisyjskim fatalizmem, wkładając na głowę hełm.

— Ja nie mam takiego zamiaru, ale od czegoś trzeba zacząć, a logika wskazuje na kogoś takiego jak pan.

— Na pańskim miejscu zrobiłbym to samo — przyznał. — Co pan chce wiedzieć?

Arturo wsunął rękę pod płaszcz i spomiędzy licznych warstw ubrania wydobyl zdjęcia zamrożonych zwłok.

— To jest Luis del Águila. Znał go pan?

Guerrita zerknął na fotografie.

— Nie — odparł, zwracając je Arturowi.

— Na pewno? Proszę się dobrze przyjrzeć.

Guerrita, tym razem bez pośpiechu, spełnił jego prośbę.

— To zdjęcia Paramia?

— Czyje?

— Naszego fotografa.

— A... tak.

— Niedawno się tu pałętał. — Arturo przypomniał sobie dziwne upodobania fotografa. — Nie, na pewno nie — stwierdził stanowczo Guerrita i oddał mu zdjęcia.

— Ale słyszał pan, co tam się stało?

— Coś słyszałem.

Arturo pokrótce przedstawił mu sytuację, starannie omijając jej polityczne aspekty i prywatne sprawy denata.

— A ma pan jakieś... — zawahał się przed użyciem słowa „alibi”, które uznał za zbyt wyświechtane. — Gdzie pan był wieczorem dwudziestego siódmego stycznia od siódmej do... powiedzmy, dziewiątej?

— Tutaj — odrzekł Guerrita bez namysłu.

— To znaczy?

— W Puszkynie.

— Ale gdzie dokładnie? I co pan robił?

— Tu, w okolicy. Patrolowałem.

— Jak długo?

— Parę godzin.

— Ktoś może to potwierdzić?

Ricardo Guerra skwitował jego pytanie wymownym milczeniem.

— Skoro to nie miało związku ze sprawą, lepiej niech pan powie prawdę.

— No więc... nie, nikt.

Wichura smagała bezlitośnie. Arturo czuł, że od zimna pierzchnie mu twarz. Przewiesił karabin z powrotem na ramię i tęsknie pomyślał o kremie Nivea.

— Dziwne, że pan to tak dobrze pamięta. Trochę czasu już minęło.

— Spieprzyli mi urodziny.

Arturo kiwnął głową, zsunął kask do tyłu i podniósł oczy, wpatrując się w zmatowiałe niebo poprzecinane szkarłatnymi smugami. Stał tak przez kilka sekund w obłokach pary, która wydobywała się z ust za każdym oddechem.

— Siedział pan w pudle — stwierdził nagle Guerrita w przypiływie jasnowidzenia, świdrując go wzrokiem znad okrągłych okularków.

Arturo drgnął, jego twarz stężała w napięciu.

— Ja także uprawiałem turystykę penitencjarną — ciągnął Ricardo, poprawiając palcem zsunięte oprawki. — Trzeba brać czynny udział w odbudowie kraju — dodał, a przez jego uśmiech przeświecała ukryta w słowach ironia.

— Zwłaszcza jeśli przyłożyło się rękę do jego zniszczenia — dociął mu Arturo.

Ricardo gładko przełknął złośliwość.

— Ja zwiedziłem dwa obozy koncentracyjne i osiem więzień. Ale najgorszy chlew był w El Bierzo. Wszy więcej niż w worku soczewicy za tysiąc peset. W życiu nie widziałem tylu naraz. Wielkie, spasione, szczęśliwe. Zabawiały się, robiąc na nas desant z sufitu.

Arturo z odrazą wspominał swój pobyt w państwowych zakładach karnych. A jednak poczuł teraz swoiste braterstwo w cierpieniu. Zrozumiał także, iż owa wspólnota przeżyć może mu ułatwić przesłuchanie.

— A ja widziałem, jak sweter sam chodził po podłodze — wyznał.

— Gdzie?

— W Modelo.

— Kurwa, też tam byłem. Jak to się stało, żeśmy się nie spotkali?

— Za duży tłok.

— Pamięta pan Fructuosa Martineza? Wszyscy go znali.

— Nie przypominam sobie.

— Niemożliwe. To ten, który po nocach recytował wiersze, żeby

podtrzymać na duchu skazańców czekających na poranną egzekucję.

— Nie on jeden był odważny.

— Tak, ale najdziwniejsze, że to był ksiądz, w dodatku klaretianin. Wie pan, co zrobili z klaretianami na początku wojny²³? Ojciec Fructuoso to był gość! Robił to, bo nie wszyscy chcieli się wypowiadać przed śmiercią.

Słowo również uzdrawia. Arturo się ożywił, bo przypomniała mu się odwrotna strona medalu — postać ojca Ramona.

— Nie, nie pamiętam takiego księdza.

— No cóż... — odparł zbity z tropu Ricardo. — Tak, rzeczywiście, tyłu nas tam było...

— Jak pan odgadł, że siedziałem?

Obcesowym pytaniem Arturo przeciął niewygodny dla siebie wątek. Zdawał sobie bowiem sprawę, że rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku, i chociaż niepewny był celu, jaki chciał osiągnąć Guerrita, przezornie osłonił się ogniem zaporowym.

— Domyśliłem się, kiedy pan spojrział w niebo. W więzieniu niewiele się dzieje, więc człowiek ćwiczy spostrzegawczość. W taki sposób patrzy więzień, ktoś, kto godzinami wpatrywał się w ową namiastkę wolności.

Wampiry wchodzą do domu tylko za zgodą gospodarza, a on o mało co nie wpuścił jednego z najbardziej krwiożerczych. Ów nadmiernie wyostrzony zmysł obserwacji obudził jego czujność i kazał się skupić na zapamiętanej z raportów długiej liście rozbojów, tortur i zbrodni, które Guerrita popełniał daltonicznie, na błękitnych i na czerwonych.

— A więc twierdzi pan, że w dniu zdarzenia patrolował okolicę, i to jest pańskie ostatnie słowo? — podsumował.

— Na to wygląda.

— I nie ma pan świadków.

— Niech będzie, powiem prawdę — skapitulował Ricardo.

Ta nieoczekiwana ustępliwość sprawiła, iż Arturo przygryzł wargi i pożałował, że nie przycisnął go mocniej.

— Słucham.

— Nie tylko patrolowałem.

— A co pan jeszcze robił?

— Jebałem.

Artur miał wrażenie, że słuch go zawodzi.

— Przepraszam, nie dosłyszałem.

— Pomyślałem, że skorzystam z okazji i urwę się na szybki numerek. Wie pan przecież, że gdybym się przyznał, groziłby mi sąd wojenny. Dlatego nic nie mówiłem.

— No dobrze — westchnął Arturo, wciąż nie mogąc wyjść z osłupienia. — Trzeba dostrzec także dobre strony: ma pan świadka. Kim ona jest?

Ricardo Guerra uśmiechnął się z sarkazmem bliskim cynizmu.

— On — powiedział z naciskiem. — Mógłbym przydzielić mu imię i formację, ale pewnie zaprzeczy. Poza tym to oficer.

Arturo odczekał, aż mróz zaczerwieni mu policzki na tyle, by ukryć rumieniec wstydu.

— Obiecuję zachować dyskrecję.

— Wolałbym nie mówić.

— Proszę mi nie utrudniać pracy.

— A czy to cokolwiek wniesie do sprawy?

— Wszystko jest ważne.

Guerrita rozejrzał się wokół z powątpiewaniem i w końcu postanowił uchylić rąbka tajemnicy. Wycelował palcem w pałac Katarzyny.

— Mogę coś panu pokazać?

— Co?

— Coś, co może potwierdzić moje słowa, jeżeli mój przyjaciel się nie przyzna.

Arturo nie wiedział, co robić; czuł, że źle na tym wyjdzie, bo im dalej zabrnę w tę dyskusję, tym większą liczbą słów będzie manipulował Guerrita, choć z drugiej strony uważał, iż należy podtrzymać pozory kurtuazji, dopóki się da.

— Zgoda.

— Jestem zobowiązany. Może pan tutaj zostawić garb — wskazał na plecak. — Proszę iść po moich śladach.

Kiedy badał wzrokiem śnieg, jakby próbował odczytać jakieś niezrozumiałe zdanie, jego pociągła twarz zastygła w skupieniu, dopóki nie rozmieścił w pamięci wszystkich min. Potem bez pośpiechu ruszył w kierunku carskiej siedziby. Dlaczego ich nie oznaczył? — zastanawiał się Arturo. Idąc po śladach Ricarda Guerry, bezpiecznie dotarł do szerokich pałacowych schodów. Wkroczył do innego świata, jakby przeszedł na drugą stronę lustra dziejów. Za fasadą przytłaczającą bogactwem kolumn, gzymsów

i pilastrów, z wyrytą na portyku datą budowy, 1752-1756, zastygł czas utracony, pełen przepychu, czas wytwornych kawalerów i wydekoltowanych dam wojażujących do Paryża i Wiednia. Przekonanych, że są władcami świata, ślepych na stawanie się historii. Ricardo Guerra oprowadzał go po pałacu będącym *resumé* minionej epoki. Wspaniałe komnaty, schody, tarasy podsuwały wyobraźni resztę: zwierciadła, ornamenty, jedwabie i lapis-lazuli, kryształowe żyrandole, obrazy, stiuki, baldachimy, dywany zrabowane przez wojnę. Ożywiona tchnieniem carskiej Rosji wyczuwalnym w każdym zakamarku, imaginacja Artura odtworzyła nocną iluminację, tak jasną, jakby cały pałac stał w ogniu, podczas gdy księżniczki i wielcy książęta tańczyli przy dźwiękach polonezów wśród arabskich sług i spowitych różami marmurowych torsów, piękni, młodzi w starzejącej się epoce, nieświadomi, że świat wiecznych wakacji i złotych jabłek mieli już wkrótce utracić na zawsze. Otrząsnąwszy się z blasku owych fantazji, ujrzał przed sobą drzwi z mrożonego szkła zdobionego rysunkiem kwiatów i nimf, cudownie ocalałe, przez które weszli do obszernego, zdewastowanego przez ręce grabieżców pokoju, gdzie strzaskane kasetony, przemieszane z nadpalonymi opakowaniami niemieckiego paliwa w kostkach, wały się po podłodze poczerńiałej od wygasłych ognisk. W jednym rogu leżało truchło wypchanego lisa z kłakiem sierści sterczącym z rozplatanego brzucha i spojrzeniem skupionym w szklanej źrenicy jedyne oko, w drugim, z głową wspartą o kant ściany, obok zamarzniętych ekskrementów, spoczywał pulchny drewniany cherubin, z którego łuszczyła się farba. Guerrita zatrzymał się w miejscu, gdzie musiało kiedyś stać łóżko. W oczach Artura po raz pierwszy mignął błysk podejrzliwości, który mówił jasno: żadnych niespodzianek.

— To tu się bzykałem — oznajmił Guerrita.

Wygłoszone bez żadnych wstępów, zabrzmiało to złośliwie.

— Gratuluję. I...?

— Chciałem tylko powiedzieć, że to tutaj. W tym miejscu.

— Słyszałem. I co z tego?

— Nic, chciałem, żeby pan zobaczył gdzie.

Arturo uciał krótko:

— Ja panu wierzę. Kłopot w tym, że przed sądem słowo niewiele znaczy.

— Po prostu próbowałem mówić prawdę.

— Będę o tym pamiętał.

— Dziękuję. Chodźmy stąd.

Arturo ruszył za Ricardem Guerra, rzucając ostatnie spojrzenie na pokiereszowanego cherubina. Tą samą drogą wychodzili pewnego dnia arystokraci, już przemieszani ze służbą. Pomyślał, że każde zamykające się za nimi drzwi przemieniały opuszczane kolejno pokoje w muzealne sale; czas zamrożony na zawsze, który zostanie odgraniczony sznurem z chwostami oraz głosem przewodnika, objaśniającym, że ta komnata nazywa się tak a tak, prosimy nie dotykać zegarów. Opuścili progi pałacu; Arturo zauważył, że wyszli innymi, bocznymi drzwiami prosto na zaciszny park angielski, ze stawem pośrodku, upstrzony tu i ówdzie glorietai, tukami triumfalnymi i mitologicznymi posągami, wszystko zburzone, strzaskane. Śnieg był tutaj tak twardy, że Guerrita nie zostawiał śladów, przez co Arturo musiał ze szczególną starannością kopiować jego kroki, kreślące w nieskończoność zawile esy-floresy. Ricardo zatrzymał się przy kamiennej fontannie o żłobkowanej niecce. Z otwartych pysków dwóch splecionych ogonami sumów tryskała parabola zamrażającej wody.

— Dlaczego wyszliśmy tędy?

— Żeby wyjaśnić sobie pewne sprawy.

Arturo uśmiechnął się drwiąco.

— A to ciekawe.

— Pan jest taki jak ja. — Twarda nuta w tonie Guerrity sprawiła, że Arturo znów zeszywniał.

— Nic pan o mnie nie wie.

— Rozumiemy się, a to o wiele więcej. Nie mam pojęcia, dlaczego był pan w więzieniu, ale wiem, że teraz jest pan tutaj, a skoro tak, to znaczy, że potrzebuje pan swojego skrawka nieba. Dlatego myślę, że możemy się dogadać. Ja bym tak zrobił.

Arturo pojął nagle przyczynę dotychczasowej poufałości. Ricardo Guerra postanowił najpierw rozpoznać wroga, zrozumieć go, by tym łatwiej się z nim rozprawić.

— Niech pan mówi.

— Mając zbrodnię, nietrudno znaleźć winnego — kontynuował Guerrita.
— Ja jestem pierwszy na liście, więc proponuję pewien układ.

— Słucham.

— Mogę panu pomóc. Nie mogę powiedzieć, kto to zrobił, ale mogę naprowadzić pana na właściwy trop.

- Czego pan żąda w zamian?
- Tylko tego, żeby kontynuował pan śledztwo.
- To zależy od pańskich rewelacji.
- Zapewniam, że to pana zainteresuje.
- A dlaczego nie powiedział pan tego od razu?
- Mam swoje powody.

Arturo rozważył ofertę. Nie wahał się długo.

- Ja też chcę coś w zamian.

Brwi Guerrity uniosły się, tworząc dwa skierowane ku górze trójkąty.

- Myślałem, że szantażystą jestem ja.
- Przecież jesteśmy tacy sami...

Krzywy uśmiezek Guerrity był jak zaproszenie.

- Czego pan chce?
- Usłyszeć, dlaczego jeszcze pana nie rozstrzelali.
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Dlaczego?
- Dlatego, że nie.
- W takim razie nie ma umowy.

Ricardo Guerra, jakby w przypiływie nagłego zachwytu nad samym sobą, przez chwilę oglądał własny mundur. A kiedy podniósł wzrok i ich spojrzenia znów się spotkały, Arturo z policjanta stał się konfidentem.

- Zgoda. Ma pan gdzieś pod ręką te zdjęcia?

Arturo w pośpiechu podał mu fotografie. Ricardo Guerra obejrzał je ponownie w skupieniu godnym taksatora klejnotów, notując w pamięci każdy szczegół zwłok. Potem zapytał:

- Co pan wie o masonerii?
- Tyle, żeby wpisać to hasło do krzyżówki.
- W takim razie będę musiał wytłumaczyć panu pewne sprawy. To potrwa.

- Mamy czas.

— Dobrze, przypuszczam, iż wie pan o tym, że jestem masonem z loży Kybele.

- Wiem.

— Świetnie. Nie czas teraz i miejsce na długie wykłady, więc będę się streszczał. Wolnomularstwo wyrosło z tradycji budowniczych świątyń, ale z czasem zmieniło się w tajne stowarzyszenie, instrument nacisku w służbie

władzy. I jak we wszystkich tajnych stowarzyszeniach, nikomu nie wolno ujawniać sekretów Sztuki (bo tak brzmi inna nazwa masonerii), bez względu na to, czy dotyczą rytuałów, spotkań czy współbraci. Część przysięgi składanej podczas inicjacji, a obowiązującej aż do śmierci, stanowią słowa, które opisują surową karę, jaka grozi za zdradę: „Niech głowa moja zostanie ścięta — wyrecytował monotonicznie — a krew rozlana na ziemię aż do ostatniej kropli...”

— To by tłumaczyło brak krwi — przerwał mu Arturo, podekscytowany tym, że jego domysły być może zaczynają się sprawdzać.

— Tak, ale ta kara przeznaczona jest dla wtajemniczonych pierwszego stopnia. Są jeszcze trzy stopnie, jednak ja tak wysoko nie zaszedłem. Nie wiem, co oznacza zdanie „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy” ani o co chodzi z tymi kołmi, najważniejsze, że podejrzięto mu gardło, bo taka śmierć zarezerwowana jest tylko dla tych, którym objawiła się Widzialna Ciemność.

— A co to takiego?

— Nosi wiele nazw: Światło Masońskie, Wielki Alkahest... Masoneria ma substrat pogański, wcześniejszy niż chrześcijaństwo; w starożytności utożsamiano go z mistycznym oświeceniem, podobnym do tego, jakie jest udziałem chrześcijańskich świętych, a mającym związek z sekretnym imieniem Boga. Dzisiaj tej karze podlega każdy, kto sprzeniewierzył się przysiędze milczenia lub literze prawa: zdradził jednego z braci, wygadał się na temat jakiejś politycznej machlojki i tak dalej. Rzecz w tym, że Luisa del Águila zamordowano zgodnie z rytuałem.

— Czy wszyscy znają te rytuały?

— Tylko wtajemniczeni.

— Jak pan sądzi, ilu masonów jest w dywizji?

— Nie mam pojęcia. Ale proszę wziąć pod uwagę, że są nie tylko wśród czerwonych. W kadrze oficerskiej narodowców było ich co najmniej tyle samo, a nawet więcej. Teraz ich prześladują, ale przed powstaniem²⁴ wszyscy staliśmy po jednej stronie, bo przynależność do masonerii była najłatwiejszą drogą do kariery w czasach republiki. Ja też na tym skorzystałem.

Arturo zacisnął usta i kontemplował owe rewelacje niczym Michał Anioł chaotyczne możliwości ukryte w dziewiczym bloku marmuru. Postanowił, że zajmie się tym w swoim czasie.

— Dziękuję za pomoc. Teraz kolej na drugą część umowy. Zamach na

Caudilla... — W jego głosie dał się słyszeć cień przygany. — Jak to możliwe, że pan jeszcze żyje?

Ricardo Guerra odetchnął ostrożnie w trosce o własne płuca, wsparł podbródek na dłoni, popatrzył w bok i zastygł w tej pozie nad kamienną cembrowiną fontanny. W tym samym momencie zabrzmiały dźwięki paso doble i do wtóru *Ramony* jakiś głos, przemawiający po hiszpańsku z silnym rosyjskim akcentem, zaczął wykrzykiwać rewolucyjne hasła i inne propagandowe bzdety, które płynęły z megafonu zamontowanego na ciężarówce przejeżdżającej wolno wzdłuż okopów po drugiej stronie frontu. Guerrita odczekał, aż pojazd się oddali, a potem odrzucił głowę do tyłu jak pływak, który odpycha się od krawędzi basenu.

— Bo to ja ostrzegłem ochronę Caudilla — odparł.

Artura zamurowało. W pierwszej chwili ze zdumienia, do którego najpierw dołączyła konsternacja, a potem oczekiwanie. Guerrita, przywdziawszy maskę wystudiowanej obojętności, łaskawie rozwiął jego rozterki.

— Od początku wojny robiłem za wtyczkę. Teraz mogę to już powiedzieć, bo i tak panu nie uwierzą. Poza nami wiedzą o tym tylko dwie osoby; obydwie przebywają w Hiszpanii i wszystkiego się wyprą.

W głowie Artura zaroilo się od pytań: co tu robi ten człowiek, po co siedział w więzieniu, dlaczego nikt tu nie wie, kim on jest...? Ricardo zdawał się czytać w jego myślach i niejako z urzędu rozwiął wszystkie wątpliwości.

— Na ten temat nie powiem już ani słowa więcej.

Artura kusilo, żeby go trochę przycisnąć, ale wyczuł w jego postawie żelazną wolę, gotową zdusić w zarodku każdą próbę. Ponieważ jednak wina nie jest pochodną zbrodni, lecz oskarżenia, chciał sprowokować Guerritę do jakiejś reakcji.

— Nie ma pan wyrzutów sumienia?

Ricardo Guerra spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiego pytania. I to było widać.

— Na każdego poległego towarzysza broni przypadało dziesięciu czerwonych — próbował się bronić. — Jak pan myśli, ile ofiar warta jest nasza Sprawa i sam Caudillo?

— Caudillo jest niezastąpiony — odparł Arturo ostrożnie.

— Proszę spojrzeć na to w ten sposób: to był kolejny front walki.

Arturo czuł, że jeśli ulegnie i da się wciągnąć w tę dziwną dyskusję, ciekawość zawiedzie go na równię pochyłą, po której łatwo się stoczyć tam,

skąd już nie można się cofnąć. Mimo to nęciła go dialektyczna szermierka, bez słownych uników, bez empatii i litości dla przeciwnika, dysputa *inter pares* — pomiędzy dwiema osobami, które zbyt daleko zabrnęły w samotność i wiedzą, że stamtąd się nie wraca.

— W rzeczywistości daleko im do Raju — powiedział, zataczając ręką krąg, którym objął aż po horyzont ideał Matuszki Rossii. — Oszukali cały świat.

Ricardo Guerra pojął, do czego zmierza.

— Koniec z nędzą, wyzyskiem, poniżeniem — wyliczył automatycznym, beznamiętnym głosem. — Wyzwolenie spod jarzma kapitału, likwidacja podziałów klasowych, odkupienie maluczkich... Szczęście. To wielkie słowa, wielkie dążenia.

— Z tego, co tu widziałem i słyszałem od jeńców, zbyt wiele krwi przelano po to, by nic się nie zmieniło.

— Oni są przekonani, że jeszcze nie doszli.

— Nie rozumiem.

— Są przekonani, że wędrują przez pustynię. A ziemia obiecana ma swoją cenę. Bezlitosna machina państwa proletariackiego musi działać, dopóki nie zostanie pokonany ostatni z jej wrogów; młot będzie uderzał dopóty, dopóki z powierzchni ziemi nie zniknie ostatni wyzyskiwacz i ostatni głodny człowiek. A kiedy świat utonie już we krwi sprawiedliwych i niesprawiedliwych, wówczas państwo przestanie być potrzebne i nadejdzie królestwo sprawiedliwości. Do tej chwili będą musieli znosić zbrodnie, pracę na akord, ból, niewolę, śmierć... dopóki nie zbudują republiki powszechnego dobrobytu.

— Państwo Boże. To piękne proroctwo.

— Tak, piękne.

„Ale co innego prorokować, a co innego przewidywać” — pomyślał Arturo. Proroctwo jest czymś niesprawdzalnym, długoterminowym, pustynią, która może się ciągnąć bez końca, a dyżurny Mojżesz zawsze będzie miał *carte blanche* na całą wędrówkę. To pokusa zbyt silna dla ułomnej ludzkiej istoty, bo kiedy trzyma się w ręku młotek, wszyscy, którzy są w pobliżu, zaczynają podejrzanie przypominać gwoździe. Zadrzał, tym razem nie z zimna. Czy tylko on to widzi? Czy to możliwe? Poczul się jak tamto dziecko z bajki Andersena, jedyne tak niewinne, by wykrzyknąć, że cesarz jest nagi, dać świadectwo prawdzie, którą inni przemilczali z wyrachowania, głupoty

lub strachu. Zakończenie baśni nie podnosiło na duchu, potwierdzając mroczną naturę władzy — zaniepokojony cesarz, choć podejrzewał, że dziecko ma rację, dalej prezentował z dumą swoje szaty, skupiony na jednej jedynej myśli: „Trzeba wytrzymać do końca”.

Arturo, uderzony wściekłym podmuchem wiatru, który oszronił jego twarz tłuczonym lodowym szkłem, otulił się mocniej paltem. Ricardo Guerra, sztywno wyprostowany, stał przed nim, z rękami w kieszeniach, obserwując go zza okularów. Arturo oszacował wagę jego słów, jego niedomówień, jego gestów, jego przemilczeń i doszedł do wniosku, że Ricardo Guerra Castells, Guerrita, jest zagadką równie trudną jak śmierć Luisa del Águila, a może nawet trudniejszą. Kim jest w rzeczywistości? Nadczłowiekiem czy tylko potworem, który kłamie jak najęty, żeby się wyłgać od śmierci? Patriotą, który przez tysiąc dni hiszpańskiej wojny poświęcał się dla ojczyzny i który w więzieniu — jak podejrzewał Arturo — dalej działał jako konfident, a teraz szykuje się, by ścigać krążące nad Europą widmo i dopaść je w jego legowisku, czy też największym zdrajcą w Historii, kimś, kto sprzedał własnych towarzyszy, żeby w sprzyjającym momencie przejść na tamtą stronę? Gdzie kończą się ideały, a zaczyna deprawacja? Wpatrywał się w niego, aż przyszła mu na myśl jeszcze inna możliwość. Jeżeli Guerrita, żyjąc tak długo wśród wrogów, nasiąkając ich światopoglądem, w końcu się z nimi utożsamiał? A jeżeli będąc tak blisko nich i tak daleko od swoich, skazany tylko na siebie, przytłoczony mroczną stroną odgrywanej postaci, poczuł się osamotniony, nawet zdradzony, i wskutek owego swoistego rozdwojenia jaźni nie wiedział już, kim jest, komu służy, więc teraz pracuje i dla jednych, i dla drugich, bo już nie potrafi się wyrwać ze szpiegowskiej rutyny. A bez względu na to, czy jest bohaterem, czy judaszem, czas po obu stronach swego kontinuum płynie przeciwko niemu. Jak wiele go upłynie, zanim jakiś wojak dowie się, kim naprawdę jest Ricardo, i wpakuje mu w brzuch kawałek ołowiu? Jak wiele, zanim Sowietci przestaną ufać komuś, kto uniknął wyroku zatwierdzonego przez Franco, i wezwą go na przesłuchanie przed Czeką, której metody sam stosował tak gorliwie? Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Guerrita stoi przy bocznym wejściu do pałacu i obserwuje go z założonymi rękami, wsparty o barokową, niemal churriguerystyczną balustradę schodów.

— Liczę na to, że dotrzyma pan naszej umowy — powiedział, spostrzegłszy, że Arturo też na niego patrzy.

— Będzie mi pan musiał zaufać.

— Oczywiście... — uśmiechnął się w odpowiedzi. — Tak jak pan musi zaufać mnie.

Jakiś dziwny ton w jego głosie zbudził instynkt samozachowawczy Artura. Wystarczyło kilka sekund, by rzeczywistość chwyciła go za gardło, a przyływ adrenaliny pochłonął całą przytomność umysłu. Pojął, dlaczego Ricardo Guerra wyprowadził go z pałacu drzwiami dla służby. I przeklął nie tyle przewodnika, ile twardy, zlodowaciały śnieg, na którym buty nie odciskały śladów. Ukradkiem rozejrzał się wokoło, tak jakby zbyt natarczywe spojrzenie mogło zdetonować miny.

— To cios poniżej pasa — odezwał się z wyrzutem.

— Ci, którzy tu pana przysłali, też nie grają czysto.

— To cios poniżej pasa — powtórzył.

— Życie jest pełne niespodzianek. Chciałem tylko, żeby pan o tym wiedział.

— Nie było takiej potrzeby. I co teraz?

— Nie ma rady, musi pan tu do mnie przyjść.

Arturo nie był w stanie skupić myśli. Mocniej ścisnął rzemień karabinu.

— Jestem pańską jedyną nadzieją. Jeżeli zginę, sprawę może przejąć ktoś mniej wyrozumiały.

— Wiem. Musi pan ufać.

Ricardo Guerra wyglądał na skruszonego, ale w kącikach jego oczu czaił się mrok, poparta doświadczeniem wiedza, iż granice chwiejnej równowagi ludzkiego umysłu są bardzo ciasne i nie potrzeba mąk ani przypiekania żywym ogniem, by wprawić człowieka w obłąd. „Ma uciechę” — przemknęło przez myśl Arturowi. Miał ochotę się rozplakać, kląć, grozić, ale strach bez reszty wypełniał jego świadomość. Chwycił ów lęk za rogi i pasując się z nim, zrobił pierwszy krok. Szedł powoli, stawiając nogę za nogą, rozdygotany, z oczyma wbitymi w oczy Ricarda Guerry. Co chwila oblewał go pot, tym obfitszy, im wyraźniejszy stawał się obraz nadeptującej na minę stopy, zwisających z kolana krwawych ścięgien i obnażonej kości. Wykonał ostatni skok i znalazł się na pierwszym stopniu schodów, zdyszany, z oczyma utkwionymi w oczach stojącego trochę wyżej Guerrity.

— Powiniennem pana zastrzelić — wycharczał z nienawiścią, która rozcieńczona niedawnym wysiłkiem straciła nieco na sile.

— Możliwe, że wyrządziłby mi pan przysługę — odparł Ricardo

enigmatycznie.

Arturo pokręcił głową i wreszcie oderwał od niego wzrok, po czym przez dłuższą chwilę badał z uwagą sztywną skorupę zlodowaciałego śniegu, wypatrując ciemnych kształtów ukrytych min. Kiedy odzyskał zdolność logicznego myślenia, porównał eliptyczną trasę Guerrity z linią prostą, po której sam przeszedł, i nagle coś mu zaświtało.

— Nabrał mnie pan, prawda? — zapytał, patrząc mu prosto w oczy. — Tu nie ma min.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Sądzę, że pan udawał.

Tym razem Ricardo Guerra nie bawił się w subtelne aluzje. Pochylił się, podniósł kilka odłamków walającego się na schodach gruzu, „padnij i zatkaj uszy”, wziął zamach jak przy grze w kulki i wycelował w miejsce, które Arturo minął przed chwilą w odległości zaledwie paru centymetrów. Po drugim rzucie nastąpił błysk i suchy grzmot eksplozji, która wzbiła w niebo fontannę ziemi, pozostawiając na śniegu słonecznik w koronie czarnych płatków. Z uszami jeszcze pełnymi huku, Arturo próbował zapiąć szczelniej płaszcz pod szyją, ale palce odmawiały mu posłuszeństwa. Blady, wstrząsany atakami czkawki, wstał i bez słowa wszedł do pałacu. Szybkim krokiem przemierzał puste komnaty, lecz nagle zatrzymał się wściekły, zdał sobie bowiem sprawę, że bez pomocy Guerrity nie przejdzie przez pole minowe czyhające nań tuż za bramą. A zignorowany Guerrita stał bez ruchu na schodach, pogrążony w osobliwym stanie umysłu — wypełnionego wspomnieniem bujnej zieleni rodzinnej Galicji i riasów wrzynających się w brzegi chłostane przez kantabryjskie fale — nasłuchując być może, ale tylko być może, chrapliwego dźwięku kolejnej eksplozji.

Od dobrej chwili Artura przestała męczyć czkawka. Nadal z lekka odrętwiały ze strachu, szybkim krokiem zdążał w stronę kwatery głównej, mijając ośnieżone pałace o ścianach misternie wyrzeźbionych przez kule. Za jego plecami, podjąwszy swoją nić Ariadny wijącą się pośród min, które strzegły bram dawnej siedziby Katarzyny, pozostał Ricardo Guerra, żegnający go milczeniem, nieruchomy niczym mroczny pomnik samego siebie. Arturo, z oczyma zwilgotniałymi z zimna, szedł czujnie, pomny na nawiedzającą tę strefę plagę snajperów i przepelniony obawą, że zaraz usłyszy rozwieszane wzdłuż zasieków dzwonki. W myślach wciąż jeszcze

przesuwał paciorki różańca półprawd przeplatanych kłamstwami, kiedy niemal wpadł na ścianę posterunku obserwacji przeciwpancernej. Był to budynek z czerwonej cegły, ukryty w gęstej kępie drzew, prawdopodobnie dawna wytwórnia mączki, z pozoru wyglądająca zupełnie niewinnie, choć wystający spod śniegu kabel telefoniczny zdradzał jej obecne przeznaczenie. Dochodziło wpół do trzeciej i zaczynało się ściemniać; widok kominów fabrycznych, które niby orszak kornych dworzan spoglądały z daleka na pałace, podsunął mu myśl, iż ma oto jedyną być może okazję, by choć spojrzeć na Leningrad. Nie zastanawiając się długo, wszedł do budynku. Minawszy kilka pustych pomieszczeń, odnalazł drewniane schody i wspiął się po skrzypiących stopniach, które prowadziły na szczyt cysterny z wodą. Wystawił głowę przez otwarty świetlik i przerzuciwszy najpierw karabin, a potem plecak, podciągnął się na rękach i wylazł na dach. Przykucnął, czujnie wypatrując snajperów. Nie było żadnego wartownika, ale tuż przy krawędzi ktoś zostawił zamknięty futerał z lornetką i telefon połowy, jakby na znak, że za chwilę tu wróci. Arturo przysiadł obok, skulony, i wyjął pryzmaty. Była to austriacka lornetka, bardzo silna, z czterdziestokrotnym powiększeniem. Zdjął osłonki i ustawił szkła. Najpierw zobaczył lasy wokół Puszkina. Kiedy wyostrzył obraz, dostrzegł zasieki, a na nich kołyszący się między zwojami drutu jeden z osławionych dzwonek z Pałacu Aleksandrowskiego. Pobawił się chwilę zbliżeniami, aż udało mu się uchwycić detale stalowych kolców, po czym, przesuwając wzrokiem po rozgałęzionej, jakby nakreślonej ręką paranoika siatce okopów, wdarł się w głąb strefy sowieckiej, obwiedzionej półkolem umocnień, którymi otoczono miasto w ciągu pięciu miesięcy po przerwaniu operacji „Nordlicht”. Ów zryty pociskami skrawek ziemi ze wzgórkami kazamat, rowami przeciwczołgowymi, gniazdami karabinów maszynowych i olbrzymimi fosami ciągnącymi się wzdłuż koryta Newy unieruchomił niemiecką armię; zbrojna manifestacja siły w trakcie oblężenia uwidoczniła skrywaną pod jej pozorami słabość, ponieważ potęga Wehrmachtu, która zmiażdżyła całą Europę, miała swoje źródło w ruchu. Wreszcie skupił uwagę na opasującej go wstędze horyzontu. Stłoczone razem kominy, dźwigi, blaszane magazyny i fabryki, poczerńnięte od bomb, nakryte gęstą chmurą dymu, wyznaczały położenie podleningradzkiego Kołpina, dużego kompleksu przemysłowego, który wdzierał się klinem w linię hiszpańskiej obrony, grożąc w każdej chwili atakiem wroga. Arturo wyteżył wzrok i odwrócił się na północny wschód. Za szklami lornetki, w odległości

około piętnastu kilometrów, pojawiły się szare bryły mostów, ponure betonowe budynki, słupy wysokiego napięcia, połączone wiszącymi trapezami kabli, i ogromne hale na przedmieściach. O kilka stopni dalej majaczyły w nadbrzeżnej mgłę portowe doki, stocznie Putiłowska i Bałtycka, wyspa-forteca Kronsztad, a za nią, po prawej, łagodny łuk Przesmyku Karelskiego, rozszerzający się w kierunku Finlandii. Lecz Arturo wypatrywał ulic Leningradu. Część z nich widać było całkiem wyraźnie: zasieki i barykady worków z piaskiem, czerwone tramwaje, ciężarówki, ludzie idący po tych samych chodnikach, po których chadzali geniusze literatury, luminarze i rewolucjoniści. Tak, tego właśnie szukał: muskułów skrytych pod warstwą komunistycznego sadła; starego Sankt Petersburga z nieskalaną jeszcze wiarą, miasta nieświadomego zgotowanej mu apokalipsy. Wystarczyło odrobinę zmienić ostrość, by je dostrzec. Twierdza Pietropawłowska, kopuła soboru Świętego Izaaka, przerzucone nad rzeką mosty, Newski Prospekt, zielonoszara rokokowa fantazja Pałacu Zimowego... Leningrad, Piotrogród... Sankt Petersburg. Dawna stolica białych nocy, która zdetronizowała bojarską Moskwę, narodziła się z megalomańskiego marzenia pewnego klaustrofobicznego cara i dlatego jej przeznaczeniem było stać się kolebką innego wielkiego marzenia, tym razem całej ludzkości. Niezliczone pokolenia wpływały do rzeki czasu, aż w rewolucji październikowej dały ujście swej woli, zmierzając na skróty przez Historię ku powszechnemu szczęściu, ku „Państwu Bożemu” — po to tylko, by Historia sama im udowodniła, że nigdy nie chadza na skróty, bo tam zawsze czyha na nią jakiś władca. Natrętnie powracały doń słowa Azañi²⁵: „W każdej epoce pojawiają się władcy demagogiczni, władcy porządku publicznego, władcy miecza siejący śmierć...” Tak, pomyślał, a teraz pojawili się władcy nowego rodzaju, samozwańcy wypchnięci z Historii, obcy, dziwni władcy, którzy w świecie rycerzy i smoków, Dobra i Zła, stawali zawsze pośrodku, bezideowi, amoralni, beznamiętni. Spadkobiercy Kuby Rozpruwacza, którzy, podobnie jak Ricardo Guerra, żyjąc w sercu prawdy, czują się tym bardziej przez wszystkich zdradzeni, coraz dalsi od samych siebie. I tak, dotarwszy do granic wszelkich namiętności, odkryli darmowość świata. A ponieważ stygnące namiętności przyjmują formy monstrualne, wszystko traci wartość, więc oni, jak dzieci, szukają ucieczki we własnym egoizmie, łaknąc destrukcji na miarę swojej samotności i

odtrącenia. Pierwszą strugą zbytecznie przelanej krwi ochrzcili nowego człowieka, zainaugurowali przyszłość.

I wówczas rozdzwoniły się dzwonki, mnóstwo dzwonek.

9

Sade

— Słucham?

— ...

— Tak, witam. Melduję się na rozkaz, panie sierżancie.

— ...

— Naprawdę?

— ...

— Tak.

— ...

— Tak.

— ...

— Kiedy?

— ...

— To wspaniale. Pozwolę sobie powiedzieć, że znakomicie się pan spisał. Pan i pańscy ludzie.

— ...

— Mówi pan, że już tu jedzie?

— ...

— Świetnie, nie wiem, jak panu dziękować.

— ...

— Zgoda. Raz jeszcze bardzo dziękuję. Tak jest, panie sierżancie.

Arturo odłożył słuchawkę, która opadła na widełki z suchym trzaskiem. Don Picuś Glancuś nareszcie raczył zadzwonić. Pedantycznym, służbistym głosem poinformował, że właśnie znaleziono list Luisa del Águila i że Aparicio jest już w drodze do Miestielewa. Arturo, szcękając zębami, przysunął się do żelaznej kozy, żeby się choć trochę ogrzać; z powodu szalejącej na zewnątrz śnieżycy zrobiło się jeszcze zimniej, więc piecyk

pożerał polano za polanem, niewiele dając w zamian. Arturowi chciało się spać, odnosił wrażenie, że pod powiekami ma pełno piasku; po powrocie z Puszkina przedzemał ze trzy godziny, jednakże czekające go wkrótce przyjęcie w kwaterze głównej i konieczność sporządzenia raportu dla podpułkownika Navajasa del Río zmusiły go do uporządkowania panującego w głowie chaosu i ułożenia faktów w logiczną całość. Wziął kartkę, ołówek i pomarańczę, która lśniła ogniście obok telefonu, po czym usiadł przy stole. Tęsknił za codzienną dawką czarnej, parującej kofeiny, ale zapasy cennego płynu, niestety, już się wyczerpały. Pociągnął nosem, szukając natchnienia w leżącym przed nim owocu. Wobec fiaska gambitu Ricarda Guerry musi znaleźć innego kandydata na szafot; przedtem jednak powinien potwierdzić jego „seksualne” alibi, a także pokazać zdjęcie Guerrity łąziebnemu Trinitariowi, wolał bowiem uniknąć dalszych niespodzianek. A potem, widząc światółko w tunelu — trop podsunęty mu w ostatniej rozmowie — rozważy hipotezę masońskiej zemsty, w którą można wpasować i zabójstwo, i konie, i boskie przestrogi. Major Reyes Zarauza wraz z żandarmerią kapitana Isarta przyjrzą się staranniej certyfikatowi czystości krwi w dywizji, nie pomijając osoby kapelana; a obosieczny oręż, którego dostarczył mu Guerrita, podpowiadając, gdzie szukać potencjalnych masonów, również mógł się przydać, choć na razie Arturo nie miał pojęcia, jak to wykorzystać. Wysiłił umysł i maczając argumenty w rozmaitych odcieniach logiki, szybko napisał pięknie wyretuszowany raport. W owej pracy towarzyszyły mu niby natrętny refren słowa Erundiny del Águila skierowane do ukochanego brata. Jaką ciemną studnię bez dna próbowałeś zalać alkoholem, Luisie del Águila? Jakie brzemie dźwigałeś na barkach, że pragnąc je wreszcie zrzucić, wolałeś kulę w łeb niż własną rodzinę? Sekrety. Masońskie czy niemasońskie, były drzwiami, których nikt dotąd nie otworzył i prawdopodobnie nie powinien otworzyć nigdy. Dokładnie w chwili, gdy stawiał ostatnią kropkę, usłyszał głośnie pukanie.

— Proszę — powiedział.

W uchylonych drzwiach ukazało się zezowate oblicze Aparicia, a zaraz potem potężna postać kaprała wypełniła niemal połowę ciasnej kłitki.

— Brr... Ale ziąb! — utyskiwał, strząsając śnieg z kurtki.

— Śnieg wali, aż miło, panie kapralu.

Arturo wstał i wyprężył się na baczność.

Aparicio pochylił się nad piecykiem i zaklaskał w dłonie, jakby płomienie

tańczyły specjalnie dla niego.

— Spocznij, po co te ceregiele?

— Mam jeszcze gdzieś trochę koniaku, może się pan napije? — zaproponował Arturo, siadając.

— Za wcześnie, dziękuję. Dobrze się bawiłeś przedwczoraj?

— Tak, ale powinien był mnie pan obudzić.

— Spałeś przytulony do swojej dziewczyny jak aniołek. Wzruszyłem się. Szabelka stała? Wstydu nam nie przyniosłeś?

— O to trzeba by zapytać dziewczynę — odparł Arturo skromnie.

— Dobra, dobra, ale użyłeś sobie?

— Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znowu się z nią spotkać.

— Ach, te panienki... Miodzio, co? — Kaprał przymknął oczy jak w transie. — Sama słodycz. No, wystarczy pogadać z tym ich starszyną. Aha, żebym nie zapomniał... — Poszperał w kieszeniach. — Masz... Dzisiaj od świtu szukamy igieł w stogu siana.

Arturo, czując, że wzruszenie dławi go w gardle, wziął od niego wymiętą, złożoną chyba ze sto razy kartkę. Nie przeczytał jej od razu, kurtuazja wzięła górę nad ciekawością.

— Jeżeli o mnie idzie, wystarczyło znaleźć jedną.

— Tak, trafiliśmy w końcu na ten list, a przy okazji wytropiliśmy Tarzana.

— Tarzana? Ja go znam?

— Nie sądzę. Zresztą jak go dorwiemy, nawet własna matka go nie pozna. Będzie srał po nogach, ja ci to mówię.

Arturo popatrzył na niego uprzejmie jak przewodniczący zebrania, który pyta wzrokiem, czy mówca ma coś jeszcze do powiedzenia.

— Ty wiesz, co on napisał swojej wojennej matce chrzestnej? W pierwszym liście? Że nie może się doczekać, kiedy mu osobiście wypoleruje szablę, a tymczasem niech przyśle zdjęcie, to każdej nocy będzie walił konia na jej cześć. I jeszcze, skurwiel jeden, podpisał się „Tarzan”. Już on mnie popamięta!

Arturo nie mógł powstrzymać uśmiechu. Nie podjął jednak tematu, tylko zaczął uważnie oglądać list, adresowany do Erundiny del Águila, calle del Perdón 8, Santa Eulalia, Ibiza, España, Spanien, i opatrzony znaczkiem Luftfeldpost z lecącym w chmurach junkersem.

— Czytał go pan, panie kapralu? — zapytał.

Aparicio pokręcił głową. Zdjął hełm i z namaszczeniem przyglądał się

widniejącej na wysokości prawej skroni kalkomanii z hiszpańską flagą, miejscami już startej. Arturo przebiegł wzrokiem rzędy ściśniętych, mocno pochyłych liter.

Kochani,

Mam nadzieję, że kiedy otrzymacie ten list, wszyscy będziecie zdrowi. Ja trzymam się nieźle, tylko rana jeszcze mi dokucza, chociaż już się prawie zagoiła. Wysyłam Wam więcej pieniędzy, bo trochę grosza zawsze się przyda. U nas jest tak zimno, że nawet sobie nie wyobrażacie. Na szczęście mamy tu rosyjski piec, który zżera co najmniej kwintal chrustu na godzinę, ale w tym kraju chrustu nie brakuje.

Ja też ciągle o Was myślę. Zresztą z każdym dniem bliżej do powrotu. Nie smućcie się, bo służę ojczyźnie, i nie bójcie się o mnie, bo José Antonio i wszyscy towarzysze, którzy już pełnią wartę w niebie, orędują za nami. Wiele jeszcze mamy do zrobienia, a Rosjanie to twardy naród, ale damy im radę.

Napisz mi więcej o sobie, o mamie i tacie, i o kolegach. A Elpidiowi powiedz, że przywiozę mu w podarku futrzaną czapę.

Ojciec Ramón służy mi pociechą i wsparciem i mówi, żebym nie miał wyrzutów sumienia, bo przecież spełniam swój obowiązek. Poza tym znalazłem sobie przyjaciela i on też mnie rozumie. Wołamy na niego Bumtarabum, ale naprawdę nazywa się Galo i nawet ruszy się go boją.

Życzę Wam zdrowia, przesyłam ucałowania dla mamy i taty i pozdrowienia dla wszystkich, i pamiętajcie, że Was kocham.

Arturo zostawił kartkę na stole i przez kilka chwil przechadzał się po cichej celi własnego umysłu. Wszystko wskazywało na to, że Luis del Águila był w duszy człowiekiem uczciwym i prawym, lecz Arturo nie ufał słowom, wiedząc, że mamy skłonność do odgradzania się nimi od pustki; nie niepokoić najbliższych, nie zwracać na siebie uwagi cenzury — to powody więcej niż dostateczne, by otoczyć się murem słów. Ponadto fakt, iż kapelan istotnie był skrupulatnym strażnikiem „duchowej kondycji” Luisa, nie tylko nie zdejmował zeń podejrzeń, ale jeszcze je wzmacniał. A fragment o wyrzutach sumienia odsyłał ponownie do owego wciąż niezidentyfikowanego „obcego ciała”, które utkwiło w jaźni nieszczęsnego żołnierza. Jednak wśród tropów wiodących do winnego zbrodni pojawił się

nowy kamyczek: Bumtarabum. Arturo domyślił się, że przezwisko rzezonego Gala odnosi się do słynnych niemieckich miotaczy ognia, panzerfaustów. Spojrzał na Aparicia, który czekał z założonymi do tyłu rękami.

— Panie kapralu, nie wie pan przypadkiem, co to za jeden ten Bumtarabum albo Galo? Podobno przyjaźnił się z denatem.

— Oczywiście, Galo Rodríguez, wszyscy go znają.

— A niech to! — Arturo zrobił taką minę, jakby puszczał dym z cygara. — Wygląda na to, że mamy tu więcej igieł niż siana. No więc kto zacz?

— Dowódca jednego z oddziałów szturmowych w dwieście sześćdziesiątym drugim. Kawał zucha, który ma już na piersi cały skład żelastwa. Kacapy srają po nogach, jak o nim słyszą, Niemcy też.

— Jak to?

— Facet nigdy nie sypia, nieraz wyje po nocach niczym wilk i wrzeszczy po rusku, że będzie jadł ich serca. I skurczysyn to robi, wypuszcza się czasem sam za linię frontu, a zawsze wraca z jakąś pamiątką.

— Jakiś świr.

— Tak, ale dowódcy bardzo go cenią. Teraz jest w „fabryce krokodyli”. Arturo pochylił się do przodu, jakby czekał na wyjaśnienia.

— W szóstej kompanii, w Krasnym Borze. Okopali się w starej fabryce trzydzieści metrów od ruskich. Mają tam zabawę na sto dwa. Wszystko wokół obsadzone snajperami. Tracą ze dwudziestu ludzi dziennie.

— A te krokodyle...?

— To jeszcze z Afryki, z Beni Aros. Tam też była plaga snajperów. Żołnierze z fortu sikali do puszek, bo bali się wyjść za potrzebą. Ale od czasu do czasu trzeba było ją opróżnić, a ponieważ nikt nie chciał, musieli to robić za karę. Wyobraź sobie tylko... Arabowie strzelali do wszystkiego, co się rusza. Często ktoś przy tym ginął, byli ranni.

— Nadal nie rozumiem, co mają do tego krokodyle.

— Tam były oczka wodne, jedyne na setki kilometrów, a stworzenie swój rozum ma, wie, że pić musi, bo zdechnie z pragnienia. Krokodyle też o tym wiedzą i pływają zawsze przy brzegu.

„Mają chłopaki poczucie humoru” — stwierdził Arturo, dumając nad inwencją wojaków.

— Jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

Wokół ust kaprala zarysowały się dwie uparte zmarszczki; podszedł do

okna i kolistym ruchem przetarł rękawicą szybę. Na zaparowanym szkle powstał okrągły, przezroczysty bulaj. Po drugiej stronie padał śnieg, czysty, cichy, metodyczny. Aparicio przemówił niemal szeptem, jak ktoś, kto spóźnił się na mszę do kościoła.

— Przedwczoraj, na imprezie, kiedy rozmawiałeś z Servandem, usłyszałem, że nieboszczyk grywał w wioletę.

Arturo kiwnął głową.

— Tak.

— No to powinieneś wiedzieć, że Bumtarabum też gra.

Czasami fuksem można zyskać więcej niż żmudną logiką. Arturo zastanawiał się, jaki ton będzie najbardziej pasował do tego, co chciał powiedzieć: pobłażliwy, obojętny, naiwny, stanowczy...

— A wie pan może, panie kapralu, gdzie zagrają następnym razem?

Jego głos zabrzmiał nijako i pytanie zawisło w powietrzu jak koło, które daremnie buksuje w próżni. Aparicio z namaszczeniem dorysował bulajowi promyki, przemieniając go w słońce, w którego wnętrzu padał śnieg.

— Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego — odparł w końcu. — Ty też nie wsadzaj palca między drzwi.

— Rozumiem.

W głębi ducha Arturo i tak nie liczył na żadne nagłe olśnienie. Wyciągnął spod łóżka oficerki, których sflaczałe cholewki opadały na podłogę, wzuł je, owinąwszy stopy onucami i papierem, przeciągnął się, aż kości zatrzeszczały niczym zbroja, i przez chwilę walczył z mundurem, usiłując nadać mu schludny wygląd.

— Jeżeli nie będę przeszkadzał, zabiorę się z panem do kwatery głównej. Mam tam parę spraw.

— Dla mnie żaden kłopot.

— To co tym razem? Sanie? — zażartował.

— Tym razem ciężarówka. Nówka. Koniec z gruchotami.

— Dojczce mają gest.

Aparicio uśmiechnął się tajemniczo.

— Nic z tych rzeczy. Po prostu mamy teraz niezawodny system.

— Jaki?

— Zatrzymujemy wóz i prosimy, żeby go nam oddali.

— I kierowcy się godzą?

— Jak odmawiają, odbezpieczamy granat i grzecznie czekamy. Przeważnie

zmieniają zdanie.

- Ależ to rozbój w biały dzień.
- Każdy ma prawo do własnych ocen.
- A jak się o tym dowie któryś z oficerów?
- Jeden był z nami. To on wyciągnął granat.

W padającym bezgłośnie śniegu połyskiwały ostrza bagnetów, sztywno trzymany przez żołnierzy stojących w szyku na lewo od bramy kwatery głównej; wyprężonych na baczność, nieruchomych śledził jednym okiem sierżant Longinos Perete, pomrukując pod nosem: „Niech no który tylko mrugnie...”, drugim zaś wpatrywał się w kolumnę mercedesów Wehrmachtu, która właśnie przejeżdżała przez mostek nad dopływem Sławianki, zdążając w stronę pałacyku. Kiedy limuzyny zatrzymały się na podjeździe, generał Esteban-Infantes w otoczeniu wojskowych dygnitarzy ruszył dziarskim krokiem na powitanie niemieckich mastodontów. Z samochodów wysypał się kontyngent adiutantów, szefów sztabu, oficerów i tłumaczy, towarzyszących dowódcom: generałowi pułkownikowi Lindemannowi z 18 Armii, któremu podlegała Błękitna Dywizja, generałowi Christianowi Hansenowi z XXIV Korpusu Armijnego, marszałkowi Erichowi von Lewinski-Mansteinowi z 11 Armii, sławnemu zdobywcy Sewastopola... Były saluty, trzaskanie obcasami, okrzyki tnące niczym bicz i przemarsz przed kompanią honorową, zakończony gromkim „spocznij, do nogi broń!”, po którym sierżant wreszcie odetchnął z ulgą. Właśnie zamierzał rozkazać żołnierzom, by się rozeszli, gdy dostrzegł jeszcze jeden pojazd, który z budzącą respekt brawurą pędził przez zamarzną Sławiankę. Longinos Perete rozpoznał furgon pocztowy i w pamięci mignęła mu młodzieńcza murarska twarz Aparicia. Uspokojony, powrócił do swoich obowiązków. Ciężarówka zaparkowała z lekkim poślizgiem pod boczną ścianą pałacyku i Arturo wysiadł, czując w kościach wiernie odwzorowaną orografię rosyjskiej ziemi. Ujrawszy orszak mercedesów, zrozumiał, że się spóźnił; na szosie natknęli się na zestrzelony przez messerschmitty Luftwaffe sowiecki samolot, który zablokował ruch. Artura dotąd prześladował widok kadłuba w ogniu i pilota płonącego jak zapalka; czuł jeszcze w nozdrzach swąd paliwa, żelaza i zwęglonego ciała. W pośpiechu pożegnał się z kapralem i wszedł do budynku, w którym panował zwykły rozgardiasz. Pokazał przepustkę, przyspieszył kroku i wbiegł po schodach na piętro. Oflankowany posągami korytarz był okupowany przez

kanciaszczękich germanów w żelaznych hełmach, którzy rywalizowali w pomnikowej bucie z figurami starożytnych herosów. Zatrzymany przez jednego z owych wojowników, Arturo został na szczęście rozpoznany i odbity z ich rąk przez służalczego kapitana, strażnika antyszambrów Navajasa del Río, a następnie doprowadzony przed ozdobne drzwi, te same, za którymi ujrzał piękną pianistkę, i wpuszczony do salonu. Powitał go chórny szmer rozmów. Goście — Niemcy, oficerowie ze sztabu dywizji, dowódcy przyległych jednostek i delegaci pułków frontowych — gawędzili z ożywieniem, rozproszeni na małe grupki. Wśród nich krążyli kelnerzy z tacami, roznosząc kieliszki hiszpańskiego wina i francuskiego koniaku, andaluzyjskie oliwki i rosyjskie ciasteczka... Podświadomie szukał wzrokiem pianistki. Zamiast niej dostrzegł majora Reyesa Zarauzę i kapitana Joaquina Isarta. Służbisty gryziopiórek zaciągnął go przed oblicze Navajasa del Río, który na powitanie spiorunował spóźnialskiego wzrokiem, ale powstrzymał się od komentarza. Arturo niezwłocznie przystąpił do pracy i zaczął tłumaczyć słowa Niemców oraz rosyjskich oficerów akredytowanych w kilku jednostkach Wehrmachtu. Przyjęcie toczyło się swoim torem, jak zwykle przy takich okazjach. Wszyscy czekali na przemówienia i zaproszenie do stołu, a fotografowie z Propagandakompanie pstrykali zdjęcia, rejestrując na kliszy bankietowe scenki; oko kamery uwieczniło Artura obok podpułkownika Navajasa del Río, generała Infantesa i marszałka Mansteina. Pamiętał, że wśród dokumentalistów powinien się znajdować również Paramio Pont, lecz nie potrafił odgadnąć, który to z nich, ponieważ żaden nie wyglądał dostatecznie iberyjsko. Goście nie musieli długo czekać na kolację i wkrótce zajęli miejsca przy długim stole. Na jednym z krzeseł Arturo dostrzegł Wolframa Kehrena. Po deserze, gdy zamilkły toasty i podziękowania, odmeldował się u podpułkownika Navajasa i podszedł do Reyesa Zarauzy, który stał przy kominku pogrążony w rozmowie z kapitanem Isartem. Zaróżowiony, wciśnięty w mundur jak połec źle zapakowanej cielęciny, na widok Artura jął skubać swój mrówczy wąsik.

— No, no, niech pan spojrzy, kapitanie, kogo my tu mamy — udawał zaskoczony, celując weń długą, posrebrzaną tubą. — Oto nasz niezmordowany Arturo. Wczoraj w Puszkynie, dzisiaj na salonach.

Jeśli Reyes Zarauza chciał go olśnić swoją wszechwiedzą, doznał zawodu, bo Arturo postanowił nie dać mu tej satysfakcji.

— Melduję się na rozkaz, panie majorze — powiedział, trzasnąwszy

obcasami. — Cóż, gdy brakuje wrodzonych zdolności, trzeba więcej pracować.

Major zagulgotał radośnie, a jego galaretowaty brzuch aż się zatrzęsł z uciechy.

— Widzę, że zdążyliście uciec z kotła.

W pamięci Artura zabrzmiał koncert dzwonek i oficerskich gwizdków, obwieszczający początek sowieckiej szarży, którą przeczekał ukryty w starej fabryce.

— Zaczęło się akurat, kiedy odszedłem — skłamał.

— No to mieliście szczęście. Sprawili nam krwawą łaźnię, co, kapitanie?

Spojrzał swoimi świńskimi oczkami na żółtawą twarz dowódcy żandarmerii, szukając potwierdzenia. Joaquín Isart, obejmując dłońmi pękaty kieliszek koniaku, zawahał się na moment, zanim odpowiedział.

— Sami też oberwali.

Major kiwnął głową. Wydobył z tuby ogromne cygaro, zdjął papier i pierścień, odgryzł kapturek i poślinił tytoń.

— Zgoda, zgoda. — Obejrzał z uwagą ciemny, wilgotny czubek. — Niezła feta dzisiaj... Świetna wyżerka. Smakowało?

— Jak u mamy — potwierdził Arturo.

— Nawet Manstein się zjawił. To dopiero chłop na schwał, niezłe namieszał czerwonym. Mam nadzieję, kapitanie, że szpiedzy nie pobrali dzisiaj swoich trzydziestu srebrników, bo i nam mogliby tutaj sprawić krwawą łaźnię. Generalską.

— Spokojnie, mamy na nich oko — odpowiedział Isart.

— A wiecie, że kapitan ma ciekawą teorię na temat szpiegów? — zwrócił się major do Artura. — Twierdzi, że nie należy ich rozstrzeliwać, przeciwnie, powinniśmy ich zlokalizować i pozwolić, żeby od czasu do czasu coś tam sobie wyszpiegowali, bo lepsze jest znane zło niż...

Arturo przypomniał sobie nocną egzekucję w lesie.

— Rozsądnie, ale bywają wyjątki — zaoponował.

Joaquín Isart delikatnie zakołysał kieliszkiem.

— To nieuniknione.

— Zdarza się w najlepszej rodzinie, to oczywiste — przytaknął Reyes Zarauza.

Przesunął nosem po niezapalonym cygarze, powoli, rozkoszując się szlachetnym aromatem tytoniu. Kiedy skończył, zerknął na zegarek.

— No, no, już trzecia, jak ten czas leci, a my nie młodniejemy — wychrypiał. — A jak tam nasze sprawy? — gładko zmienił temat, uśmiechając się lekko, jakby chodziło o rzecz bez większego znaczenia.

Arturo, pomny na toczące się w sztabie rozgrywki o władzę, zreferował postępy w śledztwie, przedstawiając poszczególne fakty skąpo lub obszernie, dwuznacznie lub precyzyjnie, uważając, żeby się nikomu nie narazić.

— Oczywiście to tylko moje domysły — zastrzegł na końcu.

Reyes Zarauza westchnął. Na jego czole zarysowały się pionowe zmarszczki.

— Tak jak w życiu. A więc ten cały Ricardo to niewypał... — Nie wyglądał na zawiedzionego, przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że wszelkie komplikacje polityczne są mu bardzo na rękę. — Wy, jak widzę, sądzicie, że to sprawka masonów.

— To raczej nie przypadek, że wszystkie tropy prowadzą w jednym kierunku.

— Masoni... — Z wahaniem obracał to słowo na wszystkie strony jak niedopasowany element układanki. — No cóż, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi ten ślad. Tymczasem kontynuujemy dochodzenie. Musimy sprawdzić jeszcze ze czterdzieści siedem osób.

— Dobrze byłoby znaleźć jakiegoś masona — podsunął Arturo — albo kogoś, kto się zna na wolnomularskich obrzędach.

Reyes Zarauza przestąpił z nogi na nogę, a fałdy tłuszczu zafalowały jak na opasłym cielsku wielkiego morsa.

— Tu może wam pomóc Octavio.

Słowa te niczym soczewka skupiły uwagę Artura.

— Octavio Imaz?

— Znacie go?

— Przedstawiono nas.

— Wiecie zatem, że to wielce obiecujący intelektualista.

— Tak słyszałem.

— Popelniał ciekawe dziełko o masonerii.

— Nie wiedziałem. Skąd takie zainteresowania?

— Sami go zapytajcie.

— Zapytam, zapytam na pewno. Aha, kapitanie — zwrócił się do Isarta. — Chciałbym, żeby mnie informowano o poczynaniach ojca Ramona.

Dowódca żandarmerii zerknął na majora, szukając przyzwolenia.

— Czy to konieczne? — Zarauza popatrzył na Artura z dezaprobatą, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że nie lubi być zaskakiwany.

— Tak na wszelki wypadek. Był spowiednikiem Luisa del Águila.

Major delikatnie zgiął cygaro.

— Nieładnie podejrzewać księdza... — pogroził Arturowi z uśmiechem.

— Coś jeszcze? — dodał ironicznie.

— Prawdę mówiąc, tak, panie majorze.

— Zamieniam się w słuch — wysapał łaskawie.

— Wtedy, na poczcie, powiedział pan, że czasami ważniejsze bywają prawa niepisane...

Zamilkł, widząc, że na wspomnienie zawartego pokątnie paktu major jakby skurczył się w sobie i zeszywniał, tracąc nagle wygląd jowialnego hipopotama. Zarauza rzucił szybkie spojrzenie kapitanowi Isartowi, który pojąwszy aluzję, wycofał się dyskretnie.

— Mówcie. O co chodzi?

— Właściwie o nic. Potrzebuję odrobiny poparcia.

— Na przykład?

— Chcę być przy następnej partyjce wiolety.

Major z trudem pohamował irytację, ale odpowiedział spokojnie:

— Wioleta jest zabroniona.

— Nie rozumiem, panie majorze.

— Czego nie zrozumieliście: słowa „wioleta” czy tego, że jest zabroniona?

Arturo przysunął się do kominka.

— Rozumiem, że wioleta jest zabroniona, ale nie mieści mi się w głowie, że Dwójka nie ma informacji o tym, gdzie i kiedy się gra.

— Nie widzę powodu do gromadzenia takiej wiedzy.

— Niedawno podpułkownik Navajas del Río zasugerował mi, że nie wszystko jest tym, czym się wydaje. Być może z informacją bywa podobnie.

Lodowaty błysk w źrenicach majora potwierdził, że napięcie pomiędzy falangistami i armią nie było czczym domysłem.

— Dwójka nie zajmuje się kalamburami, żołnierzu.

— Muñoz Grandes też się nimi nie zajmował i sam pan widzi...

Wzmianka o upokorzeniu generała, który musiał ustąpić stanowiska takiemu turyferariuszowi reżimu jak Esteban-Infantes, dodatkowo usztywniła atmosferę. Major głąskał płomienie cygarem, dopóki koniuszek nie zamienił się w popiół rozjarzony czerwonymi plamkami. Zanim przemówił, zwilżył

wargi.

— Po co to panu?

— Już mówiłem, że niejaki Bumtarabum grywa w wioletę regularnie. Oczywiście mógłbym z nim porozmawiać w każdej chwili, ale uważam, że powinienem zobaczyć ludzi, wśród których się obracał Luis del Águila, wczuć się w nastrój.

Pulchne wargi Reyesa Zarauzy wykrzywił uśmiech.

— Byłby z was doskonały toreador, wojaku. Lubicie chwytac byka za rogi. Dobrze, załatwię wam wstęp. A teraz słuchajcie uważnie, co powiem, bo od tego będzie zależało wasze życie. Wkrótce ktoś się do was zgłosi. Pójdziecie sami; o nic nie pytajcie, róbcie dokładnie, co wam każą. Wszystko, co zobaczycie i usłyszycie, zabierzecie ze sobą do grobu, a to, o ile będziecie ściśle przestrzegać moich instrukcji, nieprędko nastąpi. Zrozumiano?

— Tak jest — odparł Arturo, trzasnąwszy obcasami.

W tym momencie podszedł do nich kelner z tacą pełną napitków. Arturo odmówił, ale Zarauza zρέcznie chwycił kieliszek koniaku. Umoczył w alkoholu ustnik cygara i zaczął je ssać, delektując się smakiem i aromatem ręcznie zwijanych liści nasiąkniętych szlachetnym trunkiem. Odwrócił się do kapitana Isarta i uniósł brwi na znak, że może już do nich dołączyć. Arturo rozejrzał się po sali, w której unosił się stłumiony gwar rozmów. Lśniące oficerki, mundury w odcieniu *Feldgrau*, wojskowy szyk. Wśród stojących grupkami gości bez przerwy uwijało się dwóch fotografów.

— Czy któryś z nich to Paramio Pont? — zapytał Reyesa Zarauzę.

— Tak, ten z lewej.

Spojrzał zaciekawiony na mężczyznę o pochyłych ramionach, długich rękach i szczurzej twarzy, wierącego się nerwowo jak ptak, który przed chwilą przysiadł na ziemi. Usiłował właśnie uwiecznić kapitana Wolframa Kehrena, ale ten zrugął go i kazał iść precz. I wtedy Arturo ją zobaczył. Stała obok Niemca, ubrana w mundur esesmanki, sztywno wyprostowana, z filizanką w ręku. Rude włosy spięte na karku w węzeł, władcze rysy, blada cera, oczy jak dwa okruchy matowego, brązowego jadeitu. Przełknęła ślinę; jej uwodzicielska moc omal nie pozbawiła go tchu, choć opierał się ze wszystkich sił, by nie przekroczyć zaklętego kręgu. Szybko się jednak przekonał, że nie on jeden uległ fascynacji. Hiszpańscy oficerowie, nieprzyzwyczajeni do obecności kobiet na froncie, co chwila zerkali dyskretnie na piękną damę, odruchowo ścisząc głosy i tonując manieri.

— Prześliczna — stwierdził major Reyes Zarauza, podążając za jego wzrokiem.

— Słońce też jest piękne, dopóki się za bardzo nie zbliżysz — odparł Arturo bez namysłu.

Twarz majora była czystą poezją.

— Nie ma obawy, z tego, co słyszałem, jest zimna jak lód.

— Lód także parzy, panie majorze. — W zachowaniu niemieckiej pary Arturo dostrzegł pewną poufałość. — Jest kochanką kapitana?

— Czyją? Herr Czarnej Magii? — W głosie Zarauzy zabrzmiał pogardliwy ton. — Nie sądzę. To tylko sekretarka.

— Herr Czarna Magia... — powtórzył Arturo.

— Skurwiel pomiata nami na każdym kroku.

— Zwykły łącznik?

Ukryte w fałdach tłuszczu oczy majora wymieniły porozumiewawcze spojrzenie z Isartem.

— Kehren nie jest zwykłym łącznikiem — wyjaśnił kapitan. — To oficer SS.

— SD — sprecyzował Zarauza. — Ichniego wywiadu.

— Co tu robi taka figura?

— Koordynuje współpracę pomiędzy naszą intendenturą a działającymi w okolicy Einsatzgruppen.

— A co to takiego, jeżeli można spytać?

— Grupy operacyjne.

— To wiem, ale jakie jest ich zadanie?

— Likwidują ludzi — odparł ponuro Zarauza. — Elementy wywrotowe, komisarzy politycznych, szpiegów, partyzantów, kolaborantów... Żydów.

„Czarna Magia”... Arturo zrozumiał nagle rolę SS w nocnej egzekucji na polanie. Rozwikłała się też tajemnica obecności Niemca podczas wstępnej rozmowy w gabinecie Navajasa del Río. Znowu popatrzył na Kehrena, tym razem z zaciekawieniem i odrobiną lęku. Kapitan zabawiał rozmową pianistkę; pasowali do siebie jak dwa szczipione grzebienie. Arturo poczuł ukłucie zazdrości. Żeby o tym nie myśleć, znowu zaczął się rozglądać za Paramiem, ale nigdzie nie mógł go dostrzec; kiedy ponownie zerknął na kobietę, ich oczy nieoczekiwanie się spotkały. Czuł, że się czerwieni. Niemka, nadąsana, prześwietliła go wzrokiem niemal na wylot i szepnęła coś na ucho kapitanowi. Niepokój Artura wzrósł, gdy Kehren gestem ręki

przywołał go do siebie. Przeprosił zdumionych Zarauzę i Isarta, przeszedł przez środek salonu i regulaminowo wyprężył się na baczność.

— *Zu Ihren Befehlen, mein Hauptsturmführer.* Melduję się na rozkaz, panie kapitanie.

Oficer zasalutował niedbale i nie okazawszy najmniejszego zaskoczenia jego znajomością niemieckiego, kontynuował półgłosem rozmowę z pianistką, bawiąc się srebrnym sygnetem połyskującym na palcu serdecznym; Arturo kątem oka dostrzegł wyrytą na pierścieniu swastykę i jakieś znaki runiczne.

— Oberfeldfelbel Hilda powiedziała mi, że lubi pan muzykę — zagadnął, dokonawszy wzajemnej prezentacji. — Zwłaszcza Chopina — dodał znacząco.

— Chciałbym przeprosić za moje nagłe wtargnięcie, panie kapitanie. Pomyliłem drzwi. Chociaż przyznam, że nie żałuję, bo cudownie pani gra.

— A więc to prawda, co mówią o galanterii południowców — wtrąciła Hilda kanciastą hiszpańszczyzną. Jej wargi się uśmiechały ale oczy pozostały chłodne.

— Tak sędzę — odparł Arturo, wytrzymując jej spojrzenie.

— Są jakieś postępy w śledztwie? — zainteresował się nagle Kehren.

— To się okaże. Jeszcze nie skończyliśmy. — Zabrzmiało to nieco zbyt oschle, więc dodał pojednawczo: — Mogło być gorzej.

— Sam Führer powiedział, że Hiszpanie to zuchy, szkoda by było, żeby jedno zgniłe jabłko zepsuło opinię całej waszej dywizji.

— Jesteśmy tego świadomi.

— Świetnie pan mówi w naszym języku — pogratulowała mu Hilda, podnosząc do ust filiżankę.

— A pan kapitan doskonale zna hiszpański — odwzajemnił komplement Arturo.

— To nie moja zasługa — odrzekł Kehren z ledwo wyczuwalnym niemieckim akcentem. — W czasie wojny spędziłem dwa lata w pańskim kraju.

— Gdzie dokładnie?

— Nieważne — uciął krótko, a lodowaty ton jego głosu wzniosł pomiędzy nimi niewidzialną barierę.

— Nie wygląda pan na... Hiszpana — wtrąciła Hilda, usiłując zatrzeć nieprzyjemne wrażenie.

— To dobrze czy źle?

— *Spanisch*. Hiszpan. — Wypowiedziała to bez podtekstów, jakby cytowała słownikową definicję. — *Innerhalb weniger Jahre hat Man nicht das Gefühl das eine oder andere Land zu sein, das neue Europa, welches wir unter des Obhut unseres Führers gründen werden, wird keine Unterschiede aufweisen.* Za kilka lat nie będzie miało znaczenia, kto z jakiego kraju pochodzi, ponieważ w zbudowanej pod rządami naszego nieomylnego Führera nowej Europie zatrą się wszelkie różnice.

Arturo milczał, nie wiedząc, co nim wstrząsnęło bardziej: jej poglądy czy uroda.

— Co pan tak zaniemował? — dopytywał się uszczypliwie Kehren.

— Mógłbym zostać źle zrozumiany.

Ledwie uchwytny przeblask, lekkie mrugnięcie świadomości, ostrzegło go, że posunął się o krok za daleko.

— Śmiało, proszę się nie bać szczerości. W końcu obaj jesteśmy żołnierzami.

Po tych słowach kapitana poczuł się jak Luis del Águila, który także sądził, że jest wolny, snuł własne plany, zdawało mu się, że sam kieruje własnym życiem, podczas gdy wszystkie jego ruchy kontrolował ktoś inny, zmierzając do wyznaczonego celu. Arturo nie potrafił powiedzieć, po co w ogóle się naraża, prowokując potyczkę; po to chyba, by drasnąć pychę Kehrena, zrobić choć małą rysę na jego próżności. Odłożył zatem na bok rozterki i ruszył do natarcia.

— Po tym, jak traktujecie Rosjan, nie sądzę, by chcieli należeć do tej waszej nowej Europy.

Kehren uśmiechnął się, a samouwielbienie buchnęło zeń jak żar z rozpalonego pieca.

— Rasa aryjska ma naturalne prawo, by w walce o własne przetrwanie zdominować, a nawet eksterminować słabsze narody. Dlatego Rzesza, jeśli chce się utrzymać tysiąc lat, potrzebuje najlepszych i najzdolniejszych. Nie bolszewickiego egalitaryzmu, nie zgniłego elitaryzmu arystokracji, lecz najsilniejszych przedstawicieli wszystkich klas. Dla reszty nie będzie miejsca w naszym świecie. Sowietci to podludzie i dlatego muszą ustąpić przed rasą panów.

— Rosyjski lud to nie Sowietci. A Stalin tak im dopiekl, że za kawałek chleba sami by się podbili i podali nam swoją ojczyznę na tacy. Panujmy nad

nimi miłością, nie bagnietami.

— Któż to powiedział? Jezus? — zapytał Kehren drwiąco.

— Wasz minister propagandy Joseph Goebbels.

Hilda doceniła ironię, ale w przypadku kapitana trafiła kosa na kamień.

— Führer zapowiedział, że trzeba unicestwić wszystkich wrogów Niemiec — ciągnął dalej swoje. — Całą tę żydowską hałastę, która niszczy nasz naród, rozbija jedność rasy, pasożytuje na naszych naiwnych dziewczętach, kalając niemiecką krew...

Arturo pojął, że kapitan recytuje z pamięci fragmenty *Mein Kampf*. Zerknąwszy kątem oka na Hildę, przyznał w duchu, że nietrudno zrozumieć owe pasożyty. Podczas gdy Kehren wzmacniał własny autorytet, wyrzaskując hasła o osobliwym nazistowskim Państwie Bożym, jego towarzyszka zademonstrowała Arturowi prawdziwe oblicze niemieckiej duszy, duszy mrocznej, zawilej, pełnej chaosu, letargicznej. W milczeniu wpatrywała się w filiżankę z niebieskawej, niemal przezroczystej porcelany. Dziwnie daleka, pogrążona w kontemplacji, rozluźniła palce, a kruche naczynie wyslizgnęło jej się z rąk prosto na rozpostartą na podłodze niedźwiedzią skórę i znieruchomiało, nietknięte, w skołtunionej sierści martwego zwierzęcia. Arturo schylił się instynktownie i bezmyślnym jak odruch Pawłowa gestem podniósł upuszczoną filiżankę. Kiedy się wyprostował, pojął, iż piękna Niemka, podobnie jak Kehren, przywykła dominować; wiedziała też, że dominacja implikuje pogardę, ale — w przeciwieństwie do kapitana — rozumiała zdominowanego i gardziła nim taktownie, sprawując swą władzę w sposób znacznie bardziej wyrafinowany, a przez to absolutny.

— Dziękuję panu — powiedziała.

Arturo przytrzymał filiżankę przez kilka sekund, jakby nie chciał jej oddać. Spodobała mu się rola poddanego, pragnął przedłużyć tę chwilę, ale im bardziej się nią rozkoszował, tym bardziej się bał. W końcu ustąpił. Kiedy tak toczył walkę, by uwolnić się spod magicznego wpływu, jaki Hilda wywierała na rzeczywistość, z opresji wybawił go tubalny głos:

— Arturo, musimy porozmawiać.

Obejrzał się i ujrzał poorane bruzdami oblicze sierżanta Espinosa.

— Pan sierżant tutaj, co za niespodzianka!

Espinosa, czyniąc zadość dyscyplinie, oddał honory Hildzie i Kehrenowi, a potem szepnął Arturowi na ucho:

— Mamy drugiego trupa.

Arturo przyjął to z kamienną twarzą. Wymówił się grzecznie od dalszej rozmowy i wraz z sierżantem odszedł na bok.

— Gdzie?

— W Molewie.

— U wariatów?

— Tak.

— Kiedy?

— Przed godziną. Znalazł go jeden z tych pomyleńców i przyszedł do nas. Wystawiłem wartę. Pilnują, żeby nikt nie ruszał nieboszczyka.

W głowie Artura rozbrzmiewał chór chaotycznych myśli. Jeden rzut oka na salę wystarczył, by detektyw zdał sobie sprawę, że stał się obiektem zainteresowania wszystkich, a zwłaszcza podpułkownika Navajasa del Río i majora Reyesa Zarauzy, którzy obserwowali go ostentacyjnie, dając tym do zrozumienia, że z racji stopnia zajmowanego w hierarchii służbowej mają prawo wiedzieć, co się dzieje. Arturo wpadł w panikę, czując, że na nim spoczywa ciężar odpowiedzialności, ale zaraz uświadomił sobie, iż strach można zwalczyć tylko innym, większym strachem, on zaś najbardziej bał się ośmieszyć przed Hildą. Za wszelką cenę starał się zachować spokój i pod pretekstem dyscypliny obowiązującej go wobec przełożonych opuścił kłopotliwe towarzystwo, by zgodnie z regulaminem złożyć meldunek Navajasowi del Río i przy okazji wręczyć mu pisemny raport z dotychczasowych czynności, a następnie poinformować o sprawie Reyesa Zarauzę. Później ruszył za sierżantem w stronę drzwi.

— Nie podoba mi się ten dojcz, z którym gadaliście przed chwilą — powiedział Espinosa, gdy tylko wyszli na zatłoczony korytarz. — Ani trochę.

— Zapewniam, że byłoby znacznie gorzej, gdyby się panu podobał.

— A kim była ta kobieta?

Arturo cmoknął wargami z mieszaniną pogardy i zniecierpliwienia.

— Nie „była”, ale „jest”, panie sierżancie. Ta kobieta „jest” błędem. Cholernym i nieuniknionym błędem.

A potem się uśmiechnął. To był prawdziwie smutny uśmiech.

Zatrzymane z impetem sanie zaryły w śnieg. Miejscowy chłop, który zawiózł ich do Molewa, zablokował koła metalowym prętem. Nad spoconymi końmi unosił się gęsty obłok pary. Dając do zrozumienia, że jazda

skończona, młodziutki Rosjanin — miał nie więcej niż szesnaście lat — rozciągnął swoją azjatycką twarz w szerokim uśmiechu, od którego jego oczy zrobiły się jeszcze bardziej skośne. Plecami zasłaniał trochę widok wznoszącej się nad lasem ogromnej, mrocznej bryły monasteru. Zaśniedziałe banie kopuł wieńczyły każdą z czterech wież przedstawiających osobliwą mieszaninę architektonicznych stylów, z widocznymi tu i ówdzie sterczącymi z muru maskaronami. Po niebie, które wreszcie przestało wysypywać się na ziemię w nieskończonych permutacjach drobinek lodu, przetaczał się nieustanny grzmot dźwięków.

— Dziwne. Nikogo nie ma. A podobno pełno tu szwendających się wariatów.

— Za zimno — powiedział Espinosa; zerknął na zegarek, a potem na niebo. — Robi się ciemno. Chodźmy.

Uzbrojeni po zęby, zeskoczyli z sań, zapadając się po kolana w zasy. Arturo rozglądał się przez kilka chwil, jakby szukał czegoś na śniegu; sierżant czekał cierpliwie, nie zadając żadnych pytań. Ruszyli w stronę monasteru. Rosjanin został z końmi i zaczął coś majstrować przy uprzęży. Dobrnawszy do kamiennego wykusza przy bramie, odetchnęli z ulgą. Sierżant zastukał energicznie. Usłyszeli szcęk otwieranych rygli. Uzbrojony w mauzera żołnierz zasalutował i wpuścił ich do środka. Zagłębili się w trzewia kamiennego mastodonta.

— Miejscowi mówią, że jakimś mnichowi objawił się tu Bóg we własnej osobie — pochwalił się swoją wiedzą Espinosa.

— Tak, słyszałem.

Korytarze były proste, mroczne, nieskończone; podkute żołnierskie buciorzy krzeszały iskry z ośmiokątnych płytek podłogi. Z wbitych w ściany haków zwieszały się kable, których sparciała izolacja tliła się tu i ówdzie błękitnym płomieniem, oświetlając słabym blaskiem malowidła: ilustracje przypowieści, kalwarie, grzechy główne, chusty Weroniki, oblicza Chrystusa... przemieszane heretycko ze scenami z mitologii, gwiazdami Dawida, cyrkami, ekierkami, busolami, symbolami astrologicznymi i Lucyferami, tym się odróżniającymi od chrześcijańskich aniołów, że przedstawiono ich do góry nogami. Gdzieniegdzie majaczyły w półmroku dziwne pogańskie głowy, jakby strzegące murów maskarony zaglądały do środka. I wreszcie Arturo zobaczył obłąkanych, krążących po ciemnych korytarzach, kobiety i mężczyźni, odzianych w łachmany, rozczochranych,

cuchnących uryną.

— Nie macie powodów do obaw, ci akurat są nieszkodliwi — powiedział Espinosa, widząc jego niepokój.

— Ja się ich nie boję — odparł Arturo bez przekonania. — Powiedział pan „ci są nieszkodliwi”... To znaczy, że są tu inni?

— Tutaj wariaci sami się o siebie troszczą, ale tych niebezpiecznych trzyma się pod kluczem.

— Wariat nie musi być głupcem. — Przyjrzał się wychudłym postaciom. — Straszne. Czy oni w ogóle coś jedzą?

Espinosa zeszywniał, jakby wbito mu zardzewiały gwóźdź w owrzodzony żołądek, i zasklepił się w niepokojącym milczeniu. Poszli dalej, przecinając obszerne patio z zaskakującym w tym miejscu przewróconym pomnikiem Lenina z jedną ręką w kieszeni, a drugą wsuniętą za wyłogi płaszcza, i ponownie wkroczyli w plataninę posepnych korytarzy, do których z trudem docierał stłumiony pomruk dział. Nagle, gdy przeszli przez małe drzwi, poraziła ich oczy roziskrzona biel. Śnieg zaścielał klasztorne krużganki, z których wiodło kilka wejść, niczym potoki spływające z różnych stron pod lukami mostów. Zobaczyli zbitych w grupki pomyleńców, jakby znęconych widokiem światła. Arturo szybko pojął, że nie tylko śnieg jest obiektem ich zainteresowania.

— O kurwa!

Przekleństwo było adekwatne do kolosalnego odkrycia, jakiego właśnie dokonał. W geometrycznym centrum dziedzińca stał żuraw studzienny, na jednym końcu obciążony kamieniem, na drugim — zwisającym z łańcucha wiadrem. Oparty o cembrowinę siedział na ziemi jakiś człowiek. Tak to przynajmniej wyglądało na pierwszy rzut oka, lecz dłuższa obserwacja pozwalała dostrzec w tej postaci coś złowieszczonego. Odpoczywający z pozoru mężczyzna okazał się w rzeczywistości trupem z bezwładnie rozrzuconymi na śniegu nogami, w którego wykrzywionej twarzy odbijał się strach. Pod rozpiętą kurtką, po prawej stronie piersi, widniała ciemna rozeta krwi. Obok ciała przyklęknął wariat w szarym palcie przewiązanym w pasie kawałkiem sznurka i przewyciężając nabożny strach, który paraliżował jego towarzyszy, usiłował ściągnąć nieboszczykowi buty. Sierżant zareagował natychmiast; ponieważ nie udało mu się przepłoszyć złodzieja krzykiem, wbiegł na dziedziniec i wystrzelił w powietrze serię z karabinu. Obląkany nieszczęśnik podskoczył jak rażony prądem i uciekł, chroniąc się w *sanctum*

sanctorum tłumku pobratymców.

— Gdzie się, do kurwy nędzy, podział Cristino?! — huknął Espinosa na wartownika.

To szorstkie pytanie nie znalazło odzewu. Spłoszony żołnierz zacisnął wargi i bezradnie uniósł brwi. „Cristinooo!” — ryk sierżanta zadudnił pod kamiennym sklepieniem i szeregowy Cristino Esteve nadbiegł wkrótce z wystraszoną miną.

— Mówiłem, żebyś się stąd nie ruszał na krok — warknął Espinosa.

Nie czekając na wyjaśnienia, rozsierdzony sierżant zwymyślał go od ostatnich. Struchlały żołnierz nawet nie mrugnął, cierpliwie znosząc obelgi, zadowolony, że zamiast słów nie poszły w ruch pięści. W oczekiwaniu, aż sierżant wyładuje gniew, Arturo zarzucił karabin na ramię i przywoławszy drugiego wartownika, wyszedł na dziedziniec. Wokół zwłok roило się od śladów; istna Sala Zagubionych Kroków. Powoli, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, obchodził nieboszczyka — odkrywając w trakcie tych oględzin, że nieszczęśnikowi związane ręce — dopóki nie znalazł się na wprost ogromnej dziury zięjącej w obnażonej piersi; rana, doskonale zamrożona, pozwalała dostrzec barwy i odcienie mięsa jak na rycinie Testuta²⁶. Morderca zadał sobie ów trud z powodów tyleż oczywistych co potwornych: żeby wyrwać ofierze serce. Arturo przykucnął i natychmiast dokonał drugiego znaleziska, które sprawiło, że jego system nerwowy aż zawibrował od adrenaliny. Po lewej stronie piersi wykaligrafowano krwawym piórem jedno zdanie: „Pamiętaj, On patrzy na ciebie”. Był to, bez najmniejszych wątpliwości, dalszy ciąg dziecięcej modlitwy, którą zacytował im niedawno ojciec Ramón. Arturo kontemplował ów obraz z mieszaniną głębokiego smutku i strachu.

— Kto znalazł ciało? — zapytał wojaka.

— Misza, jeden z tych świrusów. Ktoś w rodzaju kierownika przytułku. To on nas zawiadomił.

— Później chcę z nim porozmawiać. — Omiótł wzrokiem płataninę śladów stóp na śniegu. — Grali tu w piłkę?

— Jak przyjechalіśmy, już tak było.

— Dokładnie tak samo? — Arturo położył nacisk na „dokładnie”.

— Tak całkiem dokładnie to nie. Czegoś brakowało.

— Czego?

— Serca.

— To by zobaczył nawet ślepy — stwierdził Arturo, z lekka zirytowany.

— Nie, nie o to mi chodzi. Źle się wyraziłem. — Wojak poruszy! się nieswojo pod grubym paltem. — Ten Misza powiedział, że kiedy go znalazł, serce leżało na nodze.

— A kiedy tu przyszedł z wami, serca już nie było?

— Tak.

— To kto je zabrał?

Żołnierz zamilkł, podobnie jak krótko przedtem Espinosa, Arturo jednak nie powiązał obu faktów. Potrząsnął głową i raz jeszcze obszukał wzrokiem ciało, skrupulatnie, metodycznie, jak przez niewidzialną lupę; nie musiał pytać, na której nodze znaleziono serce. Krwawa aureolka na prawym kolanie wyznaczała fantasmagoryczne miejsce spoczynku nieobecnego organu. Kiedy z uwagą przyglądał się nowemu odkryciu, nadszedł sierżant, wciąż jeszcze kipiący złością. Przystanął obok Artura i zdjawszy hełm, potarł rękawicą spoczone rzadkie kosmyki.

— Już wam powiedzieli? — zapytał.

— O czym?

Espinosa zerknął bacznie na żandarma, ale ten udawał, że patrzy na coś za ich plecami. Sierżant odchrząknął, pociągnął nosem i z powrotem nakrył głowę.

— Wygląda na to, że zostało zjedzone.

— Pewnie jakieś zwierzę.

— Nie, jeden z kuracjuszy.

Arturo pomyślał, że ma omamy słuchowe. Poczł się trochę ogłuszony.

— Kanibalizm?

— Raczej głód.

Małeńka kropla prawdy wybuchła w jego świadomości niczym pocisk. Zrozumiał powściągliwe milczenie ich obu, wartownika i sierżanta, i w stłoczonych pod łukami kruźganków, wychudłych, wycieńczonych szaleńcach ujrzał nie zagrożenie, lecz ofiary.

— Nie ma sensu szukać winnych — orzekł.

— Obawiam się, że macie rację — przytaknął Espinosa.

— No dobra, bierzmy się do roboty, za chwilę tu będzie kawaleria. Wiadomo, kto to jest, panie sierżancie?

— Jeszcze nie.

— Trzeba to sprawdzić, a potem ustalić, jak się tu dostał.

— Śnieżyca pewnie zatarła większość śladów.

— Coś musiało się zachować. Zamordowano go już po śnieżycy.

— Skąd ta pewność?

— Nieboszczyk nie jest przykryty śniegiem, a przedtem mocno sypało. Musieli to zrobić, kiedy jedliśmy obiad. Pamięta pan, kiedy przestało padać? Ja nie zwróciłem uwagi.

— Trochę po drugiej.

— Na krótko przedtem, zanim siedliśmy do stołu. A kiedy zjawił się ten cały Misza?

— Przyszedł, jak tylko go znalazł. Około wpół do czwartej. Żandarmeria zawiadomiła mnie, a ja wziąłem ludzi i od razu przyjechałem; potem wróciłem po was.

— Teraz jest za dwadzieścia szósta. A zatem zbrodnię popełniono gdzieś między drugą a, powiedzmy, czwartą — zastanawiał się głośno. — Są świadkowie? — Spojrzał na żandarma.

— A bo ja wiem...

— Niemożliwe, żeby nie było...

Ponownie przyjrzał się nieboszczykowi.

— Wiemy już z grubsza, jak działa morderca — skonstatował zamyślony. — Usunął mu serce i wyciął na piersi kolejne zdanie. Logika wskazuje, że sprawca jest ten sam. A z tego, co mówił Ricardo Guerra, wynika, że to może być sprawka masonów, zresztą tak jak podejrzewaliśmy.

— To ten Ricardo już nie jest winny?

Jadowity sarkazm w głosie sierżanta kazał Arturowi obszernie zrelacjonować przesłuchanie Guerrity, z pominięciem zawartej przez nich umowy.

— A ja nie widzę powodu, żeby skreślać go z listy podejrzanych — obstawał przy swoim Espinosa.

— Gdyby był winny i zmyślił jakąś historyjkę, starałby się, żeby jedno do drugiego pasowało, nie? A u niego nie wszystko trzyma się kupy.

— I dlatego uważacie, że mówi prawdę? Brednie.

Przez chwilę zdawało się, że Arturo zamierza odpowiedzieć; otworzył usta, lecz zaraz je zamknął.

— Nie traćmy czasu na sprzeczki, panie sierżancie. Usłyszał pan coś ciekawego od wojaków, którzy nieśli trumnę Luisa del Águila?

— Nic ważnego. Popytałem jeszcze trochę tu i tam, ale niewiele się dowiedziałem.

— Zrobił pan co mógł. Dziś rano odnalazł się list Luisa, a wraz z nim nowy podejrzany, niejaki Bumtarabum. To był chyba jego jedyny przyjaciel. Przypadkiem też grywa w wioletę.

— Kiepska sprawa.

— Niezupełnie. Załatwiłem sobie wstęp.

Zrobił krótką pauzę, spodziewając się, że sierżant w jakiś sposób okaże zdziwienie, ale Espinosa ani drgnął.

— Mam nadzieję, że ktoś za was poręczył.

— Proszę się nie martwić. Poprosiłem też kapitana Isarta, żeby przydzielił anioła stróża kapelanowi, zobaczymy, może coś z tego wyniknie... — Zastanowił się, czy powiedzieć o Octaviu Imazie i jego masońskim magisterium, uznał jednak, że nie jest to konieczne. — Teraz pozostaje nam tylko czekać na autopsję. No dobrze... — zwrócił się do żandarma — chodźmy porozmawiać z tym...

— Miszą — odpowiedział żołnierz.

— Właśnie, z Miszą. Gdzie on jest?

— Zaprowadzę.

Ruszyli za nim. Kiedy przechodzili obok zwymyślanego Cristina, który dotąd nie miał odwagi wychylić się na dziedziniec, sierżant tylko spojrzął i żołnierz jednym skokiem znalazł się przy zwłokach. Żandarm poprowadził ich pod kamiennymi ostrołukami do obszernej sali o wysokim, katedralnym stropie i wąskich oknach. Arturowi przyszło na myśl, że pewnie kiedyś był tu refektarz. Wokół trzech ognisk, nad którymi polatywały stada iskier, leżeli, stali, siedzieli ludzie, nadpobudliwi, ośpiali, na wpół przytomni, miotający się w konwulsjach, konający. Smród odchodów, wymiocin i przegniłej słomy, wzmocniony bijącym od ognia ciepłem, lepił się do nozdrzy, zwał z nóg. Cristino zatrzymał się przed skośnookim Kałmukiem o drobnej, wychudzonej twarzy, który na ich widok podniósł się ociężale.

— Ni cholery nie można go zrozumieć, ale to on tu rządzi — powiedział żołnierz.

Arturo, wsparty na karabinie, uważnie przyjrzał się Miszy. Kałmuk miał na sobie baranicę ściągniętą skórzanym pasem, szerokie watawone spodnie i czapkę uszankę z jednym uchem wywiniętym do góry; sprawiał wrażenie kogoś, kto przeznaczony jest do odgrywania pierwszoplanowej roli, chociaż

nie ma po temu zdolności ani intelektualnych, ani przywódczych — po prostu taki los.

— *Mienia zowut Arturo*. Mam na imię Arturo.

Misza odpowiedział serią dźwięków w języku, który brzmiał jak słowa czytane wstecz, a w którym Arturo, z precyzją znawcy kodeksu karnego, rozpoznał jeden z kałmuckich dialektów. Wypróbował różne kombinacje lingwistyczne, aż w końcu udało im się uzyskać konsensus co do czasu i kolejności zdarzeń oraz potwierdzić istnienie domniemanych świadków.

— Mówi, że świadkowie są — przetłumaczył z satysfakcją.

Odczekał chwilę, spodziewając się, że Misza ich wskaże, ale stwierdził rozczarowany, że Kałmuk nie przejawiał ku temu najmniejszych chęci, zaczął za to pojękiwać, wzdychać i narzekać na swój mamy los. Arturo przekonał się ponownie, że brak piątej klepki nie jest tożsamy z głupotą. Odwrócił się do sierżanta.

— Proszę mi oddać papierosy. Wszystkie.

— Ten skurwiel odstawia przed panem teatr lepszy niż baba przy pierwszym porodzie — odburknął Espinosa.

— Proszę, niech mi pan da te papierosy.

— Dojczy by się z nim tak nie cackali.

— Ale my to nie dojczy. Panie sierżancie...

Podczas gdy Espinosa ślamazarnie grzebał w kieszeniach szynela, niezdolny do odcięcia łączącej go z nałogiem pępowiny, Arturo przeszukiwał swój plecak. Wreszcie znalazł kilka puszek norweskich sardynek i butelkę skondensowanego mleka. Uradowany Misza zachłannie zgarnął prezenty i pokazał, żeby szli za nim. Lawirowali wśród koślawych ciał i zwichniętych umysłów, przemieszczając się w kierunku jasnego kręgu jednego z trzech płonących w sali ognisk. Trzej siedzący przy nim mężczyźni i jedna stojąca kobieta byli żywą antologią nagromadzonego w refektarzu szaleństwa. Misza dał przybyszom do zrozumienia, żeby potraktowali ich łagodnie, bo jeśli nacisną niewłaściwy klawisz, mogą spowodować napad choroby. Arturo obiecał postępować oględnie. Najpierw przesłuchał kobietę, leciwą matronę o siwych włosach, rozdętym brzuchu i wielkich, ciężkich piersiach, a potem mężczyzn: wielkoluda o piramidalnych kształtach i twarzy przestępcy z podręcznika Cesare Lombrosa, chudzielca o nieobecnym spojrzeniu i delikatnych, drobnych rysach, zdeformowanych przez napęczniały wrzód na prawym policzku, oraz pomarszczonego staruszka, jakby wyżętego przez

życie. Postanowił zastosować tę samą metodę co z Miszą. Za pomocą dóbr zarekwirowanych Espinosie i żandarmowi nawiązał pierwszą nić niewerbalnego porozumienia. Następnie, czekając cierpliwie, aż przełamia wewnętrzny opór w skołatanych mózgach, skłonił ich do inwentaryzacji wspomnień. Jednakże świadectwa te niejednokrotnie przeczyły sobie nawzajem. Wymienili z sierżantem porozumiewawcze spojrzenia. Espinosa z zaciętą miną wyjął zachowanego na czarną godzinę papierosa i zapalił, mrużąc krwiożerczo pod nosem: „Zawsze można im rozłupać łby i sprawdzić, co jest w środku”. Z żandarma również nie było żadnego pożytku, ale przynajmniej oszczędził sobie komentarzy. Arturo obserwował domniemanych świadków i załęgło się w nim podejrzenie, że przedobrzył, dając im tyle jedzenia. Wyrzucał sobie własną nieudolność. Niepotrzebnie ich spłoszył pytaniem o śnieg. Kiedy je zadał, na placu boju pozostał tylko osamotniony staruszek. Z twarzą jak wymięty papier i długą białą brodą, odziany w podarte łachy, wyperfumowany własnym moczem, wpatrywał się z nabożną czcią w podarowany mu kawałek chleba.

— *Kak jego zowut?* Jak ten człowiek ma na imię? — zapytał Arturo Miszę.

— *Afanasij.*

— *Poczemu on zdies'?* Dlaczego tu jest?

— *Nie znaju, on dawno uże zdies', s carskich wriemion. Możet byt', on daże nie sumasszedszyj. On mnie skazał, czto on widiel.* Nie wiem, on już tu od dawna, od carskich czasów. Może wcale nie jest szalony. Powiedział mi, że widział.

Arturo nawet nie dopuszczał myśli, że ten człowiek mógłby skłamać: był jego jedyną kartą.

— *Afanasij* — poprosił łagodnie, przykucnąwszy obok niego — *czto wy widieli? Możetie mnie skazat'?* Afanasij, co takiego pan widział? Może mi pan powiedzieć?

Staruszek podniósł wzrok. W jego oczach nie było już światła.

— *Ich było dwoje.* Było ich dwóch — odezwał się piaskowym głosem. — *Było oczen' chołodno.* Było bardzo zimno.

— *I szto iszczo?* Co jeszcze?

— *Woszli wo dwór. Odin priceliwalsia w drugogo.* Weszli na dziedziniec. Jeden celował do drugiego.

— *Tot, kotoryj priceliwalsia, wy jego lico widieli?* Widział pan twarz tego, który celował?

— *Niet, prikryto było.* Nie, był zasłonięty.

— Kominiarka — wtrącił Espinosa.

Arturo kiwnął głową.

— *Kak wygladiel?* Jak wyglądał?

— *Wysokij. Tonkij.* Wysoki. Chudy.

— *I szto iszczo wy widieli?* Co jeszcze pan widział?

— *Goworili. Rozgoworiwali drug s drugom. Tot, kotoryj priceliwalsia, daże kriczał.* Mówili coś. Rozmawiali. Ten, który celował, to nawet krzyczał.

— *Kak on wam kazalsia?* Jaki się panu wydawał?

— *Wzbieszonnyj. Oczen' wzbieszonnyj. Rozsierzdony. Bardzo rozsierzdony.*

— *Oni rozgoworiwali.* A więc rozmawiali — zachęcił go Arturo. — *Kak dołgo?* Jak długo?

— *Dowolno dołgo.* Dość długo. — Kaszel zatrzęsł siateczką zmarszczek na jego twarzy. — *Oni rozgoworiwali i potom tot, kotoryj priceliwalsia, priekratil priceliwat', wynial noż i wyriezal drugomu sierdce. Wsio oczen' bystro proizoszło.* Rozmawiali, a potem ten, który celował, przestał celować, wyjął nóż i wyciął tamtemu serce. Wszystko stało się bardzo szybko.

— *I szto słuczyles' potom?* I co było dalej?

— *Nie znaju. Ja ubiezał. Mnie było straszno.* Nie wiem. Uciekłem. Bałem się.

Po ostatnim zdaniu zapadła przerażająca cisza. Staruszek wpatrywał się w niego nieobecny spojrzeniem, jakby lata kontemplacji nieskończonej bieli Rosji zaraziły go swą pustką. Ogień trzaskał, iskry tańczyły, a ciała ludzi i rozrzucone wokół rzeczy wydłużały się, jakby wyciągane przez szyjki butelek.

— *Wy by mogli so mnoj pojti i mnie wsio pokazał', pożałujsta?* Czy mógłby pan pójść ze mną i wszystko mi pokazać? — poprosił Arturo na koniec. — *Połuczytie bolsze jedy.* Dam panu więcej jedzenia.

W oczach Afanasija pojawił się wyraz dziwnego namysłu. Arturo sądził, że zastanawia się, czy spełnić jego prośbę, szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, iż Rosjanin nie może odpowiedzieć, bo nie zrozumiał jego słów i teraz próbuje rozgryźć, o co chodziło. Powtórzył pytanie. Staruszek wziął kawałek chleba, wstał chwiejnie, powoli, jak linoskoczek na zawieszonym nad przepaścią drucie, i ruszył w stronę dziedzińca. Arturo odwrócił się, chcąc dać znak sierzantowi, by poszedł z nimi, ale zaskoczył go studzienny cień w

jego oczach, ten sam, który spostrzegł, gdy Espinosa wdał się w sprzeczkę z kapelanem. Stał teraz, pogrążony w wewnętrznej otchłani, tylko jemu samemu znanej. Co mogło być źródłem jego cierpienia? Pod badawczym wzrokiem Artura sierżant ocknął się gwałtownie, powracając z odległych regionów swego serca.

— Co się tak gagicie?

— Przepraszam, panie sierżancie. Pójdzie pan z nami?

Espinosa w nagłym przypływie schludności starannie zdeptał rzuconego na posadzkę peta. Potem sięgnął po następnego papierosa i ruszył do wyjścia; najwyraźniej nie pozbył się wszystkich zapasów tytoniu. Ostatni rzut oka na refektarz i Arturo, zapiąwszy płaszcz, pozostawił za sobą klasztorną salę.

Na dziedzińcu zaczął sypać śnieg, lecz tak słabo, że zdawał się jedynie daleką zapowiedzią mrozu. Pomyleńcy zniknęli spod arkad krużganku, wypłoszeni przez chłód. Misza i Arturo, krążąc wokół trupa, ustalali na migi topografię zdarzeń. Kiedy skończyli, Arturo dumął w milczeniu przez kilka chwil. Z wolna spowijało go przedwieczorne światło, zapowiedź nadchodzącej nocy. Musiał sobie wszystko poukładać w głowie, żeby przełożyć myśli na słowa.

— *Poczemu wy chodili siuda, kogda było tak chołodno?* Dlaczego pan tu przyszedł, skoro było tak zimno? — zapytał Afanasija.

— *Ja chotiel byt' odin.* Chciałem być sam.

— *Wy mogli ostatsia w zdanii.* Mógł pan zostać w budynku.

— *Mnie zdies' nrawitsia.* Podoba mi się tutaj.

Arturo zdziwił się, że się dziwi: demencja przesłoniła mu w tym starcu człowieka.

— Tak, tak. Wiem, rozumiem — odparł. — *Wy goworitie, oni otsiuda priszli?* Mówi pan, że przyszli stamtąd? — wskazał jedno z wejść na krużganek.

— *Da.* Tak — potwierdził Afanasij.

— *Wy widieli, kak oni woszli?* Widział pan, jak wchodzili?

— *Niet.* Nie.

Arturo zrobił kilka kroków i przekonał się na własne oczy, że ze swego miejsca Afanasij powinien widzieć i kata, i ofiarę, ponieważ musieliby go minąć, żeby dostać się na dziedziniec. Nie miał pojęcia, jak to zrobili. Dołączył do pozostałych.

— *Wy uwierieni w tom, szto ich tam ran'sze nie było? Wozmožno szto oni tam byli, no wy ich nie widieli?* Jest pan pewien, że ich tam przedtem nie było? Może byli, ale ich pan nie zauważył?

— *Niet, oni wdrug pojawilis'.* Nie, pojawili się nagle.

Arturo przypomniał sobie koncert łańcuchów i rygli, którego wysłuchali pod bramą.

— *Wchodnyje worota wsiegda zakrywajutsia?* Brama jest zawsze zamknięta? — zapytał Miszę, a jego głos nagle stał się czujny.

— *Starajemsia zakrywat'.* *Izza wołkow.* Staramy się zamykać. Przed wilkami.

— *I toże izza ludiej, niet?* Przed ludźmi pewnie też? — próbował go przygwoździć.

— *Da, toże.* Tak, też.

— *I nikomu nie otkrywałos'?* I nie otwieraliście nikomu?

— *Obyczno mienia prieduprieżdajut, kogda kto-to nowyj prijdioł, i togo, kak znaju, nie było.* Zwykle mnie uprzedzają, że ma przyjść ktoś nowy, a nic mi o tym nie było wiadomo.

Nagły przebłysk umysłu oświecił Artura, który przetłumaczył Espinosie wszystko, co przed chwilą usłyszał. Sądząc z długich interwałów w starannym puszczeniu dymu, sierżant także skorzystał z podpowiedzi rozumu.

— Weszli od innej strony — uprzedził jego słowa.

— Chyba tak — powiedział Arturo i zwrócił się po rosyjsku do Miszy: — *Jest' w monastyrie bolsze wchodow?* Są w monasterze inne wejścia?

— *Da, jest' iszczo dwie kalitki, no oni nikogda nie otkrywajutsia.* Tak, jest jeszcze dwoje bocznych drzwi. Ale nigdy ich nie otwieramy.

— *Pojdiom posmotriet', jesli eto prawda.* To chodźmy zobaczyć, czy faktycznie są zamknięte.

Przetłumaczył to Espinosie i przynaglił go do pośpiechu.

— Co zrobimy z ciałem? — zapytał stojący dotąd z boku żandarm.

Arturo spojrział na nieboszczyka i zmarszczył brwi.

— Na razie zostawmy go tutaj, wkrótce przybędą posiłki — wyciągnął dłoń, łowiąc unoszące się w powietrzu śnieżynki. — Możecie się schować pod dach, ale nie spuszczajcie truposza z oka — dodał.

Położył dłoń na ramieniu Afanasija.

— *Spasibo wam, bolszoje spasibo.* Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Popatrzył, jakby czekał na odpowiedź, ale staruszek najwyraźniej powrócił już do tajemnego porządku swego szaleństwa. Wstał, odwrócił się, przeszedł przez krużganek i zniknął w ciemnym korytarzu. Arturo oddał się krótkim rozważaniom nad absurdalną linią, która dzieli życie od śmierci, rozsądek od wariactwa, pokój od wojny, ale kiedy usiłował dojść do jakichś sensownych wniosków, widok leżącego na śniegu trupa przypominał mu, że nie czas schodzić z areny, bo musi powalić jeszcze jednego byka. Zebrał się w sobie.

— No to do dzieła.

Przeszukanie Molewa od piwnic po strych nie przyniosło rezultatów. Boczne drzwi, znajdujące się na przeciwnych biegunach monasteru, były zatrzaśnięte na głucho, zapieczętowane skorupą kurzu, rdzy i pajęczyn, świadcząca, że od dawna nikt ich nie otwierał. Stanęli w korytarzu jak nakręcane zabawki, w których zatrzymała się sprężyna. Sierżant wyjął manierkę wódki, wypił łyk, a potem poczęstował Artura i Miszę.

— W końcu wyjdzie na to, że jednak mamy wampiry — burknął Arturo, wspierając się na karabinie.

— Albo że ten stary nie powiedział nam prawdy.

— Może też być, że kłamie nasz przewodnik. — Zerknął na Miszę. — Tak czy inaczej musimy się zadowolić tym, co mamy. Wracajmy, niedługo będzie tu kapitan Isart.

Już stawiał nogę na stopniu, ale Misza szarpnął go za rękaw.

— *Szto słuczyłos'?* O co chodzi?

— *Jest' drugoj wchod.* Jest jeszcze jedno wejście.

Ton jego głosu nie był szczególnie entuzjastyczny. Arturo odgadł, że skoro Misza ociągał się z wyjawieniem istnienia innych drzwi, musiały kryć w sobie jakąś przeszkodę w rodzaju Scylli i Charybdy.

— *Poszli?* Idziemy?

Przewodnik pokiwał głową tak energicznie, że aż zgiął się wpół.

I znów, pod strażą niepokojącej heraldyki murów, wkroczyli w klasztorny labirynt. Niebawem stanęli przed ukrytym korytarzykiem. Przy wejściu, na sterczącym ze ściany kamiennym występie, stała niemiecka lampa na dynamo. Misza, spięty, czujny, trzykrotnie nakreślił w powietrzu znak prawosławnego krzyża i nacisnął dzwignienkę. Z latarni trysnęła smuzka światła, a potem rozległ się przeciągły, denerwujący szum. *Idti, idti.* „Idźcie, idźcie”. Arturo i Espinosa spojrzeli na siebie, zestrojeni tą samą fatalną

myślą, i poszli za nim. Niski strop zwieszał się tuż nad ich głowami i podczas gdy sierżanta dręczyło nieprzyjemne wrażenie, że im głębiej wchodzi, tym bardziej brakuje powietrza, Arturo odczuwał ciemność jako coś opiekuńczego, macicznego. Coraz głośniejsze wrzaski, które chwilami docierały do ich uszu, nadwątlily nieco ów błogostan. Na kilka sekund przedtem, zanim cokolwiek się stało, miał drobiazgową wizję nadchodzącej katastrofy: a jeśli nawali latarnia? a jeśli zostaniemy bez światła? Niemal w tym samym momencie znikła jaśniejsza smuga, która wskazywała im drogę; ich oczy poraziła ślepotą, jakby zostali przyłapani na podglądaniu nagiej bogini. Rozpaczliwemu jękowi Espinosy zawtórowało przekleństwo Artura i szczęk odbezpieczanej broni. Misza nie dawał znaku życia, a jedyną pępowiną łączącą ich z dookolną otchłanią była kakofonia jęków, bezładnych słów, sporadycznych krzyków, łomotów i metalicznych zgrzytów. Głos sierżanta rozległ się głucho pośród nicości.

— Spokojnie, gdyby to była zasadzka, już by nas ukatrupili. Ale powiedz temu cholernemu ruskowi, że jeśli chce nas wykończyć nerwowo, to ja go lepiej wykończę, bo moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— To pewnie są ci niebezpieczni — domyślił się Arturo.

— Pewnie tak.

Ponownie zawołał Miszę, lecz nie otrzymał odpowiedzi. „Szlag trafił, nic nie widać” — powiedział Arturo chyba tylko po to, by zaświadczyć, że jeszcze tam jest. Ciemności upośledzały wzrok, ale wyostrzały inne zmysły, wzmagając panujący wokół smród i dochodzące zewsząd lamenty. Wiedząc, że w ekstremalnych sytuacjach najlepiej zrobić coś banalnego, Espinosa potarł zapalkę, ostrzegłszy przedtem, że to ostatnia. Przez dwie sekundy przypalał papierosa, a następne pięć wystarczyło, by oświetlić krótki fragment szerokiego, oflankowanego rzędami żelaznych drzwi korytarza, w którym nie było nawet śladu po Kałmuku. Wokół zwęglonej zapalki ponownie zacisnęła się czerń, tak gęsta, że żarzący się punkcik papierosa zdawał się jakby unosić w próżni.

— Dosyć tego dobrego — powiedział sierżant. — Wychodzimy.

— Nie rozumiem tylko, po co ten skurwiel...

Głuchy łoskot, zakończony przeraźliwym piskiem i zgrzytem, przerwał mu w połowie zdania. Nagle w głębi korytarza wbił się w ciemność trójkąt światła, ukazując Espinosę zabarykadowanego za kłębami tytoniowego dymu, ale z bronią w pogotowiu, co zadawało kłam jego pozornemu

spokojowi. Do wnętrza wtargnął lodowaty podmuch. *Iditie siuda, bystro.* „Chodźcie tu, szybko”. Głos Miszy, którego czarna sylwetka zarysowała się w prześwicie, przynaglił ich do opuszczenia mrocznych brzegów szaleństwa. Ruszyli ku jasności.

Z pierwszym krokiem zapadli się w śnieg prawie po pas. Znajdowali się na tyłach monasteru, na niewielkim wzniesieniu otoczonym gęstym lasem. Białe płatki lekko i pedantycznie opadały na każdy skrawek spowitego już zmierzchem pejzażu. Z powodu nagłej zmiany temperatury musieli oddychać płytko, żeby nie nadwerężyć płuc i gardła. Misza stał pośrodku wydeptanej w śniegu bruzdy, która niknęła w dole, wśród drzew. Arturo, zaskoczony cierpliwą rezygnacją Kałmuka, postanowił nie robić mu wymówek.

— *Szto słuczyłos’?* Co się stało — zapytał.

— *Otkryta była.* Były otwarte — powiedział zdumiony.

Arturo obejrzał się na drzwi.

— *U kogo jest’ iszczo klucz?* Kto jeszcze ma klucz?

— *Tolko u mienia.* Tylko ja — odparł Misza, pokazując kawałek zardzewiałego żelastwa.

— *I nikogda nie otkrywajetsia?* I nigdy się ich nie otwiera?

— *Nikogda. S tiech por, kak ja prziszol, nikogda.* Nigdy. Odkąd ja tu jestem, nigdy.

Arturo obejrzał zamek, ewidentnie wyłamany od środka. Zawołał Espinosę, żeby zasięgnąć jego opinii.

— Wyłamane — orzekł sierżant, wyrzucając peta.

— *Prochodili zdies’ ispanskije soldaty?* Przechodzili tędy hiszpańscy żołnierze? — zapytał Arturo Miszę.

— *Zdies’ prochodiło mnogo naroda.* Tędy przechodziło wielu ludzi.

— Mhm...

— Morderca — powiedział Arturo do Espinosy — świetnie zna ten monaster. Wydaje się, że wszystko dobrze przygotował, żeby potem wejść bez przeszkód. Zadał sobie sporo trudu... Jak pan myśli, sierżancie?

— Tak, nie rozumiem tylko po co.

— Ani ja, jednak jakiś powód musi być.

Arturo popatrzył na wydeptaną ścieżkę, a potem na śnieg, który prószył bezgłośnie jak konfetti i tak uporczywie, że wkrótce zatarłby wszystkie ślady. Trzeba było działać szybko.

— *Możesz wiernutsia. Możesz wracać* — zwrócił się do Miszy. — *Skoro prijdut drugije żołdaty. Zaraz przyjdzie tu więcej żołnierzy. Sierzancie, sprawdźmy, dokąd zaprowadzi nas ta ścieżka.*

Espinosa szczerzej otulił się kożuchem i ruszył pierwszy. Posuwali się powoli; śnieg aksamitnie tłumiał ich kroki, gdy odczytywali wypisany na nim alfabet, z każdą chwilą mniej wyraźny z powodu zapadającego zmroku. Śnieżne wały po obu stronach dróżki rozsypywały się miejscami jakby pod ciężarem czyjegoś upadku. Zszedłszy w dół, zagłębili się w las, aż wreszcie dotarli nad Sławiankę. Stanęli na marmurowej tafli lodu i potupali trochę, żeby strząsnąć przyklejony do butów śnieg.

— Co o tym sądzicie? — zapytał Espinosę.

Sierzant popatrzył na niego i powiedział z namysłem:

— A to, że ten skurwiel przystawił mu spluwę do głowy i zawlókł go stąd do monasteru.

— Też tak myślę.

— Idziemy dalej? — Espinosa wyciągnął rękę, łowiąc coraz większe i gęstsze płatki. — Ślad prowadzi pewnie na drugi brzeg, a wygląda na to, że zaczyna mocniej sypać.

Arturo nie spieszył się z odpowiedzią. Kontemplował mgliste piękno śniegu, które jeszcze wzmagало w nim poczucie bezradności. Śnieżynki, miliony elementów łączących się na niezliczone sposoby z niewyczerpaną symetrią. Podobnie w jego śledztwie — fragmenty, z których każdy, choć nie przedstawiał sobą całości, sugerował wszystkie jej aspekty. Raptem coś mu zaświtało w głowie. Mocniej wsparł się na kolbie mauzera. Tropy zaczęły się mieszać niczym płatki śniegu wirujące w nagłych podmuchach wiatru. Arturo pozwolił im pulsować ukrytym rytmem ich osobliwego serca, dopóki jeden nie zaskrzył szczególnie jasno.

— Sierzancie.

— Tak?

— Luisa del Águila znaleźliśmy niedaleko stąd, prawda?

Espinosa oszacował punkty orientacyjne i perspektywę.

— Sądzę, że tak. Tam dalej, blisko zakola rzeki.

— Przyszło mi do głowy, że Luisa del Águila morderca też chciał zabrać do Molewa.

— Ale to nie pasuje do koni.

— Pasuje. Tylko że nie wyszło.

— Jak to nie wyszło?

— Wyprowadził jednego konia, lecz nie przewidział, że reszta ucieknie.

— Ale dlaczego pognały za nim? Miejsca tu dosyć...

— Nie ma złej drogi do swej niebogi...

Espinosa zdębiał.

— Nie za nim, za klaczą, człowieku — oświecił go Arturo. — Powiedział mi pan, że koń, na którym przewieziono trupa, to kobyła. Jedyna w stadzie, reszta to ogiery.

— O kurwa!

Sierżant w mig pojął kapitalne znaczenie tego odkrycia. Było tak logiczne, że aż nieprawdopodobne.

— Mam nadzieję, że się nie mylicie.

— Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi, panie sierżancie. Chodźmy zobaczyć, dokąd prowadzą ślady.

— Cholera, już nic nie widać.

— To się pospieszmy.

Przeszli na drugi brzeg. Wkrótce zobaczyli kolejne ślady; nie tam, gdzie przecięli rzekę, ale trochę bardziej na lewo. Idąc po nich, dotarli w pobliże Miestielewa. Tam znikły przysypane świeżym puchem. Arturo pozwolił, by jego pytania i wątpliwości narastały wraz ze zmierzchem i śniegiem: jaką rolę w tym rytuale krwi odgrywało Molewo? Co łączyło kolejną ofiarę z Luisem del Águila? Wymienił niespokojne spojrzenie z zachowującym powściągliwe milczenie sierżantem. W jego oczach wyczytał rozczarowanie, którego przyczyną nie były zawiedzione nadzieje, ale coś o wiele głębszego, zakorzenionego w duszy jak nałóg; Espinosa zaś dostrzegł w nim pewną niecierpliwość, spowodowaną wysiłkiem, z jakim Arturo próbował skupić myśli na spotkaniu z Zirą, z którą umówił się na ten wieczór przez Aparicia, żeby zneutralizować wzbierającą z wolna panikę. Patrzyli tak na siebie, dopóki Arturo nie spuścił oczu i nie zacisnął powiek tak mocno, że skruszyły cienką taflę zamarzniętych łez.

Ogromny księżyc otworzył w ciemnościach nieba jasny krąg, rysując w szaroperłowych odcieniach dwa ciała szamoczące się w scenie seksualnej przemocy. Gwałtowne, ostre, niemal konwulsyjne pchnięcia. Zira znosiła to z twarzą ściągniętą bólem. Jej jęki przekraczały raz po raz próg krzyku, ale nie był to krzyk rozkoszy. Kilka minut wcześniej Arturo dwoma szarpnięciami

zdarł z niej ubranie i rzucił ją na wiązkę słomy, twarzą do ziemi. Z początku nie stawiała oporu, skonsternowana nieoczekiwaną brutalnością, szybko jednak — widząc, jak się zatacza, i czując jego kwaśny, pijacki oddech — zrozumiała, że nie był teraz sobą, lecz kimś zupełnie obcym. Nawet się nie rozebrał. Ze spodniami spuszczoneymi do kostek, wszedł w nią prostacko, bezlitośnie. Wyprężyła się, wygięła plecy, próbowała się uwolnić, ale przygniótł ją całym swoim ciężarem, wsparty na rękach, które zacisnął wokół jej nadgarstków. Był to akt kanibalizmu, w którym Arturo, podobnie jak podczas sporadycznych kontaktów z mężczyznami w więzieniu, szukał zadośćuczynienia, odwetu. Wtedy — za zdradę Anny, za perfidię losu. Teraz, gdy wpychał członek między nogi Ziry, to nie ją pieprzył, lecz Hildę. Przemierzał splątane ścieżki namiętności, karząc Zirę za to, że nie może jej kochać, a Hildę w ciele Ziry za to, że był skazany na przekleństwo jej miłości. Kurwa. Kurwa. Kurwa. Wstrzymał się zdyszany i ściskając penisa w garści, zbliżył go do pośladków Ziry. Wyczuła jego zamiar. Wśród skowytu i obelg próbowała sięgnąć paznokciami do oczu Artura, który zręcznie uniknął ataku i zmusił ją, by znów odwróciła się do niego tyłem. Podczas tej drugiej penetracji zachowanie Ziry uległo zmianie. Kiedy Arturo ją sodomizował, zeszywniała i z wyrazem dziwnej pustki bez oporu poddawała się falom nienawiści uderzającym w jej rozpalone ciało. Połączyła ich milcząca chemia, namiętność zredukowana do wysiłku i potu, sponiewierana ufność. Alkohol opóźniał ejakulację, co wzmogło brutalność aktu. Był w tym wszystkim jakiś bezgraniczny smutek. Nieskończony. Arturo zaspokoił się wreszcie i odsunął od niej, ze wzrokiem wbitym w strop i suchymi wargami. Zira leżała jeszcze kilka chwil na brzuchu, z twarzą ukrytą we włosach. Wstała z bolesną powolnością i w zupełnej ciszy, bez najmniejszej skargi, zaczęła zbierać odzienie z podłogi. Obmyła się i ubrała, obwiedziona srebrzystym konturem sączącego się przez szyby blasku. Wyszła bez słowa. Wówczas cały gniew i cała lubieżność, rozładowane nagłym wybuchem, opadły niczym lepkie strzępki przekłutego balonu. Żołądek przepalony wódką, którą Arturo pił, czekając na Zirę, zaczął się buntować w napadzie z trudem tłumionych torsji. Arturo popatrzył na siebie: ze spuszczoneymi spodniami, odsłoniętym sflaczałym członkiem i kościstymi kolanami, utyłany w słomie, wyglądał żałośnie. Ogarnęło go wrażenie kompletnej pustki, poczuł uścisk depresji. Błądził meandrami swojej duszy, zaglądał w jej sztolnie i jaskinie, próbując uporządkować ów posępny chaos. Dlaczego

to zrobić? Nazwanie własnych uczuć, stawienie czoła opętaniu okazywało się zbyt przytłaczające. Samotność, brak miłości, ambasadorzy śmierci wszelakiej. I absurd. Absurd, w którym zawsze przejawia się to, co ludzkie. „Absurd” — powiedział na głos. Absurd... Absurd... Absurd...

Wywoływanie wrózek

Ładownice do karabinu KAR 98, manierka, menażka, koc, gumowa peleryna, bagnet, plecak... Aparicio, z twarzą zaróżowioną od mrozu, patrzył z mieszaniną przygany i konsternacji, jak Arturo miota się po izbie, zbierając swój ekwipunek.

— Jak jeszcze raz zrobisz coś takiego, to nie ręczę za siebie — pogroził.

Arturo zaprzestał poszukiwań. Podniósł głowę i spoglądając prosto w oczy kapralowi, który stał z założonymi rękami, wsparty o framugę drzwi, nawet nie mrugnął. Milczał posępnie, nie tyle z powodu świadomości, że zostałby rozstrzelany, gdyby gwałt wyszedł na jaw, ile ze wstydu. Bez słowa powrócił do swojego zajęcia.

— Głuchy jesteś? Słyszysz, co mówię? — zapytał Aparicio jadowicie.

— Słyszę, panie sierżancie.

— I co mi powiesz?

Arturo ponownie przerwał krzątanie. Kiedy otworzył usta, panujący w izbie chłód zamienił jego oddech w parę.

— A co ona panu powiedziała? — spytał zaczerwieniony.

— Ona nic. To starszyna. Powiedział, że jeżeli ty będziesz, to Zira nie przyjdzie.

— Jeżeli ja będę... — powtórzył; co za ulga, że się nie wygadała... ze wstydu? z dumy? ze strachu? — Nic nie było, panie sierżancie, nie uderzyłem jej, nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że... — zawahał się niepewny, w jakim tonie powinien przedstawić ów incydent, i wybrał męską poufałość. — Widzi pan... byłem napalony jak piec, wypilem trochę i... — Powoli zapinał mundur, żeby zyskać na czasie.

— Pospiesz się... Chcesz tu siedzieć do rana?

— Już, już, panie kapralu.

— Zbieraj się, idziemy, nic takiego się nie stało.

Arturo ze skruszoną miną opowiedział o wszystkim — w głowie dźwięczało mu natarczywie słowo „gwałt” — rozmiękczając opis paroma kiepskimi wymówkami oraz brakiem konsumacji. Aparicio uśmiechnął się z ironiczną pobłażliwością i potarł wielkim, kanciastym łapskiem szpetną bliznę na policzku.

— No, to już się nie dziwię, że wyskoczyła jak oparzona — stwierdził wyrozumiale. — Każda by tak zrobiła, jakby się jej ktoś do tyłka dobierał.

— Wyszło, jak wyszło. Przepraszam, panie kapralu. — Cień wyrzutu sumienia kazał mu odwrócić wzrok.

— Przestań przeproszać i weź się w garść, wyglądasz jak siedem nieszczęść. Poza tym głupi ma fart — głos Aparicia stwardniał — bo kiedy ty się zabawiałeś, ruscy zabrali trzech naszych.

— Gdzie? — zapytał Arturo, szczerze wstrząśnięty.

— A tu, niedaleko. Spali w jakiejś chacie. Partyzanci przyszli po nich jak do siebie.

— Szpiedzy...

— Tak — odparł kapral posepnie — i nie myśl, że na tym koniec... Szykują atak z zaskoczenia.

Arturo kiwnął głową. Ze skruszoną miną rozglądał się po izbie. Wreszcie, obok glinianego pieca, dostrzegł leżący na podłodze hełm. Założył go na głowę.

— Gotowe, panie kapralu. A jak tam ciężarówka? Wciąż na chodzie? — dodał, chcąc załagodzić sytuację.

— Dopóki się nie rozpieprzy.

— Niemcy mają spory tabor...

— A my sporo granatów... — odparł kapral, odzyskując wisielczy humor. — Zostawiłeś chlebak.

Arturo podziękował za przypomnienie i podniósł metalowy pojemnik z maską przeciwgazową.

— Nie wiem, po co nam je dali. Połowa nie umie tego założyć, a reszta się dusi.

— Świetna puszka na prowiant — stwierdził Aparicio bez cienia złośliwości i ruszył do drzwi.

Arturo poszedł za nim, upychając wyrzuty sumienia na strychu podświadomości. Świt był ponury, szary, a pobudka bezlitosna. Drobne białe

płatki prószły raz mocniej, raz słabiej, jakby nanosząc ostatnie niepewne poprawki na czystą strukturę śniegu. Oddychali w skupieniu, płytko, sącząc powietrze małymi łykami. W oddali wrzała wojna, w feerii armat, moździerzy i karabinów. Wśród wrzawy czynionej przez formujące się i wychodzące oddziały zmierzali w kierunku zabudowań Miestielewa. Arturo zdał sobie sprawę z nagłego spiętrzenia problemów, które dotąd próbowano rozwiązywać ad hoc. Zasalutowali przechodzącemu oficerowi. Potem się pożegnali. Arturo, zamyślony, stał bez ruchu, patrząc z mieszaniną zawiści i podziwu na oddalającego się Aparicia, owianego aurą młodości, wigoru i nieśmiałości, zawiadanej nonszalancji, która sprawiała, że świat słał mu się do stóp. Bezwiednie zaczerpnął haust słonego, przesiąkniętego zapachem wodorostów powietrza. Z rozkoszą smakował bliskość morza, zastanawiając się, dokąd pójść. Najpierw tam, gdzie dają jeść: miał ochotę na porządne śniadanie.

W kantynie, wśród gwaru żołnierskich głosów, brzęku garnków i cynowych sztuców, zaopatrzył się w co mógł, by zaspokoić wilczy głód: kilka kromek czarnego chleba, sztuczny, mocno scukrzony miód, kawę zbożową i masło. Zaradziwszy w ten sposób kłopotom wynikającym z nierozsądnego zwyczaju posiadania żołądka, wrócił do swojej klitki. Zrzucił zimowy mundur i zanurzył się w pieszczotliwych oparach gorącej kawy, aromatyzowanej kropelką niedawno zafasowanego koniaku. Podczas gdy jego zamrożona krew tajała w ciepłe piecyka, Arturo przysiadł na pryczy i zaczął przeglądać rojące się od błędów ortograficznych raporty kapitana Joaquina Isarta oraz zdjęcia zwłok Luisa del Águila. Konie schwyte przez mróz, ich wzniesione ku niebu pyski toczące zamrożoną pianę, twarz nieboszczyka pokryta łuskami lodu. Dopił kawę i wziął do ręki pomarańczę dojrzewającą obok telefonu; dotyk jej gorzkiej, pomarszczonej skórki wlewał weń dziwny spokój, naoliwiał umysł. Dwa martwe ciała zamknięte w kryształowych trumnach lodu, dwa żywoty przecięte w tym samym punkcie. On jest tym punktem. Pytania wirowały spiralą myśli: kim jest kolejna ofiara? jaka tajemnica dręczyła Luisa del Águila? czy kapelan miał z nią coś wspólnego? jak w tę okrutną gramatykę wpisuje się Molewo? Przykazał Espinosie sprawdzić nawet numer buta zmarłego. Tymczasem, w oczekiwaniu na wyniki autopsji dokonywanej przez kapitana Alfreda Lariosa, postanowił skorzystać z telefonu, by kontynuować dochodzenie. W

monasterze, kiedy wracali z sierżantem do sań, natknęli się na kapitana Joaquina Isarta, ale rozmawiali z nim krótko, tylko wprowadzili go w śledztwo. Dlatego najpierw zadzwonił do Pokrowskiej. Tym razem połączono go natychmiast. Dźwięk był czysty, bez interferencji, więc po kurtuazyjnym wstępie od razu przeszedł do rzeczy.

— Co pan działał w monasterze, panie kapitanie?

— Niewiele więcej niż wy — odparł oficer obojętnym tonem. — Przesłuchaliśmy kilkoro pensjonariuszy, ale tylko potwierdzili to, co już mówiliście. Zwłoki przekazano kapitanowi Lariosowi. Skontaktowaliście się z nim?

— Jeszcze nie. Zaraz do niego zadzwonię.

— Ustaliliśmy tożsamość zmarłego i przeszukaliśmy jego rzeczy.

— Tak...?

— Nazywał się Agustín Covisa Calero. Trzeci batalion dwieście sześćdziesiątego dziewiątego. Stacjonował w Słucku. Dwadzieścia dwa lata, urodzony w Starej Kastylii. Z zawodu elektryk. W czasie wojny walczył na północy kraju. Przez Barcelonę dotarł do Walencji. Tam się zaciągnął do dywizji...

— Był członkiem Falangi? — przerwał mu Arturo.

— Nie, nie był.

— Hm... Słucham dalej.

— Niewiele mam do dodania. Przebieg służby bez zarzutu, ale i bez fajerwerków. Sierota po ojcu, miał narzeczoną. Mam tutaj jego ekwipunek i pisemny raport.

— Bardzo dziękuję za pomoc, panie kapitanie. Wybieram się do Pokrowskiej, więc wszystko odbiorę osobiście. A przy okazji, pamięta pan, jak w Molewie wspomniałem o możliwym związku monasteru z tymi zabójstwami?

— Masoni.

— W rzeczy samej. Sądzę, że należy postawić tam wartownika z krótkofalówką. Konkretnie przy tych wyłamanych drzwiach. Jeżeli sprawy mają się tak, jak myślę, a morderca uderzy znowu...

— Myślicie, że to nie koniec? — zainteresował się Isart.

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem, ja bym tak zrobił. A pan, panie kapitanie?

Seria głośnych trzasków zmiotła odpowiedź Isarta, lecz po chwili jego głos, choć nieco zniekształcony, znów trysnął ze słuchawki.

— ...to co robimy?

— Posyłamy wartownika — obstawał przy swoim Arturo. — Możliwe, że prędzej czy później zabójca podejmie grę. Oczywiście... zajął się pan kapelanem?

— Tak. Już jest pod obserwacją.

— Świetnie. I jeszcze jedno... Nie zaszkodziłoby przeszukać jego rzeczy. Dyskretnie.

— Będziemy dyskretni — zapewnił go Isart.

— Doskonale. Zaraz skontaktuję się z pocztą, żeby zatrzymali korespondencję tego Covisy. Chyba o niczym nie zapomniałem?

Na linii znów rozległy się szумы.

— Panie kapitanie? — Arturo przesunął językiem po spierzchniętych wargach i mocniej ścisnął w dłoni pomarańczę. — Panie kapitanie?

— Już słyszę. Coś jeszcze?

— Nie, to wszystko.

— No to do dzieła, żołnierzu.

— Rozkaz.

Odłożył słuchawkę na widelki i przez jakiś czas przerzucał pomarańczę z ręki do ręki. Kiedy mu się wreszcie znudziło, wcisnął ją między kolana, na których rozłożył raport dotyczący Luisa del Águila. Wykorzystując świeżo poznane fakty, szukał punktów wspólnych dla obu denatów. Poza tym, że i jeden, i drugi zaciągnął się w punkcie werbunkowym w Walencji, łączyła ich jedynie przeciętność. Przycisnąwszy podbródek do szyi, popatrzył na pomarańczę, jakby była materializacją jakiejś ważnej wskazówki. Walencja... Czy to coś znaczy? Wątki punkt zaczepienia, ale od czegoś przecież trzeba zacząć. Wbił paznokcie w mięsz i w jednej chwili powietrze przesyciła kwaśna, cierpka woń, od której pociekła mu ślinka. Odrywał skórę, starannie odkładając każdy kawałek obok telefonu; gdy skończył, oddzielił pięć cząstek i ułożył je na dłoni niczym płatki kwiatu. „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy, pamiętaj, On patrzy na ciebie...” — wysylabizował z namysłem. Włożył jedną cząstkę do ust i rozgniół zębami, potem następną i następną, i następną... Wtem telefon wydał dziwny, fałszywy dźwięk, jakby ktoś uderzył kawałkiem metalu w dzwonek. Aparat zamilkł równie nagle, jak się odezwał, ale ów elektryczny impuls pobudził neurony Artura, który z

maniakalną precyzją raz jeszcze poukładał wszystkie łupiny, jedną odsuwając na bok. Dumął nad nimi przez kilka chwil, po czym powrócił do swych poprzednich myśli. Skoro szuka wampira, czy nie łatwiej byłoby na niego czatować, obserwując potencjalne ofiary? Ilu wojaków zgłosiło się w Walencji? A ilu z nich ma powiązania z masonerią? Trzeba kuć żelazo, póki gorące; podniósł słuchawkę i zadzwonił do majora Zarauzy. Przedstawił mu pokrótce sprawę, nie napotykając żadnych obiekcji. Pożegnał się szybko i zanim odłożył słuchawkę, poprosił o połączenie z punktem pocztowym w kwaterze głównej. Odebrał don Picuś Glancuś.

— Halo? — odezwał się charakterystyczny głos: uprzejmy, modulowany.

— Tu Arturo Andrade, panie sierzancie. Wie pan, że znaleziono kolejne zwłoki?

— Tak, już mi o tym wiadomo.

— Nieboszczyk nazywał się Agustín Covisa Calero, stacjonował w Słucku. Wie pan, co należy zrobić.

— Sprawdzę, czy są jakieś listy.

— Chciałbym, żeby zrobił pan dla mnie coś jeszcze.

— Słucham?

— Mam przeczucie, że morderca pochodzi z Walencji i że następna ofiara też będzie stamtąd. Wobec tego należałoby przejrzeć całą pocztę walencjańską.

— Oczywiście.

— Dziękuję, panie sierzancie. I ostatnia sprawa... Mógłbym porozmawiać z szeregowym Octavian Imazem?

Chwila milczenia świadczyła o tym, że ta prośba nie mieściła się w szufladkach rutynowych działań Cecilia Estrady.

— Poczekajcie — odpowiedział wreszcie.

Arturo chwycił ołówek i zaczął mazać po raporcie, ozdabiając marginesy jednym z owych podświadomych i machinalnych „telefonicznych” rysunków. Kiedy rozległo się pierwsze „słucham”, zaostrzony grafit zatrzymał się na ostatniej kresce figury geometrycznej pełnej pustych płaszczyzn.

— Słucham? — usłyszał Arturo po raz drugi.

— Octavio Imaz?

— Tak, to ja.

— Tu Arturo Andrade. Powiedziano mi, że mógłby pan udzielić pewnych

informacji na temat masonerii.

Pilnie wsłuchiwał się w jego głos, chcąc wychwycić najdrobniejszą zmianę: brzmiał swobodnie, lecz nie na tyle, by ukryć lekką konsternację.

— Kto to panu powiedział?

— Major Reyes Zarauza. Podobno napisał pan o tym książkę.

Octavio Imaz zakasłał.

— To tylko mały esej.

— Jaki ma tytuł?

— *Konkubinat*.

— Bardzo stosowny. À propos, przeczytałem pańskie *Racje Hiszpanii*. Błyskotliwe, jeżeli wolno mi tak powiedzieć.

— Miło mi.

Arturo odniósł wrażenie, że pochlebstwo spłynęło po nim bez śladu.

— A więc moglibyśmy porozmawiać?

— Wie pan, gdzie mnie szukać — odparł Octavio wymijająco.

— Świetnie. Znaleźliśmy następnego nieboszczyka i sądzimy, że te morderstwa mogą mieć związek z... — Arturo zdał sobie sprawę z tego, że nikt nie żądał od niego wyjaśnień. — No cóż — dodał — w takim razie trzymam pana za słowo. Zajrzę, jak będę w pobliżu.

— Czekam. Do widzenia.

— Do widzenia — odparł z ociąganiem.

Jego uwagę przykuł na moment gorący trzask płomieni we wnętrzu piecyka. Arturo wstał, by sięgnąć po szczapę z leżącego obok stosiku, po czym wsunął ją za żelazne drzwiczki, pomiędzy poczerniałe polana i rozżarzony do czerwoności popiół. Ogień był swojski, serdeczny, tchnął ciepłem jak twarz kogoś bliskiego. Teraz pozostało już tylko ustalić kolejność spotkań. Octavio, Larios i oczywiście fotograf Paramio Pont. Paramio, Octavio, Larios? Larios, Paramio, Octavio? Dzwonek telefonu przerwał owe permutacje.

— Słucham?

— Arturo? Już wiadomo, kim był ten wojak — odezwał się schrypnięty od tytoniu głos sierżanta Espinosy.

— Dzień dobry, panie sierżancie. Wiem, rozmawiałem z kapitanem Isartem. Gdzie pan teraz jest?

— Tu, w Miestielewie.

Arturo szybko zebrał myśli.

— Świetnie, dzisiaj sekcja Agustina Covisy. Pójdzie pan pogadać z Lariosem.

— A wy?

— Mam coś do załatwienia w kwaterze głównej — odparł. — Porozmawiamy, jak wrócę.

Pożegnał się i wyciągnął ręce do pieca, jakby chciał dotknąć płonącego ognia. W górę wyskoczyła iskra, która dopalając się w powietrzu, przywołała wspomnienie ogromnej węglowej kuchni z czasów jego dzieciństwa, z kręgami zdejmowanych fajerek. Zamyślony wstał z pryczy, żeby się trochę ogarnąć. Stanąwszy nad miednicą, przejrzał się w lusterku. Ciemne cienie pod oczyma, wychudła twarz, ślady po ospie... Zmierzwił palcami przetłuszczone włosy, nałożył pędzlem pianę i zaczął się golić. Kiedy pedantycznie przesuwiał brzytwą po podbródku, powróciła doń wizja mitycznego Badajoz, żółtych, spieczonych słońcem krajobrazów, pełnego mrocznych zakamarków domu, matki skrapiającej wodą bieliznę i pary buchającej z sykiem spod żelazka... Wszystkiego, co raz utracone, nigdy i niczym nie da się zastąpić.

Zatrzymał brzytwę, a wraz z nią anarchiczny strumień obrazów.

Nie chciał już wspomnień.

Bo były niebezpieczne.

Bo były bez skazy.

A teraz dziwne rzeczy przychodzą mu do głowy.

A jeśli. A jeśli.

Sierżant Espinosa...

Czy sierżant Espinosa nie jest przypadkiem z Walencji?

Scena rodem z groteski. Budynek rzeźni. Przed budynkiem rzeźni wilczur. Dokładnie na granicy psiego terytorium stał Rosjanin. Za Rosjaninem stał Niemiec, celując mu z walthera w potylicę. Właśnie na ten moment trafił Arturo. Tonem surowym i nieodwołalnym Niemiec rozkazał jeńcowi zrobić krok naprzód, a Rosjanin opierał się z jakąś dziecinną czy raczej zwierzęcą desperacją. Owczarek, wyszkolony do zabijania, stał ze ślepiami nabiegłymi wściekłością, ze zjeżoną sierścią i rozchyłonym pyskiem, dziwnie spokojny, jakby pradawna mądrość płynąca w jego krwi podpowiadała, żeby nie trwonił sił, bo zdobycz sama do niego przyjdzie. Niecałe pół godziny temu Arturo wyszedł ze swojej klatki, żeby poszukać sobie jakiegoś środka

transportu, ale najwyraźniej ktoś go uprzedził. A teraz jeszcze to... Opanował gniew i ocenił sytuację. Na prawo od Niemca stało kilku mężczyzn o posępnych, okrutnych twarzach pokrytych kilkudniowym zarostem; nie wyglądali na żołnierzy Wehrmachtu, może byli z jakiejś jednostki SS, ale nie miał co do tego pewności. Przy drzwiach budynku oraz wokół bohaterów dramatu tkwili zbici w grupki wojacy, którzy obserwowali rozgrywającą się przed ich oczami scenę, ale żaden nie próbował się wtrącić. Tym jednak, co wprowadziło Artura w absolutne osłupienie, była gromadka Rosjan zapędzonych pod ścianę jednego z baraków, pod strażą dwóch funkcjonariuszy owej dziwnej formacji. Rozpoznał kilku jeńców i mieszkańców wioski, którzy przychodzili czasami pomagać w kwatermistrzostwie. Einsatzgruppen. Przypomniawszy sobie, że niedawno sfrunęły na rosyjską ziemię te mroczne upadłe anioły z narodowosocjalistycznego nieba. I wtedy poczuł w sercu nagły skurcz, bo zobaczył Aleksandra. Uciepiony poły czyjegoś płaszcza, chłopiec patrzył przestraszony na Niemca, który wciskając lufę walthera w kark Rosjanina, popychał go w kierunku psa. Arturo zastanawiał się, jak przerwać to bestialstwo, gdy jeden z wojaków, drobny, żylasty mężczyzna o rumianych policzkach, podszedł do esesmana i uderzył go w twarz. Potem powiedział coś w dziwacznej mieszance hiszpańskiego, niemieckiego i rosyjskiego, będącej swoistym dywizyjnym esperanto. Z całej przemowy Arturo zrozumiał, że krajowiec był pomocnikiem Hiszpana i że coś, o czym ten mówił, robił jawnie. *Ungeziefer*, robactwo, odpowiedział Niemiec, wymachując pistoletem, więc Arturo skorzystał z okazji, by zaofiarować się jako tłumacz i podłożyć wolnotłący lont pod tę wybuchową sytuację. I wtedy się zaczęło. Kiedy wilczur go spostrzegł, przerwał chwiejną równowagę sił i ujadając ochryple, zwrócił pysk w jego stronę. Owa nagła eksplozja nienawiści podjudziła Niemca, który zawział się jeszcze mocniej, bluzgając krótkimi, ostrymi słowami raz na Rosjanina, raz na wojaka. Jeniec trząsał się, jakby stał nagi na mrozie; wojak uniósł ręce, wrzeszcząc i klnąc wniebogłose. Arturo próbował ich pogodzić, żeby powstrzymać narastający obłąd. W grupce Rosjan rozległy się trwożne okrzyki i błagalne jęki, w oddziale esesmanów rozkazy i groźby. Niemiec wpadł w furję i skierował lufę walthera na żołnierza. To wystarczyło, by inni zareagowali z właściwą Hiszpanom gwałtownością. Lasem bagnetów, które pojawiły się w ich rękach nie wiadomo skąd, otoczyli Niemców, tak zaskoczonych, że zdawali się nie wierzyć własnym oczom. Kiedy wreszcie uwierzyli, odpowiedzieli tym

samym, a jeden ze strażników chwycił Aleksandra za kark, postawił chłopca przed sobą i wycelował doń z karabinu maszynowego. Arturo zbladł i oniemiał, a wrzawa wokół rosła. Wrzask, szturchańce, płacz, przepychanki, pogróżki. Na rozkazy oficerów nikt nie zwracał uwagi. Nagle, w krytycznym momencie, huknął strzał i wszystko umilkło. Rosjanin zwałił się ciężko na ziemię. Na jego czole widniał ciemny, idealnie okrągły otwór z jasną obwódką wystającej spod skóry kości. Z otworu trysnęła strużka krwi, która niemal zawrzała na mrozie, po czym ściekła na śnieg, wytapiając w nim maleńką czerwoną dziurkę. Jakaś kobieta wyrwała się strażnikom, podbiegła, przyklękła nad trupem, uniosła jego głowę i z rozpaczliwym szlochem zaczęła tulić ją w ramionach. Wszyscy, niczym statyści z koszmarnego snu, w milczeniu kontemplowali ową scenę. Wszyscy oprócz Artura, śledzącego wzrokiem pistolet, który Niemiec nadal trzymał w pogotowiu, jakby groził duchowi zmarłego. Powoli opuszczał lufę, mierząc w kobietę, a potem strzelił do niej z bliska. Znowu trysnęła krew. Żołnierze osłupieli. Arturo, niewiele myśląc, wyciągnął tetetkę i ruszył na esesmana, który wciąż trzymał Aleksandra na muszce. Na jego widok Niemiec niezdecydowanie podniósł broń. Ta chwila wahania wystarczyła, by Arturo chwycił go za gardło i przystawił mu lufę do szyi.

— *Lass es los!* Puść go! — krzyknął.

Ośmieleni jego determinacją wojacy zwarli szyki, zacieśniając krąg; ich cierpliwość się wyczerpała. Jednocześnie owczarek, który usłyszawszy huk, podkulił ogon i schował się we wraku, znowu zaczął ujadać, co podziałało na ludzi jak zastrzyk adrenaliny i strachu. W rozbieganych ślepiach zwierzęcia czaiło się szaleństwo, jakieś krwawe delirium, będące odbiciem determinacji jednych i bezwzględного uporu drugich; Hiszpanów, obnażających żelazną siłę skrywaną pod wyglądem maruderów, i Niemców, lodowatych aniołów, które nie wahają się składać ludzi w ofierze. Wszyscy wiedzieli, że wystarczy jeden napięty jak fałszywa struna nerw, by zamienić Miestielewo w jatkę, ale nikt nie chciał ustąpić. Arturo odwiódł kciukiem spust i wcisnął lufę w skroń esesmana.

— *Ich werd dir deinen verdammten Kopf abschiessen. Verstehst du mich? Lass es los!* Puść go, bo ci odstrzelę ten twój kurewski łeb, słyszysz?! — krzyknął.

Za odpowiedź starczyło spojrzenie Niemca. Było w jego oczach coś nieokreślonego, jakaś opieszałość, która nie szła w parze z czynami. Mocnym

szarpnięciem przytrzymał Aleksandra.

— *Das wird nicht die Einzige*. Nie tylko mój — odrzekł sucho.

Nie wyglądał na człowieka odważnego, raczej na kogoś zmęczonego życiem, a przez to tym bardziej niebezpiecznego, ponieważ było mu wszystko jedno, czy zginie. I Arturo z przeraźliwą jasnością pojął, że wszyscy są już martwi, że to koniec. Popatrzył na Aleksandra, który spoglądał na niego przerażony, z lufą mauzera przystawioną do piersi. Zamknij oczy, powiedział Arturo, zamknij oczy, a potem przez zaciśnięte zęby zaczął szeptać wprost do ucha esesmana, jesteśmy nosicielami dzieci, bo kiedy niesiemy dziecko, będziemy mogli kroczyć przez zło, chroniąc się pod płaszczem niewinności, zamknij oczy, rosyjski chłopcze, przejdziemy rzeki, przejdziemy burze, zamknij oczy, maleńki, przejdziemy nawet przez ogień piekielny. Nagle, jakby znad granicy rzeczywistości, nadpłynął jednostajny, świdrujący w uszach pomruk, z każdą chwilą głośniejszy. Parrala. Wizg silników sprawił to, czego nie dokonały wzajemne groźby. Niemcy błyskawicznie sformowali szyki i jęli się wycofywać eszelonem, z karabinami wycelowanymi w Hiszpanów. Esesman podniósł broń i lekko popchnął Aleksandra do przodu. W odpowiedzi na ten gest Arturo odsunął lufę od jego skroni i zrobił krok w tył. Nie patrząc na nich, Niemiec odwrócił się i dołączył do swoich. Arturo przygarnął do siebie chłopca, który wykrzywił buzię, ale się nie rozplakał. Parrala była coraz bliżej, wywołując ogólny popłoch i paniczną ucieczkę w stronę bunkrów. Arturo pobiegł wraz z innymi, ciągnąc za sobą Aleksandra. Dopadłszy schronu, ujrzał tam rumianego kurdupla, który sprowokował całe zajście. Objął chłopca ramieniem i z niepokojem patrząc w niebo, odezwał się do siedzącego obok wojaka:

— Dobra robota.

Żołnierz nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ma powody do dumy.

— O mało się nie zsikałem w gacie — wydał policzki i ze świstem wypuścił powietrze. — To byli naprawdę twardzi goście, jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Widziałeś ich oczy? Widziałeś? Zupełnie martwe. Wiesz może, co to za jedni?

Skoro takiemu weteranowi zaschło w gardle ze strachu, naprawdę musieli zrobić na nim wrażenie. Arturo pokręcił głową i mocniej przytulił Aleksandra, który zerkał na niego cały przerażony. Tymczasem Parrala nadciągała nieubłaganie z głuchym pomrukiem, już była nad nimi, już

otwierała swój ciężarny brzuch, z którego posypały się dziesiątki, setki... ulotek. Jedna sfrunęła niemal prosto w ich ręce. Widniał na niej trup niemieckiego żołnierza pod świąteczną choinką, a obok portret Führera z naszymi ludzkimi czaszkami i podpis: „Z Hitlerem idziesz na pewną śmierć! Przejdź na stronę zwycięskiej Armii Czerwonej!” Arturo podał ją wojakowi i pieszczotliwie poczochnął włosy Aleksandra, który wreszcie przestał się trząść. Arturo też stopniowo pozbywał się strachu, co poznał po tym, że zaczął odczuwać panujące wokół zimno; jedno wykluczało drugie. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, wziął malca za rękę i poszli odszukać jego towarzyszy. Za barakiem rzeźni natknęli się na grupkę Rosjan, więc zostawił go pod ich opieką. Gdy tylko się oddalił na kilka kroków, jakaś kobieta w grubej pelisie, okutana ciepłą chustą, która nie pozwalała dostrzec twarzy, zaczęła tulić do siebie chłopca z tą samą czułością, z jaką niedawno wymierzała mu klapsy przed cerkwią. Arturo uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Zapraagnął ją poznać, ale kiedy się zbliżył, odeszła pospiesznie, ciągnąc za sobą Aleksandra, który nawet nie zdążył się obejrzeć. Arturo nie spotkał jej tu przedtem. Czy widziała, że ryzykował własne życie, żeby ocalić to dziecko? Może sądziła, że jest takim samym skurwysynem jak tamci? Przygryzł wargi; było w niej coś znajomego, jakaś trudna do określenia swojskość. Nie miał czasu na dalsze rozważania. Jakiś wojak zaczął śpiewać fałszywym głosem, a reszta poszła jego śladem, wydzierając się na całe gardło:

*Matko moja miła, tyś mnie urodziła,
Ksiądz pobłogosławił, na wojnę wyprawił.
Chwała falangistom, bo na całym świecie
Więszych od nas zuchów nigdzie nie znajdziecie.*

Po raz pierwszy Arturo się z tym zgadzał. Dołączył do chóru.

Potem wróciła Parrala.

Tym razem nie zapomniała bomb.

Wyskoczywszy w biegu z ciężarówki intendenty, przebiegł jeszcze kilka kroków, póki nie wpadł na gąsienicę jakiegoś traktora. Powietrze było mroźne i przejrzyste jak bryła szkła, temperatura spadła do minus czterdziestu stopni, a wokół Pokrowskiej wciąż rozbrzmiewała taktyczna i

logistyczna symfonia niedokończona. Śnieg drgał w podmuchach rozgrzanego powietrza, unoszącego się wraz z warkotem silników nad kolumną pojazdów, które przewoziły żołnierzy i artylerię na linię frontu. Wśród nich, wspaniały i absurdalny, zarekwirowany we Francji hudson terraplane wlokący za sobą armatę; wspaniały, bo został skonstruowany do przejazdów po kasynach Lazurowego Wybrzeża, a absurdalny, bo zaprzęgnięto do niego działo przeciwczołgowe. Arturo przeskoczył śnieżne koleiny, po czym ruszył w stronę pałacyku; wylegitymował się przy wejściu i od razu poszedł na pocztę. Sierżant Cecilio Estrada, don Picuś Glancuś, łypnął na niego zza biurka, nie odrywając się od pracy.

— Dzień dobry, panie sierżancie — przywitał się Arturo.

— Dzień dobry.

— Jak tam nasza sprawa?

— Staramy się jak możemy.

— Będę wielce zobowiązany.

Z podziwem obserwował sierżanta, który monotonnym, sprężystym ruchem stemplował koperty. Nie miał w sobie nic z heroizmu, żadnego majestatu, ale był jednym z niewielu, którzy dawali innym iluzję bezpieczeństwa. Arturo już chciał zapytać o Octavia, ale don Picuś Glancuś zaoszczędził mu fatygi.

— Octavia nie ma w biurze — powiedział, nie przerywając stemplowania.
— Musiał wyjść do łączności.

— W porządku, panie sierżancie. Pójdę go poszukać.

Odczekał jeszcze trochę w nadziei, że usłyszy jakieś pytanie albo zobaczy ludzki odruch, ale doznał zawodu. Zasalutował i wyszedł. Przechodząc holem, zlokalizował schody prowadzące do podziemi pałacyku i ruszył nimi w dół. W piwnicach, wzdłuż sklepionego korytarza, siedzieli telefoniści i radiotelegrafisci; dom wariatów, gdzie wojacy, przyklejeni do słuchawek, wciskając wtyczki albo epileptycznie uderzając w klucze, utrzymywali stałą łączność dywizji. Arturo zawsze uważał, że to oni, a nie żołnierze liniowi, bali się najbardziej, ponieważ najlepiej znali sytuację na froncie. Z łatwością rozpoznał Octavia Imaza, nie tyle po wzroście, ile po sylwetce: z pomnikową elegancją wsparłszy rękę na biodrze, stał pochylony nad telegrafem i dyktował coś z trzymanej w dłoni kartki. Arturo przedarł się przez tłum mundurów i poczekał, aż skończy.

— Dzień dobry panu — powiedział.

Zdjął hełm i zasalutował. Odpowiedzią było badawcze spojrzenie i wyprostowane w wymownym geście powitalnym ramię. Byli praktycznie jednego wzrostu, czyli przewyższali o głowę resztę żołnierzy, ale krucha postać Octavia i jego wychudła twarz zdawały się bardziej sponiewierane przez Rosję.

— Znajdźmy jakieś spokojne miejsce — zaproponował Octavio.

— Tak, oczywiście.

— To chodźmy.

Zostawił kartki telegraficzne, dodając kilka słów wyjaśnienia. Na poczcie, z demonstracyjnym lekceważeniem hierarchii służbowej, minął bez słowa niewzruszonego don Picusia Glancusia, który najwyraźniej nie wziął tego do siebie. Ruszyli korytarzem i zatrzymali się przed drzwiami oddalonymi o kilka metrów od pokoju cenzorów, skąd dobiegały głosy rozgadanych pocztowców z kompanii Watermanna. Octavio nacisnął klamkę i weszli do pomieszczenia, które było czymś w rodzaju magazynu bez okien, wypełnionego stertami worków z korespondencją, różnymi materiałami biurowymi, maszynami do pisania i powielaczami. Pośrodku stał stół i jedno krzesło. Octavio Imaz usiadł na workach i uniósłszy stopę, strzepnął z cholewki wyimaginowany pyłek. Zaparł się obcasem o jakieś paki, usadowił wygodnie i oparł łokieć na kolanie. Popatrzył na Artura, jakby próbował ocenić rodzaj gliny, z jakiej został ulepiony.

— Zastanawiałem się, jakim pan jest człowiekiem — powiedział.

Arturo, który stał nad nim z hełmem pod pachą i kciukami zatkniętymi za pas, zmarszczył brwi.

— O co panu chodzi?

— O to, jaki jest człowiek, który szuka prawdy. Najpierw w Madrycie, tropiąc *Sztukę zabijania smoków*, a teraz tu.

— Wykonuję rozkazy.

— I zawsze wypada na pana. — Wytrzymał jego spojrzenie jeszcze przez kilka chwil, a potem zadarł podbródek i odetchnął głęboko, jakby wyjął głowę spod wody. — No dobrze, czego pan potrzebuje?

— Niech mi pan opowie o masonerii.

— A konkretnie?

— O karach za złamanie tajemnicy. Ale byłbym też wdzięczny za przybliżenie ogólnej idei. Istnieją pewne pojęcia, jak Sztuka, Wielki Alkahest... niezbyt dla mnie jasne.

— Po co panu ta wiedza?

— Zamordowano kolejnego żołnierza, a ja podejrzewam, że zarówno ta, jak i poprzednia zbrodnia mają związek z masońskimi rytuałami.

— Dlaczego pan tak sądzi?

Arturo przedstawił pokrótce swoje śledztwo, pomijając drastyczne szczegóły, lecz zarazem podkreślając wszystko, co pasowało do jego hipotezy: zeznania Ricarda Guerry, brak krwi na miejscu zbrodni, tajemniczą modlitwę wyrytą na ciałach... Octavio słuchał uważnie, z twarzą pozbawioną wyrazu, dopóki nie dowiedział się, w jakim stanie znajdowały się zwłoki Agustina Covisy. Wówczas zacisnął szczęki, a lekki skurcz policzka, jak od nagłego ułucia, świadczył o tym, że coś drgnęło w jego neuronach. Począł, aż Arturo skończy mówić. Potem, ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

— Z tego, co wiem, w obrzędach masońskich nie biorą udziału zwierzęta.

— To potwierdzałoby, że obecność koni na rzece była zwykłym przypadkiem.

— Tak by się wydawało. A co do pierwszej egzekucji, to można tu rozpoznać rytuał kary pierwszego stopnia Sztuki. Zacytuję panu część przysięgi: „W imię Wielkiego Architekta Wszechświata, tu, w tej zacnej, czcigodnej i patentowej łoży Mularzy Wolnych i Przyjętych, regularnie zwoływanej i stosownie dedykowanej, dobrowolnie i za własną zgodą, szczerze i uroczyście obiecuję i przysięgam, że na zawsze utajnię, ukryję i nigdy nie wyjawię, ani w części, ani w części części, żadnego misterium ni tajemnicy przynależnej Mularzom Wolnym i Przyjętym, ni żadnej rzeczy z tych, które mi powierzono do chwili obecnej i które powierzy mi się w przyszłości, a jeśli złamię swoje słowo, niech mi przetną szyję, krew moja zaś niech wsiąknie w ziemię...”

— To tłumaczy brak krwi — wtrącił Arturo, nie mogąc pohamować entuzjazmu.

— Tak, ale ja nie potrafię wytłumaczyć, skąd się wzięły słowa: „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy, pamiętaj, On patrzy na ciebie”. Nic mi nie wiadomo, by stanowiły część jakiejś ceremonii.

— Tak czy inaczej pozwoli pan, że to ja będę wyciągał wnioski.

— Co do sposobu, w jaki dokonano egzekucji na Agustinie Covisie...

Octavio zamilkł, a Arturo poczuł lęk, niepokój, który nie był niczym innym niż formą zniecierpliwienia.

— ...to odpowiada on rytowi drugiego stopnia. Formuła przysięgi jest podobna, ale zmieniono rodzaj kary: „Niech mi otworzą lewą pierś, wyrwą serce i wydadzą na łup ptakom drapieżnym lub bestiom chodzącym po ziemi”. Ale moją uwagę zwróciło co innego. Miejsce, gdzie go zabito.

— Molewo — podpowiedział Arturo.

— Molewski monaster, mówiąc ściśle. Widzi pan, do tego rodzaju egzekucji nie potrzeba jakiegoś szczególnego miejsca. Obowiązuje zasada: gdzie cię dorwę, tam cię zabiję. Ale tylko w zwyczajnej masonerii.

— Myślałem, że masoneria jest jedna.

— Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał. Otóż w każdym stowarzyszeniu istnieje jakieś twarde jądro, odłamy ekstremistów, radykałów, i to oni zwykle są najbardziej wpływowi. Wewnątrz masonerii działa zatem potężna tajna loża, coś jak masoneria w masonerii. Nazywają ich perfektybilistami. Przestrzegają oni liturgii znacznie surowszej i głębszej, w wielu aspektach odmiennej, wierniejszej pierwotnym korzeniom Sztuki, dlatego możliwe jest, że zabójca był właśnie takim perfektybilistą, szukającym tradycyjnej scenerii, a do tego Molewo znakomicie się nadaje. Chociaż, niestety, trudno to orzec z całą pewnością.

— Wszystko zatem pasuje. Morderca chciał dokonać obu egzekucji w Molewie, ale z Luisem del Águila coś nie wyszło. Nadal jednak nie rozumiem, jaki związek ma prawosławny monaster z wolnomularstwem.

— Zdziwi się pan, bo tu już musimy sięgnąć do historii.

— Zamieniam się w słuch.

Octavio zmienił pozycję i rozpiął mundur pod szyją.

— W rzeczywistości molewski monaster jest dawną twierdzą zakonu krzyżackiego, opuszczoną z czasem, a później zagospodarowaną przez rosyjskich mnichów. — Arturo otworzył usta, ale Octavio uciszył go gestem ręki. — Zauważył pan chyba, że ta budowla niewiele przypomina dom Boży?

— Owszem.

— Zakon założyli niemieccy rycerze, spadkobiercy templariuszy, kawalerów Świątyni. Krzyżacy prowadzili na tutejszych ziemiach krucjatę przeciwko pogańskim ludom i utworzyli własne państwo zakonne, rozciągające się od Estonii po Polskę. I tu wkracza masoneria. Sięga swymi korzeniami do kolegiów murarskich w Rzymie, a nawet dalej, do starożytnej Grecji, gdzie kapłani Dionizosa, budowniczości teatrów, ustanowili święte rytuały inicjacji oraz tajemne znaki rozpoznawcze. Wraz z pojawieniem się

chrześcijaństwa nastąpiła depoganizacja owych stowarzyszeń, które... Czy dotąd wszystko jest dla pana jasne? — zapytał, widząc wyraz twarzy Artura.

— Tak, proszę mówić dalej.

— Jak już wspomniałem, bractwa budowniczych... słowo „mason” pochodzi od francuskiego *maçon*, murarz... przetrwały pod opieką zakonów, zwłaszcza templariuszy, którzy wzniesli wiele budowli w Europie i Palestynie. Jednak owa próba chrystianizacji nie do końca się powiodła, wciąż bowiem istniały ukryte grupy misteryjne, które zachowały pogański substrat, gnozę, a z czasem, porzuciwszy swe pierwotne prace architektoniczne, nadały masonerii charakter laicki i polityczny, przekształcając ją w tajne stowarzyszenie.

— Stąd te wszystkie dziwne rytuały i nazwy?

— Oczywiście. To konglomerat wierzeń, herezji, rytów, symboli... Wielki Alkahest, Widzialna Ciemność, czy jak to tam zwą, jest tego najlepszym przykładem; dawniej było to sekretne imię Boga albo raczej Wielkiego Boskiego Architekta, ponieważ masoni są deistami. A teraz to już tylko tradycja. Może zwrócił pan uwagę na obecność w Molewie niezwyklej, niebezpiecznie graniczącej z obrazoburstwem ikonografii? Pamięta pan te bafometry, głowy przywodzące na myśl prastare kultury i bóstwa?

Arturo przypomniał sobie agresywną teologię rzeźb i malowideł widzianych w klasztorze.

— Istotnie niepokojące.

— Bez wątpienia. I pasjonujące.

— Jak się panu udało zgromadzić tę wiedzę? Przecież adeptów obowiązuje tajemnica.

Octavio odwrócił wzrok.

— Przystudiowałem skonfiskowane dokumenty — odparł krótko i widać było, że na ten temat nie powie ani słowa więcej.

Arturo odłożył hełm na leżący obok worek i splótłszy ręce na plecach, zmarszczył czoło.

— Czyli jeśli zabójca, ten...

— Perfektybilista.

— ...ten perfektybilista, popełni kolejną zbrodnię, powinien zgodnie z logiką wrócić do monasteru.

— To by miało sens.

— Wystawiłem tam wartę.

— Słuszna decyzja.

— A ile jeszcze jest stopni wtajemniczenia?

— Dwa.

— Mógłby pan je pokrótce opisać?

— To skomplikowane rytuały, ale zasadnicza hierarchia to: uczeń, brat, mistrz. Kara jest tym cięższa, im więcej się wie. Przysięga trzeciego stopnia mówi o rozplątaniu ciała na dwoje, „niech me wnętrzności obróć się w proch i niech wiatry z nieba rozwieją go na wszystkie strony świata”. W czwartym, najwyższym, zwanym również Łukiem Królewskim, gdzie adeptowi udzielone zostaje masońskie światło, Wielki Alkahest, wiarołomcy grozi oderwanie głowy od tułowia oraz wyłupienie oczu.

— Bardzo surowe kary. Wie pan, kto w dywizji jest masonem?

— Istnienie masonów opiera się na nieistnieniu, na nieprawdopodobieństwie, i bardzo dbają, by się nie ujawniać.

— Jak wampiry.

Octavio po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Można tak powiedzieć.

— Ale mają sposoby, żeby rozpoznawać się między sobą.

— Tak.

Arturo zrobił dwa kroki i poprosił go, by podał mu prawą rękę: „Pozwoli pan?” Octavio zawahał się, lecz trzeźwy, uprzejmy ton Artura przełamał nieufność. Smukła, delikatna dłoń o zadbanych paznokciach była czerwonosina i zniekształcona, a kiedy Arturo mocno nacisnął kciukiem pierwszy staw, Octavio skrzywił się z bólu.

— Artretyzm — wyjaśnił. — Z zimna.

— Przepraszam.

— Drobiazg. Przypuszczam, że to sposób identyfikacji wśród braci.

— Tak. Następnie wypowiada się formułkę: be, o, a, zet — przeliterował, a potem przesunął kciukiem po szyi. — Najwyraźniej to hasło i odzew.

— Zna pan więcej znaków?

— Nie, tylko te pierwszego stopnia.

— No to odradzam chodzenie i naciskanie dłoni komu popadnie, bo to może się dla pana skończyć plutonem egzekucyjnym.

— Już mnie ostrzegano. Słyszał pan o innych sposobach?

— Nie. Pilnie strzegą swoich ceremonii. Ale jeżeli czerpał pan swoją wiedzę od Ricarda Guerry, to nie wróżę mu długiego życia.

„Wcale tak dużo nie wie...” — pomyślał Arturo.

Nagle do pokoju zajrzał jakiś żołnierz, który na ich widok znieruchomiał spłoszony. Wymamrotał przeprosiny i zniknął jak zmyty. W napięciu patrzyli na zamknięte drzwi, wstrzymując oddech.

— A co pan sądzi o tej sprawie? — przerwał milczenie Arturo.

Octavio rozprostował jedną nogę, pogładził brew i skrzyżował ramiona. Wahał się dłuższą chwilę — nie tak jednak, jakby nie wiedział, co powiedzieć, ale jakby miał zbyt wiele wersji do wyboru.

— Jest prawdopodobne, że gość osiągnął wysoki stopień w masonerii — odparł wreszcie. — Co najmniej drugi, to pewna. I że wykonuje jakiś rodzaj kary — popatrzył w podłogę, a potem wprost na Artura. — Wiadomo, czy tamci dwaj należeli do loży?

— Na razie nie mamy takich danych.

— Zresztą to nieistotne. Przysięgą objęte są wszelkie krzywdy wyrządzone któremukolwiek z braci, to mogą być równie dobrze porachunki z kimś z zewnątrz. Istnieją rytuały także na taką okoliczność. Niezwykle w tym wszystkim jest to, że nie będąc pewnym przynależności ofiar, morderca dokonuje egzekucji przewidzianych dla wtajemniczonych, i to różnych stopni... — poruszył w powietrzu palcami, jakby uderzał w niewidzialną klawiaturę — to tak, jakby... jakby to było ostrzeżenie dla kogoś, kto jest bratem, lecz nie wiadomo jakiej rangi. I tamto zdanie, niczym memento, niczym groźba... — zamachał niecierpliwie ręką, prosząc o odpowiedź.

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy, pamiętaj, On patrzy na ciebie” — przypomniał Arturo.

— Tak, jakby ostrzegał, szukał go, groził...

— Tak, to możliwe... — zamyślił się Arturo. — Ale skoro szuka kogoś innego, dlaczego zabił akurat tych dwóch?

Octavio wzruszył ramionami.

— Jakiś powód musi być. Na odpowiedź pewnie będzie pan musiał poczekać do następnej zbrodni. Bo będzie następna?

Arturo spróbował wytrzymać jego spojrzenie. Nie był przygotowany na takie pytanie. Spuścił oczy.

— Tak sądzę.

Octavio kiwnął głową i przez chwilę bawił się przypiętą do wojskowej kurtki metalową odznaką w kształcie dwóch splecionych dłoni wewnątrz laurowego wieńca. Potem z wielką uwagą studiował esy-floresy odcisnięte na

opuszce palca.

— Nie chciałbym być w jego skórze... myślę o tym człowieku, którego szuka morderca. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie chodzi tylko o zemstę? On chce jego strachu, osacza, rozkoszując się przerażeniem osaczanego.

Arturo milczał, dumając nad osobą Octavia Imaza. Mimo skromnego żołnierskiego munduru wszystko — gesty, maniery, dykcja — świadczyło o jego arystokratycznym pochodzeniu i kulturze. Arturo nie mógł się pozbyć uczucia lekkiej pretensji do życia o miejsce, jakie mu przydzieliło w swojej piramidzie; to właśnie kazało mu kiedyś przenieść się z Badajoz do Madrytu. Poglądził twarz w poszukiwaniu śladu zarostu. Z przykrością wyczuł pod palcami kilka źle ogolonych bruzd. Na domiar złego zaczęły go nagle boleć kolana, jakby to w nich skupił się cały jego pesymizm. Trudno, trzeba było rzucić karty na stół.

— Jest jeszcze inna linia śledztwa.

Zamilkł, czekając na reakcję Octavia.

— Jaka?

— Zginął falangista, a po nim wojskowy. Wszyscy wiemy, że wzajemny stosunek obu formacji daleki jest od... — starannie dobierał słowa — ideału.

Octavio popatrzył na niego tak, jakby dostał w twarz.

— A co to ma do rzeczy?

— Po prostu zastanawiam się, czy nie ma tu jakiegoś związku. Czy mogę pana o coś spytać?

— Jestem tylko prostym żołnierzem, nie wiem, co...

— Jest pan wybitnym członkiem Ruchu — przerwał Arturo, chcąc go przyprzeć do muru. — W Madrycie zajmuje pan wysokie stanowisko. Wie pan, że wielu oficerów narzeka, iż nie da się dowodzić armią, w której szeregowcy znaczą więcej od nich?

— Nadal nie widzę związku.

— W takim razie załóżmy, że jest. Oczywiście tylko teoretycznie... Proszę mnie uważnie wysłuchać, bo nie będę tego powtarzał. Powiedzmy, że ja wiele rozumiem. Rozumiem, że Falanga nie jest ani prawicowa, ani lewicowa i że wasza koncepcja Hiszpanii różni się od tego, co mamy obecnie, że jest bardziej nowoczesna, że zakłada nawet asymilację zwyciężonych, że rewolucję należy dokończyć; wiem, wszyscy teraz mówią, że byli z José Antoniem w teatrze Komedia²⁷, a za plecami przekreślają go na czerwono;

rozumiem, że „stare koszule” bronią pierwotnego programu Ruchu, podczas gdy „nowe koszule”, razem ze zwolennikami prawicy, schowały go do kufra z pamiątkami, bo wybrały władzę, posybilizm, miernotę, czyli generała Franco. — Tą ryzykowną wzmianką o Caudillo Arturo wreszcie osiągnął swój cel: wzbudził zainteresowanie Octavia. — Tak, powiedzmy w końcu, że chcą zastąpić intelektualną błyskotliwość Foxá, Laina Entralgo, Sancheza-Mazasa²⁸ ... czterema pieprzonymi nudziarzami, którzy myślą zatwardzenie z cierpieniami duszy. Nie dziwiłbym się zatem, gdyby znalazła się wśród nas garstka patriotów, którzy nie chcą, by ich poświęcenie poszło na marne, więc marzy im się, że po wygranej wojnie dywizja stanie się z pomocą Niemców zaczął nową siłą polityczną. Wiem, że tego rodzaju możliwość jest coraz mniej realna z powodu niepewnej sytuacji na froncie, a Franco nie jest głupi i już zaczął wzywać do kraju najważniejszych falangistów, żeby mieć ich na oku, bo po dymisji Serrana i Muñoz Grandesa i po tym wszystkim, co tu wycierpieliśmy, ludzie tracą zapał i coraz trudniej o nowy nabór. Dlatego wspomniani wyżej ideowcy mogliby uznać, że sami rozpoczną budowę Nowej Hiszpanii, zanim będzie za późno. A teraz o mnie. Dopóki się nie dowiem, dlaczego goście kopią się pod stołem, mogę narobić szkody, działając na oślep. Po prostu chcę usłyszeć „tak” lub „nie”, tylko tyle. I więcej już nie będę pana nagabywał, a sam przestanę się głupio narażać. No więc tak czy nie?

Octavio skrzywił się i pociągnął nosem.

— To dobre pytanie — powiedział. — Tak dobre, że nie zamierzam na nie odpowiadać, bo i tak nic by pan nie zrozumiał.

Arturo uśmiechnął się szeroko.

— A może pan jednak spróbuje? Choćby po to, żebym się wreszcie odczepił.

— A kim pan jest? — niemal dosłownie powtórzył pytanie zadane na początku ich rozmowy.

— Ja? — Arturo się zamyślił. — Ja jestem ten dobry.

W oczach Octavia mignęło rozbawienie.

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy...” — zanucił. — Bóg chyba bardzo lubi idiotów, bo stwarza ich na pęczki. Kłopot w tym, że wszystkich zsyła na Hiszpanię. Tak, Bóg nas nie rozpieszcza. Koniecznie coś z tym trzeba zrobić. Koniecznie.

Najwidoczniej nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej. Arturo odniósł wrażenie, że Octavio nagle zaczął się spieszyć, jakby liczył sekundy do wyjścia. Zrozumiał, że nie ma sensu tego ciągnąć. Postanowił zakończyć rozmowę.

— Bardzo mi się podobała pańska książka — powiedział szczerze.

— Naprawdę? Miło mi, dziękuję.

— Najpierw przestają nas wzruszać namiętności bogów, a potem nasze...
— zacytował z pamięci.

— To nieuniknione, dlatego powinniśmy dołożyć wysiłku, by lojalność wobec żołdu nie zastąpiła lojalności wobec sztandaru. Przedtem — zaakcentował słowo „przedtem”, co znaczyło: przed rządami Franco, przed zalewem ideologicznej papki, przed całą tą niepotrzebną rzezią — było o co walczyć. Nie wolno nam o tym zapomnieć.

Spojrzał na Artura jak ktoś posiadający wiedzę o sprawach, o których tamten nie powinien lub nie jest godzien wiedzieć, Arturo zaś utwierdził się w przekonaniu, iż Octavio jest kolejną niewiadomą w układance. Nie miał jednak czasu ani chęci się nim zajmować. W owym momencie Octavio Imaz Cadenas tkwił głęboko w okopach i najwyraźniej nie był gotów ich opuścić ani teraz, ani nigdy. Arturowi zaś trudno było zdobyć się na podziw wobec jego niezłomnej postawy. Dlatego odwrócił wzrok, zastanawiając się nad jakąś wymijającą odpowiedzią.

— Bardzo dziękuję za pomoc.

— Nie ma za co — odparł Octavio. — Wie pan... — zawiesił na chwilę głos — nie wolno składać broni, proszę szukać dalej. W końcu ktoś musi wymierzać sprawiedliwość.

— A więc tak czy nie?

— Życzę miłego dnia.

Octavio wstał z worka i zasalutował służbiście. Potem otworzył drzwi, poczekał, aż Arturo wyjdzie, i zgasił światło. W korytarzu uśmiechnął się z nienagannym, choć niemal niedostrzegalnym ukłonem i ruszył w stronę pokoju zajmowanego przez kompanię Watermanna. Arturo patrzył za nim, myśląc, że Pan istotnie niezbyt sprawiedliwie udziela swoich darów. W każdym tego słowa znaczeniu. Starannie zapiął hełm, wygładził mundur. Aby stawić czoło wyzwaniu niepewności, należało odsiać ziarno od plew, odróżnić logikę od wyobraźni, której pożywką było to, co prawdopodobne, to zaś żywiło się z kolei tym, co możliwe... „A co jest najbardziej możliwe?”

— pomyślał i natychmiast odpowiedział: to, że jakiś skurwiel podrzyna gardła żołnierzom i że może nim być każdy. A on, wbrew wszystkiemu, cierpliwie wytyczał linię łączącą wyznaczone punkty, z wolna zaciskając pętlę wokół prawdy. Następnym punktem będzie Paramio Pont.

Miał szczęście. Dwaj zagadnięci przezeń podoficerowie wskazali przybudówkę, dawniej zapewne przeznaczoną na mieszkanie dla służby, i powiedzieli, że o tej porze powinien zastać tam fotografa. Obszedł wokół kwaterę główną; słoneczny dysk przejrzyściał na szarym niebie, jaśniejąc lodowatym, jakby ukradkowym światłem. Na tyłach pałacyku Arturo zobaczył niewielki, przysadzisty kamienny budynek; przeznaczenie go na siedzibę Wydziału Propagandy świadczyło o wadze, jaką przywiązywano w Reichu do wyrafinowanej twórczości doktora Goebbelsa. Nic dziwnego, pomyślał, skoro prostego kaprała uczyniła Führerem narodu liczącego pięćdziesiąt pięć milionów głów. Wylegitymował się przed wartownikiem i wszedł do środka. W dużej sali, z której kilkoro drzwi prowadziło do różnych wydziałów: malarstwa, fotografii, prasy... panował zaskakujący spokój. Spieszący dokądś żołnierz z papierową teczką poinformował Artura, że część personelu udała się do Carlos Gardel — tak, zgodnie z praktyką hispanizowania miejscowych nazw, nazywano Krasnogwardiejsk — na uroczystość wręczenia odznaczeń, a reszta, w tym Paramio Pont, była na zebraniu, które powinno się wkrótce skończyć. Arturo powiesił hełm na przybitym do ściany wieszaku i usiadł na stojącym w kącie fotelu. Obok piętrzyły się w stertach gazety i magazyny. Wziął kilka i zaczął je przeglądać. Wszędzie było to samo: Wehrmacht nie ponosił klęsk, miewał tylko niepowodzenia, nie prowadził wojny pozycyjnej, lecz mobilną obronę. Owa mieszanina sugestii i samookłamywania, pełna niuansów i subtelnych odcieni, odzwierciedlała charakterystyczny styl nazistowskiej propagandy. Zręczność, z jaką hitlerowscy alchemicy potrafili odwrócić znaczenie słów i obrazów, ta szczególna umiejętność kreowania rzeczywistości, zawsze wywierała na Arturze ogromne wrażenie. A jednak, pomyślał, nie całą zasługę czy też odpowiedzialność należy przypisywać autorom, ponieważ kłamstwo takich rozmiarów wymaga nie tylko biegłości, ale i tego, by ludzie chcieli być okłamywani. Kiedy tak siedział zatopiony w owych rozważaniach, w najdalszym kącie sali otworzyły się drzwi, z których, jeden po drugim, zaczęli wychodzić wojacy. Arturo wstał, wypatrując wśród nich

Paramia. Dostrzegłszy go, podszedł, zasalutował i wręczył mu mocno już sfatygowany rozkaz Navajasa del Río. Fotograf czytał, a Arturo z ciekawością przyglądał się drobnej, trochę mysiej twarzy i prężnej sylwetce o długich ramionach. Oceniał go na jakieś czterdzieści lat. Doszedł do wniosku, że jest sympatyczny, chociaż z lekka postrzelony. Na czole Paramia pojawiły się ledwie widoczne zmarszczki.

— I czego pan ode mnie oczekuje?

Mówił szybko, nie robiąc pauz.

— Chcę zobaczyć zdjęcia Agustina Covisy i zadać kilka pytań. Nie zabiorę panu dużo czasu.

— Żaden problem — odparł fotograf z uśmiechem. — Bo niby jaki?

Wsadził ręce do kieszeni i skierował się do lewego skrzydła budynku. „Nie przypominam sobie pańskiej twarzy” — odezwał się tonem proboszcza, który zna wszystkich parafian i nagle widzi kogoś nowego. „Trudno znać całą dywizję” — odrzekł Arturo. „Można, można” — zaproponował Paramio. „Chce mi pan wmówić, że zna wszystkich wojaków?” — zapytał z niedowierzaniem Arturo. „Wszystkich, którzy zrobili sobie jakieś zdjęcie” — odrzekł fotograf. Arturo nie był pewien, czy to nie żart. „Pan na przykład nie zrobił sobie żadnego” — dodał Paramio i zachichotał cicho. „Źle wychodzę” — mruknął Arturo. Fotograf nie odpowiedział i otworzył drzwi. W nozdrza uderzył ich kwaśny zapach, a we wlewającym się przez wielkie okno światło ukazały się długie drewniane stoły zastawione kuwetami, flaszkami rozmaitych rozmiarów, gilotynami do cięcia zdjęć, lupami... Nad tym wszystkim rozpięta była pajęczyna sznurków, z których zwisały długie pasma klisz oraz suszące się fotografie. Paramio poruszał się wśród owych okruczeństwa rzeczywistości niczym epileptyk w transie: wsuwał ołówek za ucho, majstrował przy obiektywie jakiejś leiki... Widać było, że jest w swoim żywiole, wręcz uszczęśliwiony. Arturo tymczasem skorzystał z okazji, by zerknąć na zdjęcia. Większość z nich zrobili amatorzy tylko po to, by narzeczonym, rodzicom i przyjaciołom dać powód do dumy, albo po prostu na pamiątkę: marsowe pozy, karabin w dłoni, często na pocztówkowym tle soboru Świętej Zofii i nowogrodzkiego kremla albo pałaców Puszkina. Wszystkie były równie dalekie od rzeczywistości. Arturo nie dostrzegł żadnego ujęcia bezkresnych śniegów, ani śladu zasieków, ani jednego z setek poczerniałych wraków zaścielających białą jak mleko równinę. Z tych samych powodów w swoich listach nigdy nie pisali o krwi, strachu, głodzie i

niezmienianych miesiącami skarpetkach.

— A podobno nie lubi pan zdjęć — powiedział rozweselony Paramio Pont.

— Źle mnie pan zrozumiał — odparł Arturo, spoglądając ponad jego ramieniem. — Lubię zdjęcia, ale nie lubię oglądać na nich siebie.

— Ciekawe. Zupełnie jak wieśniacy.

— Kto?

— Niektórzy z tutejszych muzyków nawet nie drgną pod ostrzałem artylerii i myśliwców, ale trzęsą się na widok kamery.

— Dlaczego?

— Sądzą, że ukradną im duszę.

Arturo znów jął w skupieniu przeglądać ów zbiór akt życia: mimo znikomego upływu czasu zdawały się już pokryte wiekową patyną, która sprawia, że wszystkie fotografie z dawnych lat są do siebie podobne.

— To ma sens — orzekł, po czym zmienił temat rozmowy. — W dywizji bardzo pana cenią.

Paramio, z rękami w kieszeniach, wzruszył ramionami.

— Miło, że pan mi to mówi, ale nie mają wyboru. Jestem tu jedyny.

Arturo uśmiechnął się, a Paramio wyszczerzył w odpowiedzi szczerbate zęby.

— Ale widać, że pan to lubi.

— Pewnie, że lubię. Do niczego innego się nie nadaję.

— Od dawna pan się tym zajmuje?

— Czy od dawna? Przez całe życie. Kiedy miałem piętnaście lat, wygrałem na loterii aparat fotograficzny i tak się zaczęła moja pasja. Potem praktykowałem w atelier, ucząc się zawodu... pamięta pan te stare skrzynkowe aparaty? Potem poszedłem na swoje. Jako uliczny fotograf zjeździłem pół Hiszpanii, drugie pół zresztą też. Wreszcie pojechałem do Madrytu, przez jakiś czas pracowałem w różnych gazetach, później otworzyłem własne atelier, jeszcze później wybuchła wojna i musiałem zamknąć interes, no i trafiłem tutaj. Nie potrafię usiedzieć na dupie.

Wyjął rękę z kieszeni, sięgnął po zatknięty za uchem ołówek i podłubał nim w sterzących z małżowiny włosach. Arturo poczuł lekki wstręt, lecz pomny niemal autystycznego milczenia innych świadków uznał, że to niewysoka cena za pierwszego w tym śledztwie gadułę.

— Był pan wczoraj w Molewie? — zagadnął.

— A byłem, byłem. Napatrzyłem się do syta.

— Ja pytam, czy ma pan już zdjęcia.

— Prawie wszystkie. Do wywołania zostało jeszcze kilka.

— Świetnie. Ale najpierw chciałbym porozmawiać.

— Pan tu rządzi. — Wyjął ołówek z ucha i obrócił w palcach, strząsając przyklejoną na czubku woszczynek.

— Widzi pan... Jak zobaczyłem pańskie fotografie, coś mi przyszło do głowy... Pomyślałem, że umie pan patrzeć, patrzeć w szczególny sposób, i że być może zobaczył pan coś, czego ja nie zauważyłem. Pytam więc: co może mi pan powiedzieć na temat Agustina Covisy?

— Nieboszczyka? — Paramio odłożył ołówek. — Może pan nie uwierzy, ale dużo myślałem o tym Agustinie. O tym poprzednim też, tym... — bezskutecznie usiłował przypomnieć sobie imię. — Widzi pan, to było dość dawno, w maju trzydziestego piątego, tak mi się przynajmniej wydaje. Nie wiem, czy to przypadek. Nie wiem. Ale to ciekawa rzecz.

— Co takiego?

— Pracowałem dla „ABC”, wtedy to była czerwona gazeta, pamięta pan? Kto by pomyślał... na pierwszej stronie widniało jak byk: „Wiwat Republika”, płacili od każdego opublikowanego zdjęcia, starczyło, żeby nie umrzeć z głodu. Któregoś dnia wysłali mnie na ulicę Alcalá... Nie wiem, czy przypomina pan sobie, że było tam biuro podróży, Cook czy jakoś tam. Zna pan Madryt, prawda?

— Tak, tak, oczywiście.

— To było bardzo znane biuro, z witryną pełną lokomotyw i transatlantyków. Często przystawałem tam i patrzyłem, zwłaszcza na ogłoszenia o rejsach do Skandynawii... Słońce o północy... wyobraża pan sobie?

— Nie, ale proszę mówić dalej.

— Więc tam, na zapleczu, znaleziono zwłoki. Gazeta wysłała mnie, żeby zrobić kilka zdjęć, to rutyna. No i patrz pan, truposz miał odciętą głowę i pocięte oczy, jak w tym filmie o psie andaluzyjskim, a ta szklista maź ze środka wypływała kroplami. Najdziwniejsze, że to była taka schludna robota, ani śladu krwi. A głowę zostawili na biurku... Widział pan świńskie łby w rzeźni, leżące na marmurowym blacie? Właśnie tak... Dlatego kiedy zobaczyłem tego waszego Agustina, pomyślałem sobie: kurwa, zupełnie jak tamten, może nawet załatwił go ten sam czubek. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

Po tym, co właśnie usłyszał, Arturo utwierdził się w przekonaniu, że zbiegi okoliczności nie istnieją, bo wszystko łączy znacząca i sekretna więź, choć tajemniczy scenarzysta życia wykazuje niejaki zamiłowanie do kiczu. Według Octavia Imaza był to rytuał egzekucji wtajemniczonych trzeciego stopnia. Właściciel biura był, bez najmniejszych wątpliwości, masonem. Czym zawinił?

— Jedna jaskółka nie czyni wiosny — odparł Arturo wymijająco, wzruszając ramionami.

— Być może, ale dziwne było i to, że kiedy wzięliśmy się do roboty, zjawilo się dwóch facetów w cywilu, którzy odesłali nas do domu, kazali policji obstawić całą ulicę, zamknęli biuro, zabrali mi rolkę i delikatnie dali do zrozumienia, że niczego nie widziałem i nie słyszałem, chyba że mam ochotę przespać parę nocy w piwnicach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, i krzyżyk na drogę, *adieu*. Nazajutrz ani radio, ani gazety nie zająknęły się słowem o żadnym nieboszczyku.

Arturo nie uznał za wskazane poszerzać wiedzy Paramia na temat masonerii. Okazał umiarkowane zainteresowanie opowiedzianą przezeń historią i potarł dłonią policzek.

— Coś jeszcze?

— Z tego, co pamiętam...

— Doskonale. Mogę zobaczyć te fotografie?

— Już mówiłem, że jeszcze nie wszystkie wywołałem.

— Zróbmy to teraz.

Paramio zawahał się, niepewny, czy wpuścić go do ciemni, czy poprosić, żeby zaczekał na zewnątrz. Arturo zrozumiał jego opory.

— Nie będę przeszkadzał — obiecał.

Nelinearna, chwiejna reakcja Paramia i sposób, w jaki uderzał prawą pięścią w lewą dłoń, świadczyły o tym, że nadal grzęźnie w marazmie niezdecydowania. Wreszcie mrugnął porozumiewawczo i odzyskując myślną nerwowość ruchów, ledwie dostrzegalnym gestem podbródka wskazał Arturowi drzwi w głębi pokoju. Przekroczywszy próg, znaleźli się w maleńkiej komórce, z trudem mieszczącej dwie osoby. Wcisnęli się jakoś, jeden za plecami drugiego. Suchy trzask, czerwony prześwit w drugich drzwiach, które otwały się szeroko, i zalał ich przytłumiony szkarłatny blask. Pokoik był niewiele większy od klitki Artura. Z sufitu zwisały barwione na czerwono żarówki, a na sznurkach schły wstęgi negatywów i

wilgotnych jeszcze fotografii. Unoszące się wokół biało-czarno-różowawe zjawy perfekcyjnie wypełniały zadanie tego miejsca: przeobrazić gniewną nostalgię w nostalgię melancholijną. „Bierzmy się do roboty” — szepnął Paramio. Pracował przez kilka minut z powiększalnikiem, naświetlając halogenek srebra na papierowym prostokącie, po czym, pochylony nad blatem zastawionym rzędami kuwet napełnionych do połowy płynami wydzielającymi kwaśny zapach, rozpoczął rytuał, w którym oględna precyzja gestów zastąpiła niedawną nerwową ruchliwość. Jego wprawne oczy zsynchronizowały się z rękami, gdy za pomocą drewnianej pęsety zanurzał pokryty emulsją papier w wywoływaczu, niemal z czułością przesuwając nim po dnie kuwety. Arturo trwał w bezruchu, skąpany w krwawej poświacie żarówek, asystując owej nadprzyrodzonej chemii, która krystalizowała ludzkie pragnienie zatrzymania czasu. Stopniowo twarz Agustina Covisy wyłaniała się z wieczności; z początku zamazana, utajona, a potem coraz bardziej i bardziej widoczna, aż resztki nicości rozpląnęły się i powstał wyraźny portret zmarłego.

Arturo nawet nie próbował ukryć podziwu.

— Nie do wiary.

Paramio przytaknął z zapalem.

— Wywoływanie wrózek. Tak to nazywam.

Ostrożnie wyjął ociekające zdjęcie, zanurzył w kwasie octowym, potem w utrwalaczu, a na koniec w kuwecie z wodą, by oczyścić je z resztek odczynników. Gotową fotografię powiesił na rozciągniętym pod sufitem sznurku i obaj uważnie ją obejrzel, szukając czegoś, co w Molewie mogło umknąć ich uwagi. Niczego takiego nie znaleźli, więc Paramio poddał swoim czarom pozostałe negatywy. Cała godzina minęła tak niepostrzeżenie jak obrót słonecznika za słońcem. Przy ostatnim zdjęciu, zrobionym w tak dużym zbliżeniu, że oczy Agustina Covisy zdawały się przyglądać im badawczo, Arturo doznał natchnienia.

— Mówią, że w źrenicach ofiary odbija się twarz mordercy. Może zrobimy powiększenie?

Powiedział to z całym przekonaniem, lecz na widok uniesionych brwi Paramia poczuł smagnięcie rozsądku, trzeźwiące dzieciinną łatwowierność.

— Niektórzy to mają wyobraźnię — stwierdził fotograf i zmarszczył nos, co jeszcze bardziej go upodobiło do węszącej myszy.

Arturo z wdzięcznością pomyślał o opatrnościowym oświetleniu, które

zamaskowało nagły rumieniec na jego policzkach. Przeklął znowu swoją nieprzewidywalną naiwność. Tymczasem Paramio oparł się ostrożnie o blat i niemal przykleił nos do wilgotnej jeszcze emulsji pokrywającej papier. Niezadowolony z czegoś poszperał w stercie negatywów i wyciągnął lupę, którą przytknął do twarzy Agustina Covisy. Wpatrywał się w coś pilnie przez kilka chwil, mamrocząc do siebie. Arturo spojrział na niego, zaciekawiony.

— Światło — odparł Paramio pełen satysfakcji. — Proszę popatrzeć.

Podał mu lupę, po czym wykonali coś w rodzaju kontredansa, by zamienić się miejscami w ciasnej przestrzeni ciemni. „Niech pan patrzy na oczy, na oczy” — powtarzał fotograf. Arturo przysunął szkło do ziarnistego, czarno-białego obrazu; mimo najlepszych chęci nie mógł dostrzec tam nic poza parą jasnych oczu.

— A co tam jest? — zapytał.

— Światło — odrzekł z naciskiem Paramio. — Tam jest światło.

Arturo nadal nie widział w tym żadnego sensu, więc zniecierpliwiony Paramio zabrał mu lupę i przytrzymał nad okiem nieboszczyka.

— Źrenica jest zwężona. To dziwne, bo skoro pan mówi, że zabili go około czwartej, to znaczy, że właśnie zapadał zmierzch. Kiedy tam dotarłem, było już ciemno. Musiałem użyć flesza.

— I co z tego wynika?

— To, że kiedy umierał, coś się świeciło.

— Nie rozumiem.

— Na przykład ognisko, cokolwiek.

— Ale przecież niczego nie znaleźliśmy.

— Źrenice są zwężone — odrzekł fotograf z taką miną, jakby powiedział wszystko.

Arturo odizolował swój umysł od wszelkich dodatkowych bodźców: przede wszystkim nie przypominał sobie, by Octavio Imaz wspominał coś o świetle podczas rytualnych egzekucji, skąd się zatem wzięło? Na razie nie miał zamiaru się w to wgłębiać, ale postanowił mieć ów fakt na uwadze.

— Będę o tym pamiętał. Może mi pan dać odbitkę?

— Proszę wziąć tę, zrobię sobie drugą. Ale trzeba trochę poczekać, bo jest mokra.

— Długo będzie schnąć?

— Dwadzieścia minut, nie więcej.

— To poczekajmy.

Paramio kiwnął głową i wyszedł pierwszy, a za nim Arturo. Znalazłszy się w pokoju, fotograf wziął leżącą na stole fajkę i postukał nią w dłoń.

— Światło... — przemówił, sprawdzając, czy w główce nie ma popiołu — światło jest najważniejsze. Nie bez powodu Pan Bóg najpierw uczynił światłość. — Zaczął nabijać fajkę tytoniem, który wyjmował po trochu z kapciucha. — A jak tam pańskie sprawy? — zainteresował się nagle.

Arturo odniósł wrażenie, że pytanie to pozbawione było chorobliwej, typowo iberyjskiej żądzы plotek. Być może dlatego zdobył się na szczerłość.

— Przejebane.

Paramio uśmiechnął się ze zrozumieniem, prezentując szczerbate zęby. Zapalił fajkę. Aromatyczna woń rozniosła się w całym pomieszczeniu.

— Nie wiem dlaczego, ale tutaj tytoń smakuje lepiej niż w Hiszpanii — powiedział, kontemplując kółka dymu.

Podczas gdy Paramio palił w skupieniu, Arturo przeszedł się po pokoju, zaglądając tu i tam, aż wreszcie jego uwagę zwróciły aparaty fotograficzne, dwie leiki z obiektywami zwróconymi na sufit. Przypomnił sobie o dziwnym upodobaniu Paramia do włączęgi po okolicach Puszkina.

— Ludzie mówią, że naraża pan własne życie dla tych zdjęć... — zagadnął, wskazując na aparaty.

— Po pracy zbieram fotki do albumu. Może pan zerknąć. — Possał fajkę i machnął cybuchem w kierunku sterty teczek. — Niech pan otworzy tę z wierzchu.

Arturo odsunął gumkę spinającą tekturowe okładki. W środku były fotografie, głównie portrety żołnierzy, niektóre pozowane, inne uchwycone z nienacka. Arturo wyjął jedno zdjęcie i z pytającym wyrazem twarzy pokazał je z daleka Paramiowi.

— Nie, nie, przepraszam, pomyliłem się, niech pan weźmie inną. To są prace Cecilia.

— Don Pic... to jest sierżanta Cecilia? — zapytał zdumiony.

— Tak, sierżanta. Przynosi mi sporo klisz do wywołania. Lubi fotografować.

— No, no... Kto by pomyślał!

Nie potrafił sobie wyobrazić don Picusia Glancusia oddającego się czczej rozrywce. Posłusznie zamknął teczkę i otworzył drugą. Zobaczył plik fotografii. Wybrał kilka na chybił trafił: strumień niosący tysiące białoróżowych płatków; fale jeziora, zastygłe, zamrożone w kruchej

termicznej równowadze; połyskujące kroplami deszczu pajęczyny, oblepione płatkami kwiatów; wojacy gotujący paellę lub — ku zdumieniu tubylców — nacierający nagie ciała świeżo spadłym śniegiem... Wszystkie były piękne i miłe dla oka, lecz niespodziewanie obrazy zaczęły się zmieniać. Stały się mroczne, złowrogie: rosyjscy żołnierze tkwiący w zaspach po pas, nieruchomi, ze sztywno wyprostowanymi rękami... trupy, z których Niemcy zrobili drogowskazy; rzędy rozprutych bombami domów otoczonych czarnym gruzem; wybebeszone czołgi z ciałami strzelców zwisającymi bezwładnie z wieżyczek; inwalidzi, których pełne upokorzenia oczy mówiły o utracie nie tylko nogi lub ręki, ale przede wszystkim dumy; rosyjskie dzieci, które troskliwie owijały szmatkami pociski, jakby to były lalki... Wszystko, co nigdy nie ukaże się w gazetach, żywy dowód na to, że fotografia mogła zarówno dawać świadectwo prawdzie, jak i nią manipulować. Arturo zerknął na Paramia, który z wyraźną satysfakcją napawał się jego zaskoczeniem. W tym momencie rozległo się natarczywe stukanie do drzwi. Fotograf odłożył fajkę na stół i poszedł otworzyć. Pogadał krótko ze stojącym za nimi wojakiem i odwrócił się do Artura.

— Muszę iść, mam robotę. Proszę chwilę poczekać.

Zniknął w ciemni, lecz już po chwili był z powrotem. W ręku trzymał trochę jeszcze wilgotną odbitkę. Ostrożnie, jakby była ze złota, wsunął ją do plastikowej obwoluty.

— Proszę. I niech pan nie traci ducha. Potrzeba tylko cierpliwości.

— Moja właśnie się kończy — westchnął Arturo. — Nie jestem świętym.

— Cierpliwość nie ma nic wspólnego ze świętością.

— A niby z czym?

— Z inteligencją na pewno.

Zabrał fajkę, ekwipunek i aparaty. Wyszli razem i pożegnali się przed bramą. Kiedy Arturo został sam, zaczął zachłannie wypatrywać słońca, jakby zgubił je gdzieś wśród śniegów; próbował przebić wzrokiem białą zasłonę, która matowiła niebo. W oddali dostrzegł niespokojne punkciki samolotów; w bojowym szyku sztukasy leciały bombardować Leningrad. Śledził je, dopóki nie znikły. Zastanawiał się, jak wróci do Miestielewa, kiedy coś przykuło jego uwagę. Siedzący pod okapem biały ptak o krótkim dziobie, niebieskich skrzydłach i takiej samej szyi. Pierzasta kulka sfrunęła w dół: podskakiwała i wydziobywała coś spod śniegu, rozdokazywana, beztroska, zostawiając w białym puchu drobne, delikatne ślady. Wreszcie przysiadła i

znieruchomiła, podczas gdy wiatr przeczesywał palcami jej pióra; potem rozpostarła skrzydła i wzbiła się w niebo. Tyle piękna na świecie, a tak mało chwil pokoju, by można się tym pięknem cieszyć. Przypomniawszy sobie zdjęcia. Te piękne. Te groteskowe. Przypomniawszy sobie Zirę. To wszystko też fruwało, ale nisko, o wiele niżej.

Ciężarówka, która podwiozła go do Miestielewa, wjechała w sam środek wrącego w obozie oblężenia; warkot motorów, baterie Flak przetaczające się z jazgotem samobieżnych gaśnic, żołnierze maszerujący w szyku, uczeplieni samochodów, stojący na przodkach dział... Arturo ominął, jak mógł, ów tumult i poszedł do siebie. Pod drzwiami czekał na niego Espinosa. Obaj byli zmęczeni i mówili niewiele; przywitali się, weszli, usiedli naprzeciw siebie, jeden na krześle, drugi na pryczy. Sierżant wyjął metalową piersiówkę, napełnił nakrętkę i podał Arturovi. Ten przytknął ją do ust, potrząsnął i wlał alkohol prosto do gardła. Potem napił się Espinosa, naśladowując dokładnie ruchy Artura. Zakręcił korek, schował piersiówkę i przerwał milczenie.

— Kapitan Larios przesyła wam pozdrowienia i zachęca, żebyście dalej szukali jakiejś namiętności. Powiedział, że rozumiecie, o co chodzi.

— Mam wrażenie, że już nic nie rozumiem — odparł Arturo z nagłym zniechęceniem.

— Nie rozumiecie czy już nie chcecie zrozumieć?

Cios był celny. Arturo popatrzył na Espinosę ze znużeniem.

— Wielkie dzięki — odpowiedział.

— Za co?

— Za współczucie.

— Wy nie chcecie współczucia.

— Może i tak.

Sierżant zeszytniał, a jego profil stał się jeszcze bardziej orli.

— Z pewnością nie.

Może i tak, pomyślał znowu Arturo.

— Tak czy inaczej wszystko jedno — ciągnął Espinosa — bo musimy się pospieszyć. Mamy coraz mniej czasu.

— A co u ruskich?

— Już chwycili noże w zęby. Pytanie, kiedy zaatakują. Wczoraj w kwaterze głównej złapano kolejnego szpiega. Nie ma dnia bez jakiejś bójki.

— Czyli czas działa przeciwko nam.

— Macie coś jeszcze do roboty?

— Tak, wyjechać na urlop, trafić szczęśliwy numer...

— Wygląda na to, że wracacie do formy.

— Mus to mus.

Espinosa jakby się uśmiechnął; widocznie wrzód dał mu trochę odetchnąć.

— W sprawie ciała Agustina Covisy niewiele mamy nowego — zaczął. — Wyrwali mu serce, pomagali sobie nożem albo innym ostrym narzędziem. Przyczyna śmierci jest jasna. Godzinę, między drugą a czwartą, potwierdził kapitan Larios. — Przerwał na chwilę, żeby wszystko ułożyć sobie w głowie. — Krew była — podjął przerwany wątek. — Brak oznak przemocy, pominąwszy ślady sznura na rękach oraz zdanie wyryte na piersi. To nie była taka czysta robota jak za pierwszym razem, ale równie sprawna.

Arturo pomyślał o źrenicach Agustina Covisy.

— Czy kapitan mówił coś o oczach?

— Co na przykład?

— Nie wiem, cokolwiek.

— Nie, nic.

— Wiadomo, w jakich kręgach obracał się denat?

— Popytałem tu i tam. Był lubiany, taki dowcipniś, ale w granicach rozsądku. Pił nie więcej niż wszyscy, żadnych skłonności do wiolety. Całkowite przeciwieństwo Luisa del Águila.

— Czy bywał ostatnio nerwowy albo zachowywał się jakoś inaczej?

— Z tego, co wiem, to nie.

— Dziwne. Skoro zlikwidowano Luisa del Águila, a Covisa miał coś wspólnego z tą historią, powinien być co najmniej zaniepokojony. Jakiś związek z kapelanem?

Wzmianka o ojcu Ramonie wywołała błysk w oczach Espinosy.

— Nie mam na ten temat żadnych wiadomości — odpowiedział.

Arturo kiwnął głową i wskazał leżącą na łóżku torbę.

— Przejrzałem jego rzeczy. Nic. Kompletnie nic. A jeśli idzie o to, czego ja się dowiedziałem...

Kilka sekund zajęło mu ustalenie, o czym Espinosa powinien wiedzieć, a o czym nie. Następnie zdał obszerną relację ze swoich poczynań, włączając w nią prawomyślną część uwag Octavia.

— Czyli — podsumował sierżant — Ricardo Guerra miał rację z tymi masonami.

— Perfektybilistami.

— Perfektyjakość. A więc możemy ostatecznie wykluczyć kolejną wojnę domową.

— Tak, sędzę, że można zaufać słowom Octavia Imaza. W przeciwnym wypadku w rozgrywkach pomiędzy armią i falangistami mielibyśmy remis, a trudno przypuszczać, żeby aż w ten sposób odpłacali sobie pięknym za nadobne.

— W takim razie czego szukamy?

— Z tego, co mówił Misza, to kogoś wysokiego, szczupłego, wystarczająco silnego, by udźwignąć Luisa del Águila. Kogoś, kto dokonuje zemsty wedle masońskich rytuałów i jest nieźle wkurzony, bo nad Luisem się pastwił, a z Agustinem Covisą postąpił wręcz nieludzko. Tak, kogoś bardzo sprytnego, kto ma swobodę ruchów i najprawdopodobniej pochodzi z Walencji.

— Ja pochodzę z Walencji — powiedział z naciskiem Espinosa.

— Wiem... Nie chciałbym wpakować pana w kłopoty.

— Tamtego dnia byłem w Carlos Gardel, w zaopatrzeniu. Mam świadków, którzy to potwierdzą.

— Dzięki. A wracając do tematu, kogoś takiego właśnie szukamy.

— Co teraz?

Ledwo wypowiedział ostatnią sylabę, głośno zadzwonił telefon. Arturo podniósł słuchawkę. Po kilku sekundach, w ciągu których rysy jego twarzy coraz bardziej tężały, rozłączył się i popatrzył na Espinosę.

— Teraz? — powtórzył, wyjmując list Luisa del Águila i chowając go razem ze zdjęciem Agustina Covisy. — Teraz zobaczymy więcej, niż będziemy mogli zapomnieć.

Piloci bojowi uwielbiają pełnię księżyca

Noc stała się dniem. Potężne snopy światła szukały samolotów, zmieniając odcień i kształt zależnie od tego, czy natrafiły na chmurę, maszynę czy ciemność, co sprawiało wrażenie jakiejś fantastycznej inscenizacji. Junkersy nadlatywały falami nad Leningrad, niosąc grozę w swoich brzuchach, a działa przeciwlotnicze obsypywały niebo różami wybuchów. Nocnych nalotów dokonywano z drobiazgową punktualnością; od ósmej wieczorem do czwartej rano Luftwaffe zrzucała bombę za bombą na miasto, by udręczyć je zarówno fizycznie, jak i psychicznie. To ponure widowisko tchnęło jednak jakimś przewrotnym pięknem. Dziwne czerwone rozbłyski, widmowe iluminacje, olbrzymie fosforyzujące widziadła. Noc płonęła, zwijała się niczym suchy liść w ogniu i żadne ludzkie oko nie mogło uciec, choćby na krótką chwilę, od widoku owego całopalenia. Wśród tysięcy par oczu będących tego świadkami były też oczy Artura, któremu po głowie tłukła się jedna jedyna myśl: gdzieś, nie wiadomo gdzie, oglądały ów spektakl inne oczy, oczy mordercy.

— Chodźmy. Nie ma się na co gapić.

Popędzał go ten sam żołnierz, który po tym, jak tajemniczy głos wskazał miejsce spotkania i umówioną godzinę, spełnił obietnicę majora Reyesa Zarauzy i zawiózł Artura do Krasnego Boru. W czasie jazdy wręczył mu obszerny raport, który Arturo przeczytał z wielką uwagą. Zgodnie z tym, co tam napisano, Galo Rodríguez alias Bumtarabum był dowódcą sekcji szturmowej 262 pułku w „fabryce krokodyli”, najbardziej niebezpiecznej pozycji na linii frontu. Kilkakrotnie odznaczony za odwagę, budzący lęk wrogów i respekt przyjaciół, z wielkim talentem wymyka! się śmierci i wciąż jeszcze nie napisał ostatniego rozdziału swego życia, poświęconego bez reszty osobistej i bezpardonowej grze z kostuchą. Wybuch wojny domowej

zaskoczył go w Eskurialu, gdzie został aresztowany wraz z ojcem i dwoma braćmi, a potem wszystkich uwięziono w San Antón, gdzie stali się uczestnikami mrocznych wydarzeń w Paracuellos del Jarama²⁹. Patrzył, jak milicja ludowa morduje jego bliskich. Sam też, w wieku zaledwie dwudziestu lat, stanął przed plutonem egzekucyjnym. Na sekundę przedtem, zanim zabrzmiała salwa, zemdlął ze strachu. Uratował go pośpiech oprawców, którzy chcąc jak najszybciej zatrzeć ślady masakry, pogrzebali go żywcem we wspólnym dole, pod stertą trupów. Kiedy się ocknął w straszliwych ciemnościach, musiał przeleżeć jeszcze wiele godzin, zanim ukradkiem, pod osłoną nocy, o własnych siłach wykopał się z grobu. A ponieważ przeszłości nie da się wymazać. Galo Rodríguez był człowiekiem wewnątrznie rozbitym, nie zrównoważonym i nieprzewidywalnym, fanatycznie nienawidzącym komunizmu. W pewnej chwili skręcili w boczną drogę brukowaną kocimi łbami, kierując się w stronę lasu, który gęstniał, w miarę jak oddalali się od szosy. Na końcu roślinnego tunelu ujrzeni kilka chat; zanim ujechali sto metrów, zostali zatrzymani przez wartownika, który zapytał o hasło. Ogromny księżyc w pełni brał we władanie niebo, oświetlając okolicę i wydobywając z ciemności każdy kształt, co pozwoliło Arturowi dostrzec jeszcze dwóch wartowników; wówczas zrozumiał, że to nie zabawa. Żołnierze kazali im zostawić samochód, zabrali broń Arturowi i ruszyli za nimi krok w krok.

— Chodźmy, chodźmy — poganiał wojak.

Arturo przestał patrzeć w stronę Leningradu i przyspieszył kroku. Było tak zimno, że przewodnicy musieli schować karabiny do futerałów, a kiedy wreszcie stanęli przed drzwiami przycupniętej na uboczu chaty — dziwaczny francuski napis FRISEUR wskazywał na jej dawną surrealistyczną kondycję salonu sztuki fryzjerskiej — z trudem łapali dech. Tu znów dopełnili protokołu wymiany haseł. Wnętrze przypominało wszystkie widziane przez nich izby: ten sam półmrok, ten sam wilgotny zaduch, te same świece Hindenburga i lampka płonąca przed obrazem Matki Boskiej Kazańskiej. Pod jej surowym wzrokiem siedziało na klepisku ośmiu graczy, otaczając kręgiem kogoś w rodzaju mistrza ceremonii, a wokół nich utworzył się drugi, zewnętrzny krąg licznie zebranych widzów, zajętych obstawianiem wyników. Wyglądało to na zgromadzenie narodów: mundury sojuszniczej armii fińskiej, włosowców, żołnierzy jednostek tureckich, chorwackich,

holenderskich, rumuńskich, norweskich... oczywiście nie mogło wśród nich zabraknąć uniformów niemieckich esesmanów i hiszpańskich wojaków. Arturo trafił akurat na początek kolejnej tury. Wmieszał się w tłum, obserwując, jak oficjant pokazuje wszystkim rewolwer, sowiecki nagan, jak otwiera bębenek i wkłada do niego kulę. Zaryglował zamek z suchym szczękiem, zakręcił cylindrem i zakrył go ręką. Dopiero potem wręczył broń jednemu z graczy, który chwycił ją zdecydowanym ruchem; napięcie stało się wówczas równie namacalne jak panująca w izbie duchota. Zawodnik nosił czapkę z koziego futra i lapońskie boty ze skóry renifera, szwem na wierzch, a kościstej twarzy o pięknych surowych rysach nie powstydziliby się żaden z bohaterów *Kalevali*. Bez wahania przystawił lufę do podbródka i nacisnął spust. Głuchy trzask iglicy wywołał natychmiastową potrójną reakcję: szmer, wzdrygnięcie się ciała i przepływ pieniędzy z ręki do ręki. Celebrans bez słowa odebrał broń i kolejno odprawiał tę samą liturgię z udziałem innych uczestników, z których jednak żaden nie przeniósł się do wieczności. Po ostatnim pustym wystrzale towarzysz Artura szepnął mu na ucho, że jeden z graczy, ten mały i szpetny, to Bumtarabum. W tym samym momencie Arturo uświadomił sobie, po pierwsze, możliwość utraty najważniejszego świadka, a po drugie — własną głupotę, nie przewidział bowiem, że Galo Rodríguez też przystąpi do gry; żeby naprawić ów straszny błąd, zaczął przepychać się przez tłum widzów, ale wojak przytrzymał go za ramię i syknął ostrzegawczo: „Zatrzymanie ruletki jest zabronione”. Arturo nie miał czasu się wyklócać; następna kula już znalazła się w komorze i rozpoczynała się druga kolejka; i tym razem nikt nie zajrzał w puste oczodoły śmierci. Dołożono trzeci nabój; wszyscy zdawali sobie sprawę z malejących szans. Bumtarabum zachował kamienną twarz, której wyraz nie zmienił się nawet wtedy, gdy tuż obok rozległ się głośny huk, a widzów, stłoczonych za plecami pechowego gracza, opryskał deszcz krwi i strzępków mózgu. Śmierć po raz pierwszy tej nocy scalała trójkąt: proch, metal i ślepy los, a taniec sępów rozpętał się na dobre. Wyniesiono trupa, krąg się zacieśnił. Tylko tyle. Arturo z odrazą zacisnął szczęki, starał się jednak nie tracić spokoju, w sprzecznym pragnieniu, by nikt już nie zginął i by zginęli wszyscy oprócz Gala. Bestialska gra trwała dalej w najlepsze, dopóki na placu boju nie pozostał jedynie Bumtarabum, jakiś Turek i jedna pusta komora bębenka. Zapadła cisza tak głęboka, że słyhać było, jak w żyłach tętni krew; arbiter przystąpił do ceremonii niby kapłan oddający cześć bożkowi spowitemu w

zakrwawione bandażę. Rozpocząć miał Galo. Nie wahał się ani przez chwilę; szybko, sprawnie nacisnął spust, nawet nie mrugnawszy okiem. Po izbie rozszedł się pomruk nabożnego lęku zmieszanego z osłupieniem. Nadeszła kolej Turka; miał smagłą cerę, równo przyciętą brodę i czarne, gęste brwi nad oczami jak dwa węgle. Kiedy podali mu rewolwer, chwycił go mocno, choć ręka drżała mu lekko od nadmiaru adrenaliny. Wolę miał silną, ale w miarę jak podnosił lufę, czerwona nić strachu omotywała go z wolna, zniekształcając twarz i nadając pulsującej w żyłach krwi kataleptyczny rytm. To były zaledwie sekundy, ale samobójstwo jest aktem wiary, a ów człowiek miał jej za mało. Pokonany, opuścił broń, zupełnie tracąc ducha, aż ręka z rewolwerem bezwładnie spoczęła na podłodze. W głowie Artura znów zabrzmiały słowa Erundiny del Águila. „Jaka jest cena takiego upodlenia, Luisie del Águila? — zapytał w duchu. — Czemu ma służyć tyle cierpienia?” „To pokuta... — odpowiedział w jego umyśle Espinosa. — Pokuta, poprzez którą składa swoje życie w ręku Boga... albowiem wino bywa czasem tak wielka, że nie zostawia miejsca na przebaczenie”.

— Chce pan z nim pogadać czy nie?

Opryskliwy głos przewodnika gwałtownie wyrwał go z zadumy.

— Słucham?

— Bumtarabum będzie grał w następnej kolejce, więc pytam.

— Gdzie on jest?

Wojak dał znak, żeby Arturo poszedł za nim, i przeciskając się w tłoku, zaprowadził go za kotarę, która oddzielała stojącą w kącie pryczę. Na brzeżku pryczy siedział Galo Rodríguez z blaszanym kubkiem w ręku i wzrokiem wbitym w martwy punkt. Miał gęstą brodę, perkaty nos, jakby rozplaszczony o szybę, i wypukłe, okrągłe oczy, których spojrzenie przypominało Arturovi inne oczy, oczy esesmana z Einsatzgruppen. Jego mundur popstrzyły maleńkie krople krwi. Wojak pochylił się do ucha Bumtarabuma i szeptał coś przez kilka chwil. Galo popatrzył na Artura; zdecydowanie był to jeden z tych facetów, którym ludzie schodzą z drogi, żeby zająć się ciekawszymi sprawami, byle tylko z dala od niego, a na jego widok spuszczają wzrok. Arturo stuknęła obcasami.

— Czego? — zapytał Galo krótko.

Arturo nie przygotował sobie zawczasu żadnego planu, wiedział natomiast, że jedynie od nas samych zależy, czy wilk spotulnieje, czy skoczy nam do gardła.

— Luis del Águila — powiedział ostro.

— Luis del Águila jest martwy, wszyscy kiedyś umrzemy.

— Nie chce pan wiedzieć, kto go zabił?

— Ja już wiem kto.

Arturo z niedowierzaniem uniósł brwi.

— Więc jeśli mi pan to powie, zaoszczędzę mnóstwo czasu.

Galo Rodríguez, nie spuszczać zeń oczu, siorbnął z kubka; sądząc z chuchu, jaki owionął Artura, zawartość musiała być wysokoprocentowa. Drewniane bale w ścianach chaty zatrzeszczały od mrozu.

— Sam się zabił — odparł Bumtarabum. — Już dawno.

Arturo nie dał po sobie poznać rozczarowania.

— Możliwe, ale osiem dni temu ktoś dokończył za niego robotę. Czy Luis del Águila zwierzył się panu z czegoś? Co powiedział?

— Słuchaj no, nieważne, co mi powiedział. Zapewniam cię, że nie chciałby żadnych pytań. Wszystko jest tak, jak być powinno.

— Nie sądzę.

— To twój problem.

Arturo nie miał zamiaru się poddawać. Opowiedział o tym, co się stało w ciągu owych ośmiu dni. Następnie wyjął zdjęcie Agustina Covisy.

— Zna go pan?

Bumtarabum ledwie raczył spojrzeć.

— Nie.

— On za to chciałby pytań. I sprawiedliwości.

— Sprawiedliwości? Już ją wymierzają.

— W takim razie chętnie pogadam z tym, kto to robi, bo chyba rozumiemy ją inaczej.

— Nie wydaje mi się.

— Więc skoro nie chce mi pan pomóc w imię sprawiedliwości, niech mi pan pomoże w imię prawdy.

— A po co nam prawda? I tak zabierzemy ją ze sobą do grobu — odparł zuchwale.

Wypił z kubka wszystko do dna i zamknął się w sobie. Arturovi zdawało się, że odgaduje, dokąd się przeniósł w tej chwili Bumtarabum: do owej nocy sprzed siedmiu lat, gdy leżał pogrzebany pod stertą trupów. Są ludzie, którzy by przeżyć po tak druzgocących doświadczeniach, chwytają się piękna, ale on uchwycił się nienawiści i to ona utorowała mu drogę przez bezwład i fetor

martwych ciał, a zarazem zasiała w nim ziarno ciemności. W pewien sposób było logiczne, że lepiej rozumiał mordercę niż ofiarę. Sam nie wiedząc czemu, może dlatego, że nic innego nie przychodziło mu do głowy, Arturo podszedł i nacisnął kciukiem nadgarstek jego dłoni.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — warknął Galo.

— Chciałem coś sprawdzić — odparł Arturo pospiesznie, żeby uniknąć wyjaśnień. — Zginie więcej ludzi.

— Jak to na wojnie. Ludzie umierają.

— Umrą niewinni.

— Skąd ta pewność?

— A skąd pewność, że nie?

Galo Rodríguez nie odpowiedział. Wyciągnął kubek do asystującego ich rozmowie wojaka, pokazując palcem butelkę z przezroczystym płynem.

— Co panu mówił o kapelanie? — indagował dalej Arturo.

Galo ponownie potrząsnął kubkiem.

— A o Walencji? Co się wydarzyło w Walencji?

Galo spojrzał na niego z niemal roślinnym stoicyzmem.

— Odpowiadaj — rozkazał Arturo.

— A jak nie odpowiem, to co? Przystawisz mi pistolet do głowy?

Arturo poczuł smagnięcie gniewu — spadek po piastowanej niegdyś funkcji, mieszaninę złości, frustracji, strachu... Jednym uderzeniem wytrącił mu z ręki kubek, który z metalicznym brzękiem odbił się od drewnianej ściany. Galo Rodríguez wstał i podszedł do Artura. Z trudem nad sobą panował; widać było, jak sine żyły na karku pęcznią mu z wysiłku.

— Podaj jeden powód, żebym cię nie zabił.

— Sam go znajdź, jeśli chcesz — postawił się Arturo.

Galo niemal wpił się w jego ciało szklistymi oczyma. Arturo zaczął odliczać sekundy, bez większej nadziei, że zdoła wytrzymać to spojrzenie. Jednak, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dostrzegł w nim błysk wahania. Za fasadą siły wola Gala Rodrigueza rozsypywała się w proch, jakby drążona przez termity sumienia. Czemu zwleka? Arturo zastanawiał się w popłochu, za jakie sznurki teraz pociągnąć. W jego głowie wybuchła krótka, gwałtowna burza neuronów. I już wiedział.

— Coś panu pokażę.

Przeszukał kieszenie munduru i wyciągnął list, który Luis del Águila napisał do siostry.

— Niech pan czyta.

Obojętność malującą się na twarzy Gala zrekompensowała ekspresja gestu, z jakim sięgnął po kartkę. Zaczął czytać. Arturo odczekał, aż dobrnie do przedostatniego akapitu. Bo potwory zawsze są samotne. Bo nawet one potrzebują towarzystwa. „Poza tym znalazłem sobie przyjaciela i on też mnie rozumie. Wołamy na niego Bumtarabum, ale naprawdę nazywa się Galo i nawet ruscy się go boją”.

— Był pańskim przyjacielem — powiedział z naciskiem; potem schylił się, podniósł kubek i podał go Galowi.

Bumtarabum wziął kubek i zwrócił Arturowi list, po czym sam nalał sobie wódki i znowu usiadł na pryczy. Pociągnął łyk. Arturo się nie mylił; coś kiełkowało z wolna w duszy Gala, korodując jego skamieniałą samotność.

— Nie mówił wiele — zaczął przerywanym głosem. — Nie był gadatliwy. Ja też, więc dobrze się rozumieliśmy. Coś się wydarzyło w Walencji, zanim tu przyjechał, nigdy mi o tym nie opowiadał, ale to i owo mu się wymknęło po pijaku... Coś, za co zasługiwał na śmierć, ale śmierć jeszcze nie chciała go zabrać, rozumie pan? — Podniósł wzrok. — Śmierć węszyła za nim, krążyła wokół niego, ale Luis się jej nie bał, a jak się nie boisz, to cię nie zabierze.

Napił się jeszcze trochę. Arturo starał się czytać nie tylko z jego słów, lecz także z tonu głosu i milczenia.

— Coś jeszcze? — zapytał w końcu.

— Tak — odparł Galo. — Imię. Powtarzał je, kiedy się upił.

— Jakie?

— Teresa, Teresa Estruch albo Estrella, albo Estrada... Nie jestem pewien, ja też już miałem nieźle w czubie.

— Teresa Estruch — powtórzył Arturo.

— Tak, chyba tak. Strasznie go to gryzło.

Dokładnie w tym momencie ktoś odsunął kotarę. Jakiś żołnierz przepchnął się przed Artura i stanął nad Galem.

— Już czas — powiedział.

Galo popatrzył na niego spokojnie, jak ktoś, kto mówi: jestem gotów. Arturowi nie miał nic więcej do powiedzenia, wstał zatem i wyszedł ze swego kąta, by się zanurzyć w tłum niewyraźnych sylwetek mrowiący się w izbie. Arturo nie wiedział, czy powinien go uściskać, czy zachować obojętność; niezdecydowany, odczekał kilka chwil, a potem sam ruszył do

drzwi. Zanim stamtąd wyszedł, po raz ostatni popatrzył na Gala siedzącego w śmiertelnym kręgu; tym razem dostrzegł rysy na postaci bohatera. Bohatera, który co prawda nie znał strachu, ale nie znał też nadziei.

Nad Leningradem świecił olbrzymi księżyc. Księżyc tragiczny w swoim pięknie, bo wydawał miasto na łup wroga. Głuche echa eksplozji. Dalekie błyskawice. Przeróżliwe wycie syren. Kiedy odjeżdżali, Arturo pomyślał, że ta ziemia była kiedyś rosyjska, że teraz jest niemiecka i że wkrótce znów będzie rosyjska. Czy warto było? Wiedział tylko jedno: nie chciał tu umierać.

Nie chciał.

Nie tu.

Miestielewo.

Dwadzieścia domów ściśniętych na kilku tysiącach metrów kwadratowych.

Mechanicy, farmaceuci, adwokaci, chłopci, tokarze, żołnierze.

Piszą listy, czyszczą buty, wspominają, jedzą, strzelają, śmieją się, pokrzykują, palą.

Dzień biały jak papier.

Ptaki kreślące na niebie wielkie, zmienne litery „V”.

Lodowaty wiatr wiejący ponad koronami drzew.

Sławianka, zakrzepła, sina, więżąca w swym wnętrzu skryzalizowane ryby i ciszę.

Było wpół do dziesiątej rano. Śnieg skrzypiał pod butami, gdy Arturo szedł przez Miestielewo w stronę baraków, żeby poszukać Espinosy. Tej nocy, wyjątkowo, spał tak, jakby nie kładł się od wieków, co dobrze wpłynęło na jasność jego myśli. Wraz z pierwszym brzaskiem zadzwonił na pocztę, żeby się dowiedzieć, czy znaleźli jakiś list, a potem odbył jeszcze dwie rozmowy, z majorem Reyesem Zarauzą oraz kapitanem Isartem, w sprawie kartotek żołnierzy i kapelana. Na temat korespondencji i wojaków nic nie było, za to Dwójka przygotowała szczegółowy raport o ojcu Ramonie, wraz z relacją o jego poczynaniach po wizycie, jaką złożyła mu żandarmeria; dokument obiecano dostarczyć jeszcze tego samego ranka do sztabu w Miestielewie. W świecie, w którym przez siedem dni w tygodniu panowało ogólne bezhołowie, sprawność majora Zarauzy i kapitana Isarta była nader

krzepiąca. Później spotkał się z Trinitariem, żeby mu pokazać fotografię Ricarda Guerry, którego jednak łaziebny nie rozpoznał; Arturowi pozostało jeszcze zweryfikować gołosłowną historyjkę o „szybkim numerku”, by ostatecznie potwierdzić alibi Guerrity, postanowił jednak chwilowo odłożyć to ad acta, bo musiałby w tym celu wybrać się do Puszkina, a czas naglił. Kiedy tak szedł, wstęga Möbiusa, która zapętleła się wcześniej rano, łącząc awers i rewers dręczących go myśli, jęła się zwijać i rozwijać w przyspieszonym tempie: źrenice Agustina Covisy i dziecięca niewinność Aleksandra, rozpacz Luisa del Águila, przerażająca piękność Hildy, tajemniczy ojciec Ramón, rytuały perfektybilistów...; konie, wampiry, germańscy barbarzyńcy...; gwałt na Zirze... Chaos, rozpad, zaćmienie umysłu... „Pamiętaj, On patrzy na ciebie”... Niech pan szuka namiętności... niech pan szuka... Teresa Estruch? Estrella? Estrada?... Nie miał wyboru, musiał pozwolić, by to wszystko kumulowało się w jego głowie, dopóki nie osiągnie masy krytycznej, która przekształci ilość w jakość. Kiedy to będzie?

— Arturo.

W ów mętlik wdarł się nagle czyjś głos i w czasie krótszym, niż trwa jedna myśl, widoczne w twarzy Artura skupienie zastąpiła radość.

— Dzień dobry, panie kapralu.

Zapaśnicza sylwetka Aparicia niemal przesłoniła horyzont.

— Dzień dobry — zaszalutował, uśmiechając się od ucha do ucha; pod pachą trzymał grubą książkę.

— Widzę, że humor panu dopisuje, chociaż grzmocą ostro — powiedział Arturo, robiąc aluzję do rozbrzmiewającej w oddali ponurej psalmodii dział.

— Mam powody. Wczoraj wygrałem los na mizerii.

— A co to takiego?

— Od czasu do czasu urządzamy sobie z kumplami tombolę. Najpierw nazywaliśmy to loterią, ale w tych okolicznościach...

Arturo znów poczuł się jak w domu.

— Moje gratulacje.

— Dziękuję. Ale gdzie mi tam do ciebie! Ty to dopiero masz szczęście...

Miał to być koleżeński przytyk do wpadki z Zirą i tak też odczytał to Arturo, mimo lekkiego ukłucia sumienia.

— A kto by nie chciał zabawić się z panienkami!

— Każdy, każdy — westchnął Aparicio i dodał już poważniej: — A jak tam twoja sprawa?

— *Hier sterbe ich, kann nicht anders.*

— Niemiecki — prychnął z pogardą. — Cholerny szwargot, nic nie idzie zrozumieć.

— Mówię, że kiepsko.

— Wiesz, że na mnie zawsze możesz liczyć.

— Wiem i jestem za to bardzo wdzięczny. — Nagle Arturo doznał natchnienia. — A może ma pan kogoś zaufanego, kto by się nadawał na kierowcę?

— Na przykład siebie.

— No tak, ale pan ma własną robotę. Chodzi mi o kogoś, kto zawsze będzie do mojej dyspozycji.

— No to Antonio.

— Kto?

— Nasz Antonio. Przed chwilą z nim rozmawiałem.

Aparicio odwrócił się w stronę Rosjan, którzy palili papierosy pod jednym z baraków, i zawołał na Antonia. Od grupki oderwał się chłopak o kałmuckich rysach i uśmiechu jakby na stałe przyklejonym do twarzy. Kiedy podszedł bliżej, Arturo doznał nagłego *déjà vu*, aż wreszcie rozpoznał w nim woźnicę sań, który zawiózł go do Molewa. Rosjanin też go chyba poznał, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Oto i on, nasz Antonio — przedstawił Aparicio młodzieńca, klepiąc go po plecach książką. — Poprowadzi nawet samolot, jeżeli mu pozwoli.

Antonio popatrzył na niego tak ulegle i usłużnie, że aż głupkowato.

Arturo się zawahał.

— Na pewno?

— Spokojna głowa, jest sprytniejszy, niż się wydaje, co, Antoś? — Znowu klepnął go w plecy, aż jęknęło. — To dobry dzieciak. Pojmali go w zeszłym roku po ataku czerwonych. Kiedy jego ziomkowie się wycofywali, on zajął się szynką znaną w jakiejś ziemiance. Kiedy go capnęli, był uszczęśliwiony, wyobraź sobie. I jak widzisz, do tej pory się uśmiecha. Nikt nie miał serca go rozstrzelać, więc oddaliśmy chłopaka Niemcom.

— To dlaczego jest u nas?

— Związał i wrócił do dywizji. Po tej szynce pomyślał pewnie, że jest w raju. Nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić, więc zostawiliśmy go przy ruskich okopach i kazaliśmy iść precz.

— I co dalej? — zapytał Arturo ze zdumieniem *in crescendo*.

— Za pół godziny był z powrotem. Wreszcie się kapnęliśmy, że po tym głodzie, jaki cierpiał w Leningradzie, musielibyśmy faceta zastrzelić, żeby się go pozbyć. I tak, od łyczka do rzemyczka, wiara postanowiła go adoptować. To jak?

— To jest człowiek, jakiego szukam — orzekł Arturo z uśmiechem. — Ale niech faktycznie zawsze będzie pod ręką. Może mi być potrzebny w każdej chwili.

— Bez obaw, powiem mu, żeby odtąd warował przy sztabie.

— *Bolszoje spasibo. Bolszoje spasibo.* Wielkie dzięki. Wielkie dzięki — powiedział Arturo do Antonia, na co ten zaczął perorować z zapalem.

Arturo tymczasem zauważył tytuł książki, którą miał przy sobie Aparicio.

— Jak widzę, wstąpił pan do biblioteki. Nie wiedziałem, że lubi pan czytać.

Aparicio spojrział na niego zdeorientowany.

— Słucham?

— Cervantes. *Don Kichot.* — Arturo pokazał na książkę.

— Ach, o tym mówisz. Idę do latryny.

— No tak, czytanie czasem pomaga.

Aparicio nadal zdawał się nie rozumieć.

— Jasne. Ty też potrzebujesz papieru?

Otworzył książkę, pozbawioną co najmniej połowy stron.

Arturo zaczerwienił się po uszy, przeklinając własną naiwność.

— Nie, chwilowo nie — odparł pospiesznie. — Dobra, idę do swojej roboty.

— A ja do swojej — rzucił Aparicio na odchodnym.

Antonio wyszczerzył zęby w uśmiechu. On też miał już swoją robotę.

Poszukiwania okazały się owocne i wkrótce odnalazł Espinosę. Sierżant stał przy niemieckim czołgu. Jedną ręką obmacywał żelazne gaśienice, w drugiej trzymał papierosa. Arturo zdziwił się na widok ogromnego tigera parkującego w samym środku Miestielewa. W milczeniu przystanął obok Espinosy i podobnie jak on jął podziwiać rozmiary ośmiometrowego kolosa, lufę kalibru 7,5 i karabiny MG34. Wszystko tu było zsynchronizowane ze śmiercią, każde zagięcie pancernej blachy, każdy trybik, każda śrubka.

— Daje po jajach, co? — odezwał się Espinosa.

— Jeszcze jak. Widzę, że Niemcy wreszcie się nad nami zlitowali.

— A gdzie tam! Skończyło mu się paliwo, a do nas było najbliżej. Załoga poszła z kanistrami po benzynę.

— A już się cieszyłem.

Sierżant zaciągnął się dymem, zapiął kozuch i wycelował palcem w otwór lufy.

— Jednooki, jak cyklop — powiedział do Artura.

— Mocnemu wystarczy. Bóg też ma tylko jedno oko.

Na tę niewinną uwagę oczy Espinosy znów pomroczeniały, odsłaniając przyczajoną za nimi otchłań.

— Pewnie. — Zaciągnął się głęboko. — „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy”... Wiecie co? Dawniej myślałem, że Bóg wciela się w gołębie albo w ludzi, ale teraz sądzę, że to bez sensu. Bóg nigdy nie wybrałby dla siebie tak kruchej powłoki. Wolałby coś takiego jak ten czołg.

— Na szczęście jest z nami. — Arturo puknął w metalową klamrę wojskowego pasa z napisem *Gott mit uns*.

Dowcip nie złagodził drapieżności malującej się na orlej twarzy Espinosy, który powiedział jakby w mistycznym natchnieniu:

— Wierzycie, że to, po której stronie jest Bóg, ma teraz jakiegokolwiek znaczenie?

Artura przeszył dreszcz. Z jakiegoś powodu ukryty cień w duszy sierżanta zaczął broczyć krwią. Arturo współczuł mu, ale uznał, że to idealny moment, by napuścić Espinosę na ojca Ramona.

— Spytajmy kapelana — starał się podtrzymać jowialny ton.

— Kapelana?

— Ptaszki mi mówiły, że wie więcej, niż nam wtedy powiedział.

— Mówiły coś jeszcze?

— Że coś się stało w Walencji i że ma z tym związek jakaś Teresa.

— A więc kapelan wie.

— Tak, kapelan wie.

Sierżant miał minę dzikiej bestii, podrażnionej zgrzytem żelaza uderzającego w pręty klatki. Zdawał się już nie pamiętać, że zaledwie kilka dni temu przed tym samym księdzem się spowiadał.

— No to trzeba z nim pogadać — stwierdził.

— Zgadza się, panie sierżancie — przytaknął, jakby to sierżant, nie on, wpadł na ten pomysł. — Z tym że — dalej odstawiał teatr — trzeba, oczywiście, solidnie go przycisnąć, co do tego obaj jesteśmy zgodni, ale

błagam, zrobmy to w białych rękawiczkach.

Espinosa wykrzywił wargi, co zapewne miało oznaczać uśmiech, a wyglądało jak grymas bólu wywołanego kolejnym atakiem wrzodów.

— To zależy nie tylko ode mnie. — Zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił niedopałek.

— Wystarczy zwykła uprzejmość.

— Nie przeczę, ale ludzie biorą uprzejmość za słabość.

Wojowniczo zmarszczył brwi, jakby chciał go sprowokować do odpowiedzi. Arturo wolał nie zadzierać z sierżantem; schylił się i nabrał garść śniegu. Zamyślony, przesypywał go w rękach.

— W porządku — odparł wymijająco. — Już i tak za dużo czasu straciliśmy. Najpierw chodźmy do sztabu, odebrać papiery ojca Ramona.

— No to się pospieszmy.

Popatrzyli ostatni raz na opancerzoną bryłę tigera i zapewne obaj pomyśleli to samo: jego siła, tak jak siła Wehrmachtu, tkwiła w ruchu, zastój oznaczał klęskę. Ruszyli zatem w stronę sztabu. Od rana mróz zelżał, a niebo powlekała gruba warstwa ołowianych chmur; słupki alkoholu w termometrach podniosły się do niespełna minus trzydziestu stopni. Minąwszy kilku Rosjan, którzy długimi drewnianymi łopatami ślamazarnie zgarniali śnieg przed wejścia, zameldowali się w biurze, gdzie wydano im dossier kapelana, które z uwagą przeczytali. Raport niczego nie przesądzał, zawierał jednak pewne wskazówki. Potwierdziło się, że w Teruelu ojciec Ramón organizował oddziały paramilitarne, by wyruszyć na prywatną krucjatę do Rosji. Dalej była mowa o roli, jaką odegrał w lipcowym powstaniu, będąc kapelanem Drugiej Chorągwi Legii Hiszpańskiej, i o jego późniejszych działaniach w Błękitnej Dywizji. Odnosiło się wrażenie, że nie był to życiorys kapłana, lecz wypis z karty służby jakiegoś wojskowego caudilla. W dopisanej odręcznie notatce na marginesie major Zarauza informował, iż ojciec Ramón cierpi na hemoroidy, które ma zamiar zoperować po powrocie do kraju; byłby to szczególnie nieistotny, gdyby nie to, że na bóle przepisano mu morfinę, co doprowadziło do poważnego uzależnienia.

— Niezły z niego ojczulek — mruknął Espinosa.

— Nie interesują nas jego nałogi.

— Nigdy nie wiadomo.

— Chodźmy, musi nam wyjaśnić kilka spraw.

Odmeldowali się, informując, gdzie w razie potrzeby będzie można ich

znaleźć, po czym ruszyli w stronę kościoła. Żołnierz, który pełnił czasem funkcję ministranta, powiadomił ich, że kapelan właśnie się odwszawia w łaźni. Ruskie banie były higieniczną nowinką szeroko komentowaną w dywizji i cieszyły się nadspodziewaną popularnością wśród wojaków, podejrzliwie odnoszących się do wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z wodą, z wyjątkiem chrztu. Chata, w której urządzono saunę, stała niedaleko, przy torach kolejowych, nietrudna do znalezienia, bo tak pochylona, że wyglądała jak element jakiejś ekspresjonistycznej dekoracji. Po krótkim spacerze stanęli przed jej progiem. Gdy weszli, powitał ich smród ekskrementów; w głębi, pomiędzy zardzewiałym sprzętem rolniczym i starą glinianą miednicą, szczelnie zamknięte drzwi broniły dostępu do służącej za łaźnię komórki. Sądząc po leżącym na stołku, starannie złożonym mundurze i pedantycznie ustawionych oficerkach, wewnątrz ktoś się wypacał. Fioletowa rozetka na prawej kieszonce kurtki oznaczała, że był to kapelan. Arturo zastukał. Usłyszawszy stłumione „proszę”, uchylił drzwi i wetknął głowę. Gorąco buchnęło mu prosto w twarz. Na najwyższej ławce miniaturowego amfiteatru siedział ksiądz, w gaciach, ledwie widoczny w gęstej parze. Jego żylaste ciało lśniło tysiącem kropli potu.

— Przepraszam, że przerywam, ojcze, ale musimy porozmawiać. — Powracając do roli gruboskórnego policjanta, który nie bawi się w uprzejmości, Arturo udawał zmieszanie.

— Dopiero co wszedłem — oburzył się kapelan swoim grzmiącym głosem.

— Rozumiem, ale to pilne.

— Słuchajcie no, przed chwilą wszedłem i nie mam zamiaru wychodzić — zachrypiął. — I nie stójcie w wejściu, tu ma być zamknięte.

Arturo zamrugał, żeby ulżyć piekącym, załzawionym oczom, i zatrzaskał za sobą drzwi. Zdecydowanym ruchem zdjął hełm, przyglądził do tyłu ulizane włosy i zaczął rozpinąć guziki zimowego płaszcza.

— Ściągamy łachy, panie sierżancie, będzie gorąco.

Espinosa skrzywił się z niechęcią, ale zaczął się rozbierać.

Ich wychudłe sylwetki wynurzały się stopniowo spod warstw odzieży. Stojąc w samych gatkach, patrzyli na siebie z konsternacją. Trudno opisać, jak się czuli: głupio, to za mało powiedziane, zachowali jednak pełne godności milczenie. „Wchodzimy” — powiedział wreszcie Arturo. Zabrał ze sobą tetetkę — na wypadek gdyby ruskich też naszła ochota na kąpiel — i

zanurzyli się w duszną wilgoć. Zajęli najniższą ławkę, żeby uciec od żaru. Nie na wiele się to zdało: w jednej chwili obaj spłynęli potem. Ojciec Ramón przysiadł obok, ocierając ręką swoją metyską twarz. Jego sklezione mięśnie i miedziana skóra kontrastowały z ich bladymi, mizernymi ciałami.

— Pistolet się zagrzeje — zwrócił uwagę Arturowi.

— Wolę go mieć przy sobie.

Kapelan rozłożył ręce w geście rezygnacji.

— W takim razie witajcie. Ta bania to świetny wynalazek, będziecie jak nowo narodzeni. Weźcie miotełki, wychłostajcie się trochę.

Wręczył im pęki brzoźowych witek.

— Dzięki — odrzekł Arturo i odłożył je na bok. — Spróbujmy załatwić to szybko.

— Poczekajcie...

Ojciec Ramón zaczerpnął chochlą wody z wiadra i wylał ją na rozpalone kamienie. Gęste, białe chmury wrzącej pary omal nie zadusiły Artura i sierżanta. Pochylili się do przodu, zasłaniając głowy rękami.

— Tak lepiej, prawda? — zapytał kapelan Espinosę.

Sierżant miał ochotę przywalić mu którymś kamieniem w łeb.

— Tak, ojcze, lepiej.

— Proszę ojca — wysapał Arturo, kiedy wreszcie odzyskał dech. — Sprawa jest poważna i potrzebujemy pomocy bardziej niż kiedykolwiek.

— Rozmawialiśmy już przecież. Nie wiem, jak jeszcze mógłbym pomóc. Chyba tylko modlić się za was.

— Pan Bóg też może coś dla nas zrobić.

— Jak to?

— Może udzielić księdzu licencji, żebyśmy wreszcie mogli szczerze porozmawiać o Luisie del Águila.

Górna warga kapelana zadrgała nerwowo.

— W żadnym wypadku. Nie ma dyskusji.

— Mówi coś ojcu imię Teresa?

Zacisnął szczęki. Pokręcił głową, ale widać było, że kłamie.

— Teresa Estruch, Estrella, Estrada... albo podobnie — powtórzył Arturo. — Pewien przyjaciel Luisa powiedział nam, że on często ją wspominał.

— Wspominał czy nie wspominał, to sprawa pomiędzy nim a Bogiem.

— I księdzem, proszę ojca — wtrącił Espinosa zaczepnie.

Arturo się nie mylił: w przypadku sierżanta wszystko zależało od

temperatury.

— I księdzem — poparł go z jadowitą miną. — Sądzymy, że Luis del Águila grał w rosyjską ruletkę, bo w przeszłości coś się wydarzyło... coś, co miało związek z tą Teresą. A ponieważ przypuszczam, iż wiadomo już księdzu, że ten, kto go zabił, załatwił też innego wojaka, Agustina Covisę, to chciałbym zapytać, czy ksiądz go zna. A może Luis kiedyś o nim mówił?

— Nie, ani jedno, ani drugie.

— Rozumiem... — Obejrzał czerwone plamy egzemy, która zaogniła mu się na ramieniu. — No to zapewniam księdza, że ów Agustín nie jest ostatnią ofiarą. Na obu dokonano egzekucji zgodnie z masońskim rytuałem, który...

— Masoni? — przerwał ojciec Ramón, wyraźnie rozdrażniony.

— Tak, proszę księdza, masoni. — Arturo wyczuł słaby punkt, więc streścił kapelanowi swoje rozmowy z Guerritą i Octaviem Imazem. — Jak widać, jakiś mason zarzyna dobrych katolików i naszym obowiązkiem, obowiązkiem księdza, jest go powstrzymać.

Kapelan pochylił głowę. Powoli przesunął ręką po łysinie, od czoła aż po kark, rozmazując ściekający pot, a potem mocno zacisnął dłoń, jakby wyżywał chusteczkę. Podniósł wzrok.

— Nic nie mogę zrobić — odpowiedział.

— Proszę ojca, chcemy tylko, żeby...

— To, że ktoś czegoś chce, nie oznacza jeszcze, że należy uczynić zadość jego chęciom — uciał ojciec Ramón. — Nie złamię ślubów przez jakiegoś nędznika.

Arturo był skonfundowany. Nie przypuszczał, że kapelan aż tak uniesie się honorem.

— Nawet jeśli to komunista? — judził.

— Nawet.

— Będziemy zmuszeni porozmawiać o tym z generałem.

— Grozisz mi?

— Broń mnie Panie Boże, chcemy tylko wiedzieć, co się stało.

— Lucyfer też chciał za dużo wiedzieć i źle skończył. Gorąco tu, co? — Znowu polał kamienie wodą, znowu buchnęła para. — Jak w samiuteńkim piekle.

Arturo również się pochylił; zaczynał się odwadniać, kręciło mu się w głowie. Pomyślał o Aleksandrze: „...kiedy niesiecie dziecko... przejdziecie nawet przez ogień piekielny”. Ale tu mógł liczyć jedynie na Espinosę.

Spojrzał na niego: siedział niewzruszony, niezmienny jak chemiczne wzory, z którymi miał do czynienia przez całe życie, a które z wolna zdawały się brać górę nad wiarą.

— Faktycznie jak w piekle — odezwał się sierżant. — Nawet cuchnie siarką.

Kapelan popatrzył na niego podejrzliwie, ale nic nie odrzekł.

— Chcę się wyspowiadać, ojcie — dodał Espinosa.

— Przecież niedawno się spowiadałeś?

— Sporo grzeszę.

— Dobrze, ale nie tutaj.

— Dlaczego nie? Bóg jest wszędzie.

— Kpisz sobie ze mnie? Mało ci było poprzednim razem?

— Nie, ojcie. Proszę, daj mi się wyspowiadać. Teraz.

Ojciec Ramón wciąż się wahał.

— Jutro mogę zginąć, ojcie — argumentował Espinosa rozsądnie.

Niespodziewanie kapelan zrobił szybki znak krzyża.

— Niech będzie pochwalona Maryja zawsze dziewica. — Sierżant ochoczo skorzystał z okazji.

— Bez grzechu poczęta.

— Chcę wyznać swoje winy.

— Kiedy zgrzeszyłeś, synu?

— W zeszłym roku.

— Kpiny sobie robisz? — Górną wargę ojca Ramona wykrzywił nerwowy tik.

— Nie, ojcie, naprawdę, proszę mi pozwolić skończyć, proszę...

Kapelan otworzył usta i już miał go zgromić, ale się pohamował.

— Słucham.

Espinosa kiwnął głową.

— To było w zeszłym roku, w Nowogrodzie. Korzystając z tego, że ruscy wstrzymali ogień, wyszedłem z kolegą, by trochę rozprostować nogi. Nowogród leżał w gruzach, ale jeszcze było co oglądać, zwłaszcza że trafiliśmy tam prosto z „Worka”³⁰. To najstarsze rosyjskie miasto. Spacerowaliśmy po ulicach, po tym, co z nich zostało... Byliśmy na kremlu, obejrzelśmy jakiś pałacyk i sobór Świętej Zofii... Czego tam nie było! Ikony, stare fotografie, połamane meble... Świetnie się bawiliśmy, dopóki

nie weszliśmy do jakiegoś parku.

Przerwał, a Arturowi, który mimo iż dusił się z gorąca, słuchał chciwie, zamajaczył w kłębach pary jego niepokojący sobowtór o twarzy zakrytej maską z ostrym dziobem, taką, jakie dawniej nosili lekarze zadżumionych. I wówczas już wiedział. Wiedział, że nareszcie pozna tajemnicę Espinosy.

— Mów, synu — popędział sierżanta kapelan.

— Wiatr, ojciec. — Pomarszczoną ręką starł z chuderlawej piersi warstwę potu. — Wiatr towarzyszył nam przez cały czas. Ruiny, ruiny, wszędzie ruiny. Targane podmuchami żelazne balustrady balkonów, wybite okna, strzaskane latarnie wydawały przeraźliwe zgrzyty i piski; wichur szarpał wyłamanymi z zawiasów drzwiami, rozwiewał powyrywane z książek kartki, tysiące kartek. Wdarł się i do parku. A my wraz z nim. Okazało się, że to ogródek dziecięcy, pusty, zryty bombami. Były tam karuzele i huśtawki, a wiatr kołysał nimi i zmuszał do jęku, który brzmiał jak płacz, jak szloch. I wtedy pomyślałem, ojciec, pomyślałem sobie: gdzie są dzieci? Nie widziałem w Nowogrodzie żadnego dziecka. Gdzie one były, ojciec?

— Pewnie zostały wywiezione.

— Nie wiem, ojciec, naprawdę nie wiem. W czasie wojny widziałem śmierć wielu przyjaciół, ale nigdy nie przestałem wierzyć w Boga; straciłem matkę, ale Bóg był mi pociechą; jeden z moich synów omal nie umarł na zapalenie płuc, ale nawet w najgorszych chwilach modliłem się do Boga. Bywałem głodny, spragniony, zziębnięty; widziałem rzeczy, na które nikt nie powinien patrzeć, ale w Bogu upatrywałem oparcia. Dopóki nie zobaczyłem tych karuzeli i huśtawek rozkołysanych na wietrze... Co Bóg nam uczynił, ojciec? — Głos mu się załamał.

— Jesteś zmęczony, synu — powiedział kapelan łagodnie. — Diabeł wykorzystuje takie chwile słabości, żeby nadwątlić naszą wiarę i zawrócić nas z drogi cnoty.

— Tak, jestem zmęczony.

— Wiem, synu.

— Jestem zmęczony Bogiem.

Ojciec Ramón wytrzeszczył oczy; nawet Arturo się wzdrygnął. Kapłan zmełł słowa cisnące mu się na usta.

— Czy ty wiesz, co właśnie powiedziałeś?

— To, co ojciec usłyszał.

— Jesteś chory, synu.

— Tak jak Luis del Águila. Dlatego grał w wioletę, to była jego pokuta i ksiądz o tym wiedział.

— Popełniał grzech śmiertelny. Grzech nie może być pokutą.

— Bóg czy diabeł, Luisowi było wszystko jedno, on też był zmęczony. A co on sam księdzu mówił?

— Ja wybaczyłem mu jego grzechy. Bóg też mu wybaczył.

— Ale on sam sobie nie wybaczył. Nie mógł. Co takiego zrobił wtedy w Walencji, ojcze? Kim jest Teresa?

— To bez znaczenia. Błuźnisz, synu, zło załęgło się w twojej duszy. Żałuj za grzechy.

— Chciałbym, ojcze, ale już nie potrafię, bo wie ksiądz, czego naprawdę nie mogę Bogu wybaczyć?

Kapelan zawrzał gniewem.

— Nie ty Bogu, lecz Bóg tobie musi wybaczyć, nędzniku! — wykrzyknął.

Wargi Espinosy wykrzywił gorączkowy uśmiech.

— Najbardziej nie mogę mu wybaczyć tego — ciągnął — że byłem tam, patrzyłem na te huśtawki i nie potrafiłem płakać, ojcze. Po tych wszystkich okropnościach, jakie oglądaliśmy, powinniśmy współczuć, powinniśmy, ale już nie jesteśmy zdolni do żadnych uczuć, nawet nie umiemy udawać. I ja tego Bogu nigdy nie wybaczę.

Cisza podniosła się w białych obłokach niczym parzący jedwabny welon. W końcu ojciec Ramón ściągnął brwi tak mocno, że niemal utworzyły ciemny most nad oczami, i przemówił z ową słodyczą, z jaką traktuje się niepełnosprawnych. „Czyżby cierpliwość czerpał z poczucia winy?” — pomyślał Arturo.

— Kiedy owce gubią się w zaroślach, głośno beczą. Dlatego pasterz może je znaleźć.

Espinosa skrzywił się złośliwie.

— Tym razem wilk był szybszy, ojcze.

Tego było już za wiele. Oczy kapelana pociemniały, a mięśnie naprężyły się pod lśniąca skórą.

— Od kiedy to demony są ochrzczone? — wybuchnął gniewnie; patrzył teraz na nich obu. — Psy niewierne, niegodni jesteście chodzić w blasku słońca. Bóg patrzy na was i waży wasze czyny. Na kolana, błagać, żeby kara...

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i ujrzeli dłoń trzymającą rosyjski

nagan. Strach chwycił ich za gardło, zareagowali błyskawicznie. Kapelan i Espinosa próbowali wyrwać intruzowi rewolwer. Arturo chwycił swój pistolet, lecz z okrzykiem bólu wypuścił go z ręki, oparzonej przez gorący metal. Wywiązała się gwałtowna szamotanina, którą przerwał dochodzący z zewnątrz głos: „Chryste Panie, co wy wyprawiacie?” W chwilę potem do łaźni zajrzał dorodny wojak i ostatnim, mocnym szarpnięciem odebrał im swoją broń. Popatrzył na ich wystraszone, pełne napięcia twarze, wciąż jeszcze nabuzowane krążącą w żyłach adrenaliną; potem przeniósł wzrok na świeżo odzyskany nagan i zrozumiał.

— Przepraszam, mają trochę miękki odrzut — usprawiedliwiał się, świadomy, że jego tłumaczenie jest bez sensu. — Arturo Andrade? Przychodzę ze sztabu, w kościele powiedziano mi, że tu go znajdę.

— To ja.

Wojak zasalutował pospiesznie.

— Molewo zawiadomiło nas...

Pojęli, że przypadek w odpowiednim momencie przyszedł im z pomocą. Arturo ostrożnie podniósł pistolet, po czym wyszli w pośpiechu i zaczęli się ubierać.

— Co się stało? — zapytał Arturo.

— Osaczyli drania. Zdybali go na dziedzińcu z jakimś wojakiem.

— Zabił?

— Zjawili się za późno.

Arturo zacisnął usta i pokręcił głową.

— Jak tam wszedł, że go nie zatrzymali? — warknął Espinosa.

— Skąd mam wiedzieć?

— Dobra, idziesz z nami.

Ubrali się do końca, zacisnęli pasy. Ksiądz obserwował ich, stojąc w drzwiach łaźni. Jego ciało lśniło od potu, każdy mięsień był doskonale zarysowany jak na anatomicznej rycinie. Arturo posłał mu twarde spojrzenie.

— Jeszcze nie skończyliśmy — powiedział wyzywająco.

— Czekam.

Arturo odwrócił się na pięcie. Klepnął w plecy Espinosę i wojaka, przynaglając ich do marszu. Teraz należało pilnie odszukać Antonia.

W Molewie niepodzielnie panował spokój. Architektoniczne formy, zatarte przez erozję, wygładzone przez wiatr, sterczały niczym olbrzymia rafa na

arktycznym morzu. Śnieg coraz grubszą warstwą przykrywał kopuły, a wraz z nim wciskało się w każdą szparę przenikliwie, rozdzierające zimno. Arturo, stojąc przy saniach, zacisnął palce na ramieniu Antonia. Poczuł miękkość ciała i twardość kości. Konie rżały, łagodnie kołyszając łbami.

— Poczekasz na nas tutaj, Antonio. Zrozumiałeś?

Twarz Antonia wykrzywił uśmiech idioty, zastanawiający u kogoś, kto tak sprawnie i szybko dowiózł ich na miejsce. Arturo odwzajemnił uśmiech, zmacony nieco nagłym zawrotem głowy, po czym — ostatkiem woli oswobodziwszy ciało od dyktatu duszy — rozpoczął mozolny marsz przez śnieżne zasy. Wielkie wrota były otwarte. Z bronią gotową do strzału wkroczyli w progi klasztoru, baczni na każdy podejrzany ruch. Ścigani enigmatycznym wzrokiem bafometów, pospiesznie przemierzali mroczne korytarze, napotykając za każdym załomem muru żywe szkielety w łańcuchach, strzegące ukrytych w głębi jaźni tajemnic, które przywiodły je do szaleństwa. Wreszcie wyszli na dziedziniec z leżącym pośrodku obalonym pomnikiem Lenina; za niskim murkiem dostrzegli dwóch skulonych żandarmów z blachami na piersiach. Arturo przykucnął obok, a reszta oddziału przyczaiła się za nimi półkolem. Okoliczności wykluczały przyjęcie postawy zasadniczej, więc na powitanie przyłożył tylko dłoń do hełmu.

— I jak?

— Musieliśmy zejść z posterunku, bo na korytarzu wybuchły jakieś burdy — tłumaczył żołnierz o małych, czarnych jak węgle oczach. — Myśleliśmy, że przyszli partyzanci, ale to były te tutejsze świry. Wszystko razem trwało moment, a kiedy wróciliśmy, zobaczyliśmy tego skurwiela. Krzyknęliśmy „stój!”, ale on był szybszy i zaczął strzelać. Ledwieśmy uszli z życiem.

— Widzieliście jego twarz?

— Miał kominiarkę.

Arturo nie musiał już o nic pytać. Ostrożnie wychylił głowę; ostry blask śniegu zalewał dziedziniec przykryty warstwą białego puchu, rosnącą, milimetr za milimetrem, wraz ze zmiennymi humorami aury. Arturo kontemplował ową scenerię niczym obraz z widniejącym na lewo od przewróconego pomnika podpisem — bezwładnym ciałem żołnierza, rozciągniętym twarzą do ziemi, w zamarznętej kałuży krwi. Zwłoki były częściowo poćwiartowane, porzucony topór leżał obok. Masońska kara za zdradę dla wtajemniczonych trzeciego stopnia, przypominał sobie Arturo. Omiótł wzrokiem wszystkie zakamarki, wypatrując śladów mordercy,

którego jakby wchłonęła nicość. Schował się z powrotem za murek i oparł o kamienną ścianę; dyszał gwałtownie, a jego oddech rozsnuwał się w powietrzu strzępkami zastygłej pary.

— Na pewno wciąż tu jest?

— Jak Boga kocham — zaklinał się wojak z ciemną, oszronioną brodą.

— Albo wymknął się jakimś innym wyjściem.

Żandarm pokręcił głową. Na dowód prawdy swoich słów owinał rzemień mauzera wokół przedramienia, zaparł się o ścianę, wycelował starannie i wystrzelił dwa razy. Ledwo zdążył się skulić, seria z karabinu maszynowego skosiła krawędź murku.

— I mnie pan to mówi — jęknął, przytrzymując ręką kask, jakby się bał, że sfrunie mu z głowy.

Arturo przyjrzał się po kolei czterem twarzom, na których malowało się pełne napięcia wyczekiwanie. Po kąpieli w saunie czuł gęsią skórę, towarzyszącą zwykle początkom gorączki. Musiał myśleć jasno. I szybko.

— Dobrze — podjął decyzję. — Weźmiemy go żywcem. Nie może stąd uciec, więc zaczekamy. Ty i ty — wyznaczył dwóch wartowników — przyczaicie się po obu stronach dziedzińca. Ty — wskazał podbródkiem na żołnierza, który zawiadomił go o zajściu — zostaniesz ze mną i będziesz mnie osłaniać. Pan, sierżancie, poprosi przez radio o posiłki.

— A wy?

— Ja spróbuję z nim pogadać. Idziemy.

Klasnął w rękawice i oddział rozproszył się zgodnie z rozkazem. Arturo oparł karabin o ścianę i ostrożnie wychylił się nad murkiem.

— Słyszysz mnie?! — krzyknął. — Nazywam się Arturo, Arturo Andrade. — Jego imię odbiło się echem wśród kolumn i sklepień. — To koniec, rozumiesz? Jesteś otoczony. Wiem o wszystkim, o perfektybilistach i zemście, o tym, że Luisa del Águila zabiłeś w łaźni, o Agustinie Covisie... Daję ci słowo, że staniesz przed sądem, że będziesz miał rzetelny proces... Ale teraz musisz się poddać. Odpowiadaj.

Jego wołanie pozostało jednak bez odzewu, a głuchą ciszę wzmagająć prószący na dziedzińcu śnieg. Arturo słyszał własny oddech, widział, jak para rozwiewa się w powietrzu. Sekundy mijały.

— I wiem o Teresie — zablefował.

Z półmroku wytrysnęły niebieskie błyskawice karabinowej serii, której natychmiast odpowiedział ostrzał wartownika. Arturo skulił się i nakazał

wstrzymać ogień. Salwa milkła stopniowo, aż ucichła zupełnie; miał nadzieję, że pojedynk na kule przeobrazi się w słowną szermierkę. Usadowił się wygodniej i czekał. Wrócił Espinosa i przyklęknął obok.

— Co się stało? Słyszałem strzały.

— Chyba powiedziałem coś, co mu się nie spodobało — odparł Arturo.

Na twarzy sierżanta odbiło się zdumienie, lecz powstrzymał się od komentarza i od razu przeszedł do meldunku:

— W sztabie powiedzieli, że posiłki są w drodze.

— Jak to w drodze? Przecież nie mówiliśmy, że tu jedziemy.

— Duch Święty ich oświecił — wyjaśnił Espinosa sarkastycznie.

— Tu się dzieje coś dziwnego...

Jego podejrzenia zmaterializowały się nagle w stopniowo narastającej wrzawie i echu wystrzałów.

— Co jest, do cholery...?

Irrealna, wzburzona fala szaleńców jęła wylewać się z klasztornych korytarzy, wypełniając krużganki i zasypany śniegiem podwórzec wychudzonymi postaciami o przerażonych twarzach.

— Przed czym tak uciekają? — zastanawiał się na głos Arturo.

— Przed ruskimi? — odparł sierżant, repetując broń.

— Zaraz się dowiemy — dodał Arturo i odwrócił się do wartownika: — Nie ruszajcie się z miejsca, zrozumiano? Pilnujcie tego sukinsyna.

W chwili gdy wstawał, by wypytać, o co chodzi, na dziedziniec wypadło dwóch niemieckich żołnierzy, którzy na widok Hiszpanów stanęli jak wryci. Zastygli, nie wiedząc, co robić, kiedy za ich plecami pojawił się trzeci. Ten z kolei nie wahał się nawet przez moment; skierował na wojaków lufę karabinu i kazał im rzucić broń. Jego martwe oczy i odrażająca twarz wydały się Arturowi znajome. Einsatzgruppen, błysnęło mu w głowie. To był ten sam esesman, który omal nie zastrzelił Aleksandra. Spostrzegłszy, że i on go rozpoznał, Arturo poczuł w żołądku skurcz strachu. Mimo furii Espinosy, który klął na czym świat stoi, posłuchali rozkazu; wszyscy oprócz brodatego wojaka, który podszedł do Niemców, wygrażając im pięścią i wymyślając od ostatnich. Rzucili się na niego, rozbroili i pchnęli pod ścianę razem z innymi. Obawy Artura okazały się bezpodstawne. Esesman odwrócił się od nich i zajął zaprowadzeniem porządku w szeregach własnych żołnierzy, którzy wkrótce wypełnili dziedziniec. Zagnali wariatów, jak bydło, na sam środek. Kiedy byli pewni, że żadnego nie brakuje, otoczyli ich zwartym kordonem,

by udaremnić ucieczkę, i czekali. Po kilku minutach nadszedł oficer. Na jego widok Arturo przypomniał sobie uwagę Reyesa Zarauzy: „Herr Czarna Magia... Likwidują ludzi...” Wolfram Kehren. Podobnie jak Espinosa, ubrany był w gruby kozuch. Zasalutował, teatralnym gestem zdjął czapkę, po czym, z wyrazem obojętności na geometrycznie kanciastej twarzy, zlustrował sytuację. Arturo trzymał się dzielnie; pobladł dopiero na widok wchodzącej Hildy. Chociaż obecność Niemki była najzupełniej zrozumiała, jego umysł nie mógł się z tym pogodzić. Wstrząśnięty, patrzył na postać otuloną ciepłym futrem, na twarz pod żelaznym hełmem, piękną i lodowatą niczym morski przypływ zimą. Wciąż go fascynowała, a wysoką cenę za ową fascynację zapłaciła niedawno Zira. Spoglądał na Hildę, czując, jak istota jego bytu rozpływa się w bezkształtny obłok uczuć, niezdolnych pobudzić go do czynu. I nagle wraz z pożądaniem powróciło mgliste wrażenie, jakiego doznał już podczas bankietu w kwaterze głównej: obcowania z ciemnością, pełną chaosu, mrocznych głębi i tajemnych korytarzy. Przypomniał sobie również słowa Kehrena: „Rasa aryjska ma naturalne prawo, by zdominować, a nawet eksterminować słabsze narody... Sowietci to podludzie i dlatego muszą ustąpić przed rasą panów”. Przypomniał sobie sposób, w jaki kapitan patrzył na las, gdy rozstrzeliwano dezertera. Przypomniał sobie ponury fetyszym nazistowskiej higieny społecznej. Strwożony, świadomy tego, co się miało wydarzyć, usiłował zwrócić na siebie uwagę esesmana, powstrzymać katowskie topory wirującej swastyki, właśnie wprawionej w ruch. Wolfram Kehren obrzucił go obojętnym spojrzeniem lodowatych oczu, a Hilda położyła palec na ustach, nakazując milczenie. Niemiec wydał kilka krótkich, stanowczych rozkazów i na dziedziniec weszło jeszcze dwóch żołnierzy, do tej pory stojących w cieniu. Ustawili karabin, biorąc na cel tłum nieszczęśników. Reszta oddziału zarepetowała broń. Szaleńcy wpadli w panikę. Krzyk, lament, płacz. Niektórzy bezładnie wymachiwali rękami, jakby chcieli odpędzić od siebie przeznaczenie i śmierć. Arturo dostrzegł wśród nich Miszę, który przedzierał się przez ciżbę, rozpaczliwie coś do niego wołając.

— *Feuer!*

Rozkaz Kehrena zabrzmiał sucho, niespodziewanie. Śmierć spadła na nich jak otwarta trumna. Karabin maszynowy pożerał taśmę, wypluwając kule krótkimi, konwulsyjnymi seriami, którym towarzyszyły wystrzały z pistoletów i erkaemów. Setki łusek z brzękiem opadały na zlodowaciałą

ziemię. W krótkiej chwili ciszy obsługujący karabin żołnierz włożył azbestowe rękawice, żeby wymienić rozżarzoną do czerwoności lufę. Potem znowu otworzył ogień. Arturo przyglądał się im wszystkim, uwięzionym w zastygłej bańce czasu: Kehrenowi, Hildzie, innym esesmanom; w ich oczach dostrzegł widzianą już wcześniej u żołnierzy z Einsatzgruppen ospałość, jakby ich mózgi były bardziej opieszale niż ręce. I pojął, że oto patrzy na nowych władców. Obcych dla samych siebie i obcych dla świata, bez pojęcia o przeszłości ani o przyszłości; egoistyczne, samotne dzieci, igrające w czystym raju okrucieństwa, zabijające bez powodu, bez nienawiści, by otworzyć kolejną erę w dziejach Ziemi, nieubłaganą i bezlitosną. *Halt, halt* — głos Kehrena odbijał się od pleców żołnierzy, wstrzymując stopniowo ogień, który zamierał z wolna w pojedynczych salwach. Niemal natychmiast Niemcy wkroczyli w labirynt trupów, dobijając żywych strzałem w głowę. Echo wystrzałów dudniło pod sklepieniem korytarzy.

— Dlaczego? — pytał z rozpaczą stojący przy Arturze wojak o czarnych oczach.

Pytanie, na które łatwo znaleźć replikę, choć nie ma na nie odpowiedzi, pomyślał Arturo. Esesmani metodycznie dokonywali swego krwawego dzieła, gdy nagle w głębi dziedzińca wyłonił się ze śnieżycy żołnierz o twarzy zakrytej kominiarką. Zdjął karabin i podniósłszy ręce nad głowę, ruszył poprzez zwały trupów. Zdumienie Artura udzieliło się wszystkim. Nie wiedzieli, jak zareagować. Przeszedł przez środek podwórca i wkroczył w głąb korytarza, roztrącając buciorami miedziane łuski, które w onirycznej ciszy, jaka raptem zapadła, dzwięczały niby dzwonki. Obojętnie minął Kehrena, jakby czuł, że wilk nigdy nie ukąsi wilka, i bez pośpiechu wyszedł przez drzwi. Po latach Arturo nadal nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć, co się wówczas stało: być może spodziewał się ujrzeć diabła w ludzkiej skórze lub śmierć we własnej osobie; być może gotów był na konfrontację ze wszystkim prócz człowieka. Dopiero głośne przekleństwo Espinosy wyrwało go z owego zaklętego kręgu. Odepchnął Niemców i podbiegł do Kehrena, krzycząc, że właśnie ucieka im morderca. Kapitan wydawał się równie skonsternowany jak on, ale w końcu ustąpił i rozkazał swoim ludziom oddać broń Hiszpanom. Arturo po raz ostatni poszukał wzrokiem Hildy, by przekonać się ostatecznie, że ani nie może jej mieć, ani przestać kochać, a potem ruszył za sierżantem. Upłynęło niewiele czasu, więc zbrodniarz nie mógł umknąć daleko. Biegli przez kręte klasztorne korytarze, potykając się

na stopniach, aż wreszcie pomiędzy niepokój i strach wdarła się nadzieja: rozpoznali przejście wiodące do lochów. Na kamiennej ostrodze nie było już latarni na dynamo. Być może zabrał ją zabójca, a to znaczyło, iż obrali dobry kierunek pościgu. I że nie będą mieli światła. Spojrzeli na siebie; nie było czasu na rozterki. Trzymając broń w gotowości, wkroczyli w ziejący czernią prostokąt i jęli posuwać się ostrożnie, macając przed sobą ściany. Trędowny kilim pleśni oblepiał rękawice jakąś śliską substancją, jakby mury się pocily; rozkołysana ciemność falowała, dławiała oddech, podczas gdy oni wypatrywali smugi światła, która poprowadziłaby do wyjścia. Wokół panowała niezwykła cisza: nie słyszeli walenia w pręty krat ani wrzasków skazańców. Arturo już miał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach, bo jeden z nieruchomych dotąd kształtów wygiął się dziwnie, a za nim drugi i następny, i jeszcze następny. Otchłań zajrzała im w oczy. Horda wygłodniałych widm rzuciła się na nich, drapiąc na oślepek pazurami, zaciskając na szyjach kościste palce; zabójca, uciekając, pootwierał cele, żeby opóźnić ewentualny pościg. W ciemności Arturo nie widział twarzy napastników i z początku zarówno on sam, jak i sierżant powstrzymywali się od strzelania, lecz żeby wyrwać się z gwałtownych uścisków, musieli otworzyć ogień. Karabinowe salwy oświetliły na mgnienie oka drzwi, sklepienia, ściany; żyłaste ramiona, wychudłe oblicza pokryte skorupą brudu, ciała w łachmanach... Z braku miejsca Arturo musiał cisnąć karabin na posadzkę i użyć tetetki, na oślepek pociągając za spust. Były to chwile nieopisanej grozy wzmaganej przez ciszę, w jakiej toczyła się owa milcząca walka. Gdy przebrzmiał ostatni wystrzał, wszystko wokół spowijał swąd prochu, gęsty i cierpki.

— Jesteś tam, Arturo? — rozległ się zasapany głos Espinosy.

— Jestem, panie sierżancie. Trochę poobijany, ale to nic. A pan?

— Bywało lepiej. Nie traćmy czasu, ma nad nami przewagę.

Arturo poczuł, że jakaś ręka popycha go w ciemności do przodu. Daleko, w głębi korytarza, dojrzeli jasną szczelinę, poszerzającą się i zwężającą na zmianę. Za ową wątłą smugą blasku trafili do wyjścia i otworzyli na oścież kołysane wiatrem drzwi. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, niemal ich oślepiło, stracili na moment orientację. Zanim ich oczy zdążyły przywyknąć do nadmiaru światła, stwierdzili, że zima zrzuciła maskę łagodności i ukazała swe przerażające oblicze. Wiatr wgniatął oddech w piersi i wydymał na plecach mundury niczym czasze spadochronów, podczas gdy śnieżyca

podnosiła metamorficzne wiry o nieskończenie zmiennych kształtach, zasypując białym puchem wszystko wokół, także ciało zarżniętego nożem esesmana, które leżało o kilka metrów od wyjścia. Niemcy nie zaniedbali niczego, obstawili możliwe drogi ucieczki, lecz nawet oni nie powstrzymali mordercy.

— Panie sierżancie!

Wzrok Espinosy podążył za ramieniem Artura, wskazującym żółtawoszare pasmo lasu, na którego tle mignęła jakaś ciemna postać, by za moment zniknąć w gęstwinie drzew.

— Nie ma nad nami dużej przewagi — powiedział sierżant. — Zmarnował trochę czasu na tego dojcza.

Nie zwlekając, ruszyli przetartym przez zbiega szlakiem. Ślady wiodły zygzakiem po zboczu, schodząc w kierunku Sławianki. Przyspieszyli kroku, pewni, że jeśli ścigany przejdzie na drugi brzeg, zdąży się ukryć w Miestielewie. Spoceni, utyłani śniegiem, dostrzegli go na brzegu. Krzyczeli „stój!”, ale bez skutku. Zdesperowany Arturo uskokczył za srebrzysty pień najbliższej brzozy, odetchnął głęboko, odbezpieczył karabin, wycelował i strzelił. Maleńka fontanna śniegu trysnęła w górę o metr od uciekiniera, który przystanął i odwrócił się powoli. Wyglądało na to, że się poddaje. Arturo jakoś nie mógł uwierzyć, że wszystko okazało się takie łatwe. Ostrożnie posuwali się naprzód. Espinosa nie miał ochoty celebrować kolejnego rozczarowania i jasno dał do zrozumienia, że następnego razu nie będzie.

— Ręce do góry! — wrzasnął.

Nieznajomy bez pośpiechu wykonał rozkaz. Chociaż byli jeszcze daleko i wydawało się, że nie jest uzbrojony, czuli jakiś dziwny, złowróżbny niepokój narastający z każdym krokiem. W pewnej chwili Arturo potknął się i zjechał na tyłku kilka metrów. Idący za nim Espinosa podbiegł, żeby mu pomóc. I wtedy rozległ się wystrzał. Arturo zerwał się na równe nogi i zobaczył w dłoni nieznajomego dymiący pistolet. Potem obejrzał się na Espinosę. Sierżant stał tuż obok, z twarzą ściągniętą grymasem bólu; w pełni przytomny, oddychał z trudem, ale trzymał się prosto, dopóki z kącików ust nie pociekła mu strużka krwi. Wówczas wypuścił z rąk karabin i runął w śnieg. Arturo ani drgnął. Nieznajomy mierzył prosto w niego, ale nie strzelał, jakby na coś czekał. Mijała sekunda za sekundą, aż wreszcie zaczął się wycofywać, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Nagle odwrócił się i ruszył biegiem na drugi brzeg. Musiało upłynąć kilka chwil, by Arturo pojał

zasadę tej gry: możliwość wyboru to nie przywilej, lecz dylemat. Morderca dawał mu do wyboru: dalszy pościg albo ratowanie przyjaciela. A przecież mógł zabić ich obu. Dlaczego tego nie zrobił? Arturo bez namysłu podbiegł do Espinosy i przyklęknął obok. Widział jego pobladłą twarz, czuł sztywność ciała; zdjął mu hełm, rozpiął kozuch i mundur. Z dziury na wysokości żołądka wypływała spieniona krew, rozlewając się na śniegu drobną siateczką strumyków, których głęboka czerwień stopniowo przechodziła w róż. Wyjął z plecaka bandażę, żeby założyć prowizoryczny opatrunek; z ust sierżanta wydobył się głuchy jęk.

— To nic takiego, panie sierżancie, zwykłe draśnięcie — pocieszał Arturo.
— Za tydzień będzie pan w domu, z rodziną.

Uśmiech Espinosy bardziej przypominał pełen udręki grymas. W kącikach warg znów pojawiły się bąbelki krwi. Ze ściągniętymi brwiami wycharczał przez zaciśnięte szczęki:

— Nareszcie ktoś zoperował mi wrzód.

Arturo uśmiechnął się ze smutkiem. Miał wrażenie, że za każdym oddechem z sierżanta uchodzi haust duszy; zamocował opatrunek, ostrożnie podniósł rannego i wziął go na plecy, razem z plecakami i karabinem. „Jeszcze trochę, panie sierżancie, jeszcze kawałeczek”. Ruszył na przełaj przez zaśnieżone zbocze, okrążając monaster. Wkrótce zobaczył trojkę Antonia, który ujrawszy ich, pospieszył z pomocą. Przy tej szybkości nawet Aparicio nie potrafiłby prowadzić sań równie delikatnie i zręcznie, za co Arturo pozostał Rosjaninowi wdzięczny do końca życia. Leżąc na wznak i przyciskając rękoma bandażę, by zatamować upływ krwi, Espinosa, podtrzymywany na wertepach przez Artura, pytał co chwila przez zaciśnięte wargi, kiedy dojadą do Miestielewa.

— Niedługo, panie sierżancie — kłamał Arturo. — Już prawie jesteśmy na miejscu.

W śnieżnej zamieci dotarli do szpitala, gdzie rannym zajęli się sanitariusze, którzy zabrali go na noszach na salę operacyjną. Arturo siedł za nimi, jakby porwany przez nurt wzburzonej rzeki. W obszernym pokoju było kilka długich stołów. Na jednym z nich położono sierżanta. Po kilku minutach pojawił się — z asystą pielęgniarzy — kapitan Alfredo Larios w białym fartuchu z zawiniętymi rękawami. Popatrzył na Artura i na rannego. Bez zbędnych komentarzy zapytał, co się stało; kiedy Arturo krótko przedstawił fakty, lekarz zbadał pobieżnie pacjenta i wyrecytował długą listę poleceń.

Sierżanta rozebrano, oczyszczono ranę, zadźwięzwały kleszcze, lancety, nożyczki... Arturo stanął w kącie, a Larios obwiązał twarz maską z białego płótna. Począwszy od tej chwili, jego słowa stały się równie oszczędne jak ruchy. Woń eteru i spirytusu zmieszała się z zapachem potu. Podczas gdy Espinosa, dygocząc, pogrązał się w narkotycznym śnie, chirurg zawzięcie poszukiwał jakiegokolwiek znaku życia, który mógłby zaszyć w jego ciele. Arturo śledził walkę widoczną na sinobłękitnej twarzy sierżanta, dopóki nagle nie stała się inna, obca, jak dzieje się to z twarzami naszych bliskich po śmierci. Była to chwila niemal nieuchwytna, ów tajemniczy moment, w którym dusza opuszcza ciało, pozostawiając je martwym niby opustoszały dom. „Panie kapitanie”. Żołnierz kontrolujący puls nie musiał mówić nic więcej. Larios, z czołem zroszonym potem, dokonywał nadludzkich wysiłków, by wskrzesić w sierżancie tchnienie życia, lecz okazało się to równie daremne jak próba zawrócenia komety. Wyczerpany, zdjął bez pośpiechu maskę i poszukał wzrokiem Artura.

— Stracił za dużo krwi. Tylko cudem mógłby przeżyć. Przykro mi.

Trzy godziny. Arturo nie zdawał sobie sprawy, że operacja trwała aż tak długo. Przez sto osiemdziesiąt minut stał pełen napięcia, wygnany poza granice czasu. Po słowach lekarza cofnął się jak ogłuszony, oparł o ścianę i z wolna osunął na podłogę. Potem zaczął się modlić. Błagał o to, żeby mógł zapłakać. Nawet gdyby to była tylko jedna łza. Bo wiedział, że inaczej zwariuje.

Termopile

Śmierć Espinosy dotknęła go bardziej, niż mógłby przypuścić. Pięć dni po pogrzebie fale wspomnień przetaczały się w jego głowie niczym kula burząca, jakby chciały rozsadzić ją od środka. Sądził, że miało to związek z uczuciem, jakie budziła w nim ojcowska postać sierżanta; wiedział, że je sobie uroił, ale — wraz z geometrycznym ładem wojennych rytuałów — pomogło mu to przebrnąć przez pokłady pierwotnej frustracji, które osadzały się w nim od chwili wyjazdu z Madrytu. Teraz Espinosę utracił, podobnie jak niegdyś rodziców, jakby ciążyło nad nim przekleństwo sprawiające, że z jego życia znikali ci, których najbardziej potrzebował. W okadzonej zapachem kawy klitce wpatrywał się w ciemne błoto fusów na dnie kubka. Umysł paraliżowała mu jakaś fatalna niemoc. Mimo wszystko starał się kontynuować śledztwo; tym razem ofiarą zbrodni padł Joaquín Tiempo Meneses, lat dwadzieścia pięć, kawaler, urodzony w Gamonal de Ríopico w prowincji Burgos, przydzielony do oddziału saperów 262 pułku w Krasnym Borze. Podczas wojny domowej walczył w pierwszej chorągwi Falangi pod Somosierrą, potem na wschodzie kraju, w batalionie Cazadores de Melilla, a następnie nad rzeką Ebro i na froncie katalońskim, w trzeciej dywizji legionistów. Na piersi wycięto mu kolejne zdanie z modlitewnej rymowanki: „Pamiętaj, że kiedyś umrzesz”. Wszystko pięknie... tyle że do Rosji zwerbowano go w Barcelonie. Reasumując, nie był falangistą ani masonem i nie zaciągnął się do wojska w Walencji, co w znacznym stopniu niweczyło dotychczasowe ustalenia i podawało w wątpliwość linię śledztwa, wywołując zamęt w głowie Artura. Na domiar złego poszukiwanie elementów przestępczych w łonie całej dywizji, a w szczególności wolnomularskich powiązań w punkcie werbunkowym w Walencji, nie przyniosło na razie wymiernych rezultatów, podobnie zresztą jak rejestr poczty, z

korespondencją Joaquina Tiempo Meneses i listami będącymi w posiadaniu Erundiny del Águila włącznie. Wszystko to przestudiował ponownie, przeczytał w przód i w tył, ale saldo było wciąż ujemne. Założenia znów zostały zredukowane do nagich faktów, a zasady do przypadków, pogrążając go w narastającej niepewności. Mógł już liczyć jedynie na Kamiennego Gościa kapelana, postać znaną z imienia — Teresa — lecz nieznaną z nazwiska: Estruch, Estrella, Estrada... oraz zwężoną źrenicę Agustina Covisy na zdjęciu zrobionym przez Paramia Ponta. Poza tym wciąż dręczyło go pytanie, dlaczego wtedy nad Sławianką morderca do niego nie strzelił. A Bóg wciąż patrzył... Arturo odstawił kubek i wstał z pryczy, żeby wsunąć osmalone polano, które za chwilę mogło wypaść z piecyka. Wyschnięta kora zajęła się ogniem. Usiadł, wydłubał grudkę ropy z oka. I jeszcze Zira, pomyślał. Daremnie szukał jej po całym Miestielewie; żeby jej wytłumaczyć, że są sprawy, których wytłumaczyć się nie da; żeby prosić ją o wybaczenie. Położył się i zasłonił oczy rękami. Czuł, jak opada przed nim czarna kurtyna; wszystko sprzysięgło się, by pozbawić go jasności umysłu, pogrążyć w magii zaślepienia, kusić, żeby się poddał. Ale rozkołysana w jego głowie kula burzyła ów pozorny marazm. „Ktoś musi wymierzać sprawiedliwość” — mówił Octavio. „Gdzie są dzieci, ojcze?” — powtarzał Espinosa. Aleksandr. Aleksandr, patrzący z lękiem na niemiecki karabin. Zamknij oczy, Aleksandrze. Zamknij. Bo jesteśmy nosicielami dzieci, bo kiedy niesiemy dziecko, możemy kroczyć przez zło, chroniąc się pod płaszczem niewinności, zamknij oczy, przejdziemy przez rzeki, przejdziemy przez burze, zamknij oczy, maleńki, przejdziemy nawet przez ogień piekielny.

Gdzie?

Gdzie są dzieci, ojcze?

Arturo wstał. Jego biała noc dobiegła końca. Po raz pierwszy był świadomy, że logika nie pomoże mu w tej sprawie bardziej niż tarot czy wróżenie z fusów, nie miał więc obiekcji, by użyć mentalnej tabliczki ouija. Nie było odpowiedzi, zgoda, ale wciąż pozostało wiele pytań, a przede wszystkim byli ci, którym można je zadać. W tym celu potrzebował jednak specjalnego upoważnienia. Pomyślał o Navajasie, lecz zarówno spodziewana ofensywa Rosjan, jak i jego wrodzona powolność sprawiały, iż podpułkownik nie wydawał się tu najwłaściwszą osobą; pomyślał o Reyesie

Zarazie, „czasami ważniejsze bywają prawa niepisane”. Zdjął słuchawkę z widełek i poprosił o połączenie z kwaterą główną. Major nie kazał na siebie czekać i Arturo pokrótce wyłożył swój plan. Głucha cisza na drugim końcu linii sprawiła, że poruszył się niespokojnie; przez moment miał wrażenie, że telefon wpatruje się w niego niewidzialnymi oczyma.

— Jest pan pewien swoich podejrzeń?

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni, panie majorze.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co zamierza zrobić?

— Tak.

— A jeżeli pan się myli?

— Chce pan, żebym znalazł mordercę?

— Tak, ale proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

— W razie czego zawsze może mnie pan rozstrzelać.

Gulgot przypominający śmiech wskazywał, że odpowiedź została przyjęta z uznaniem.

— Byłby z pana dobry toreador. Czego panu potrzeba?

— Pańskiej zgody.

— Masz moją zgodę, wojaku, masz moją zgodę...

Major uznał rozmowę za skończoną. W słuchawce rozległ się szum jak w muszli, która wchłonęła echo wszystkich mórz. Arturo spakował do plecaka termos z kawą, żelazną rację żywności, jedną książkę i tetetkę. Następnie, ubierając się ciepło, pomyślał o śródziemnomorskich upałach. Pomyślał o Espinosie. I zapragnął, by sierżant dotarł do nieba o godzinę wcześniej, nim diabeł dowie się o jego śmierci. Do nieba, w które już nie wierzył, pełnego dziewcząt w walencjańskich strojach, fajerwerków, *fallas*, muzykantów i straganów uginających się pod wieżami słodkich wafli. A u wrót Pańskich koniecznie powinien czekać wielki czołg, który gruchnie powitalną salwą.

Okręt zimy skierował swój dziób na północ, sprawiając, że rtęć w termometrach opadła poniżej czterdziestu kresek, a mróz nie był już brakiem ciepła, lecz czymś naturalnym, niekwestionowanym. Pod jego panowaniem, przy bezchmurnym niebie i słońcu jaśniejącym w lodowatym halo, Miestielewo trwało w pełnym napięcia oczekiwaniu; żołnierze szeptali między sobą o koncentracji ponad czterdziestu tysięcy Rosjan, setkach dział zwanych organami Stalina i licznych wozach bojowych T-34 i KW-1 na wschód od Kołpina, w Krasnym Borze, przyczajonych, by pożreć ich dusze.

Nieuchronność ataku trzykrotnie liczniejszych sił wroga znajdowała odbicie w działaniach dywizji. Młodziutcy żołnierze umacniający szanice i czyszczący broń ze spokojem, który przerastał wyobraźnię, jawili się Arturovi jako Spartanie w wąwozie termopilskim. Szukając po całym obozie Aparicia, poczuł się dumny z owej demonstracji siły, o ileż prawdziwszej niż potęga Sowietów, zredukowana wyłącznie do sfery materialnej. Kaprala odnalazł przy stajniach; stał obok konia, pod zwisającymi z dachu soplami. Jego głowa znajdowała się niemal na tej samej wysokości co koński łeb. Zapinał skórzaną uzdę ozdobioną mosiężnymi guzami i pieścił grzywę spływającą z długiej, wygiętej w łuk szyi wierzchowca. Arturo wyobraził sobie spłoszonego, znarowionego ogiera usiłującego wydostać się po grzbietach pobratymców z lodowej pułapki na Sławiance; widmo wynurzające się z gęstej mgły, która zacierała wszelkie kształty...

— Dzień dobry, panie kapralu — zasalutował; owiała go mocna, ciepła woń końskiego łajna i potu. — Widzę, że ciężarówka znowu nawaliła?

— Arturo... — Twarz Aparicia sposepniała. — Dowiedziałem się o sierżancie... Przykro mi.

— Życie, panie kapralu.

Aparicio zrozumiał, że powinien ukryć współczucie. Poklepał konia, który zarżał i rzucił zadem.

— Nie, ciężarówka ciągnie jak smok — powiedział, zmieniając temat. — Pomagam przyjacielowi. — Machnął ręką w stronę żołnierza przerzucającego słomę w głębi stajni.

— Chudy ten koń — zauważył Arturo i też poklepał zwierzę po szyi.

— Dobrze karmią tylko te, które wysyłają na front. — Kapral wysunął podbródek w kierunku Kołpina.

— Zwierzęta zawsze się tuczy przed oddaniem do rzeźni. Kiepska sprawa.

— Tak, szykuje się niezłe pif-paf.

— Znowu będziemy wyciągać za dojczów kasztany z ognia, co?

— Cóż robić!

Arturo pokiwał głową i zadarłszy brodę, popatrzył na niebo.

— Jak tam pogoda? — zapytał.

— Pogoda? — Aparicio wydawał się zbity z tropu. — Wytrzyma, jak sądzę.

— Tak pan myśli?

— Tak, nie ma chmur. Ale mróz nie odpuści, nie ma mowy.

— Może popada śnieg.

— Śnieg...?

Aparicio zorientował się wreszcie, że Arturo nie przyszedł do niego porozmawiać o pogodzie. Przesunął wielkim łapskiem po lśniącym grzbiecie zwierzęcia, które zastukało podkowami w zamarzną ziemię.

— A jak tam twoje sprawy? — spróbował ułatwić Arturowi zadanie.

— Diabeł przybiera rozmaite postacie. Właśnie szukam jego kolejnego wcielenia.

Aparicio, doceniając wagę przedsięwzięcia, przytknął palec do lewego nozdrza swego wielkiego nosa i wysmarkał się solidnie. Następnie powtórzył tę samą operację na prawym.

— To dla diabła.

Uśmiechnął się szeroko. Przecięta blizną twarz wciąż tchnęła dziecięcą naiwnością.

— Niedawno oświadczył pan, że w razie potrzeby mogę się do pana zwrócić — zaczął Arturo, kontemplując wszystkie odcienie szarości, jakimi mienił się śnieg pod jego stopami. — Czy zechce mi pan pomóc teraz?

Aparicio odchrząknął.

— A co mam zrobić?

Arturo podniósł wzrok.

— Nic, po prostu być obok. Tak na wszelki wypadek.

— Obok kogo? — zapytał chytrze kapral.

Arturo przedstawił mu pokrótce swoje poszukiwania, oddzielając fakty od domysłów, po czym — z błogosławieństwem Reyesa Zarauzy — odniósł to wszystko do osoby kapelana. Na pierwszą wzmiankę o księdzu Aparicio zacisnął usta i ze zdwojoną uwagą zajął się koniem. Arturo jednak się nie poddawał; wiedział, że świat jest łańcuchem konieczności i wymuszeń. Wszelkiego rodzaju.

— Panie kapralu — zaatakował — ja teraz nikomu nie ufam. Jedyńm człowiekiem, na którym mogłem polegać, był sierżant. A dziś został mi już tylko pan.

— Ale to przecież ksiądz... — oponował Aparicio.

— Proszę mi pomóc...

— Naprawdę, nie wiem...

— Proszę...

— To przecież ksiądz — powtórzył.

— Został mi tylko pan...

Aparicio odetchnął głęboko, buchając kłębami pary. Pełen rozpierającej go dumy, poklepał wierzchowca i zerknął na Artura.

— A ty co o tym myślisz?

Koń zarżał i rzucił łbem, zmuszając kaprala, by mocniej ściągnął wodze.

— Jak moja matka się dowie, wygarbuje mi skórę — mruknął Aparicio.

— Ja jej nie powiem.

— Wierzę. Tylko spróbuj...

— Dziękuję, panie kapralu. Naprawdę.

Aparicio wzruszył ramionami, zawołał kolegę i oddał mu wodze. Potem energicznie poklepał skostniałe ramiona i przeżegnał się z determinacją.

— To kiedy?

Arturo po raz pierwszy od początku śledztwa poczuł, że to on jest łownym kotem. „Dorwiesz go, tylko nie komplikuj sprawy” — napomniał się w myślach.

— Możemy zająć na kilka godzin tę chatę, w której urządziliśmy zabawę?

— Z tym raczej nie będzie problemu.

— Świetnie. Odtąd proszę się nie martwić niczym, cokolwiek powiem albo zrobię. Ja odpowiadam za wszystko. Niech pan bierze karabin i nie odstępuje mnie na krok. Tylko tyle. Chodźmy, nie mamy czasu do stracenia.

Najpierw poszli do kaplicy. Pod jedną ze ścian stał bałwan z wąsami à la Stalin, któremu ktoś wbił dwa bagnety w lodowate serce. Weszli bez uprzedzenia; na szczęście nie musieli przeszukiwać całego Miestielewa: kapelan krzątał się pośrodku nawy, pomiędzy rzędami długich drewnianych ław, zbierając z posadzki okruchy stiuku, które musiały odpaść z sufitu wskutek uderzenia pocisku. Stanęli przy ostatniej ławce. Ojciec Ramón, spostrzegłszy Artura, skrzywił się z niechęcią.

— Wynoś się z domu Bożego — rozkazał grzmiącym głosem.

— Nie przyszedłem do spowiedzi, ojczy — odparował cios Arturo, ostro, ale spokojnie. — Chcę tylko zapytać po raz ostatni, co księdzu powiedział Luis del Águila. I kto to jest Teresa.

Metyskie rysy kapelana ściągnął nagły skurcz.

— Powtarzam: zabieraj się stąd natychmiast i wracaj tam, skąd przyszedłeś.

Arturo nie chciał ciągnąć wymiany zdań, która jedynie odwlekała to, co

nieuniknione.

— Panie kapralu! Proszę go wyprowadzić i czekać na mnie.

Aparicio nawet nie zdjął mauzera; po prostu stanął przed kapelanem świadomy własnej przewagi, wynikającej z faktu, że był o lata młodszy, o lata silniejszy i o całe lata bardziej porywczy, a następnie grzecznie poprosił, by kapłan zechciał mu towarzyszyć. Ojciec Ramón odpowiedział gniewnymi, jęklivymi pogroźkami i ruszył w stronę Arturo, co kapral natychmiast mu udaremnił. Arturo powtórzył rozkaz, lecz ksiądz najwyraźniej nie miał zamiaru spełnić żądania. Aparicio spojrzał groźnie i odbezpieczył karabin. Górna warga kapelana zadrgała nerwowo, w końcu jednak ustąpił. Włożył palto, wziął hełm i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Kiedy Arturo został sam, podszedł prosto do komody, w której przechowywano utensylia liturgiczne; z raportów kapitana Isarta wynikało, że to tam odkryto dowody nałogu kapelana. Wyjął butelkę — pustą — po wytrawnym sherry, którym ksiądz ugościł ich podczas ostatniej wizyty, szklanki oraz pudełko po ciastkach — również puste. Następnie stulę, skrzynkę z olejami, kielich w drewnianym futerale, brewiarz — który otwierał się zawsze na tej samej stronie: jak się przygotować na dobrą śmierć — i wreszcie znalazł to, czego szukał. Mięciutką sakiewkę z aksamitu w kolorze owoców granatu, ściągniętą jedwabną tasiemką. Rozwiązał supeł i obejrzał zawartość. Zadowolony, zaciągnął tasiemkę i schował woreczek do plecaka. Przed wyjściem po raz ostatni rzucił okiem na wielką mozaikową ikonę Najświętszej Dziewicy, na anioły i brodatych świętych otaczających majestatycznego Pantokratora o surowym obliczu. Bóg wciąż na niego patrzył, lecz on wytrzymał jego spojrzenie, twardo, gniewnie. Wyszedł dopiero wtedy, kiedy Bóg odwrócił wzrok.

Czekali pod kaplicą, obok bałwana; wystarczyło kilka sekund, by Arturo pojął, jak wielki popełnił błąd, pozostawiając kaprala sam na sam z kapelanem. Aparicio stał jak zaczarowany, podczas gdy rozdwojony język lizał jego uszy, a podstępny cień pełzający po gałęziach drzewa wiadomości dobrego i złego rozwijał swoje węzowe sploty. Arturo zareagował błyskawicznie; stanął przed ojcem Ramonem jak tygrys oko w oko z innym tygrysem, wyciągnął tetetkę i warknął:

— Ruszaj, księżo.

— I ty też nie będziesz odkupiony — powiedział kapelan, sięgając do tej samej retoryki, jaką zastosował wobec Aparicia. — Sam się skazujesz na

potępienie, a twoja dusza spłonie w ogniu piekielnym. Twój przyjaciel już się tam smaży.

Twarz Artura zlodowaciała.

— Nie wolno tak księdzu mówić.

— Mówię, co myślę.

— Sierżant Espinosa nie zasłużył na takie słowa.

— Zasłużył na więcej.

Arturo powstrzymał pokusę, by przystawić mu lufę do czoła i rozwalić łeb.

— Idziemy, ojcie. Muszę wypełnić rozkazy.

Kapelan nawet się nie poruszył.

— Rozkazy? Mnie może rozkazywać tylko Bóg.

— Nie mieszajmy do tego Boga. To ludzkie sprawy — odparł Arturo, naśladując Espinosę. — Idziemy, już! — Wymownym gestem zatoczył łuk pistoletem.

— Nie strzelisz, brakuje ci jaj. To tylko dym, synu, zwykły dym. Wystarczy dmuchnąć i się rozwieje, o tak... — Chuchnął na otwartą dłoń.

Zbity z tropu Arturo popatrzył na tetetkę, jakby ją zobaczył pierwszy raz w życiu. Schował broń.

— Ma ksiądz rację, nie mógłbym do księdza strzelić. Za to możemy z kapralem spuścić księdzu tęgie lanie, a potem zobaczymy...

Jego ton oraz widok srogiej miny Aparicia przekonały ojca Ramona, że nie są to czcze pogróżki.

Spokorniał.

— Dokąd idziemy?

— Na razie za mną.

Ruszyli gęsiego, Arturo na przedzie, wskazując drogę. Wkrótce dotarli do znajomego przysiółka. Aparicio udał się na poszukiwanie starszyny. Rosjanin, przyjaźnie nastawiony do wszystkich, bo wszystkich się bał, szybko dobił targu i wpuścił ich do jedynej chaty, która nie wyglądała na ruinę. Jeden za drugim weszli do izby, równie zaniedbanej i nędznej jak wtedy, gdy urządzili w niej zabawę; i tak jak poprzednio powitał ich gość, lepki smród, ochrzczony przez wojaków „ruskimi Chanel”.

— Proszę usiąść. — Arturo wskazał kapelanowi słomiany siennik.

Ojciec Ramón bez pośpiechu zdjął hełm i usiadł na stercie koców. Aparicio przysunął się do rozpalonego pieca, Arturo zaś podszedł do stołu i postawił na nim plecak, z którego wyjął książkę, termos z kawą i płócienny

woreczek z żelazną racją żywności, po czym odsunął to wszystko na bok. Upewniwszy się, że tamci dwaj z uwagą śledzą jego ruchy, wyciągnął aksamitną sakiewkę i wydobył z niej dwa futeraliki — jeden sztywny, z brązowej skóry, drugi czarny — oraz kawałek białej gumy. Obserwując reakcję kapelana, pedantycznie rozkładał owe przedmioty, jakby rozmieszczał na planszy figury szachowe przed rozegraniem partii. Ksiądz zsiniał na twarzy; zrozumiał wreszcie, że byli sprytniejsi od niego, ale milczał. Arturo się uśmiechnął; od chwili, w której z ust ojca Ramona padły słowa uwłaczające pamięci sierżanta, ta rozgrywka stała się czymś osobistym, a zemsta miała polegać na udowodnieniu kapelanowi, że życie wymazuje przekonania równie szybko, jak morska fala zmywa zamki z piasku. On sam też tego doświadczył. Wyzbyty wszelkiej litości otworzył brązowy futerał; w środku były przegródki, a w nich trzy igły i strzykawka. Następnie otworzył czarny, zawierający pięć ampulek morfiny. Spojrzał na księdza. Odczekał jeszcze kilka minut, by mocniej nadszarpnąć jego morale. Potem przemówił.

— Istotnie — rozpoczął teatralnie — cóż znaczą fakty w obliczu potęgi wiary? — Wyjął jedną ampulkę, przykucnął i ostrożnie położył ją na podłodze. — Luis del Águila był słaby, nie miał w sobie dość wiary, by znieść ból. — W izbie dał się słyszeć dźwięk miażdżonego butem szkła; spojrzenie kapelana było jawnym usiłowaniem zabójstwa. — Tak — ciągnął Arturo — nawet sierżant Espinosa miał w sobie wiarę, która pozwoliła mu stawić czoło zwątpieniu. — Wyjął drugą ampulkę i położył na ziemi. — Albowiem już w Biblii powiedziano: „Wiara góry przenosi”. — Rozdeptał z furią fiolkę i na jej miejscu umieścił następną. — To samo mówi święty Mateusz: „Według wiary waszej niech wam się stanie!”³¹ Mam rację, proszę księdza? — Ksiądz nie odpowiedział. — Fray Luis de León również o tym wspomina; często mi to powtarzano w sierocińcu: „Każdy plon swego życia zbiera, bo jakie są uczynki, takie ich następstwa, a gospody takie są, jakie gościńce...” — Arturo udał wahanie. — Chociaż nie wiem, czy ma to coś wspólnego z tym, o czym mówiłem. — Z jeszcze większą zaciętością roztrzaskał kolejną ampulkę. — Ale od czego mamy tu księdza? — Podniósł przedostatnią fiolkę morfiny. — Niechże ojciec pouczy nas i ukaże nam potęgę wiary, dowiedzie, że można zwyciężyć własne demony. — Upuścił ją na podłogę i rozdeptał; wyjął ostatnią i schował do kieszeni. — Poczekam,

mamy czas...

Spakował oba futerały do plecaka, zabrał książkę, termos i żelazną rację żywności, po czym rozsiadł się w kącie na wiązce słomy, tej samej, na której zgwałcił Zirę. Aparicio, milczący obserwator owej sceny, pomału chwycił sens tego, co się dzieje. Pojął w końcu, że miał być jedynie świadkiem tytanicznego pojedynku na siłę woli, w którym chodziło o to, kto kogo przetrzyma. Podeszedł wówczas do kapelana, proponując mu jedzenie i picie, lecz ojciec Ramón tylko spojrzał nań z pogardą i wycofał się za szanec własnej pychy. Kapral wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce przy piecu. Zdjął plecak, hełm i rękawice, oparł mauzera o ścianę i ułożył się najwygodniej, jak mógł. Popatrzył na fosforyzujące wskazówki zegarka. Druga czterdzieści siedem. Dziewiąty lutego. Z oddali dobiegał stłumiony huk dział; teatr zagłady zalany lodowatym blaskiem słońca. Aparicio raz jeszcze rozejrzał się po izbie. Pograżony w lekturze Arturo żuł kawałek suchara wyjętego z płóciennego woreczka. Ojciec Ramón mamrotał pod nosem modlitwy: *Iudica me, Deus, et discerne causam meam de gente non sancta: ab homine iniquo et doloso erue me...* (Bądź mi sędzią, o Boże, i rozsądź sprawę moją z narodem bezbożnym; wybaw mnie od człowieka niedobrego i fałszywego...) Zaklęcia pozwalające zapanować nad codziennością. Kapral zastosował własne: wyjął karty i kapciuch; zwinął skręta, zakleił śliną i wetknął do fifki. Wraz z pierwszym haustem dymu rozpoczął pasjansa. Czas odtąd upływał dziwnie, jakby izba była jakąś atemporalną oazą, gdzie nie istniały prawa fizyki, których działanie zostało ograniczone do przestrzeni na zewnątrz chaty, tam bowiem zmierzchało się niedostrzegalnie, aż zapanowały zupełne ciemności i Aparicio musiał zapalić świece. Trójkąty światła i cienia przenikały zmienną gamę buchającej z pieca przytulnej czerwieni, raz odsłaniając, raz kryjąc postaci tymczasowych mieszkańców, jak gdyby przeniesione tam z jakiegoś chaotycznego, brudnego obrazu Grosza. Kapelan, coraz bardziej blady, uwięziony w duchowej pustce, wciąż miotał się jak szczur w labiryncie; narkotykowy głód powoli korodował jego wolę, tak jak kwas przeżera metal. Arturo tymczasem unosił się na powierzchni niespokojnego snu, co zdradzał szybki ruch gałek ocznych pod powiekami. Raz po raz rzucał się spazmatycznie niczym marionetka pociągnięta z nagłą za sznurki. Świece stopiły się niemal do końca w małe kałuże wosku, gdy Aparicio zbudził go, delikatnie potrząsając za ramię. Arturo uwalniał się pomału z gąbczastej miękkości drzemki, jakby

wracał do życia po długiej hibernacji.

— Arturo... Kapelan chce mówić.

Ów szept otrzeźwił go zupełnie. Arturo wstał, przetarł zaropiałe oczy; potrzeby i tęsknoty powracały, sączyły się kropla po kropli: pragnienie, głód, sprawiedliwość... Ciemność, niczym w chwilach poprzedzających stworzenie świata, zakrywała wszystkie okna.

— Która godzina? — zapytał kaprala.

— Szósta rano.

Kiwnął głową. Najciemniej bywa tuż przed świtem. Przyjrzał się kapelanowi, który nadal nie ruszył się z siennika i wyglądał jak ciało pozbawione szkieletu — sflaczały, z pobladłą twarzą i czołem zroszonym kroplami potu.

— Proszę... — odezwał się ochrypłym głosem.

Arturo po raz pierwszy usłyszał z jego ust to słowo.

— Sądzi ksiądz, że już nie potrzebujemy papieskiej dyspensy? — zapytał lakonicznie.

— Czego chcecie?

Niewolnictwo jest jedną z najgłębszych więzi ludzkich. Artura kusilo, by podelektować się jeszcze trochę przerażeniem kapelana. Prawdę mówiąc, miał na to wielką ochotę, ale musiał zadowolić się tylko jego kapitulacją, bo czasu było coraz mniej.

— Co się stało w Walencji i kim jest Teresa?

Ojciec Ramón potarł dłonią wargi, jeszcze walczył, by nie stracić dla siebie resztek szacunku. To był pierwszy krok do klęski, do wszystkich jego nieszczęść.

— Wydarzyło się to na kilka dni przed jego wyjazdem z kraju.

Arturo milczał.

— Wtedy byli już żołnierzami dywizji — podjął kapelan. — Luis i tamci...

— Tamci? Ilu ich było?

Kapelan nie odpowiedział. Arturo wyjął ampułkę.

— Pięciu. Było ich pięciu. Zwerbowano ich do misji specjalnej. Mieli wejść do pewnego mieszkania w Walencji.

— Kto ich zwerbował?

— Luis nie wiedział, kim był ten człowiek.

— Ktoś z dywizji?

— Pewnie tak.

— Jak to pewnie? Proszę nie tracić mojego czasu — zniecierpliwiał się Arturo.

— Tak, tak, był z dywizji.

— I Luis nie wiedział kto?

— Nie wiedział, naprawdę. Potem już nigdy go nie spotkał.

— Nie powiedział księdzu nawet, czy był wysoki, czy niski?

— Nie.

— A jaki miał stopień?

— Tego też nie wiedział, naprawdę. Facet był bez munduru, przyszedł z oficerem, który za niego poręczył.

— I co dalej?

— Pojechali samochodem do jakiegoś mieszkania. Wszyscy w cywilu, uzbrojeni, nocą. Tam im wyjaśniono, że mają zatrzymać niebezpiecznego masona, ważną figurę. I kazano nikomu o tym nie mówić.

— To wszystko brzmi dość dziwnie.

— Luis też tak pomyślał, ale musiał wykonywać rozkazy.

— Jaka to ulica?

— Nie pamiętał, było ciemno, a on nie znał Walencji.

— Proszę mówić dalej.

— O świcie znowu wsiedli do samochodu i pojechali. Dom był bardzo elegancki. Wyłamali drzwi, ale nie zastali tego, kogo szukali. Zamiast niego była tam jakaś kobieta. Ten, który ich zwerbował, strasznie się wściekł i kazał im zdemolować mieszkanie.

— A potem?

Kapelan z trudem łapał oddech. Lodowaty pot na czole, chłód w duszy.

— A potem? — powtórzył Arturo ostro.

— Kazał im zgwałcić tę kobietę. Wszystkim.

Nagle rozproszone elementy zaczęły do siebie pasować. Bo zło to stary znajomy, bo zło ma ludzkie serce. Rozsypane nuty jęły układać się w posępną melodię krzywdy i zemsty, a jednoznaczne rozróżnienie kata i ofiary przerosło siły Artura. Teraz, kiedy pytanie „dlaczego?” ustąpiło miejsca pytaniu „kto?”, nie potrafił już ocenić sensu kontynuowania śledztwa. Zdał sobie sprawę, że potrafiłby dalej żyć z tymi pytaniami. Spojrzał na Aparicia. W uniesionych brwiach kaprała również czaiły się nieme pytania, z tą różnicą, że on potrzebował odpowiedzi. Arturo przypomniał sobie, że

Joaquina Tiempo Meneses nie było w Walencji. Przypomnił sobie zwężone źrenice. Przypomnił sobie, że wprawdzie uszedł z życiem, ale morderca odebrał je sierżantowi. Tak, być może sam się oszukuje, być może on także potrzebuje odpowiedzi.

— Jakie nazwisko nosiła Teresa? Estruch, Estrella, Estrada...?

— Estrada. Teresa Estrada.

— Teresa Estrada... — Arturo zamyślił się na chwilę. — Czy Luis wspominał coś o Agustinie Covisie albo Joaquinie Tiempo Menesie?

— Nie, nic mi o nich nie mówił. Dosyć tego. — Kapelan podniósł się, rozdrażniony, jego górna warga drgała opętańczo. — Dawaj.

Arturo stał bez ruchu. Ojciec Ramón cofnął się o krok. Rysy jego twarzy stwardniały.

— Cierpienie wcale nie oczyszcza, zrozumiał to ksiądz wreszcie?

— Dawaj.

— Cierpienie otumania.

— Dawaj to.

— A jak to ojciec wytłumaczył Luisowi del Águila? On nie szukał przebaczenia, wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy tamtego postępu, on szukał pokuty. Co mu ojciec powiedział o cierpieniu?

Kapelan zacisnął pięści, żeby opanować drżenie rąk. Oczy miał wytrzeszczone, z nosa ściekały mu krople potu. Targane konwulsjami ciało było niczym zwierciadło, w którym odbijał się dręczący go ból. „Wije się jak przecięta na pół glista” — pomyślał Arturo.

— Wiara, ojczy, to lina, której możemy się uchwycić, ale na której mogą też nas powiesić. Wiara i cierpienie, ojczy.

Niewiele już brakowało. Przesłuchanie opiera się nie tylko na strachu, lecz także na pragnieniu mówienia, potrzebie spowiedzi.

— To pewnie ciężko wysłuchiwać tyłu grzechów i nie móc się przed nikim wygadać. Tyle sumień. Tyle samotności.

Czuł litość. Czuł odrazę. „Jak glista”.

— Rozgrzeszyłem go — wybuchnął kapelan. — Ze wszystkich grzechów. Luis zrobił to, co powinien, ale nie chciał tego zrozumieć. To była komunistka. Czerwona suka. Powinni ją byli zgwałcić tysiąc razy, a ona powinna dziękować Bogu, że darowali jej życie.

Nienawiść zawisła w powietrzu, przerażająca, trudna do odparcia. Arturo pojął, że to już wszystko, że nic więcej nie usłyszy. Wyjął z kieszeni ampułkę

i pokazał ją kapelanowi. Ten, pełen niepokoju, podszedł do stołu, podwijając rękaw kurtki; na wewnętrznej stronie ramienia widniało pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt sinofioletowych punkcików, które tworzyły delikatny rysunek wzdłuż wypukłych żył. Chwycił strzykawkę, umocował w niej igłę i pomagając sobie zębami, mocno zacisnął gumę wokół bicepsa. Pożądliwie, z trwożną nadzieją popatrzył na ampułkę. Arturo oczyma wyobraźni ujrzał, jak kapelan napełnia strzykawkę, szuka kawałka dziewiczej żyły, w którą mógłby się wkłuć; ujrzał kropelki krwi zmieszane z narkotykiem, pustą fiolkę, słodkie, otumaniające chłonoście morfiny... Jednak ku rozpaczy ojca Ramona przerwał brutalnie tę domniemaną sekwencję zdarzeń i odwrócił się do Aparicia. Pełne niedowierzania spojrzenie kaprała wyrażało to, co Arturo już wiedział: ten chłopak nie dorósł do tego wszystkiego, nigdy nie powinien był opuścić swojej wioski, powinien żyć tam, wśród swoich, orząc ziemię z ojcem i napawając matkę źle skrywaną dumą. Artura ogarnęło współczucie. Aparicio, wielki jak byk i taki dziecinny, był częścią tego, co w Hiszpanii najlepsze — prawości, prostoty, werwy, niewinności — lecz otaczał go świat rządzony przez niezrozumiałe dla prostodusznego umysłu potężne siły; i nikt go nigdy nie przestrzegł przed tym, że istnieją księża morfiniści, którzy nakłaniają do gwałcenia kobiet, nawet jeśli są to komunistki i dziwki.

Położył mu dłoń na policzku gestem niemal pieścizotliwym.

— Panie kapralu — powiedział, nie mogąc powstrzymać słów — niech się pan nie zmienia, bez względu na to, co jeszcze się wydarzy na tej wojnie.

Aparicio, niepewny, jak ma to rozumieć, spłonął rumieńcem. Arturo uśmiechnął się i wręczył mu ampułkę, która w łapskach kaprała wydawała się jeszcze bardziej krucha. Potem szepnął mu na ucho:

— Proszę go przetrzymać ze dwie godziny.

Potem, głuchy na klątwy kapelana, pozbierał swój ekwipunek i wyszedł z izby.

Poranek wydawał się dziwny, tak jak większość poranków, ale inaczej niż zwykle, niczym pierwszy lub ostatni dzień wojny. Arturo zauważył to, gdy tylko śnieg zaskrzypiał mu pod butami. Znajomy i swojski był jedynie mróz, który szczelnie otulił jego ciało, jak ulubiony stary płaszcz.

Odetchnął głęboko. Mimo ożywczego haustu powietrza czuł się wyczerpany nerwowo i bardzo zmęczony. W połowie drogi pomiędzy chatą i drzewami zobaczył jakiś pień. Postanowił posiedzieć na nim przez chwilę.

Zdjął plecak i poszukał termosu; został jeszcze kubek kawy. Odkręcił korek i pociągnął łyk. Maleńkie, lśniące ziarna kawy rozpuszczały we krwi ciepło, które kontrastowało z dookolnym zimnem. Pogrzebawszy w plecaku, znalazł pozostałą z żelaznej racji konserwę i trochę czekolady. Śniadanie podano. Między jednym kęsem a drugim obserwował niebo, podobne do rozświetlonej, opalizującej bryły lodu. Jakieś małe, ciemne ptaki wykonywały chaotyczne akrobacje ponad zieloną smugą lasu. W świadomości Artura nawarstwiały się myśli i uczucia. Zniechęcenie, frustracja, ulga, zdumienie, zmęczenie... Zbliżał się do końca, ale nie do rozwiązania, którego być może już nigdy nie znajdzie, a paradoksem napełniającym go największą grozą było to, że wszystkie te śmierci miały związek z miłością. Odgryzł kawałek czekolady i przed kolejną próbą odpowiedzi uporządkował pytania, nazwiska, daty. Morderca dokonał zemsty skrupulatnie, ale skąd wiedział, iż jej obiektem byli właściwi ludzie? Czy żona mogła mu ich opisać aż tak dokładnie, że wybór ofiar nie pozostawiał żadnych wątpliwości? Przypomniawszy sobie domysły Octavia Imaza, który podejrzewał, że tajemniczy perfektybilista wymierzał karę trochę na oślep, jak gdyby nie był pewien, jaki stopień wtajemniczenia ma instygator i czy denaci są masonami. Z zeznania Miszy wynikało niezbitcie, że zabójca przesłuchiwał w Molewie Agustina Covisę i prawdopodobnie też Joaquina Tiempo Menesesa; czy podobnie postąpił z Luisem del Águila? Jakie informacje uzyskał? Im bardziej Arturo usiłował posklejać ów rozbitą dzban, tym więcej fragmentów brakowało. Jaki ostatecznie motyw tkwił za tym „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy”? Czy fakt, że morderca darował mu życie, ma jakiś ukryty sens? Co oznaczają zwężone źrenice Agustina Covisy? A do tego jeszcze dwóch winowajców wciąż czeka na egzekucję... wspomnienie sceny zdumiewającego przejścia zabójcy przez klasztorny dziedziniec wobec hipnotycznej bierności Niemców i Hiszpanów ponownie wprawiło Artura w lekkie osłupienie; albo ten człowiek miał w żyłach lód zamiast krwi, albo rozpacz zubożyła go na wszystko. Arturo popadł w apatię martwych punktów. Na podniebieniu czuł jeszcze aromat kawy; potrząsnął termosem, by sprawdzić, czy na dnie coś zostało, widząc jednak, że naczynie jest puste, zebrał resztki niedojedzonego śniadania i wbił wzrok w niebo. Obserwował nadejście światła, które stopniowo przeobrażało błękitny przestwór w gipsową skorupę, gdy nagle cała linia frontu zapłonęła ciemną łuną i ziemia zdrząła od huku. Ogień z setek dział, nieustający, rytmiczny grzmot

wystrzałów i wybuchów, barbarzyński, ogłuszający, zwiastował spodziewany Dzień Sądu. Arturo miał wrażenie, że głowa za chwilę pęknie mu pod hełmem, lecz nie był zdolny do żadnego ruchu, zafascynowany oślepiającą ścianą płomieni, która zasłaniała całe niebo. Sowieci przystąpili do ofensywy, spychając awangardę hiszpańskich wojsk znad Iszory do Krasnego Boru; w ciągu zaledwie dwóch godzin 262 pułk miał zostać zmieciony z wojennej mapy, a wszystkie umocnienia i okopy — zalane przez niezliczone bataliony i czołgi, on jednak mógł myśleć tylko o Bogu ustawicznie portretującym ich wszystkich, ich śmiertelność, rozbłysk za rozbłyskiem. Przygryzł od środka policzki. Wtem pewien obraz sprawił, że ciało stwardniało mu niczym odłamek granitu. Maleńki szczegół przyciągnął jego uwagę, przypadkowo, jak punkt na zamalowanym ręką artysty płótnie, jak dostrzeżona w tłumie twarz. Jednocześnie sieć elektrycznych spięć, biegnących w różnych kierunkach, wiązała ową wizję z nagromadzonymi w zakamarkach zwojów mózgowych faktami, wydobywając z chaosu możliwość, która stawała się coraz bardziej realna, aż wreszcie przez jego twarz przemknęła błyskawica zrozumienia. „Zdjęcia...” — mruknął. Tajemnice... tajemnice nie istniały, wszystko miał tu, przed samym nosem, przed cholernym nosem. Poderwał się z miejsca i zarzucił plecak na ramię, modląc się w duchu, żeby Antonio nie zawieruszył się gdzieś, wystraszony nadciągającą nawałnicą. Kiedy dotarł do Miestielewa, od razu, ku swej nieopisanej uldze zaprawionej nutką podziwu, natknął się na Rosjanina, który najspokojniej w świecie pałętał się po obozie, obojętny na panujący wokół zamęt. Szczera, naiwna radość, z jaką powitał go chłopak, była jedynym jasnym promieniem w beznadziei ostatnich dni.

— Antonio, musimy się dostać do kwatery głównej.

Rosjanin nawet się nie zająknął; z przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem przynaglił go na migi do pośpiechu. Szparkim krokiem doszli do sań, które wierny Antonio, z obawy przed rekwizycją, przemyślnie ukrył za jakimś barakiem. Ku zaskoczeniu Artura konie z filozoficznym spokojem znosiły wojenny chaos; już wcześniej zauważył tę dziwną prawidłowość, że nigdy nie wpadały w popłoch na początku bitwy. Ruszyli w stronę Pokrowskiej. Nad ich głowami przewalały się tony pocisków, lecz Antonio kosił zakręt za zakrętem z tym samym opanowaniem, z jakim wioził ранego Espinose. Stojącym na drugim brzegu Sławianki pałacykiem co chwila wstrząsały wybuchy sowieckich bomb, które dziurawiły okolicę, wzbijając

pióropusze dymu, ziemi i śniegu. Antonio zręcznie wyminął świeżo powstały lej i zatrzymał trojkę na niewielkim wzniesieniu przed głównym wejściem. Arturo zeskoczył, pokazując Rosjaninowi, żeby ukrył się wśród drzew zagajnika. Potem, odbezpieczywszy broń, rzucił się biegiem w kierunku klasycystycznej fasady. Tym razem w holu nikt go nie zatrzymał; zdawało się, iż precyzyjnie funkcjonujący organizm został zaatakowany przez nowotwór, który zmienił jego wewnętrzną strukturę, rujnąc dotychczasową sprawność. Arturo rozejrzał się, zdjął plecak i położył go przy futrynie; po chwili namysłu postawił obok karabin i wyjął poręczniejszą tetetkę. Sprawdził, czy jest nabita, odblokował iglicę i ostrożnie, po cichu ruszył pustym korytarzem do pokoju cenzorów. Tam również nie było nikogo; katarakty kopert i pocztówek, przystrojona bombkami choinka, plakaty z toreadorami... Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego zaledwie przed chwilą. Wrócił na korytarz; obmyślał kolejne kroki, gdy w magazynie, w którym rozmawiał z Octaviem, usłyszał szuranie, jakby ktoś przesuwiał krzesło lub inny mebel. Zdjął hełm i przywarł bokiem do drzwi. Słuchał całym ciałem, usiłując uchwycić jakikolwiek dźwięk. Hałas rozległ się znowu: szuranie, suchy kaszel i czyjeś pospieszne kroki. Później szuranie się powtórzyło, a kroki umilkły. Naprężył łydki jak ktoś, kto szykuje się do skoku; już miał wyłamać drzwi, zrozumiał jednak, że to byłoby głupie, zapukał więc, ścisnąwszy tylko mocniej tetetkę. Po drugiej stronie nikt nie odpowiedział. Arturo zapukał jeszcze raz. I znowu nie było żadnej reakcji. Przyłożył ucho, a potem, bardzo powoli, złapał za klamkę i delikatnie nacisnął. Drzwi otworzyły się łatwo. W kręgu światła słabej żarówki, za barykadą z worków i powielaczy, siedział mężczyzna w mundurze z zawiniętymi do łokcia rękawami, sztywno wyprostowany, z rękami na kolanach i wzrokiem wbitym w fotografię rozłożone na biurku jak karty do pasjansa. Nie obejrzał się, nawet się nie poruszył, ale Arturo wciąż trzymał go na muszce. Groza — nie ta bezosobowa, którą tchnął świat za murami pałacyku, lecz ta spersonifikowana, której nie można rozproszyć ani z nikim dzielić — przybiera czasami oblicze tak pospolite, że skłania do lekceważenia, i dlatego się bał. Oto on. Wampir. Nareszcie. Zebrał się na odwagę i powiedział:

— To koniec. Jest pan aresztowany.

Jedna — pionowa — zmarszczka przecięła czoło mężczyzny.

— Teraz istotnie wszystko się skończyło — padła lakoniczna odpowiedź.

Arturo wstrzymał oddech. Nie zrozumiał, co tamten ma na myśli, ale serce podskoczyło mu do gardła, gdy żołnierz podniósł rękę i rozpiął guzik munduru. Może był to zwykły odruch. Może zrobiło mu się gorąco. A może sięgał po broń.

— Jeden ruch i strzelam — odezwał się Arturo; w jego głosie nie było wrogości ani groźby.

— Rozumiem. Przepraszam.

Pytania, same pytania. Na razie bez odpowiedzi. Arturo wiedział, że strach i ciekawość zawsze idą w parze. Mieli czas. Mnóstwo czasu.

— Wszystko zaczęło się od fotografii — wyjaśnił.

— Jakich fotografii?

— Tych, które oddał pan do wywołania Paramiowi.

— Ach, te...

— Obejrzałem je przez pomyłkę. Potem powiązałem je z pewnym zastanawiającym szczegółem. — Przypomnił sobie źrenice Agustina Covisy. — Pan zrobił zdjęcie Agustinowi Covisie, prawda?

— Tak.

— Tak myślałem. Były jeszcze inne rzeczy; jest pan wysoki, jako pocztowiec może krążyć swobodnie wzdłuż całej linii frontu... Przyznaję, że zmylił mnie trochę pański charakter, nie pasował do portretu, później jednak pomyślałem, że owszem, takie drobiazgowo, skrupulatne trzymanie się założonego planu zgadza się z pańską metodycznością i pedanterią. Ale nigdy bym na to nie wpadł, gdybym nie poznał nazwiska Teresy. Teresa to pańska żona, prawda?

— Tak — odpowiedział.

Arturowi zdawało się, że w jego głosie wyczuł niedostrzegalne drżenie.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało w Walencji, proszę mi wierzyć.

— Tu już nic nie pomoże.

„Ale ty spróbowałaś znaleźć antidotum” — pomyślał Arturo.

— Teresa... Teresa Estrada. To jej nazwisko po mężu.

— Tak.

— I także pańskie nazwisko, panie sierzancie. Zbyt wiele tu przypadków. Estrada. Cecilio Estrada.

Sierzant Cecilio Estrada, „don Picuś Glancuś”, powoli odwrócił się do niego. W jego oczach ziała pustka. Smagła, trójkątna twarz, okolona dostojnymi bokobrodami, nawet w tej sytuacji tchnęła ceremonialną

sztywnością.

— Gratuluję.

Sądząc z tonu głosu, był szczery. Ponownie zapatrzył się w przestrzeń.

— Jest jeszcze kilka pytań... — odezwał się Arturo prawie nieśmiało. — Myślę, że znam odpowiedzi, ale...

— Proszę pytać — przerwał mu Cecilio.

Arturo zwilżył językiem spękane wargi.

— Wczorom, po zabiciu Luisa del Águila, został pan w łaźni.

— Szedłem za nim, musiałem improwizować. Jakiś wojak o mało co wszystkiego nie popsuł. — Słyszac to, Arturo przypomniał sobie Trinitaria.

— Ale nie zauważył zamiany.

— A korne?

— Była mgła. Pomyślałem, że jeśli wypuszczę wszystkie, zrobi się jeszcze większe zamieszanie, a to było mi bardzo na rękę. Chciałem przewieźć ciało... Cóż, wyszło, jak wyszło. Pech.

— Popłoch w stadzie, pęknięty lód...

— Tak.

— Chciał pan go zabrać do Molewa, by tam dopełnić perfektybilistycznego rytuału...

Arturo zawiesił głos, ale nie doczekał się reakcji Cecilia. Przez chwilę szukał właściwych słów.

— Jak to się szczęśliwie złożyło, że w pobliżu stoi ten monaster! Nie rozumiem jednak, po co stosować takie kary wobec ludzi, którzy nie byli braćmi.

— To nie ich chciałem ukarać.

— Jak to?

— Byli jedynie narzędziem. Wykonywali czyjeś rozkazy. Im także należało wymierzyć sprawiedliwość, ale prawdziwym winowajcą był kto inny.

— Ktoś z braci?

— Tak. Zdrajca. — Sierżant skrzywił się, jakby musiał przełknąć gorzki napój. — Zostałem zdradzony, a jedynie brat wysokiej rangi mógł wiedzieć, kim jestem i gdzie mieszkam.

— Dlaczego to zrobił?

— Dla kariery, żeby usunąć niewygodnego świadka... Czy to teraz ważne? Mury zadrżały od bliskiego wybuchu; z sufitu posypał się pył, żarówka

zatańczyła, omiatając światłem i cieniem cały magazyn. Kiedy znieruchomiła, Arturo powrócił do pytań.

— Kogo pan szuka?

— Nie wiem — wyznał szczerze sierżant.

— Wie pan, dlaczego ktoś pana zdradził, ale nie wie pan kto. Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Musi się pan domyślać, krąg wtajemniczonych jest zamknięty.

— W bractwie miałem dostęp do poufnych informacji. Zapewniam, że kandydatów jest wielu.

— Dlatego przesłuchał pan Agustina Covisę?

— To był jedyny sposób, by znaleźć prawdziwego sprawcę.

— Odpytał pan też Luisa del Águila i Joaquina Tiempo Menesesa?

— Z Luisem del Águila się nie udało.

— A jak pan ich odszukał?

Cecilio popatrzył na leżące przed nim fotografie. Przesuwał je przez chwilę, jakby mogły dać mu odpowiedź. W nagłym przebłysku myśli Arturo zrozumiał.

— To dlatego wszystkim robił pan zdjęcia.

— Miałem kontakty, więc kiedy się zaciągnąłem, załatwiłem sobie przydział do poczty polowej i rozpocząłem własne śledztwo. Wypytywałem ludzi, sprawdzałem adresy na kopertach i z czasem namierzyłem tych, których zwerbowano w Walencji. Potem robiłem im zdjęcia i wysyłałem je Teresie. Jeżeli odsyłała mi któreś z powrotem...

Nienawiść, zmieszana z niewymownym cierpieniem, odbiła się w jego rysach.

— Skoro żona rozpoznała bezpośrednich winowajców, dlaczego nie pomogła zidentyfikować ich szefa?

Maska rozsądku opadła nagle z twarzy Cecilia Estrady. Spojrzał na Artura równie bacznie, jak ten patrzył na niego. W oczach mignął cień groźby. Palce Artura zacisnęły się na kolbie pistoletu.

— Zadbał o to, żeby go nikt nie widział... — Głos mu zadrżał, omal się załamał. — Wolał nie ryzykować, bo... bo chciał, żeby Teresa przeżyła, chciał, żebym ją zobaczył, żeby mi opowiedziała, co jej zrobili. Teresa potem... — Z trudem przełknął ślinę. — Teresa nie była w stanie mi pomóc, ale usłyszała, jak rozmawiali o dywizji i o szybkim wyjeździe.

Ewidentnie nie mówił wszystkiego, nie zeznawałby tak niechętnie, gdyby

nie miał powodu, lecz Arturo o nic więcej nie zapytał. Czyżby okazał się jasnowidzem? Cecilio Estrada, prawdopodobnie tak jak ów anonimowy sprawca, postanowił zastraszyć domniemanego prześladowcę, otoczyć go zasiekami krwi i grozy, by w panice czymś się przed nim zdradził. Arturo przypomniał sobie Zirę. Na co on sam zasłużył za to, co jej uczynił?

— Jeżeli to pana pocieszy, Luis del Águila bardzo żałował swego postępu. Bardzo z tego powodu cierpiał.

Mówił tak, jakby chciał przywrócić równowagę światu, jakby mógł wynagrodzić Ceciliowi doznane niegdyś krzywdy, jakby mógł zadośćuczynić Zirze za to, co jej zrobił tamtej nocy.

— Nie pocieszy — odparł sierżant twardo.

— A powinno.

— Powinno?

Cecilio niemal wypluł to pytanie i zaczął mówić. Związły jak zawsze, pamiętliwy, dokonywał swego katharsis, wymazując terażniejszość, zabierając ze sobą Artura do jakiegoś obłąkanego miejsca poza czasem, do najdalszej części własnej duszy, skąd wyrugowane zostały seksualność, głód, pożądanie... i gdzie, godzina za godziną, odtwarzany był brutalny gwałt na ukochanej żonie. „Namiętność bywa potężnym motywem... — wspomniał w myślach Arturo. — A czyż istnieje namiętność silniejsza od nienawiści?... Ktoś zamknięty w samowystarczalnej przeszłości, skazany na wieczne powtarzanie owego obsesyjnego cyklu... Ani umarły, ani żywy”. Wampir. Kiedy Cecilio Estrada skończył, Arturo poczuł się dziwnie pokrzepiony, ponieważ te zbrodnie były wymierne, miały jakąś przyczynę; a tamto, owa nicość, ów absurd, owa groza, obcy władcy, Molewo... budziło w nim nieskończoną trwogę. Czekał cierpliwie, aż sierżant powróci ze swej straszliwej otchłani; idąc śladem jego grzechów, pojął, iż tak wielkie nagromadzenie plugastwa, paradoksalnie, obmywa go z wszelkiego brudu, uwalnia od wszelkich grzechów. Nienawiść, jaką mógł poczuć do tego człowieka, słabła z wolna, przestała mu zatruwać krew. Ale w mroku pamięci wciąż błyskały niezadane jeszcze pytania.

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy...” — powiedział, chowając tetetkę do kabury. — Czy te słowa należą do rytuału?

— „Pamiętaj, Bóg na ciebie patrzy, pamiętaj, On patrzy na ciebie, pamiętaj, że kiedyś umrzesz, a kiedy umrzesz, nie wiesz” — uzupełnił Cecilio. — Teresa powtarzała to bez przerwy, jak mała dziewczynka, kiedy ją

bili, kiedy te bydlaki ją... — Pokręcił głową. — Chciałem, żeby nigdy tego nie zapomnieli. Zanim umarli, wyryłem im to nożem na piersi.

— Rozumiem. Listy też pan przechwytywał, prawda? Dlatego tak trudno było do nich dotrzeć.

— Niewiele było do przechwytywania.

— A dlaczego nie zastrzelił mnie pan wtedy nad Sławianką?

Cecilio milczał przez chwilę. Potem zapytał beznamiętnym tonem:

— Szczerze?

— Szczerze.

— Zaciął mi się spust. Już wiem, że to niewielka pociecha — odkaszlnął lekko — ale nie chciałem zabić pańskiego przyjaciela. Spudłowałem.

Kolejna gwałtowna eksplozja zatrzęsła budynkiem, na ich głowy znów posypał się pył, żarówka znów zatańczyła schizofrenicznie pod sufitem. Arturo wolał nie drażnić tematu, niektóre bitwy są z góry przegrane. Lampa huśtała się coraz słabiej, aż znieruchomiła zupełnie.

— Jednego nie rozumiem — powiedział na koniec Arturo. — Joaquín Tiempo Meneses nie zaciągnął się w Walencji, tylko w Barcelonie. Jakim cudem znalazł się w pańskim domu?

Cecilio obrzucił go dziwnym, nieprzytomnym spojrzeniem. Odwrócił oczy.

— Dostałem je dzisiaj — wskazał leżące na biurku zdjęcia.

Arturo nie rozumiał, do czego sierżant zmierza, ale podążył wzrokiem za jego ręką i przyjrzał się piętnastu fotografiom, piętnastu twarzom, piętnastu niepowtarzalnym momentom.

— Wysłałem jej piętnaście.

„Teraz istotnie wszystko się skończyło” — pierwsze wypowiedziane dziś przez sierżanta zdanie nabrało nowego sensu. „Teresa potem...” Jego urywane słowa dopełniały rozmiaru tragedii. Bo Teresa przesłała mu portret swojego kata, twarz, która w jej obłąkanym umyśle zlała się z twarzami wszystkich żołnierzy dywizji. Wszystkich, których zdjęcia wysyłał jej mąż. Bo Teresa zupełnie oszalała. Luis del Águila był winny, ale Cecilio nie mógł być już pewien, czy pozostali dwaj nie zginęli przez pomyłkę. „Kiedy pytałem ich, przysięgali, że o niczym nie wiedzą” — mamrotał, kręcąc głową. Arturo przypomniał też sobie, co mówił Espinosa, a mianowicie, że Agustín Covisa nie okazywał najmniejszego niepokoju po śmierci Luisa. I wówczas dostrzegł płynący z tego wszystkiego swoisty morał, coś, czego nie

potrafił sformułować, a co miało związek z walką z własnym sumieniem, pechem i błędami. Ofiara, kat... Trudno wyraźnie odróżnić jedno od drugiego, gdy wybór jest względny. „Litujemy się nad skrzywdzonymi — pomyślał — ale kto, kto się zlituje nad krzywdzicielami?” Zacisnął szczęki; Cecilio wciąż przekładał fotografie precyzyjnymi, sprawnymi ruchami, jakby mógł tym wskrzesić przeszłość. Było to niczym modlitwa. Zawsze jednak trzeba wiedzieć, kiedy zbliża się koniec, bo inaczej można się stać wampirem. Dlatego Arturo odwrócił się bezszelestnie i wyszedł. W holu złapał jakiegoś wojaka i kazał pilnować aresztanta, dopóki nie przyjdą po niego żandarmi. Rzucił ostatnie spojrzenie na drzwi, za którymi Cecilio Estrada, don Picuś Glancuś, pogrązał się w najstraszniejszej i najgłębszej ze wszystkich otchłani: w ludzkim solipsyzmie. Było mu potrzeba jednego, tylko jednego. I Arturo dał mu to bez wahania. Odszukał klucz światła i przekręcił. Teraz Cecilio mógł już dotknąć ciemności.

Zielonoczną smugę horyzontu przesłaniała mgła, rozświetlana od wewnątrz czerwonymi rozbłyskami. Jeszcze przed ósmą rano, po druzgoczącym ostrzale artylerii, sowieckie oddziały szturmowe, eszelon za eszelonem, przy wsparciu złowrogich kolosów T-34 i KW-1 przełamały front. Pojedyncze samoloty z czerwoną pięcioramienną gwiazdą nurkowały nad głowami Hiszpanów, zrzucając kiście bomb i omiatając ziemię iskrami karabinowych serii. Nie zostało nic, zryte okopy, wybebeszone schrony, wysadzone w powietrze gniazda ogniowe; chaos dymiących lejów, połamanego drewna, gruzu i trupów. A jednak, ku zdumieniu widmowych sylwetek, które stopniowo zamykały ich w okrążeniu, wojacy wciąż się bronili, bagnietami, kolbami, pięściami. Ze śpiewem. W owej chwili Arturo, bez reszty pogrążony we własnych myślach, wychodził z kwatery głównej, przekonany, że do niczego już nie jest tam potrzebny. Postanowił wrócić do obozu i pomóc, na ile starczy mu sił. Przedarłszy się przez tumult panujący wokół pałacyku, odnalazł Antonia i pojechali. Powrót okazał się bardziej uciążliwy, niż przewidywali; szosa zapchana była pojazdami i rannymi, ciągnącymi w kierunku Miestielewa, oraz oddziałami żołnierzy, którzy mieli wesprzeć front w Krasnym Borze. To, co zobaczyli na placu przed szpitalem, stanowiło wstrząsający widok. Ambulanse Volkswagen, ciężarówki LKW, furgonetki Opel-Blitz, motocykle Krad, furgony Deutsche Post, trojki, wozy drabiniaste... Wszystkie załadowane rannymi w osmalonych mundurach,

upadłymi na duchu, broczącymi krwią, wstrząsanymi drgawkami. Arturo zeskoczył z sań i uściskawszy serdecznie Antonia, zwolnił go z dalszych obowiązków. Błyskawicznie zorientował się w owym chaosie i zaczął dźwigać nosze, przeciskając się przez zatłoczone korytarze Feldlazarettu. Fala rannych płynęła bez przerwy, znalezienie wolnego łóżka było praktycznie niemożliwe, a w powietrzu, anonsowana coraz głośniejszym hukiem dział, wisiała groźba, że wkrótce nadejdą Sowieci, by wyciąć w pień całe Miestielewo. Za którymś razem przystanął, żeby chwilę odpocząć; odetchnął głęboko przez nos, wypuszczając ze świstem powietrze. Ktoś podał mu manierkę z koniakiem; pociągnął łyk i przed powrotem do kieratu rozejrzał się wokół. Ku swemu zaskoczeniu — w głębi placu, pomiędzy dwoma barakami — dostrzegł biegnące dziecko, zdumiewająco podobne do Aleksandra. Nie dowierzając własnym oczom, ruszył w kierunku węgła, za którym, jak mu się zdawało, zniknął chłopczyk. Chodził, szukał, ale nie znalazł nikogo. Przystanął niezdecydowany; podmuchy wiatru rozwiewały śnieg, tworząc widmowe kształty. Czyżby zwodziła go znużona wyobraźnia? Już miał zawrócić, gdy ze stojącego z lewej strony magazynu żywności dobiegł jakiś tupot i skrzywienie śniegu pod drobnymi stopami. Przyspieszył kroku i obszedł budynek. Z tym samym rezultatem. Przekonany, że i tym razem uległ halucynacjom, usłyszał dziecięcy śmiech, jasny i czysty. Ponownie ruszył w ślad za nim i po mniej więcej stu krokach znalazł się nagle w ostatnim miejscu, jakiego się spodziewał. Przed barakiem rzeźni uwięziony w blaszanym wraku wilczur, wychudzony, lecz wciąż budzący strach, wpatrywał się weń czujnie, z pochylonym łbem i obnażonymi, lśniącymi od śliny kłami. Arturo stanął jak wryty. Czy Aleksandr rzeczywiście istnieje? Czy to raczej sumienie, uosobione w tym dziecku, ma go jak uliczny oszust zapraszający do gry w trzy karty? W każdym razie wyglądało to tak, jakby — pośród całej owej nienawiści i zgliszcz — jakaś dziwna intryga zdarzeń, pod pozornie jednolitą powierzchnią rzeczywistości, przygotowała wszystko do ceremonii pojednania. Tajemniczy akt równowagi w przyrodzie. Arturo nie zamierzał stawiać oporu; zdjął hełm i plecak i położył je na szczycie niewielkiej zasy, obok karabinu. Owczarek stał bez ruchu, kłapiąc zębami, ujadając i warcząc. Arturo przykucnął na skraju kręgu wytyczonego długością łańcucha i wyciągnął rękę. Jediną bronią, jaką miał teraz przy sobie, była cierpliwość, nieskończone pokłady cierpliwości, albowiem gotów był czekać tyle, ile potrzeba, by zablizniła się

rana, którą sam zadał. Pies rozpędził się i ze zjeżoną sierścią, dobywając resztek sił, skoczył mu do gardła. Naprężywszy wszystkie mięśnie, szarpał łańcuch z tym samym impetem, z jakim czynił to dzień po dniu od ich ostatniego spotkania, miotając się bez chwili przerwy, do granic wytrzymałości, tak gwałtownie, iż przechodzący w pobliżu wojacy sądzili, że się wściekł, i niepewni, czy jest uwiązany, niemal umierali ze strachu. Godzina za godziną, ze szczękiem żelaznych ogniw za plecami, świadomy nieuchronnego bolesnego upadku, rzucał się do ataku, w próżnię, aż do zupełnego wyczerpania. Nocami, schowany we wraku ciężarówki, leżał w milczeniu, jakby był chory, i zbierał siły na następny dzień. Dlatego biegał teraz tak jak nigdy dotąd, zasłuchany w dźwięki roztańczonego łańcucha. Bo z każdym ubywającym gramem masy ciała wyrывał sile ciężenia, milimetr za milimetrem, ów centymetr potrzebny, by wystawić koniec pyska poza zakłęty krąg i zatopić zęby w ciele wroga. Arturo jednak nie mógł tego wiedzieć. Dlatego kiedy poczuł, że w ramię wbijają mu się ostre kły, na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Padł na śnieg, przygnieciony ciężarem zwierzęcia. Ułamek sekundy ocalił tętnicę szyjną; siła bezwładu rzuciła nim w prawo, dzięki czemu uniknął fatalnego ukąszenia. Ale wilczur już dopadł zdobyczy i nie zamierzał wypuścić, póki nie rozerwie jej na strzępy, rozciągając na wieczność łączące ich więzy krwi. Zaciśnięte szczęki miotały Arturem jak szmacianą kukłą; wyrывał się rozpaczliwie, lecz jego mundur z wolna nasiąkał krwią, co tym bardziej podniecało napastnika, który zyskiwał coraz większą przewagę. Arturo zawsze miał nadzieję, że w chwilach poprzedzających zgon ujrzy wreszcie coś autentycznego, pewnego, jakiś ekwiwalent prawdy zawartej w akcie śmierci, tymczasem, unurzany w pocie i własnej krwi, zaczynał pojmować, iż każde ugryzienie, każde szarpnięcie, które przybliżało jego koniec, uświadamia mu, że powinien się zadowolić nicością, a w momencie, gdy zgaśnie świat, zapamiętać tylko jedno — to, czego bał się najbardziej: twarz Hildy. Poddał się już zupełnie w oczekiwaniu na ostateczny cios; nagle oczy zalał mu strumień krwi, gęstej, cieplej, lepkiej. Dopiero gdy owczarek runął na śnieg obok niego, Arturo zrozumiał, że ta krew nie trysnęła z rozerwanej tętnicy, lecz z rozciętej szyi zwierzęcia. Resztkami sił odczołgał się na plecach od drgającego w konwulsjach ciała, jakby miotanego serią elektrycznych wstrząsów. W odległości kilku metrów usiadł i pomacał rozszarpane ramię. Pomimo mrozu fala gorąca zalała jego wykrzywioną z

bólu twarz; ogarnęło go uczucie dziwnej słabości. Pot wysyczał, zimne ubranie kleiło się do skóry. Poszukał wzrokiem swego wybawcy. I wówczas powrócił strach. Czterech rosyjskich żołnierzy w białych kurtkach i kominiarkach otaczało go półkolem, ściskając w dłoniach gałacze. Za ich plecami rozwijał szyki spory oddział partyzantów. Pod osłoną frontalnej ofensywy wróg przedarł się na tyły. Stało się to, czego wojacy obawiali się najbardziej: Sowieci weszli do Miestielewa. Wnet jednak zaczęto organizować obronę, anarchiczną, pozbawioną dowództwa, lecz za każdym karabinem stał Hiszpan gotów strzelać do ostatniego naboju. Zewsząd dobiegał terkot karabinów i huk eksplozji, niebo przecinały ogniste błyskawice wypluwane przez ukryty wśród budynków miotacz płomieni, a Arturo siedział bez ruchu, próbując odgadnąć intencje owych białych duchów (drugi od lewej wciąż trzymał pałasz, którym odciął łeb wilczurowi). Wobec braku jakiegokolwiek reakcji uśmiechnął się i wyciągnął zdrową rękę, otwartą dłonią na zewnątrz. Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Cios kolbą w twarz spryskał śnieg szkarłatnym pióropuszem. Równie ogłuszony jak skonsternowany Arturo pomacał językiem policzki i wypluł zakrwawiony ząb. Kiedy podniósł wzrok, jeden z Rosjan, ten, który stał najbliżej, ponownie zamierzył się kolbą. Arturo zasłonił głowę ramieniem. Zastygł w tej pozycji, skulony, zgięty w pół. Niedaleko eksplozja zburzyła jedną z chat, wzbijając chmurę dymu i pyłu, która zawisała nad gruzami, a podmuch fali uderzeniowej omal ich nie powalił swoim gorącym tchnieniem. Lecz nawet wówczas Arturo nie ośmielił się poruszyć.

— *Posmotri na mienia.* Spójrz na mnie — usłyszał kobiecy głos, który wydał mu się dziwnie znajomy.

— *Posmotri na mienia.*

Powoli, ostrożnie rozprostował ciało i popatrzył w oczy swego kata. Zobaczył twarz ukrytą pod zapiętym aż po czubek nosa kapturem. Tajemnicza postać jęła odpinać guziki, jeden za drugim, bez pośpiechu, a kiedy odsłoniła się zupełnie, Arturo ze zdumienia otworzył usta. Kobieta mówiła dalej, chłodno, beznamiętnie.

— *Aleksandr moj brat. Siejczas my s toboj kwity. W sledujuszczyj raz kogda tiebia uwizu, ja tiebia ubju!* Aleksander to mój brat. Teraz jesteśmy kwita. Następnym razem jak cię zobaczę, zabiję!

I na potwierdzenie owych gróźb przystawiła Arturowi do czoła lufę gałacza. Podniósł wzrok i napotkał oczy Ziry. Zatonął w nich spojrzeniem,

szukając na ich dnie argumentów, odpowiedzi na wszystkie pytania. Przypomniawszy sobie zasłyszane gdzieś niedawno zdanie: „Więcej tu szpiegów niż wszy”. Z kłębowiska myśli jęły się wyłaniać obrazy. Bezimienna „matuszka” wymierzająca Aleksandrowi klapsy przed kościołem tego dnia, gdy rzucali się śnieżkami; okutana zgrzebną chustą kobieta w bezkształtnym palcie, która zaopiekowała się odebrany esesmanowi chłopcem. I Arturo zrozumiał. Arturo milczał, gdy powiało między nimi nagłym chłodem. Arturo spuścił głowę. Nie było sensu jej zapewniać, że żałuje. „Żałuję”. „Żałuję”. Nie było sensu mówić, że była ceną zapłaconą za Hildę. Nie było sensu. Zira patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, bez słowa, szeroko otwartymi oczami. Wreszcie cofnęła broń, zapięła kaptur i wykrzyknęła jakiś rozkaz, który w uszach Artura zabrzmiał niczym suchy, rozdzierający trzask. Żołnierze zrobili w tył zwrot i zanurzyli się w czerwony przypyływ nieustannie wzbierający za ich plecami. Po raz ostatni spojrzał na Zirę, postać znikającą wśród dymów i płomieni Miestielewa.

Podniósł się z trudem. Zimno dokuczało mu tak bardzo, że wolałby się wcale nie urodzić albo już nie żyć. W dodatku był okropnie obolały, jakby przebył długą drogę przez cierniste chaszczki. Plama krwi na ramieniu powiększała się, zmiażdżona kolbą twarz puchła w oczach. Wilczur leżał na boku w kałuży posoki koloru wina. Wszędzie słychać było strzały i eksplozje; Arturo głęboko wciągnął przesycone kordytem powietrze i zakaszał. Popatrzył na otaczające go zewsząd spustoszenie, które rozlewało się coraz szerzej, jak krwawy krąg wokół martwego psa. Szary dym, śnieg. Żołnierze strzelają, upadają, jęczą, płaczą. Obcy władcy rozpoczęli swe mroczne panowanie, władcy zamętu i rozpadu. Czarne bożki, które chcą obalić świat. Osieroczone dzieci. Arturo nie poddał się rozpacz. Chronił Aleksandra. Jesteście nosicielami dzieci. Dzieci niszczą teraźniejszość, ale tylko one potrafią zbudować przyszłość. Pamiętajcie, że kiedy niesiecie dziecko, będziecie mogli kroczyć przez zło, chroniąc się pod płaszczem niewinności. Tylko one ośmieliły się powiedzieć, że władca jest nagi. Przejdziecie rzeki, przejdziecie burze, przejdziecie nawet przez ogień piekielny. Tylko one mogą jeszcze podtrzymać nadzieję.

Arturo popatrzył klęsce prosto w oczy. Podniósł z ziemi kask, chwycił broń, sprawdził amunicję i ładownice, zapiął pod szyją mundur. Kiedy

zobaczył biegnącego ku niemu partyzanta z nastawionym bagnetem wycelowanym w jego pierś, nie poczuł strachu. Wycelował starannie i nacisnął spust. Nie usłyszawszy żadnego huk, zrozumiał, dlaczego Rosjanin nie strzelał. Jemu też zamarzył karabin.

Przypisy

[←1]

Błękitna Dywizja (niem. 250 Infanterie-Division; hiszp. División Española de Voluntarios) — formacja złożona z hiszpańskich ochotników, walcząca u boku armii niemieckiej na froncie wschodnim; znana też jako 250 Dywizja Pieszono-Konna (wszystkie przypisy tłumaczki).

[←2]

Autor podaje nieprecyzyjne dane. W rzeczywistości Polacy bronili się przez trzydzieści sześć dni (od 1 września do 6 października 1939 roku), a Francuzi o osiem dni dłużej (od 10 maja do 22 czerwca 1940 roku).

[←3]

Servicio de Información Militar — republikańska Służba Wywiadu Wojskowego utworzona w sierpniu 1937 roku, słynąca z brutalnych metod zapożyczonych od NKWD.

[←4]

Budynek w Madrycie, w latach 1936-1944 miejsce przetrzymywania więźniów politycznych.

[←5]

Ten i kolejne cytaty podawane za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.

[←6]

Sindicato Español Universitario (Hiszpański Syndykat Uniwersytecki) — organizacja studencka, przybudówka Falangi; Frente de Juventudes — młodzieżówka Falangi stworzona przez Franco w 1940 roku.

[←7]

Agustín Muñoz Grandes (1896-1970) — generał, pierwszy dowódca Błękitnej Dywizji; w grudniu 1942 roku zdjęty ze stanowiska, które objął po nim Emilio Esteban-Infantes.

[←8]

Agustín de Foxá Torroba (1906-1959) — hiszpański pisarz i dyplomata, wyznawca ideologii falangistowskiej.

[←9]

Gulasz z ciecierzycy, warzyw, mięsa i boczku, serwowany na różne sposoby; jedno z

najpopularniejszych dań kuchni hiszpańskiej.

[←10]

Chorągwie Falangi (Las Banderas de Falange) — oddziały falangistów służące w armii frankistowskiej w czasie hiszpańskiej wojny domowej.

[←11]

Nazwa zaczerpnięta z tekstu popularnego paso doble, dedykowanego jednej z najświetniejszych pieśniarek flamenco, posługującej się pseudonimem „La Parrala”. Słowa „nie wiadomo, skąd przybywa La Parrala” żołnierze Błękitnej Dywizji skojarzyli z nadlatującymi niespodziewanie sowieckimi samolotami.

[←12]

Parafraza cytatu z powieści Michela Tourniera *Król Olch* w przekładzie Leona Bielasa.

[←13]

Violeta (hiszp.) — fiołek, potocznie homoseksualista, a w grypszerze gwałciciel.

[←14]

Aluzja do słynnego wiersza Rubena Dario *Łabędzie*.

[←15]

Juan Prim y Prats (1814-1870) — hiszpański polityk i wojskowy. Do historii przeszły jego słowa: „trumna albo szarfa” (*o caja o faja*) — śmierć albo generalskie szlify.

[←16]

José Antonio Primo de Rivera (1903-1936) — twórca Falangi: rozstrzelany za udział w buncie przeciw legalnemu lewicowemu rządowi; otaczany szczególną czcią jako „męczennik antykomunistycznej krucjaty”.

[←17]

Mt 8, 22; Łk 9, 60.

[←18]

Dojrzały ser o konsystencji bryndzy i ostrym smaku, wytwarzany w Valle de Arán w Pirenejach katalońskich.

[←19]

Aluzja do manifestu Falangi.

[←20]

Taki emblemat, z napisem *Detente, bala* (Wstrzymaj się, kulo), nosiło na polowych mundurach wielu hiszpańskich żołnierzy w XIX i XX wieku.

[←21]

Hiszp.: palec. Przyczółek pod Puszkinem, nazwany tak ze względu na swój wydłużony kształt; opuszczony po nocnym ataku Armii Czerwonej (11/12 października 1943), wskutek którego Hiszpanie ponieśli ogromne straty w ludziach.

[←22]

Pałac pod Madrytem.

[←23]

W 1936 roku w Barbastro republikanie rozstrzelali pięćdziesięciu jeden klaretianów, w większości kleryków.

[←24]

Chodzi o bunt generała Franco.

[←25]

Manuel Azaña (1880-1940) — pisarz i polityk, ostatni prezydent Drugiej Republiki (1936-1939).

[←26]

Leo Testut (1849-1925) — francuski lekarz, profesor anatomii, autor słynnego dzieła *Traité d'anatomie humaine* (Traktat o anatomii człowieka).

[←27]

Dwudziestego dziewiątego października 1933 roku w madryckim teatrze Komedia José Antonio Primo de Rivera wygłosił przemówienie, które dało początek ruchowi Falangi.

[←28]

Agustín de Foxá Torroba — patrz przypis 8; Pedro Lain Entralgo (1908-2001), lekarz, filozof i historyk; Rafael Sánchez Mazas (1894-1966), dziennikarz i pisarz, jeden z założycieli Falangi, w latach 1939-1940 minister bez teki w rządzie Franco.

[←29]

San Antón — dawne madryckie kolegium ojców eskulapów, zamienione w czasie wojny domowej w więzienie dla mężczyzn. Pod koniec roku 1936 rozpoczęły się wywózki więźniów i masowe egzekucje, z których najwięcej miało miejsce w podmadryckiej miejscowości Paracuellos del Jarama, gdzie we wspólnych dolach pochowano tysiące ludzi.

[←30]

Obszar zaciętych walk, w którym podczas ofensywy obronnej (1942) oddziały Armii Czerwonej zostały zamknięte na kilka miesięcy.

[←31]

Mt 9, 29.

Spis treści

[1 Ofiara](#)

[2 Redukcja do nieskończoności](#)

[3 Duchy i ciała](#)

[4 Architekt w ruinach](#)

[5 Odslony terażniejszości](#)

[6 Zawsze w cieniu](#)

[7 Czystość](#)

[8 Stare nowe szaty władcy](#)

[9 Sade](#)

[10 Wywoływanie wróżek](#)

[11 Piloci bojowi uwielbiają pełnię księżyca](#)

[12 Termopile](#)

[Przypisy](#)